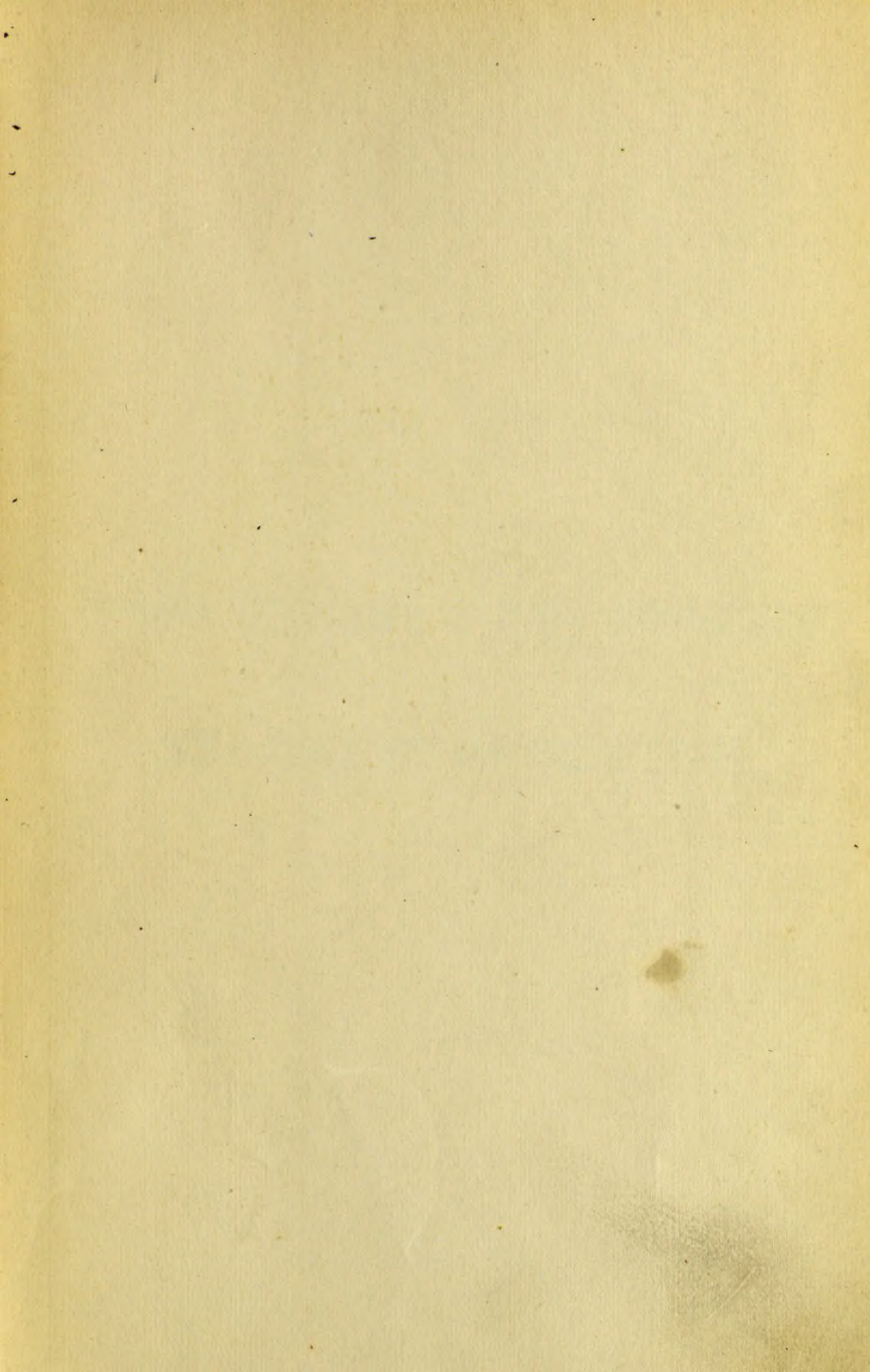


17927

B. P. im. L.

1000071796



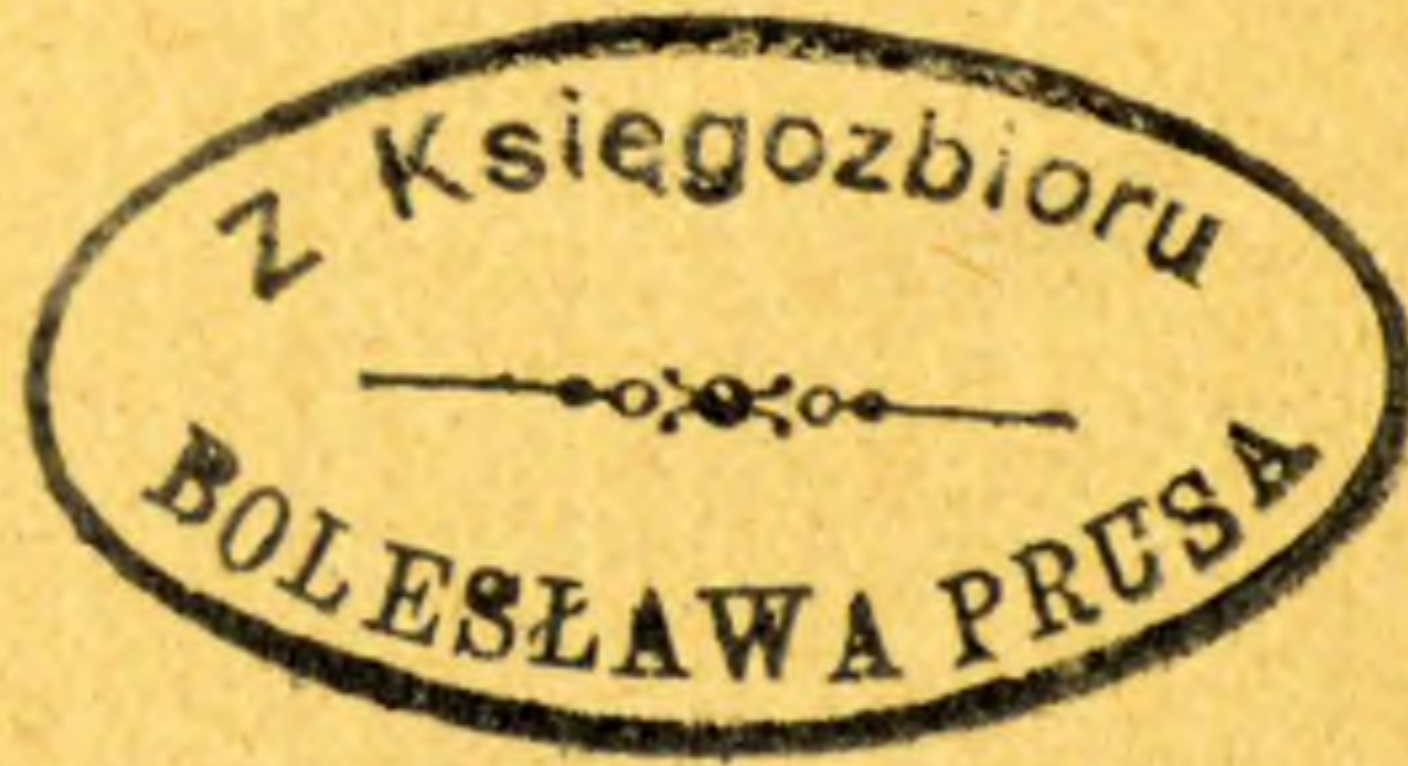


Szlaki dziejowe a typy społeczne

I.

SZLAKI STAROŻYTNE

391



88372

17927

Edmond Desmolins

☆☆☆ Szlaki dziejowe
a typy społeczne ☆☆☆

I.

Szlaki starożytne

PRZYCZYNEK DO GEOGRAFII SPOŁECZNEJ

SPOLSZCZYŁ

L. Krzywicki



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1902

Indel
01881



Дозволено Цензурою.

Варшава, 27 Февраля 1902 года.

I-323901 /
1



911.3:93/94

911.3:316

Znany zachowawca francuski, le Play, pozostawił po sobie cały zastęp uczniów, wytrwale pracujących nad urzeczywistnieniem testamentu mistrza swego,—zgromadzeniem materiału faktycznego, rzucającego światło na istotę więzi społecznej. Le Play zaprzętał się losami organizacji rodzinnej, przy czem wychodził z założenia, iż jej ustrój oraz widnokreśli, właściwe jej członkom, kształtują się w zależności od warunków materialnych, wśród jakich rodzina przebywa. Szkoła jego myśl tę rozwinęła i udowodniła w cennym szeregu monografji, które zawarła w „Pracownikach europejskich” i w „Pracownikach dwóch światów”. Pchani logiką studjów duchowi spadkobiercy le Playa rozszerzyli zakres swoich badań i jęli się opracowywania, w podobny sposób i pod tym samym kątem widzenia, przyczynków, poświęconych losom pojedynczych cywilizacji i ludów, a nawet lądów. Prévillie ogłosił monografię swoją ludów Afryki, Rousiers społeczeństw amerykańskich, E. Demolins cenny obraz analityczny Francji, w którym usiłuje wyprowadzić rysy duchowe, właściwe dzielnicom tego kraju, z materialnych warunków bytu w teraźniejszości i przeszłości. Nad przy-

czynkami temi zanadto ciąży tradycja mistrza, która swoim schematyzmem pęta umysły szkoły i zabarwia je jednostronnością, ale w każdym razie przedstawiają one objaw ciekawy budzenia się myśli ludzkiej i wyzwiania się jej od rutyny dotychczasowych sposobów traktowania historii powszechnej.

W liczbie tych przyczynków znajduje się książka, przez nas na język polski przełożona. Autor usiłuje objąć całokształt dziejów rodzaju ludzkiego. Obok dzieła L. Miecznikowa o znaczeniu wielkich rzek w rozwoju losów człowieczeństwa, przyczynek E. Demolinsa przedstawia jeden z wybitniejszych płodów tego parcia rozwojowego w zakresie historii powszechnej, które dąży do zerwania z opowieścią dotychczasową o pojedynczych osobistościach, a zamienia tę gałąź studjów na to, czem zostać powinna: na naukę o ewolucji organicznej w obrębie rodu ludzkiego.

Imając się przekładu książki Desmolinsa, winniśmy tutaj podnieść jej słabe strony.

Dzieło to grzeszy wadami, właściwemi wielu podobnego rodzaju pracom w języku francuskim. Autor wyłącznie posługuje się źródłami francuskimi, które zwłaszcza o ludach dzikich i barbarzyńskich bardzo mało wiedzą i niewiele mogą dostarczyć wiarogodnego materiału. Nie uwzględnił wcale dorobku naukowego Anglii i Niemiec, chociażby tam znalazł pierwszorzędnej wartości źródła, niekiedy bardzo pokrewne pod względem celów (np. klasyfikacją O. T. Masona obszarów kulturalnych Ameryki), a zawsze

dostarczające materiału faktycznego, cenniejszego a wiarygodniejszego. Nawet nie wyzyskał literatury francuskiej, i to prób bardzo bliskich, takich, jak wspomniana praca Miecznikowa. Wogóle, w pracy jego daje się spostrzedz zupełne lekceważenie tego wszystkiego, co zostało napisanem nie przez przedstawicieli szkoły. Sekciarstwo to występuje z jawnym uszczerbkiem dla książki. Niekiedy zaś Desmolins czerpie materiał ze źródeł dość podejrzanych, a prawie w większości wypadków z ręki drugiej. Wobec tego można w książce jego niejednokrotnie spostrzedz błędy faktyczne, i nawet całe rozdziały stoją poniżej tego, co wiedza dzisiejsza zdołałaby dać przy sumienniejszem wywiązaniu się z podjętego zadania. Są to wielkie wady, ale pomimo swego ogromu nie znoszą zalety, jaką książka Desmolinsa posiada — otwierania zgoła nowych widnokręgów i torowania ścieżek naukowych.

Erudyta słusznie będzie się zżymał na charakter źródeł, na błędy faktyczne i t. d., ale bezstronny każdy krytyk musi oddać przełożonemu dziełu to, co mu się słusznie należy, a mianowicie, iż jest to praca, nowy duch wnosząca do nauki. Względy te skłoniły nas do jej przetłomaczenia: wobec pożytku, jaki może ona przynieść kształcącemu się ogółowi, zapomnieliśmy o zarzutach, które postawić mogliśmy.

L. Krzywicki.

PRZEDMOWA.

Oto zadanie, jakie wytknęliśmy sobie w dziele niniejszem:

Na globie istnieje nieskończona różnorodność ludów.

Jaka przyczyna sprawiła tę różnorodność?

Na to odpowiadają: rasa.

Ale rasa nie daje należytego wyjaśnienia, bo trzeba najprzód zbadać, jakie czynniki stworzyły odrębność ras.

Zasadniczym i stanowczym źródłem różnorodności ludów i odmienności ras to *droga, po której szły ludy*.

Droga stworzyła zarówno rasy, jako i typy społeczne.

Szlaki, istniejące na globie, przedstawiają poniekąd potężną retortę, która w pewnym kierunku przetwarzała ludy, po nich idące.

Nie jest dla ludu rzeczą obojętną, jaką drogę losy mu wskazały, czy stepów wielkich Azji, tundr syberyjskich, prerji amerykańskich, lub wreszcie lasów Afryki. Zwolna, niepostrzeżenie, ale z całą mocą drogi te rodziły typ tatar-

sko-mongolski, lapońsko-eskimoski, czerwonoskóry, indyjski, murzyński. Nie godzi się protestować przeciwko temu twierdzeniu, ujrzymy bowiem, iż przedstawia ono zasadę, w najwyższym stopniu ustaloną.

Również nie jest zdarzeniem obojętnem wybór szlaku pustyni Arabji i Sahary, lub drogi Azji południowej i wschodniej. Tak samo niepostrzeżenie a nieodzownie drogi urabiały typ arabski lub typ asyryjski i egipski, medyjski, perski, chiński, japoński i hinduski.

Wreszcie nie pozostaje i to bez wpływu, czy lud obrał drogę śródziemnomorską, lub lądową Europy środkowej. Pierwsza wyłoniła Fenicjanina, Kartagińczyka, Greka i Rzymianina, druga — Celta i Germanina.

Najbardziej północna z pośród dróg Europy stworzyła typ fiński; szlak, idący przez wielkie równiny rosyjskie, typ północno-słowiański; góry południowe wydały typ południowo-słowiański. Zawsze droga kładła piętno swoje, wyraźne a dokładne.

W Europie zachodniej, typy skandynawski, anglo-saski, francuski, niemiecki, grecki, włoski, hiszpański również przedstawiają wytwór dróg, któremi przodkowie nasi rozeszli się, dążąc do swoich siedzib dzisiejszych. Odrębność tych dróg jedynie zdoła dać nam wyjaśnienie różnic, spostrzeganej pomiędzy ludami Zachodu, ducha ich narodowego, jak brzmi bardzo dogodne wyrażenie.

Poddajcie zmianom którąś z tych dróg, postawcie ją na wyższym lub niższym poziomie, obdarzcie ją zamiast

obecnych plonów innemi, przekształćcie w pewnym kierunku formy i istotę pracy, a natychmiast otrzymacie inny typ społeczny. Rasa będzie odmienna.

Idę nawet jeszcze dalej: gdyby historia rodu ludzkiego poczęła się na globie jeszcze nieprzekształconym, to jej ogniwa powtarzałyby się w ogólnym zarysie. Niewątpliwie istniałyby drugorzędne różnice, np. w objawach życia publicznego, w przełomach politycznych, którym zanadto wiele udzielamy znaczenia, lecz jednakie drogi wydałyby te same typy społeczne i napiętnowały je tym samym zasadniczym charakterem.

Jeśli czytelnik zechce mi towarzyszyć po przez stronicę dzieła niniejszego, ufam, iż przystanie na to, że takie tłumaczenie świata przekształca w osobliwy sposób nasze pojęcia o historii i geografji.

Geografja przestaje być suchym zbiorem nazw lub mniej albo więcej malowniczym obrazem powierzchni kraju, ale dostarcza wytłomaczenia przyrody i roli społecznej rozmaitych dróg, a więc i rodowodu rozmaitych ras. Zamienia się na zasadniczą objaśnicielkę ustawy społecznej ludów.

Historja nie będzie nadal opowiadaniem o zdarzeniach niewyjaśnionych i wyjaśnić się nie dających. Staje przed nami, nowem światłem olśniewająca, zespolona, wywyższona, sięgająca najwyższego i najdokładniejszego poziomu filozofji. Zamienia się na rzetelną przewodniczkę i mistrzynię życia.

Wielkie wyrazy, pompatyczne obietnice! Czytelnik nie

potrzebuje wierzyć mi na słowo, ale posiada prawo wymagania dowodów. Ufam, że znajdzie je na stronicach książki.

Stronice te streszczają część wykładów szesnastoletnich w jednym z audytoryów Paryskiego Towarzystwa Geograficznego, które wygłosiłem przed wychowañcami przeważnie głównych szkół naszych. Korzystałem z materiałów mistrza swego i przyjaciela Henryka de Tourville, któremu trzeba zawdzięczać urzeczywistnienie samych wykładów. Wielu z moich uczniów zostało moimi przyjaciółmi i rzecznikami społecznoznawstwa.

Pragnąłbym, ażeby mój wykład znalazł sympatyczne przyjęcie wśród szerokiego ogółu i ściągnał do studjów naszych nad społecznością nowe siły.

Życzyłbym sobie również, ażeby dostarczył pojęcia o metodach i wynikach, osiągniętych obecnie przez społecznoznawstwo.

Studja, ogłoszone w pracy niniejszej, opierają się w znacznej części na rezultatach poszukiwań Henryka de Tourville, tego spadkobiercy myśli F. le Play'a. W ciągu lat 25, przy współudziale współpracowników czasopisma *Science sociale*, których nazwiska czytelnik odnajdzie w mojej książce, wytrwale pracował on nad trudnem zadaniem kontynuacji, prostowania i uzupełnienia prac naszego wspólnego mistrza.

Ogół nie ocenił jeszcze wysokiej wartości niezwyklej pracowitości i rzadkiej potęgi umysłu Henryka de Tourville, gdyż, bardziej zajęty opracowywaniem swoich pomysłów niż

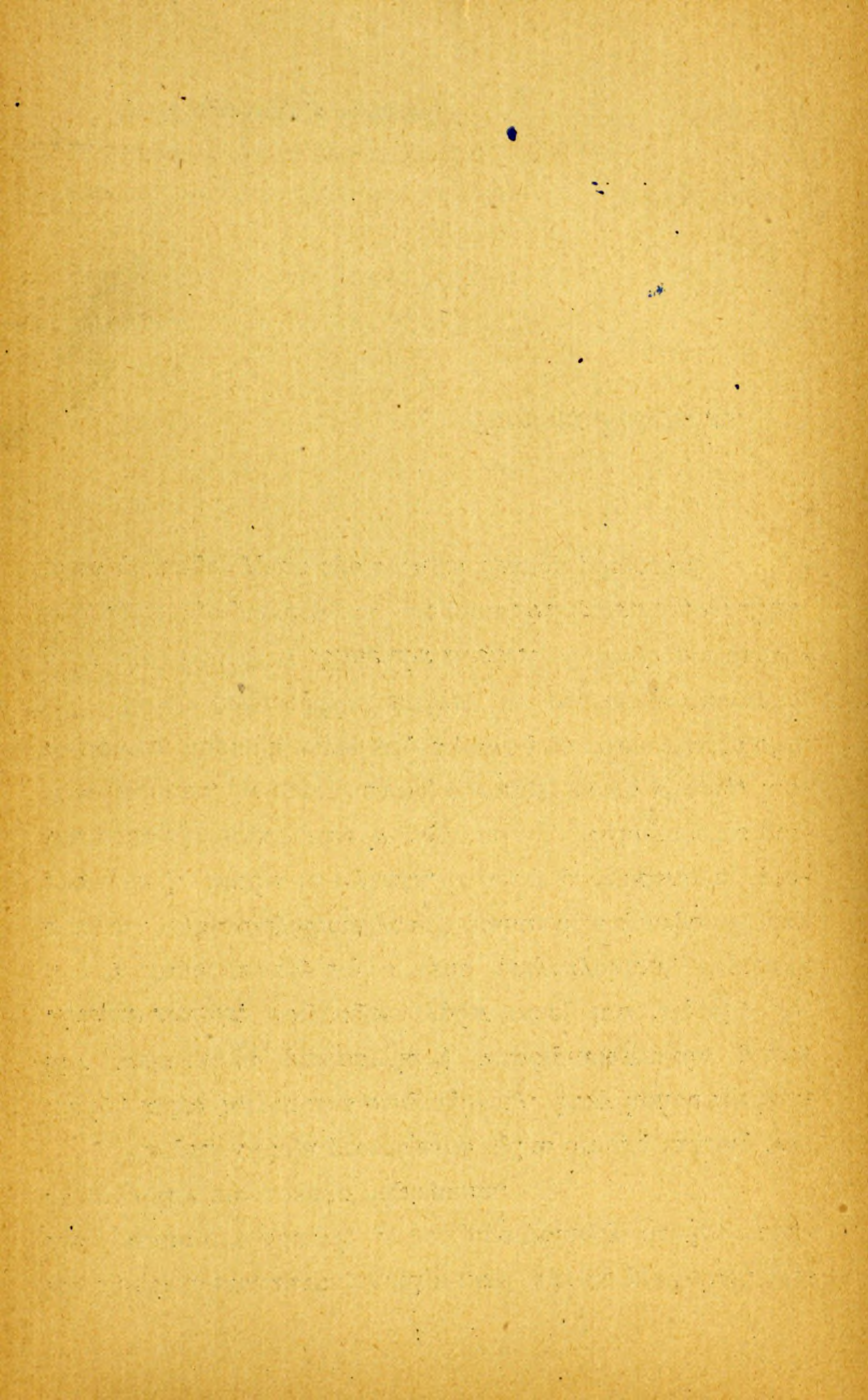
ich ogłaszaniem, zaznajamiał z nimi jedynie przyjaciół. Wi-
nien jestem oświadczyć, iż bez jego pomocy dzieło niniej-
sze nigdyby nie zostało napisanem.

Ale praca moja przedstawia tylko drobną cząstkę wy-
ników, które dotychczas osiągnęliśmy. Przy końcu rozdzia-
łów wskazałem przyczynki ¹⁾ współpracowników pisma
Science sociale, dotyczące typów mniej lub więcej podo-
bnych. Zapoznawszy się z tymi przyczynkami, czytelnik
otrzyma wykład systematyczny stanu dzisiejszego wiedzy
społecznej. Studja te wykażą, iż nasze poszukiwania, pro-
wadzone systematycznie w ciągu lat 25, a dotychczas pra-
wie nieznanne, w rzeczy samej stworzyły nową wiedzę, któ-
ra nowym duchem ożywi część pewną naszych wiadomości.

Dzieło moje będzie służyło za podstawę nauczania
geografji i historji w *École des Roches*. Dlatego postanowi-
łem ogłosić je przed wydaniem tomu *Français d'aujourd'hui*,
poświęconego typom społecznym Francji północnej.

Edmund Desmolins.

¹⁾ Włączyliśmy je do tekstu.



KSIĘGA PIERWSZA.

Z pośród wszystkich dróg, któremi szedł rozwój rodu ludzkiego, droga, prowadząca przez stepy i wogóle kraje które umożliwiają produkcję samorzutną, będzie przez nas badana pierwsza. Jak ujrzymy niebawem, dała ona początek typowi społecznemu, najprostszemu i zarazem najbardziej przesiąkniętemu duchem tradycji.

Miejsca, przez które ta droga prowadziła, oraz ludzie po niej idący, podlegali względnie najmniejszym zmianom; na niej możemy najlepiej ogarnąć ród ludzki w jego stanie pierwotnym.

A ponieważ tego rodzaju typ społeczny od początków świata nie zaznał zmiany, przeto i ludy, go reprezentujące, *nie posiadają historii*. Jeszcze dzisiaj znajdują się one, że tak rzekniemy, w stanie przedhistorycznym.

Jest to jeden z powodów, dlaczego badamy go na pierwszym miejscu. Ludy te bowiem nie tylko przedstawiają pod względem społecznym największą prostotę, ale nadto, z punktu historycznego, są reprezentantami najstarożytniej-

szego stanu, gdyż ich stan obecny jest takim, jakim był w ciągu wieków.

Przekonamy się, iż ta prostota społeczna i ta starożytność historyczna wynikają wyłącznie z właściwości drogi, na którą, szczęśliwem albo fatalnem zrządzeniem losów, ludy te wkroczyły.

ROZDZIAŁ I.

Droga, prowadząca przez stepy.

TYP TATARSKO-MONGOLSKI.

I.

Typ, właściwy pasterzom, jest nietylko najprostszy, ale jednocześnie najbardziej zasadniczy. Jak ujrzymy, wywarł on najrozleglejszy i najgłębszy wpływ na cały ród ludzki. Dlatego poddamy go szczegółowszemu rozbiorowi, niż inne, następne typy.

Na globie istnieją rozległe przestrzenie, które nawet w epoce obecnej dostarczają tylko jednego produktu: trawy. Są to stepy.

Stepy znajdujemy w różnych punktach globu, ale nigdzie nie ciągną się one takim zwartem i znacznym pasmem, jak w Azji i na wschodzie Europy.

Możemy powiedzieć, iż Azja środkowa i Europa wschodnia stanowią właściwy obszar stepów.

Rdzeniem tej przestrzeni jest płaskowzgórze Azji środkowej, ochrzczone nazwą „wielkiego.“ Środkowa dzielnicą Azji, otoczona przez najwyższe grzbiety górskie globu, Szlaki dziejowe.

przedstawia część najwynioślejszą masy ziemnej, jaka istnieje na lądach. Gdyby lądy pogrążyły się równomiernie w toni Oceanu, to inne części ziemi zniknęłyby już od dawna, tymczasem wyniosłe warownie Azji środkowej wraz z ościennymi grzbietami jeszcze widniałyby po nad wód powierzchnią. Płaskowzgórza Azji tworzą, iż tak się wyrazimy, wśród lądu ląd, który wszystkim, a więc klimatem, florą, fauną i ludami swymi odróżnia się od dzielnic ościennych.

Podobnego wzniesienia poziomego powierzchni nigdzie na innem miejscu nie odnajdziemy na globie. Jest to olbrzymia, nastrzępiona powierzchnia, posiadająca różnej wysokości wydęcia. Pomiedzy szczytami siedemnaście przewyższa wyniosłość 7,500 metrów, czterdzieści — 7,000; sto dwadzieścia—6,000, a jeden podnosi się do 8,840 metrów. Olbrzym europejski, Mont-Blanc, dosięga zaledwie 4,800 metrów! Przeciętna wyniosłość płaskowzgórza waha się od 4,000 do 5,000 metrów.

Płaskowzgórza środkowe od północy zamykają pasmo altajskie oraz grzbiety, z których wypływają rzeki syberyjskie; od wschodu rząd potężnych gór, z których biorą początek rzeki Mandżurji zachodniej, Chin i Indochin; granicę południową stanowią Himalaje, z których płyną rzeki Indji; na zachodzie ciągną się Pamir i góry, wysyłające od siebie dopływy morza Aralskiego,—rzeki turkiestańskie.

Ten olbrzymi czworobok jest warownią państwa traw, władza tych ostatnich jest tutaj bardziej niewzruszoną, niż gdziekolwiek indziej. Ale wynieśliśmy bardzo niedokładne pojęcie o rozmiarach wielkiego stepu, gdybyśmy nie uwzględnili, iż spuszcza się na równiny niżej położone, niezmierniej rozległości, przynajmniej w kierunku ku zachodowi.

Ku północy, w Syberji, u stóp grzbietu Altajskiego i gór Sajańskich, istnieje jeszcze obecnie idąca półkolem przestrzeń trawiasta, łącząca się z wielkim stepem. Temi wrotami pasterze mogli się spuszczać na ziemię syberyjską, nie potrzebując zmieniać swego trybu życia.

Na wschodzie do płaskowzgórza przytyka pasmo długich stoków trawą porośłych. Przez ten próg wspaniały pasterze byli połączeni bezpośrednio z Chinami.

Na zachodzie z wielkiem płaskowzgórzem zlewa się dzielnica, godna wielkiego stepu i niemal mu równa. Dzielnica ta przedłuża się przez Turkiestan, Syberję i Rosję południową aż do ujścia Dunaju, t. j. zajmuje powierzchnię, niemal równą obszarowi wielkiego stepu.

Ostatecznie, kraina traw, w swej największej rozciągłości z zachodu na wschód, przewyższa znakomicie długość całą Europy. Największa szerokość, z północy na południe, przedstawia taką samą odległość, jaka oddziela kraniec północny Szkocji od granicy algierskiej Sahary.

Te rozmiary byłyby znacznie większymi, gdybyśmy włączyli jeszcze Persję i Azję Mniejszą, które również są obszernym stepem. Starczy jednak dla nas powyższe wykazanie, iż nigdzie na globie niema obszaru, w takim samym stopniu dostępnego dla życia pasterskiego.

*

*

*

Z nadzwyczajnej wysokości wielkiego płaskowzgórza Azji środkowej wypływa ważna okoliczność, której z łatwością zrozumiemy skutki w zakresie bytu jego mieszkańców
Jest to chłód.

Wypchnąwszy ziemię aż do poziomu chłodnych warstw powietrza, aż do strefy obfitych śniegów, płasko-

wzgórze w znacznej części swego obszaru stworzyło osobliwy klimat lądowy.

Stosunki te wyłoniły z siebie dwa zasadnicze przymioty stepu, t. j. produkcji trawy z mniej lub więcej zupełnem wyłączeniem wszelkiej innej wegetacji, a mianowicie:

1-o Krótka pora wilgotna corocznie a prawidłowo oddziela zimę jałową od lata, które swoją suchością uniemożliwia wszelką wegetację. Ta pora pośrednia sprzyja wzrostowi traw, ale kładzie kres wzrostowi płonek drzewnych.

2-o Śnieg pokrywa ziemię przez znaczną część roku.

Le Play na wspaniałej stronicy zobrazował skutki tych dwóch sił: „Podczas dnia, pisze on, na skutek promieniowania słońca, woda, utworzona na powierzchni, przedostaje się do całunu śnieżnego; woda ta zamarza następnej nocy i nadaje śniegowi większą zwartość, który skutkiem tego topnieje mniej prędko. W następstwie tego śnieg jeszcze leży na stepie, chociaż już spęłzył z pochyłości okolicznych. Wreszcie następuje chwila, że śnieg, stopiony zupełnie, obnaża odrazu ziemię, nasyconą przez wodę, na działanie wysokiej temperatury. Trawa kiełkuje natychmiast z niezmierną prędkością i w ciągu paru tygodni dosięga wysokości dwóch metrów. Tworzą się cudowne błonia kwieciste, jak wody falujące pod ciśnieniem wiatrów, a porównywane przez poetów miejscowych do Oceanu“. „Nasiona drzew, rozrzucone po stepie przed zimą, również nie pozostają bezczynnymi, niekiedy wyprzedzają kiełkami swymi trawę, ale rzadko przewyższają wysokość decymetrową. Zgłuszone przez trawę, giną, a przynajmniej zostają obezwładnione. Które zaś zachowały w sobie źdźbło życia, marnieją, kiedy działanie palącego słońca wysuszy trawy i da poczuć swoją moc wdłuż ziemi wysuszonej. Zarodki lasu giną corocznie

cznie, bo nie znajdują na stepie ani potrzebnej do wykiełkowania przestrzeni, ani stałej wilgoci, której wymagają korzonki drzew, nie tak żywotne, jak korzonki traw“¹⁾).

Podróżnicy nowocześni pozostawili liczne opisy stepu. „Tartarja, pisze Huc, zgoła nie przypomina naszej ojczyzny. Bez miast i budynków, bez sztuki i przemysłu, nie posiada lasów ani pól, wszędzie i zawsze łąki się ciągną. Znalazłszy się w tych rozległych ustroniach, których krawędzie giną het daleko w widnokręgu, odnosimy wrażenie, iż jesteśmy w pośrodku Oceanu, spokojem ogarniętego. Widok stepów mongolskich nie wzbudza radości ani smutku, ale raczej oba te stany w zmieszaniu, jakieś uczucie melancholijno-religijne, które podnosi zwolna duszę, lecz nie odrywa jej ostro od rzeczy doczesnych“²⁾).

Stanęliśmy w obliczu niezmiernych obszarów, wytwarzających jedynie trawę. Przyjrzyjmy się, jakie kształty przybiera społeczeństwo w takim otoczeniu.

II.

Przedewszystkiem winniśmy stwierdzić, iż wyłączna obecność traw nadaje pracy charakter jednostajny: źródłem bytu jest umiejętność pasterska.

Odnajdujemy w tej części świata niezliczone ludy pasterskie.

1) *Les Ouvriers européens*, I, 53 — 4.

2) *Souvenirs d'un voyage dans la Tartarie et le Thibet*, przez Huc'a, II, 58—59.

Dla zobrazowania życia pasterzy skorzystam z opisu, który dał nam podróżnik angielski, Atkinson. Oto jak opisuje on pierwsze spotkanie swoje z obozem Tatarów Chalchów na południu od grzbietu Altajskiego:

„Już o późnej godzinie po południu, spuszczailiśmy się wąską doliną, o obfitej murawie, którą nasze konie z zadowoleniem obwąchiwały; w niewielkiej odległości pasło się kilka wielbłądów, a za nimi, na znacznej przestrzeni, widniały jurty czyli namioty. Na widnokręgu widać było konie, paszące się w porośniętych trawą dolinkach, w sąsiedztwie koni zaś stado owiec.

„Na nasz widok, dwóch mężczyzn dosiadło rumaków i podjechało ku nam; niebawem przybyło jeszcze trzech Chalchów z rozkazem poprowadzenia nas ku aułowi (zbiorowi namiotów). Gdyśmy przybyli, mężczyzna w podeszłym wieku odebrał mi z rąk konia i wziął mnie do swego mieszkania, w którym znajdowały się dwie żony jego i czworo dzieci.

„Dokoła step roił się życiem zwierzęcem. Sułtan ¹⁾, czyli patriarchy, oświadczył mi, iż znajduje się tutaj dwa tysiące koni, tysiąc krów i byków, 280 wielbłądów i przeszło 6,000 owiec i kóz. Przenikliwy krzyk wielbłądów, ryk bydła rogatego, rzenie koni, beczenie jagniąt i kóz zlewały się w chórze pasterskim, jakiego nigdy nie usłyszałbym w Europie“ ²⁾.

¹⁾ Taką jest powaga tych ojców rodziny patriarchalnej, takim szacunkiem są oni darzeni, iż Rosjanie zawsze ich nazywają sułtanami.

²⁾ Voyage de M. Atkinson, w *Le Tour du Monde*, 343—358.

Rozmiary tych trzód świadczą o obfитоści trawy w tym uprzywilejowanym zakątku stepów.

Główne zajęcie pasterzy polega na dojeniu zwierząt dwa razy dziennie. Atkinson przyglądał się tej czynności i ją opisał:

„W sąsiedztwie bezpośrednio rozgrywała się scena bardzo ruchliwa: z jednej strony mężczyźni, w liczbie przeszło stu, zajęci byli dojeniem klaczy i noszeniem do jurt, w workach, wiader skórzanych, pełnych mleka, wówczas gdy źrebięta były dwoma rzędami przywiązane do pali wbitych w ziemię; naprzeciw zaś, po stronie drugiej, kobiety doiły krowy, owce, kozy, a za nimi w pewnej odległości wielbłądzice karmiły swe małe potomstwo“¹⁾.

Ze wszystkich jednak zwierząt najważniejszą rolę odgrywa koń. Bez niego tryb pasterski życia byłby niemożliwy.

Koń przystosował się do stepu, a nadto przystosowywał step do człowieka.

Tradycje historyczne różnych ludów wyprowadzają ze stepu azjatyckiego wszystkie rasy koni, rozproszone dzisiaj po powierzchni globu. Możemy stwierdzić, iż jeszcze obecnie, w stosunku do liczby mieszkańców, konie są liczniejsze w tej dzielnicy, niż gdziekolwiek indziej.

Skład fizyczny, geologiczny, meteorologiczny i botaniczny stepów wielkiego płaskowzgórza azjatyckiego oraz obszarów ościennych dostarcza wytłomaczenia tego faktu.

1) Voyage de M. Atkinson, w *Le Tour du Monde*, 358.

Stepy te są prawie powszechnie rozległemi powierzchniami poziomemi ¹⁾).

Poziomy kształt sprzyja wyśmienicie mnożeniu się konia. Zwierzę to, z przyrodzenia swego stworzenie harcujące, znajduje na wielkich równinach wspaniałe pole dla swych ruchów tak prędkich. Jego przymioty, jako wierzchowca, doskonalą się tutaj w sposób żywiołowy, człowiek nie potrzebuje pomagać przyrodzie zręcznym dobozem. Tymczasem tam, gdzie paśniki są ograniczonej wielkości, koń zamienia się na zwierzę sprzężajne.

Fakt ten zostaje potwierdzony przez zbadanie paśników, które po za obrębem wielkich stepów wytwarzają najlepsze odmiany koni. Takimi miejscami najkorzystniejszymi hodowli są płaszczyzny: węgierska i w Ameryce południowej.

W kraju górzystym koń ulega zniekształtowaniu i zwyrodnieniu, jego wzrost się zmniejsza, jak w Pyrenejach i na Korsyce; noga jego staje się cięższą, charakter — cierpliwszym, traci on swój chód prędkości, słowem przestaje być wierzchowcem, a zamienia się na zwierzę juczne i sprzężajne. Pod tym jednak względem ustępuje, nawet w dzielnicach górskiej, mułowi i osłowi, co jaskrawo świadczy o tem, że występując w takiej roli, nie spełnia właściwej sobie czynności.

Trzeba jeszcze nadmienić, iż wielkie płaskowzgórza azjatyckie składa się z szeregu różnych płaskowzgórzy, piętrzących się jedne nad drugimi, a przedzielonych niekiedy

¹⁾ Ta powierzchnia pozioma stanowi jedną z przyczyn, że woda, nie mogąc rozszerzać się na powierzchni ziemi, uniemożliwia irygację i pozwala trawie zgłuszyć las i pole.

stokami bardzo urwistymi. To ukształtowanie powierzchni przyzwyczajają konia do przewycięzania przeszkód i nadaje nodze jego pewność chodu, która w kraju wyłącznie górskim przedstawia niemal jedyny przymiot tego zwierzęcia. Nie tracąc cech, jakimi równina go obdarza, pozyskuje nowe, narzucone przez otoczenie górskie. Różnice zaś poziomemu, sprawiając znaczną różnorodność klimatu, wyrabiają w koniu zdolność wytrzymania największych zmian atmosferycznych. Fakt ten z jego skutkami uwydatniony będzie w dalszym wykładzie.

Ale stepy te nietylko idą poziomo, nadto posiadają one ogromną rozległość, gdyż bez przerwy zajmują przestrzeń większą, niż Europa. Ztąd wypływa inne następstwo jeszcze.

Rozległość mnoży dodatnie skutki, wynikające z poziomego ukształtowania powierzchni, otwiera bowiem przed koniem pole wyścigów niezmierzone. W znacznym stopniu sprzyja rozwojowi rasy i w swoim obrębie daje przytułek olbrzymiemu tabunowi naturalnemu.

Konie te, wyrosłe na swobodzie, gdzie żadna rzecz nie pęta ich ruchów, są, jak zaznacza Buffon, silniejsze, bardziej rączne i bardziej nerwowe, niż te, które wyhodowaliśmy pod zamknięciem sklepieniem, „posiadają to, co dała im natura, a więc siłę i szlachetność; nasze mogą poszczyścić się tem, co sztuka zapewnia, t. j. zręcznością i powabem“¹⁾.

Klimat wywiera na zwierzęcia wpływ większy, niż

¹⁾ Buffon: *Le Cheval*, str. 10. To samo spostrzeżenie możemy powtórzyć o człowieku, gdy zestawimy koczownika z mieszczuchem.

na człowieka, który skutecznie broni się przeciw oddziaływaniu meteorologicznemu z pomocą mieszkania i odzieży.

Spostrzeżono, iż konie zwłaszcza rozwijają się dodatkowo w klimacie suchym, odznaczają się tam wstrzemięźliwością, lekkością i siłą, mają nogę nerwową, a kopyta twarde. Przeciwnie, w krajach wilgotnych, posiadają wielki, a ciężki łeb, niekształtny tułów, obciążone nogi, złe kopyta i płaskie stopy. W Gwinei, w Indjach, w Chinach są małe, słabe, tchórzliwe i źle zbudowane ¹⁾.

Klimat na płaskowzgórzu jest suchy, zarówno na skutek wyniosłego poziomu, jak gwałtowności wiatrów i krótszej pory dżdżystej. Koń znajduje na tych wysokościach warunki, bardzo sprzyjające jego rozwojowi.

Zwierzę to musi zarówno przystosowywać się do upałów jak i chłódów, właściwych wielkim płaskowzgórzom. Wiadomo, iż koń, który w Arabji i w Egipcie znalazł takie pomyślne otoczenie, również rozwija się na północy. Jak powiedziałem, czuje on nawet szczególne upodobanie do upałów.

Znajdujemy je w Syberji, gdzie przebywają ogromnemi tabunami. W tym kraju możemy wyznaczyć granicę północną jego pobytu na 63⁰, na szerokości Berezowa nad Obją²⁾.

Śnieg, pokrywający płaskowzgórze przez znaczną część roku, bynajmniej nie szkodzi koniowi. Nie obawia się on tarzania po śniegu i spędzania nocy pod otwartem niebem, nawet pomimo strasznego mrozu³⁾. Umie nogami

1) Pietrement: *le Cheval*, str. 26, 27.

2) Pallas: *Voyage en Russie et dans l'Asie septentrionale*, t.V.

3) Buffon: *le Cheval*, 103.

przedniemi odgarniać całun śnieżny, ażeby dostać się do przykrytej trawy¹⁾. Ruch ten posiada charakter instynktu, gdyż można go spostrzedz u okazów, zrodzonych w kraju, w którym śnieg nigdy nie pada.

Pojmujemy, jak cennem jest dla koczownika na wysokim płaskowzgórzu zwierzę, tak wynoszące wszelkie krańcowości chłodu i skwaru.

Koń żywi się trawą, step, który jest krajem, trawą porośłym, przedstawia istotne jego państwo. Jak pan przebiega on paśniki przyrodzone, bez końca rozpostarte.

Step zapewnia rumakowi jeszcze inne korzyści. Zwierzę to zuje dniem i nocą, zwolna ale nieustannie, posiada bowiem nieznaczny żołądek, mogący na razie zmieścić niewiele trawy. Przystosowuje się ono bardziej do stałego pobytu na niezmiernym paśniku, niż do zamknięcia w stajni podczas nocy i pewnych godzin dnia.

Jako prawo, możemy wygłosić tezę: koń może rozwijać się normalnie w wielkich masach i w charakterze wierzchowca tylko na paśnikach bezgranicznych i niewyczerpanych, t. j. na stepach. Fakty świadczą, iż gdzieindziej jest zwierzęciem albo sprzężajnym i roboczem, albo dla popisu, a rozmnaża się i pozyskuje te cechy rozmaite tylko na skutek nieustającej pieczy ze strony człowieka.

Konie Tatarów znajdują na wielkich urodzajnych stepach otoczenie najbardziej sprzyjające samorzutnemu rozwojowi wszystkich przymiotów naturalnych. Są one więc „silne, odważne, dumne, ogniste, lekkie i rące“³⁾.

1) *ibid*, 101. 2) *Variations des animaux*, I, 56.

3) Buffon: *le Boeuf*, 160.

Cotteau, który zwiedzał pogranicze stepu, pisze, że mógł zrobić 92 wiorst na koniu nieschodząc i prawie nie biorąc posiłku w drodze.

Step osobliwie nadaje się dla konia. Ten ostatni zaś otwiera człowiekowi możliwość wyżycia na stepie, robi tę dzielnicę zamieszkalną i zdatną do eksploatacji.

Umiejętność pasterska, stanowiąca jedyną produkcję i jedyne źródło zarobku na stepie, byłaby niemożliwą bez konia.

Koń dostarcza koczownikowi jego najważniejszego pokarmu, przekształcając rośliny na substancje zwierzęce, na mleko kobyłe.

Mleko to odznacza się tem, że zastąpić zdoła różne pierwiastki, niezbędne dla wyżywienia człowieka, jest jednocześnie napojem i strawą. Cotteau spożywał je podczas podróży swej w poprzek stepów. „Od dwóch miesięcy nie znam łóżka, żywię się tylko herbatą i mlekiem, jestem znużony, ale nie fizycznie — nigdy bowiem nie czułem się lepiej — tylko moralnie“ ¹⁾).

Skład mleka kobyłego jest następujący. Na 100 części przypada:

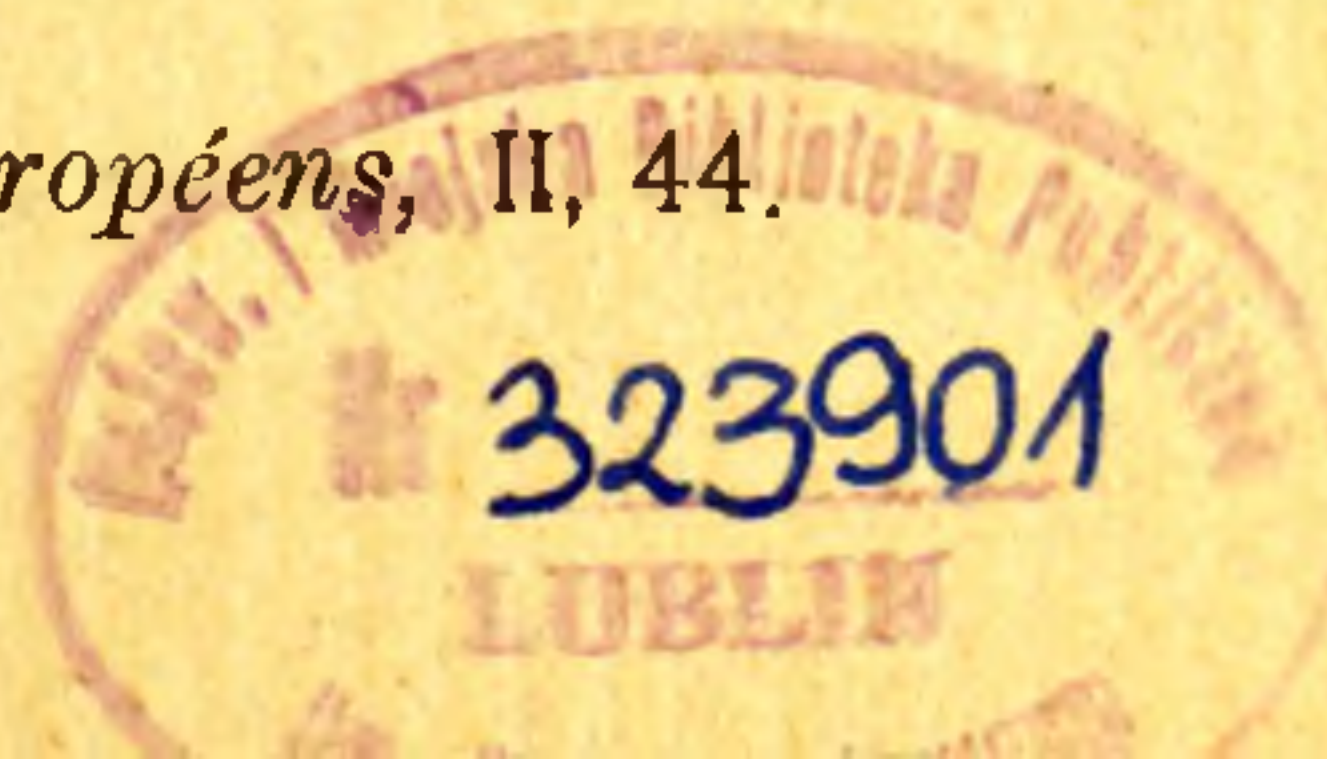
Cukru	52%	do	57.28%
Tłuszczów	11.07%	„	15.62%
Kazeiny	13.09%	„	18.23%
Białków	2.18%	„	4.21%
Proteinowych substancji	4.88%	„	6.13%
Soli rozpuszczalnych .	0.448%	„	0.523%
Soli nierozpuszczalnych	2.364%	„	2.592%

¹⁾ *De Paris au Japon*, 114.

Mleko kobyłe bywa pod nazwą *kumysu* spożywane w bardzo prostej, a w następujący sposób przygotowanej postaci: ¹⁾

„Mleko dojone codziennie sześć razy bywa przechowywane do zmierzchu w naczyniu drewnianem. Mieszają ten udój dzienny z takiej samej objętości ilością letniej wody, a niekiedy z połowiczną tej objętości ilością mleka od krowy, z którego nie zebrano śmietanki. Tę mieszaninę wlewają do sprzętu skórzanego, mogącego zmieścić 60—70 litrów. Naczynie skórzane stawiają w miejscu, wolnem od chłodnych przeciągów powietrza, w punkcie wprawdzie nie zupełnie przeciwległym wejściu, ale, w każdym razie, ogrzewanym przez łagodne ciepło ogniska, i osłaniają grubą tkaniną wełnianą. Co wieczór napełniają skórę, służącą do przygotowania kumysu, w opisany sposób, co rano biorą z niej do naczynia drewnianego ilość potrzebną na spożycie dzienne. Ilość dodana lub zabrana stanowi połowę całej zawartości worka skórzanego. Napój przygotowywany w skórze ciągle jest wystawiony na fermentację samorzutną, ujawniającą się przez wydzielanie gazów. Raz na tydzień opróżniają naczynie skórzane, służące do przechowywania kumysu, i wystawiają je w ciągu paru godzin na działanie dymu i ciepła, idącego od ogniska. Napój, trzymany na chłodzie na ziemi namiotu, posiada barwę biało niebieskawą, smak dość przyjemny, przypominający sobą słodycz świeżego gruszcznika normandzkiego, nie obciąża żołądka, a spożyty w ilości znaczniejszej, wywołuje spokojną senność“.

¹⁾ Le Play: *les Ouvriers européens*, II, 44.



Z pomocą prostych środków Tatarzy pędzą z mleka kobyłego wódkę, którą bardzo cenią.

Ten rodzaj pokarmu daje ważne korzyści koczownikom.

Odpowiada on wymaganiom ludu, zmuszonego do ciągłej zmiany miejsca pobytu. Pożywienie to można przewozić, gdyż co dnia dostarczają go zwierzęta, idące za rodziną, a nadto daje się ono przygotować za pomocą możliwie prostych sposobów.

Dostarcza pożywienia zdrowego i lekko trawionego, dogodnego dla ludów, które nierozporządzają środkami kunsztu lekarskiego.

Jest pożywieniem smacznem. Koczownik przekłada je nad wszystkie inne i zawdzięcza mu słodkie chwile marzeń.

Mleko krowy nie przedstawia tylu dodatnich przymiotów. Wymaga bowiem bardziej pracowitych sposobów, ani nie zdoła, jak mleko kobyłe, zastąpić wszelkiego innego jada. O tem trzeba pamiętać w warunkach życia na prawdziwym stepie.

Prócz mleka, koczownik mało czerpie pożywienia z konia, zwykle je mięso tego zwierzęcia tylko wtedy, gdy ono zdechnie lub zostanie skaleczone. Nie dlatego, żeby nie cenił bardzo jego mięsa, ale ponieważ obrachował, iż korzystniej spożywać jego mleko i korzystać zeń jako z wierzchowca.

Koń jest głównym pomocnikiem pasterza w sprawie pilnowania trzód. Wśród rozległych obszarów, żadną przeszkodą nieprzedzielonych, człowiek pozbawiony wierzchowca nie zdołałby utrzymać zwierząt w stadzie, ani przeszkodzić ich ucieczce, ani ścigać zabłąkane, ani wreszcie

przywodzić tej całej rzeszy, paszącej się wśród wysokiej trawy.

Koń występuje poniekąd w roli żywego, a ruchliwego ogrodzenia.

Koń nietylko nadaje się najbardziej do pracy w tej dzielnicy, ale nadto jest zasadniczym pomocnikiem rodziny, tam zamieszkałej.

Wyobraźmy sobie na wielkim stepie rodzinę bez konia. Będzie pozbawioną możliwości przenoszenia, z jednego obozowiska do drugiego, namiotu i niezbędnych do użycia sprzętów. Tryb pasterski bytu będzie uniemożliwiony.

Wobec niebezpieczeństwa, pożarów stepowych, napadu wrogów, człowiek nie mógłby ratować się ucieczką i byłby skazany na śmierć.

Koń umożliwia rodzinie byt zbiorowy pod rozkazami wspólnego przodka, oraz stworzenie rodziny patrjarchalnej, typu, który bardziej niż inne przesiąkł duchem tradycji. Nie obawiając się posądzenia o paradoks, możemy rzec, iż koń unieruchomia człowieka. Zaiste, system patrjarchalny najbardziej nadaje się do unieruchomienia całej rasy, bo w ciągu wieku pielęgnuje te same warunki bytu.

A tymczasem więź patrjarchalna zrodziła się z koczowniczego trybu życia, ten zaś byt jest niemożliwy bez konia, inne zwierzęta są niższe od niego pod tym względem. Odbierzcie konia, a człowiek przejdzie do osiadłego trybu, zaś stateczność doskonała, cechująca sobą tylko ustrój patrjarchalny, rozpręgnie się na skutek wzrostu złożoności pracy i wychodźstwa jednostek.

Rasami najbardziej statecznymi są rasy, posiadające konia.

Jest on niezbędnym pomocnikiem i dlatego odgrywa taką rolę w systemie wychowawczym koczowników.

Zaledwie dziecko zostało odstawionem od piersi, siły zaś jego wzmocniły się, ćwiczą je w jeździe konnej, sadzają z tyłu jeźdźca, puszczają konia cwałem, a młody jeździec trzyma się obu rękami odzieży swego nauczyciela. Tatarzy od lat bardzo wczesnych przywykają do ruchów konia i niebawem, na skutek wprawy, przyzwyczajają się uważać swego wierzchowca poniekąd za jedno ze sobą.

„Mongol jest tak przyzwyczajony do jazdy, iż poniekąd czuje się wykolejonym i znierównoważonym, gdy wypadnie mu postawić nogę na ziemi. Chód jego jest ciężki i ważki, łukowate kształty nóg jego, jego tułów ku przodowi schylony, wzrok, przebiegający z miejsca na miejsce, wszystko znamionują jeźdźca, człowieka, spędzającego większą część żywota swego na koniu. Znajdując się w porze nocnej w podróży, Tatarzy nie zadają sobie pracy zejścia z konia, ażeby przespać się“ ¹⁾.

Jazda konna wchodzi nawet w skład wychowania kobiet. „Wykazują one—pisze Huc—tyleż zręczności i odwagi, jak mężczyźni. Jednak tylko w wyjątkowych wypadkach dosiadają rumaka, np. w podróży, lub kiedy niema osoby, któraby udała się na odszukanie zbłąkanych zwierząt“ ²⁾.

Kałmucy nie ustępują Tatarom. „Kałmuk jest jeźdźcem od kolebki. Kolebka kałmucka przedstawia sobą łóżko ze skóry, w którym umieszczają pomiędzy nóżkami niemo-

1) Huc: *Voyage en Tartarie*, I, roz. III.

2) Tamże.

włęcia kawałek drzewa, na nim siedzi ono jak jeździec na siodle; kawałek ten drzewa jest wydrążony i zaoszczędza matce kłopotów częstej zmiany bielizny i skór, w jakie powija ona dziecko. Kolebka postawiona jest pionowo, zawieszona wewnątrz lub na zewnątrz namiotu. Dziecko, odkiedy czołgać się zaczęło, wdrapuje się na owce lub psa; skończywszy lat trzy, jeździ na koniu w tyle za braćmi swymi lub starszymi przyjaciółmi, w roku ósmym jest skończonym jeźdźcem, a w dwunastym ukróca dzikie konie“¹⁾.

Można powiedzieć, iż koń spaja różne rodziny, rozproszone w tej samej okolicy stepu. Przyczynia się to do utrwalenia pierwszej więzi społecznej, sąsiedztwa. W życiu koczowniczym przedstawia on najpotężniejszą dźwignię uspołecznienia.

To znaczenie występuje w zwyczaju, skłaniającym koczowników do wyjeżdżania na spotkanie każdego podróżnika, który ukazał się na widnokręgu, lub każdej rodziny, osiedlającej się w pobliżu.

Koń jest niemniej potrzebny do utrwalenia jedności religijnej pomiędzy rodzinami koczowników, rozrzuconemi wzdłuż i wszerz niezmiernych obszarów. Jedynie on umożliwia dalekie pielgrzymki do sławnych przybytków lamaizmu, tych głównych ognisk życia na stepie.

Koń, przyczyniający się do stworzenia jedności w zakresie pracy, rodziny, sąsiedztwa, religji, w pewnych chwilach stwarzał wielką także spójność ludów koczowniczych pod wodzą takich panów, jak Atyla, Dżyngishan, Tamerlan i in. Ludy myśliwskie i dzikie nigdy nie mogą wyłonić takiej

¹⁾ Moynet: *Le Tour du Monde*, tom XV, str. 95.

wielkiej jedności rządu, bo nie rozporządzają takim środkiem szybkiej koncentracji, jakim jest koń. Nadto zwierzę to jest jedynem, zdolnem wdrożyć się do ruchów zbiorowych armji, przystosować się do rozmaitych klimatów, do zamiętu wojny. Wielbłąd nie czyni zadość żadnemu z tych trzech wymagań.

Dzięki temu zwierzęciu, najezdniccy mogli odważyć się na tyle tak strasznych zagonów aż do ostatnich granic ładu starego, przebyć rzeki bez mostów i lekceważyć tę przeszkodę, dla piechurów nie dającą się usunąć. Siadłszy okrakiem na skórze wyprawionej wołu, w której znajdowały się sprzęty, trzymając się ogonów koni i zamiast wiosła posługując się łukiem, koczownicy przepływali najbystrzejsze rzeki. W ten sposób przebyli Dniepr w roku 1240 i Dunaj nieco wcześniej ¹⁾.

Mahomet zrozumiał doniosłość konia dla podbojów i dlatego podniósł starania, łożone na wyhodowanie rumaków, do godności czynu religijnego. Chiny zostały zdobyte przez rumaka tatarskiego, państwo zaś księżycy założone przez arabskiego.

Kroniki średniowieczne wypowiadają podziw i uwielbienie, jakimi ludy podbite były przejęte względem koni koczowników. Współcześni pozostawili nam opowieść, iż konie zagonów Dżyngishana zadawały się często liśćmi, korą i korzonkami drzew, a jednak pomimo tego były silne, ogniste a zręczne. Widzimy, jak obecność lub brak konia może powstrzymać lub sprzyjać rozszerzaniu się rasy i władzy jednego narodu nad drugim.

¹⁾ Huc: *le Christianisme en Chine*, I, 156.

Ostatecznie więc jeszcze raz stwierdzamy, że jeśli step naturą swoją dostraja się do konia, to koń odwrotnie otwiera doń dostęp człowiekowi i umożliwia czerpanie z niego utrzymania z pomocą pasterstwa.

III.

Ale pasterstwo nie stanowi jedynej pracy koczowników. Posiadają oni liczne kunszty rzemieślnicze, zresztą związane ściśle z warunkami miejsca i zajęciem zasadniczym, a przyczyniające się ze swej strony do nadania społecznościom tamtejszym ich oryginalności.

Człowiek bynajmniej nie wyrabia dowolnie tego sprzętu lub innego, z takiego lub innego materiału. Działa on pod naciskiem konieczności, nałożonej albo przez źródła, jakimi rozporządza, albo przez potrzeby, którym winien zadość uczynić.

Trawa dostarcza mało źródeł, lub, lepiej mówiąc, mało surowców dla produkcji, jest materiałem bez zastosowania przemysłowego.

Ale trawa, nie dostarczając surowców, zdatnych na cele przemysłowe, żywi trzodę, która daje człowiekowi materiały pierwszorzędnej doniosłości na wyroby: mleko, mięso, tłuszcz, skóry, sierść i wełnę, rogi i t. d.

Z tych przedmiotów człowiek winien wyrobić sprzęty, których potrzebuje, gdyż niema innych materiałów.

Otrzymanie kruszczu i drzewa jest rzeczą trudną.

Drzewo znajduje koczownik przypadkowo, wtedy, gdy droga jego leży w pobliżu grzbietu porośniętego la-

sem. Okazje takie zdarzają się dość rzadko w życiu pasterzy stepów środkowych.

Również i kruszcze spotyka koczownik trafem, w pewnych tylko punktach. Niepodobieństwem jest dla niego przebywać dłużej na tem samym miejscu, ażeby eksploatować żyły, bo trzody zmuszają go do częstych przeprowadzek i zniewalają go do życia koczowniczego, uniemożliwiającego prawidłowe zajęcia górnicze.

Z tych samych powodów pasterstwo nie sprzyja uprawie i pozbawia ludy te wszystkich surowców, jakich dostarcza ten rodzaj pracy.

W braku drzewa, kruszców i produktów rolnictwa, pasterze muszą zkaładinąd sprowadzać przedmioty z nich wyrobione. Wyrób sprzętów z tych surowców nie istnieje w rozpatrywanej dzielnicy.

Kunszta rzemieślnicze, właściwe pasterzom, muszą poprzestawać na materjale, jaki mogą otrzymywać z pasterstwa.

Ale jeśli źródła rozstrzygają o surowym materjale, idącym na wyroby, to natomiast potrzeby ludzkie decydują o formie, nadawanej tym wyrobom. Pasterze nie mogą przyswoić sobie dowolnego kalibru produktów, ale te ostatnie winny zadość czynić pewnym warunkom, t. j. posiadać określone kształty.

Tych warunków, wymaganych nieodzownie przez ogół wyrobów, jest trzy:

Naprzód winny one dawać się łatwo przenosić zarówno ze względu na swoje rozmiary i wagę, jako też trwałość i kształty. Pasterstwo nakłada na tryb życia koczowniczy tę konsekwencję. Rodziny, zmuszone zmieniać miejsce poby-

tu prawie codziennie, nie mogą użytkować z przedmiotów, których nie można z łatwością przenosić.

Winny one być mało cennymi, bo przedmioty znacznej wartości nie wyniosłyby ciągłych przeprowadzek, a nadto odosobnienie, w jakim przebywają rodziny, nie podnieca próżności. Przed kim będą się one popisowały bogatym ubraniem, brylantami, lub innymi zbytkami i ruchomościami?

Wreszcie winny one być wytwarzane z pomocą niezłożonych czynności. O konieczności tej musi nieodzownie pamiętać każdy podróżnik. Wszelkie produkcje zawikłane są niemożliwe dla osób, które nie mogą wybudować na ziemi stałego zakładu.

Takimi są źródła, z których czerpie pasterz, takimi potrzeby, które winien zaspokoić.

*

*

*

Ujrzymy, iż różne wyroby swoim przyrodzeniem znajdują się w harmonji z temi potrzebami mało złożonemi.

Najważniejszemi pomiędzy temi potrzebami są potrzeby fizyczne: pokarm, mieszkanie, odzież, higiena, rozrywki.

Potrzeby, stworzone przez konieczność spożywania pokarmów, nie dają u pasterzy koczowników początku właściwym rzemiosłom, jak to bywa wśród społeczeństw bardziej złożonych. Mleko, będące podstawą pożywienia, podlega jedynie fermentacji, że tak powiemy, samorzutnej. Zradza ono w gospodarstwie pospolitą czynność, uskutecznianą z dnia na dzień w miarę spożycia zasobów.

Przygotowanie mięsa, dostarczanego przez trzody i spożywanego podczas uroczystości, jest również tylko zwykłym zajęciem gospodarskim, zawód rzeźnika jest nieznanym.

Po potrzebie pożywienia najpotężniejszą jest potrzeba mieszkania (w tym terminie zawarliśmy właściwe mieszkanie, sprzęty, opał i oświetlenie).

Sztuka wytwórcza koczowników ujawniła się najbardziej właśnie w budowie mieszkania, oraz w produkcji sprzętów.

Domem jest jurta, namiot.

Źródła, właściwe pasterstwu, dostarczają koczownikom wszystkich materiałów, niezbędnych dla zbudowania namiotu: skór, włosia, wełny. Skóry są garbowane, włosie i wełna utkane lub zamienione na pilśń. Włosie, zwłaszcza wielbłądzie i kozie, nadto służy do fabrykacji sznurów, którymi jest związany i do ziemi przymocowany namiot.

Podobna chata całkowicie czyni zadość trzem zasadniczym warunkom bytu pasterskiego: daje się przenosić, jest prosta i nie wymaga złożonej fabrykacji.

Rozesłanie namiotu i jego zwinięcie wymagają zaledwie kilku minut. „Przybywszy na obozowisko, opowiada pewien podróżnik, kobiety odkręcają tłomoki tkaniny, smolą obmazanej, spoczywające na grzbiecie zwierząt jucznych. Wtykają następnie pale, umocowują słupy, na których spocznie wątła budowa, przywiązują sznury, rozścielają maty i dywany, kładą poduszki i przeciągają zasłony, rozdzielające namiot na parę apartamentów. Nazajutrz, w ciągu pół godziny, przytułek wczorajszy jest już rozebrany, skrecony, związany, a jako ślad przejścia koczownika pozostaje na przestrzeni kilku metrów kwadratowych, gdzie parę godzin cieszył się on swem życiem rodzinnem, nieco popiołu i odpadków“ ¹⁾.

¹⁾ *Ouvriers des Deux Mondes*, tom I, serja II, str. 437.

Takiej chacie obcy jest zbytek. Wszystko ograniczonym zostało do nieodzownie potrzebnych rzeczy, do tych, które są niezbędne, ażeby okryć człowieka przed wzbrykami pór roku. Materiał jest pospolity, małej wartości.

Budowa takiego mieszkania wymaga prostych czynności: garbowania i tkactwa w stanie zaczątkowym. Kobiety rodziny uskuteczniają te roboty: myją skóry w ciepłej wodzie, skrobią i zwilżają osolonem i kwaśnym mlekiem w ciągu 4 — 5 dni, wyciągają na słońcu, własnymi rękami miętoszą i trzymają nad dymem, ażeby usunąć wilgoć.

Wyrób pilśni jest również prosty. Pilśń powstaje skutkiem zbitcia kawałków sierści i włosów różnych zwierząt. Kałmuki dokonywają tego następującym pierwotnym bardzo sposobem: „Strzygą owce z pomocą ostrych nożów, następnie wełnę rozpościerają na słomiankach lub na olbrzymich prześcieradłach pilśniowych, w liczbie osób 10—12 siadają do koła i uderzają mocno, ażeby wytrzebiać z kurzu. Następnie rozkładają ją na sztuce pilśni, tej samej wielkości, jaką pragną wyrobić; robią ozdoby i rysunki, wtykając kawałki farbowanej wełny. Kiedy wełna została ułożoną, leją na nią wrzątek, skręcają ją wraz z tkaniną, na której ją rozpostarli, i związują sznurami. Przysiadują i rzucają się kolejno na tłomok, z ziemi na kolana, z kolan na ziemię z możliwie wielką siłą w ciągu paru godzin. Następnie rozwijają sztukę i rękami miętoszą otrzymany kawałek pilśni, ażeby poprawić jej braki“¹⁾.

¹⁾ *Voyage Pallas*, I, 518, a także 513, oraz I, 168 i 162
Les Ouvriers des Deux Mondes, l. c., 433.

W ten sposób pasterze sporządzają dom, przewybornie zastosowany do warunków ich źródeł utrzymania.

Ich sprzęty również odpowiadają surowcom, dostarczonym przez trzody, i potrzebom, stworzonym przez życie koczownicze. Są one bardzo nieliczne i składają się z kobierców pilśniowych i tkanych, takich samych z poduszek lub worków. Są łatwe do przenoszenia, nie przedstawiają wielkiej wartości i powstają drogą prostej fabrykacji.

Oto sprzęty rodziny pasterskiej, badanej i opisanej w r. 1885: wielki kobierzec z farbowanej wełny, służący za łóżko dla rodziny; zasłona, przeznaczona do oddzielenia tej części namiotu, którą zajmują mężczyźni, od tej, w której przebywają kobiety z dziećmi; trzy poduszki ze skóry kozłowej i owczej; trzy kobierce wełniane i z szerści kóz¹⁾. Wspomniano także o „trzech małych skrzyneczkach drewnianych, zawierających papiery familijne, drogie kamienie, amulety, lekarstwa“. Ale przedmioty te zakupiono u ludności osiadłej w sąsiedztwie; zresztą są one małych rozmiarów, a więc łatwo dają się przenosić, jak i inne sprzęty, spotykane w namiocie²⁾.

Opał i oświetlenie, te dwa pozostałe składniki mieszkania, nie wymagają działalności, którą za fabrykację możnaby poczytywać.

Pałają oni pomiotem, dostarczonym przez trzody. Trzeba go zebrać i wysuszyć; opał ten nie pociąga żadnych innych robót wstępnych.

Oświetlenia dostarcza zwyczajny knot, pogrążony

¹⁾ *Ouvriers des Deux Mondes*, 437.

²⁾ Huc: *Voyage dans la Tartarie*. I, 63, 64.

w naczyniu z łożem. Trzody dostarczają surowcu, przemysł wyrobu lamp jest zbyteczny.

Z natury swojej odzież łatwo można przenosić, w tym względzie nie ma najmniejszych trudności. Nadto musi być ona niewyszukana, bo musi wytrwać pomimo zycia pod otwartym niebem, wystawiona na wszystkie niepogody pór roku, wobec których koczownik nie ma żadnej ochrony. Winna być wreszcie wytworem bardzo niezłożonych czynności. Czyni ona zadość tym ostatnim dwom warunkom, gdyż jest wyrabiana ze skór i tkanin wełnianych albo pilśniowych bardzo grubych i wytrzymałych.

Marko Polo, który zwiedził całą Azję środkową, powiada, że pasterze turkiestańscy „noszą na sobie skóry bydła, gdyż sukno drogo kosztuje“¹⁾. Tatarzy ubierają się w podobny sposób: „Większość mężczyzn, pisze Atkinson, posiada odzież, wyrobioną ze skóry konia, grzywa spada im w pośrodku grzbietu; nosili także czapki skórzane, przyozdobione włosieniem“²⁾. Również wyrabiają odzież ze skóry owiec, kładąc futro na zewnątrz w porze letniej i na wewnątrz podczas zimy³⁾. Kobiety noszą takie samo ubranie. Już wyjaśniłem, w jaki prosty sposób pasterze garbują skóry.

Metody dla wyrobu tkanin na odzież są także bardzo pierwotne. Kądziel, z której przędzą nici, nie wymaga żadnych przyrządów, umocowanych do ziemi⁴⁾, czynność

¹⁾ Wydanie Pauthier'a, str. 121.

²⁾ *Le Tour du Monde*, 1863, kwartał I, 362.

³⁾ *Hist. des Voyages*, VIII, 407, 431. Przewalski: *Mongolie* 36, 203. Huc: *Voyage en Tartarie*, II, 100, 302.

⁴⁾ Przewalski: l. c., 207.

można uskutecznić idąc, tembardziej, iż większość pasterzy nie zna wrzeciona, narzędzia prostego i łatwo przenoszonego.

Ażeby nadać wełnie delikatność, pasterze ukraińscy posługują się dowcipnym fortelem: obwijają jagnięta bieliną, zwilżoną w letniej wodzie, i zawiązują ją na ich tułowiu; pod działaniem wilgoci runo skręca się samo z siebie i stwarza sławne futra, znane pod nazwą astrachańskich.

Gdy wełna została wyprzędzoną, należy jąć się tkania. Ale tkactwo nie wymaga bardziej złożonych procedurów, niż przedzenie. Robota ta spoczywa na kobietach. Używają one niekiedy „małego instrumentu, drewnianego, lekkiego i łatwo przenoszonego, ale częściej zastępują go rękami własnymi, nogami i czółenkiem, a nawet tylko rękami i nogami. O ile posługują się krosnami i czółenkiem, same wyrabiają te sprzęty“¹⁾.

Dla wyrobu odzieży z tych tkanin nie potrzebują krawca. Kobiety bowiem rodziny zajmują się szyciem ubiorów dla całej jednoty rodzinnej²⁾. Trwałość produktu jest główną zaletą ich roboty³⁾.

Pasterze posiadają umiejętność barwienia skór i tkanin, a w tym celu używają roślin, których im step dostarcza w stanie dzikim. Kirgizi biorą korzeń pewnej rośliny dla zabarwienia skóry na żółto.

Wyrób i przewóz odzieży jest niezmiernie ułatwiony dzięki zwyczajowi, powszechnemu u pasterzy, niezmienniania

1) *Ouvriers des Deux Mondes*, l. c., 433.

2) Huc: l. c., I, 97.

3) Pallas: l. c., I, 602

części ubioru, noszą oni na sobie poniekąd całą swoją garderobę. A ponieważ rozstrzelenie życia, w jakim przebywają pojedyncze rodziny, nie sprzyja rozkwitowi kokieterji, to noszą odzież aż do zupełnego zniszczenia, niekiedy, zwłaszcza skórzaną, w ciągu wielu lat.

Dwie pozostałe potrzeby fizyczne, higiena i rozrywka, nie zniewalają koczowników do jakiegokolwiek pracy przemysłowej, któraby dała się odczuć.

Pobyty na otwartem powietrzu i żywot czynny sprzyjają zwłaszcza zachowaniu zdrowia; śmierć wczesna jednostek, mniej silnie zbudowanych, wywołuje dobór naturalny, zachowujący, a nawet wzmagający tężyznę rasy. Rzadko osoby wątłe dosięgają wieku wejścia w związki małżeńskie i możliwości pozostawienia słabowitych dzieci.

Jedynymi lekarstwami są wywary roślinne, a to nie stwarza żadnej gałęzi specjalnej przemysłu.

To samo można powiedzieć o rozrywkach. Polegają one głównie na ćwiczeniach konnych, śpiewach i zwłaszcza długich pogawędkach. I czemuż nie pogawędzić, kiedy tryb życia pasterski stwarza tyle wczasów, odosobnienie zaś, w jakim każda rodzina przebywa, nadaje taki urok wszelkiej nowej wiadomości? „W namiocie najbliższe zdarzenia dają powód do rozmów w ciągu dni kilku. Największą uciechą dla koczownika jest opowieść o rzeczach cudownych. Wtedy powtarza on: *sid! roh!* t. j. „jeszcze coś dodaj, jeszcze.“ Opowiadacze to prawdziwi artyści okresu pasterskiego, najgłówniejsze źródło rozrywki. Są to królowie życia pod namiotami“ ¹⁾.

¹⁾ *Ouvriers des Deux Mondes*, l. c., 439. Huc: l. c., I, 66.

Potrzeby fizyczne zrodziły przemysł bardzo prosty, umysłowe zaś i moralne nie dały nawet pobudki do powstania wśród koczowników jakiegokolwiek wytwórczości stałej.

Przedmioty, posiadane przez nich, a służące do zaspokojenia ostatnio wyszczególnionych potrzeb, są wyrobami zagranicznymi, a więc przywiezionymi z ognisk życia osiadłego na stepie, t. j. z miejsc pobytu lam, albo z krajów ościennych: Chin, Rosji i t. d. Są to księgi, posążki, święte naczynia, symbole religijne. Nie będziemy się tutaj zastanawiali nad niemi.

Prawie to samo możemy powiedzieć o przedmiotach, czyniących potrzebie obrony. Dawniej każdy mógł z pomocą prostego wysiłku wyrobić dzidy, łuki i strzały. Wykuwano małe kawałki żelaza, potrzebne do tych oręży, posługując się workiem skórzanym jako miechem¹⁾. Dzisiaj fuzja stała się nieodłączną bronią koczownika, przynajmniej jedna sztuka znajduje się w każdym namiocie, a pochodzi naturalnie z obczyzny. Ludy europejskie wysyłają do koczowników wybrakowane karabiny, amatorowie mogliby na stepie znaleźć najzupełniejszą kolekcją broni palnej, zarówno posługującej się skałką kamienną, jak lontem. Pasterze nie mogą jąć się wyrobu tych przedmiotów, gdyż życie tułacze uniemożliwia wszelką skomplikowaną gałąź produkcji.

I prochu nie wyrabiają na stepie, koczownicy nabywają go w miastach lamajskich lub u ościennych ludów osiadłych. Te zaś wytwarzają go ze saletry, którą znajdują w ziemi, siarki i węgla drzewnego.

²⁾ Pallas: l. c., 520.

Ale przemysł winien dostarczyć nietylko przedmiotów, które w sposób bezpośredni zaspakajają potrzeby w charakterze rzeczy natychmiastowego spożycia lub dłuższego użytku; nadto winien zaopatrzyć człowieka w narzędzia, służące do fabrykacji tamtych przedmiotów i do wykonywania istniejących robót.

Roboty pasterzy rozpadają się na trzy działy: na roboty pasterskie, zajęcia rzemieślnicze, którym się przyjrzeliliśmy, i przewóz.

Narzędzia, wymagane do tych ważnych robót, są w znacznej części wyrobu miejscowego i odznaczają się tym samym charakterem, jak inne rzeczy, przez nas rozpatrzone. Są one dogodne do przenoszenia, tanie i nie wymagają złożonej produkcji.

Są one bardzo nieliczne.

Zajęcie pasterskie zrodziło naczynia do mleka i kumysu, oraz do czerpania wody; pęcherze do przechowywania masła, sznury do wyciągania kubłów z wody i pętania zwierząt. Trzoda dostarcza skóry i sierści, potrzebnych na wyrób wyszczególnionych sprzętów. U ludów osiadłych, pasterz nabywa kilka naczyń drewnianych dla napojów i garnki żelazne na trójnogu lub bez niego.

Narzędzia, przeznaczone do ułatwienia produkcji, są tak samo nieliczne, jak istniejące gałęzie wytwórcze. Są to nici wyprzędzone z wełny, wrzeciono, składające się z dwu kawałków drzewa, dokoła których nitka się okręca, warsztat tkacki, jak wiemy, bardzo prosty. Garbowanie skór odbywa się bez specjalnych narzędzi, poprzestaje na rękach i nogach człowieka. Do szycia, kobiety pospolicie używają ścięgna koni, wołów lub łosia ¹⁾.

¹⁾ Pallas: l. c., 515.

Do tego zasobu narzędzi trzeba dodać przedmioty zkadinał dowiezione, jako to: igły, noże, młoty i t. d.

Sprzęty, służące do przewozu, ograniczają się głównie na workach i pokryciach wełnianych lub pilśniowych, kobiercach do siodeł, sznurach do przywiązywania ciężarów i juk. Niektórzy koczownicy, Cymbrowie i Germanowie dawniej, Turańczycy dzisiaj używają wozów, ale ich nie wyrabiają, kupując gotowe na krańcach stepu.

A zatem wyrób narzędzi nie wymaga od koczowników zbyt znacznej ilości wysiłku.

IV.

Motory odgrywają znaczną rolę w każdej produkcji. Starczy nam rzucić okiem do koła siebie, ażeby się o tem przekonać. O ile rozwój przemysłu jest różny stosownie do tego, czy człowiek posługuje się siłą mechaniczną, własną ręką lub wysiłkiem zwierzęcia, wiatrem, wodą, drzewem lub węglem kamiennym! Produkcja podwaja się, wzrasta dziesięćkrotnie lub nawet sto razy, wartość produktu rośnie, a niekiedy spada, ustrój warsztatu przekształca się, a sam on rozrasta się wraz z wzrostem napięcia siły. Nawet zewnętrzny wygląd warsztatu odpowiada zastosowaniu siły mechanicznej w charakterze motoru.

Zwróćmy się teraz do pasterzy koczowników.

Rozporządzają oni w stopniu większym lub mniejszym temi wszystkimi siłami: w jednych dzielnicach węglem kamiennym, na krańcach stepu drzewem, w okolicach spadzistych wodą, a wszędzie wiatrem, i to na skutek znanego poziomu nad morzem i równego ukształtowania po-

wierzchni, wiatrem gwałtownym; przede wszystkim zaś posiadają oni zwierzęta w ilości niezmierzonej, w obfitych trzodach, zwierzęta będące zawsze do rozporządzenia, gdyż nie są obciążone żadną robotą.

Koczownicy nie użytkują dla celów przemysłowych ani z jednej siły potężniejszej, poprzestają na najśłabszej, na ręce.

Wszelka fabrykacja jest uskutecznianą tam z pomocą rąk.

Naturalnie, istnieją powody, skłaniające koczowników do lekceważenia najpotężniejszych sił mechanicznych, mogących zaoszczędzić im najnieprzyjemniejszego wysiłku i dostarczyć większej ilości produktu. A powody te muszą być bardzo wpływowe, bo koczownik bardziej niż ktokolwiek inny czuje wstręt do mozolnej pracy ręcznej. Zdecydował się on do wyrabiania wszystkiego ręcznie tylko pod działaniem wszechwładnej konieczności.

Konieczność ta została narzuconą przez źródła utrzymania, przez samo pasterstwo. Pasterstwo, pociągając za sobą koczowniczy tryb życia, zmuszając człowieka do nieustającej zmiany miejsc pobytu, przeszkadza powstaniu złożonego mechanizmu pracy, dostraja się tylko do siły mechanicznej najprostszej, nie wymagającej specjalnych wiadomości, mozolnych przygotowań.

Otóż, z pośród ogółu sił mechanicznych, ręka najbardziej czyni zadość tym wszystkim warunkom:

1-o. Jest siłą, bezpośrednio posiadaną przez człowieka.

2-o. Budowa ręki odznacza się tem, iż daje się użyć do celów najróżnorodniejszych.

3-o. Jest siłą mechaniczną najruchliwszą.

4-o. Przedstawia dla koczowników źródło siły, wystarczające na ich potrzeby.

Życie pasterskie wyznacza z siebie samo naturę surowców, używanych na narzędzia i kształty produktu, a więc i sam produkt pracy przetwórczej.

Byt społeczny, rozwijający się na podłożu tych źródeł utrzymania, rozstrzyga o sile, użytej jako motor.

*

*

*

Pozostaje nam rozpatrzyć organizację warsztatu, odpowiadającą tym dwom pierwszym założeniom.

Organizacja warsztatu, jak i dwa poprzednie pierwiastki, podlega bezpośredniemu działaniu umiejętności pasterskiej.

Przybrała ona kształty gospodarstwa domowego. Produkcja ma na celu wyłącznie potrzeby spożycia pracującej rodziny.

Sztuka pasterska zaopatruje rodzinę we wszelkie surowce, których ona wymaga dla produkcji. Dostarcza mleka, mięsa, skór, wełny, włosia i innych produktów drugorzędnych. Surowce te wystarczają pasterzom, którzy z nich wytwarzają wszystkie wyrabiane przedmioty.

Rodzina, znajdującą się w takich warunkach, może własnymi siłami i w imię własnych potrzeb uskutecznić wszelką działalność przetwórczą, dążącą do ułatwienia spożycia tych surowców. Posiada ona skóry; winna je sama garbować, zamienić na namioty, odzież, pokrycia i t. d. Ma wełnę i włosie, więc wyrabia z nich tkaniny, pilśń, sznury, stosownie do potrzeb. A musi tembardziej tak postępować, bo odosobnienie czyni trudnem wymianę surowców na wykończone przedmioty, zresztą dość drogie.

Każda rodzina staje się więc warsztatem, w którym kolejno lub jednocześnie są uskuteczniwane wszelkie prace przetwórcze. Ustrój polega na połączeniu robót. Niema tam, jak w społeczeństwach zachodnich, podziału pracy, zasklepiającego każdego robotnika w jednej specjalności. Każdy tam jest mistrzem do wszystkiego i od wszystkiego; posiadając wszystkie zawody, w rzeczywistości żadnego nie posiada. W ciągu tego samego dnia przechodzi od jednego rzemiosła do innego z jednakową łatwością i umiejętnością, może wątpliwą, ale nie wywołującą niezadowolenia.

To połączenie robót odznacza się mocą. Ślady jego odnajdujemy u ludów, którzy wyszedłszy z fazy pasterskiej osiadły na roli i posiadają miasta. Na wschodzie rzemieślnik rzadko zajmuje się tylko jednym zawodem. Nawet skończony specjalista uprawia jednocześnie mnóstwo zajęć pokrewnych, gdzieindziej wyodrębnionych. Stolarz jest zarazem cieślą, kołodziejem, a przy okazji tkaczem, tapicerem, wyrabia stemple i znaki ¹⁾. Kowal uralski, opisany w *Ouvriers européens* ²⁾, wytwarza żarna, krosna tkackie, jest stolarzem, mularzem, a nadto rolnikiem. Przykłady te moglibyśmy mnożyć do nieskończoności.

To połączenie zajęć udziela robotnikom wschodnim osobliwego charakteru i wyróżnia ich zupełnie od pracowników Zachodu. Są w zawodzie swoim mniej wysubtelnieni, bo uprawiają kilka fachów odrazu, ale w zamian odznaczają się rozleglejszemi i bardziej urozmaiconemi zdolnościami.

¹⁾ Porównaj kowala z Tangeru w *Ouvriers européens*, tom II, roz. IX.

²⁾ Tom I, roz. III.

Im bardziej zapuszczamy się na Wschód, tem połączenie prac ujawnia się z większą mocą; gdy posuwamy się na Zachód, podział pracy jest tem częstszy.

To nagromadzenie wielu zawodów w jednym ręku przeszkadza ukazaniu się dwóch ciężkich niedomagań, nurtujących i niepokojących Zachód — znosi ono kwestję płacy roboczej, oraz kwestję odpoczynku.

Kwestja płacy nie istnieje w ustroju „bezwzględnego połączenia zawodów“, gdyż wytwórca i spożywca są tą samą osobą, a raczej tą samą rodziną. Nie trzeba tam wynagrodzenia, za które możnaby zaspokoić potrzeby, istota ludzka zadawała je bezwłocznie i bezpośrednio przez własną pracę. Organizacja warsztatu, występująca w formie zjednoczenia robót w tem samym ręku, stwarza najprostszy ustrój warsztatu przetwórczego. Z takim połączeniem zajęć idzie w parze prostota, złożoność zaś towarzyszy podziałowi.

Nadto ustrój, jednoczący zawody i roboty w tej samej rodzinie, usuwa kwestję odpoczynku.

Kwestja odpoczynków jest wytworem systemu zajemnego, zjawia się wraz z podziałem pracy. Rodzina, w swem gospodarstwie jednocząca wszelkie potrzebne umiejętności, nie potrzebuje zaprzętać się kwestją odpoczynku, bo pracuje na siebie.

Inną trudnością, nieodłączną od produkcji, jest kwestja zaopatrzenia się w surowce i w warsztat z narzędziami — kwestja posiadania kapitału zakładowego.

Trudność ta jest nieznaną w ustroju, który opisujemy, nieznaną zaś dlatego, że rodziny zajmują się same pasterstwem, t. j. zakresem pracy, dostarczającym surowców. Z tego źródła są one zaopatrywane w skóry, wełnę i t. d., słowem we wszystko, czegokolwiek potrzebują dla różnych

rzemiosł. Są wolne więc od konieczności posiadania, przed rozpoczęciem produkcji, kapitału na kupno surowców.

A także niepotrzebują posiadać kapitałów na założenie warsztatu. Produkcja posługuje się pracą ręczną. Nie wymaga żadnych urządzeń na powierzchni ziemi, jak zakłady, korzystające z siły wiatru, wody lub pary. Cały warsztat ogranicza się na kawałku miejsca, jakie zajmuje osoba, oraz na nieznacznej przestrzeni, wymaganej przez nieliczne narzędzia, oraz małych rozmiarów wyroby.

Połączenie wytwarzania z pasterstwem, usuwając kwestję wynagrodzenia za pracę, uniemożliwia także, na skutek samorzutnego dostarczania każdej rodzinie pracującej surowców, kwestję kapitału zakładowego.

Oto dwa wielkie uproszczenia, wynikające dla produkcji z jej połączenia z pasterstwem.

*

*

*

Produkcja zawdzięcza jeszcze inne uproszczenie zbiorowemu, spółniczemu trybowi pracy, temu, że wszyscy członkowie rodziny uskuteczniają ją niepodzielnie.

Na skutek tego, że jest prowadzona wewnątrz spólnoty rodzinnej, produkcja wyzwala się przede wszystkim od wszystkich zawikłań, związanych z postępowaniem metod.

Praca, właściwa takiej spólnocie, odznacza się małym napięciem i doskonali się bardzo powoli.

Ten brak napięcia i pierwiastków postępu w pracy jest nieodłączną cechą ustroju spółniczego.

Istota takiego ustroju polega na tem, że nikt nie pracuje tam wyłącznie na siebie, ani nie zbiera sam jeden owoców swej pracy osobistej. Każdy pracuje na całą spólnotę,

korzyści, płynące z czyjejś pracy, idą do podziału pomiędzy wszystkich. Zarówno gdy chodzi o mleko, jak o zboże lub obuwie, system i jego skutki są te same: jednostki nic nie zachęca do łożenia pracy napiętej, a udoskonalonej.

Spółnictwo wywiera na sferę produkcji ten wpływ, że zwięża ją, pozwala pozostawać na niskim stopniu postępu i pozbawia dążeń doskonalenia się.

Nadto ten charakter mało postępowy produkcji doznaje jeszcze wzmocnienia na skutek dwóch przyczyn następujących:

Po pierwsze, człowieka nie podnieca powab samej pracy.

Praca przetwórcza nie nęci (jak pasterstwo) urokiem plonów bezpośrednich, t. j. urokiem pracy, która pozwala nam zebrać to, czego nie sialiśmy. Robota jest tem ponętniejszą, im daje plony bardziej żywiołowe, nie wymagające uprzedniego wysiłku.

Przędzenie, tkactwo, szycie, wyprawianie skór nie dają człowiekowi tej przyjemności, jakiej dostarcza zbiór dzikich plonów. Roboty, związane z takim zbiorem, a więc polów ryb, polowanie, zbieranie owoców, wszędzie uchodzą za rozrywkę. Nawet sianozęcie, acz ciężkie, wabi tym urokiem, człowiek zbiera tam natychmiast owoce pracy swojej. Ta okoliczność zachęca do wysiłku i nadaje mu powab, podtrzymuje myśliwca w jego długich i uciążliwych pochodach, energję rybaka w obliczu niebezpieczeństw na morzu, cierpliwość amatora, który łowi ryby na wędkę w pozie monotonnej na bulwarze wybrzeżnym.

Praca przetwórcza nie rozporządza żadnym z tych uroków, produkt nie posiada w sobie pierwiastku żywiołowości, trzeba go wytwarzać pracowicie.

Oto dlaczego produkcja dąży w ustroju spółniczym jeszcze bardziej, niż sama sztuka pasterska, do małej rozciągłości, do zastoju.

Inna jeszcze okoliczność przyczynia się do wzmocnienia mało postępowego charakteru produkcji, a mianowicie ta, że spólnoty pasterskie nie posiadają żadnej pobudki do gromadzenia produktów i ich ulepszania.

Nie posiadają zaś żadnej pobudki, gdyż przewidywanie nie dostarcza najmniejszych korzyści, oszczędność zaś jest wręcz niedogodną.

Co do przewidywania, — dostarcza ono mało korzyści.

Spólnota pasterska ma zawsze pod ręką wszystkie pierwiastki do potrzebnej pracy wytwórczej, prowadzi za sobą swe surowce, gdyż trzody dostarczają ich wyłącznie; ma na usługi robotników, gdyż pracują sami członkowie rodziny; posiada narzędzia, bo należą one do rodziny, są proste i dają się przewozić.

Można zawsze, w miarę potrzeb, wyprodukować niezbędne przedmioty. Przewidywanie nietylko nie daje korzyści, lecz nawet jest bezużytecznem.

Ale, co więcej, oszczędność jest niedogodną, t. j. bardziej, niż bezużyteczną.

Wśród życia tułackiego każdy przedmiot, który trzeba przenosić, sprawia kłopoty i wymaga dodatkowej pracy pakowania i rozpakowywania, dodatkowych bydłał dla przewozu, wreszcie dodatkowych namiotów do przechowywania. A tymczasem koczownicy dążą do uproszczenia warunków i uszczuplenia transportów do możliwie najmniejszych rozmiarów.

Wyroby tembardziej podlegają zniszczeniu, im bardziej przewóz odbywa się w warunkach, nie pozwalających na rozwinięcie staranności, a tymczasem koczownicy uskuteczniają transport w takich właśnie warunkach. Przeprowadzki dokonywają pośpiesznie, gdy paśniki zostaną wyjałowione; paki, niestarannie zrobione, związane niedbale na grzbietach zwierząt, są wystawione na wszelkie kaprysy pór roku.

Oszczędność więc naraża na straty, gdy chodzi o wytwory pracy, jest niedogodną, a nawet jest dowodem nierozsądku.

„Źródła“ utrzymania i same „potrzeby“ ukształtowały się według wymagań pasterskiego trybu życia, który ustalił się od wieków. Trwa on bez zmian, ofiarując człowiekowi zawsze te same źródła i rodząc zawsze te same potrzeby. W następstwie tego, wytwory produkcji posiadają charakter ustalony i również oddawna określony. Od wieków na stepie są wytwarzane te same przedmioty, z tych samych surowców i temi samymi sposobami.

A przedmioty te zupełnie czynią zadość potrzebom. Step nie doczeka się nigdy wynalazku odzieży cieplejszej nad baranki (futra baranie), gdyż nie będzie łatwiejszą do wyrobu, ani trwalszą. Również nie dostarczy on, na namioty, materiału prostszego i mocniejszego od tkanin wełnianych i pilśniowych. Taki stan rzeczy odznacza się i nawet musi odznaczać się statecznością.

Sfera produkcji, na skutek istnienia ustroju spółniczego, jest wolną od zawikłań, wpływających z postępu metod! Ludom wschodnim obcemi są przesilenia, te wielkie klęski życia przemysłowego. Ustrój spółniczy, na skutek swej nieudolności do podjęcia wysiłku napiętego i postępu

technicznego, wyzwala produkcję od niepewności, wynikającej z wynalazków, od złożoności, stwarzanej przez postęp metod.

Gospodarstwu koczowników nieznanymi są umowy i zobowiązania, również na skutek charakteru spółniczego.

Pracujący w sferze przetwórczej wewnątrz wspólnoty nie potrzebują zawierać kontraktów, gdyż są związani spoiłem rodzinnem, pochodzeniem, pokrewieństwem, tą samą powagą ojca. Współdziałają w pracy nie w charakterze robotników lub współpracowników, jeno członków tej samej rodziny. Zobowiązanie to jest z natury swojej nieswobodne, oraz trwałe, bo i samo pokrewieństwo jest rzeczą narzuconą człowiekowi, oraz nie ogranicza się tylko do pewnego przedziału czasu.

Ludzie są tam nawzajem związani zarówno w zakresie działalności przetwórczej, jak i umiejętności pasterskiej, Ta sama grupa osób spełnia obie czynności. Zobowiązania są natury trwałej, tembardziej, że wymagania życia koczowniczego członkom rodziny patriarchalnej narzucają poczucie potrzeby trzymania się pospołu na podstawie związków krwi. Wszyscy trzymają się związku rodzinnego, bo za jego obrębem niema tam innej więzi. Pasterza nie może spotkać większe nieszczęście nad wypędzenie przez rodzinę.

*

*

*

Ale czemu działalność przetwórcza na stepach Azji środkowej przybrała charakter domowy? Innymi słowy, dlaczego rodziny wytwarzają dla siebie, nie zaś dla innych?

Stało się to za sprawą dwu przyczyn:

1-o. Sztuka pasterska czyni zadość istniejącym potrzebom. Obfita trawa pokrywa niezmiernie obszary. Otocze-

nie niczem nie przypomina jałowej nagości Arabji i Sahary. Pustynie, w rodzaju Gobi, należą do wyjątków i nie są zamieszkałe.

W takich warunkach rodziny nie potrzebują szukać dodatkowych źródeł utrzymania. Żadna konieczność nie zniewala ich do produkcji na sprzedaż. A nadto nie czują ku niej najmniejszej skłonności. Zajęcie pasterskie, praca lekka i pociągająca, nie przyczynia się do rozwoju działalności przetwórczej po nad określoną miarę, działalności, która nie nęci swoim urokiem, a wymaga napięcia rąk.

2-o. W pobliżu nie ma nabywców.

Dla produkcji na sprzedaż posiadanie rynku jest warunkiem zasadniczym. Rynku takiego niema na stepie.

Komu więc wytwórca sprzeda wytwory swoje?

Czy rodzinom koczowniczym, które napotka na stepie?

Ale wszystkie one żyją w tych samych warunkach i wytwarzają wszystko, cokolwiek potrzebują.

Czy grupom osiadłym wzdłuż krawędzi stepu, a więc Chińczykom i Rosjanom? Ale ludy te mało cenią wytwory koczowników, jako niezgrabne i niezastosowane do wymagań życia osiadłego. Nie potrzebują one namiotów, nie używają odzieży ze skóry, a jeśli wkładają ją podczas zimy, przygotowują z większą starannością, niż koczownicy; tylko wyjątkowo posługują się siodłami, naczyniami skórczanymi i t. d., w każdym przypadku wymagają subtelniejszej roboty. To samo można rzec o tkaninach. Chińczycy, przyzwyczajeni do doskonałych tkanin jedwabnych, z pogardą patrzą na ciężkie i proste tkaniny wełniane i pilśniowe, produkowane w namiotach.

Sprawa klienteli jest nieznana. Rodzina produkuje dla siebie, na własne potrzeby. Działalność przetwórcza nie

stwarza tam nagromadzenia kapitałów. Również niema tam współzawodnictwa. Człowiek pracuje nietylko dla siebie, ale i na innych członków wspólnoty. Zajmując się tkactwem, wyrabia tkaniny na potrzeby całej rodziny; skręcając postronki, ma na widoku jej potrzeby. Wszystko tam jest wspólne. A ponieważ praca odbywa się nie w imię osobistego zaspokojenia, braknie jej przeto pobudki, jakiej wszędzie i zawsze udziela interes osobisty.

Działalność przetwórcza domowa w spółnictwie pasterskim przedstawia nam najprostszą organizację produkcji. Ustrój jest tak niezłożony, iż jest zupełnie wolny od wszelkich zawikłań, od wszystkich „kwestji“, które industrializm w świat wyprowadził, a które ród ludzki winien rozstrzygnąć, imając się działalności przetwórczej.

V.

Oglądaliśmy, jak step stwarza spółnictwo pracy, zarówno w działalności przetwórczej, jak i w zajęciu pasterskim.

Naturalnym tokiem zależności nadaje on ten sam charakter rodzinie i własności.

Nikt nie dąży do przywłaszczenia sobie kawałka ziemi, ani do usadowienia się na stałe w określonym punkcie stepu; gdy trzoda spożyła trawę w okóło obozu, pasterz przenosi namiot swój na inne miejsce. Musi on posiadać na stepie swobodę ruchów, nie zaś wyłączną własność względem ograniczonej części tego obszaru.

Trawa odrasta z każdym rokiem sama, bez uprzedniej pracy, jakiej rolnictwo wymaga. Pasterz więc jest swobo-

dny od pobudki, która znagła rolnika do przywłaszczenia sobie kawałka ziemi.

Zbliżamy się tutaj do odpowiedzi na jedno z najdonioślejszych zagadnień, wstrząsających społeczeństwa Zachodu, a mianowicie na zagadnienie o początkach i przyrodzie własności.

Z góry odgadujemy wnioski, wypływające z faktów rozpatrzonych: poczucie własności nie jest wrodzone człowiekowi; póki istota ludzka utrzymuje się ze zbioru samorzutnych plonów przyrody, póty ziemia podlega zasadzie spółniczej; własność rozwija się dopiero wtedy, gdy ziemia obdarza nas produktami wzamian za włożony wysiłek. Z takiej pracy zradza się własność.

I rodzina przybiera charakter spółniczy. Jest ona rodziną patrjarchalną.

Na olbrzymiej przestrzeni stepu, obfitość środków utrzymania, łatwość zbudowania nowych namiotów w pobliżu dawnych, umożliwiają połączenie nawet znacznej liczby stadeł małżeńskich w jedną rodziną.

Z drugiej strony, na skutek odosobnienia i koczowniczego trybu życia, każda rodzina musi własną działalnością wytwórczą zaspakajać wszystkie swoje potrzeby. Jest zainteresowaną w tem, ażeby zatrzymać w swej więzi największą liczbę członków i użytkować z możliwie różnorodnych pomocników i uzdolnień. Chęć urozmaicenia długich wczasów życia pasterskiego przyczynia się także do wzmocnienia tej dążności.

Rodzina patrjarchalna odznacza się następującymi rysami:

Ojciec rodziny, patrjarcha, ma przy sobie wszystkich synów, żonatych i kawalerów, Wydaje za mąż, do rodzin

okolicznych, córki, inne trzyma przy ognisku domowem. Z wyjątkiem nielicznych sprzętów osobistych, trzody i przynależności życia pasterskiego pozostają we władaniu niepodzielnem wszystkich osób pospołu żyjących. Patriarcha posiada nad spólnotą powagę jak najrozleglejszą, łącząc w swem ręku władzę ojca, pana, kapłana. Gdy rozległość i urodzajność pańników nie dostrajają się do rozmiarów spólnoty, tworzy się nowa płonka tego samego kalibru pod przewodnictwem któregoś ze starców. Patriarcha wybiera, pomiędzy braćmi zazwyczaj, następcę, który mu pomaga w jego latach podeszłych i zastąpi go po śmierci.

Wskazany typ rodziny odnajdujemy we wszystkich okolicach stepowych Azji i Europy, oraz, przekształcony mniej lub więcej, w krajach, zaludnionych przez wychodźców ze stepu, a więc w Chinach, Rosji południowej, Turcji, Serbji i t. d. Strefa rodziny patriarchalnej, zresztą w stopniu niejednakowym, ogarnia Azję, Afrykę i część Europy, wschodnią i południową.

Rodzina patriarchalna, rozdzielając w równej mierze wytwory pracy pomiędzy wszystkich swoich członków, zapewnia te same korzyści nieudolnym, jako i tym, którzy odznaczają się większymi uzdolnieniami i pracowitością. Tego rodzaju organizacja zrodzić się mogła tylko na gruncie, który, jak stepy, zadawała się pracą lekką i pociągającą. Gdy praca staje się cięższą, jednostki wybitne, mające więcej widoków powodzenia, pod działaniem własnego interesu dążą do wyzwolenia się od więzów spólnoty patriarchalnego, założenia własnego gospodarstwa. Oto jedna z przyczyn, przeszkadzających powstaniu rozpatrywanej organizacji na zachodzie Europy, przyczyn, która w tych krajach wywołała rozpadnięcie się większości spólnot, czyli

związków wytwórczych. Najlepsi pracownicy, zniechęceni pracą na nicponiów, wycofali się.

Tylko określone otoczenie stwarza rodzinę patriarchalną, tak samo, jak koniecznymi są określone warunki dla powstania danego gatunku roślinnego lub zwierzęcego. Niepodobna utrwalić jej w pewnych krajach, tak samo, jak nadaremna byłaby próba zniszczenia wielkich stepów azjatyckich.

Szacunek niemal religijny dla powagi ojcowskiej i wogóle starców, oto jeden z rysów, na który zwracają uwagę podróżnicy na Wschodzie. Źródło tego objawu tkwi przede wszystkim w ustroju samej rodziny, władza patriarchalna spoczywa w ręku starców, przechodzi nie z ojca na syna, tylko z brata na brata. Tradycji tej hołdują Turcy, gdy chodzi o godność sułtańską. Stateczność warunków bytu na stepie wzmacnia ów szacunek. Władza tradycji, a więc i starców, jej przyrodzonych przedstawicieli, trzyma się nietknięta. Wreszcie łatwość pracy, niewymagająca osobliwego napięcia siły, nie daje młodzieży żadnej wyższości nad starcami.

Stepy sprawiają jeszcze inny skutek: władze na zewnątrz rodziny nie mogą się rozwinąć.

Doskonałe społeczeństwa pasterskie przedstawiają prostą, spólrzędną gromadę rodzin, żyjących w zgodzie, bez władz publicznych.

Patrjarcha spełnia czynności ojca, wychowawcy, urzędnika, kapłana, zwierzchnika. Na wzór Abrahama i Jakóba rządzi olbrzymią swą rodziną, jako pan bezwzględny. Złożona hierarchja naszego rządu zachodniego z trudnością ustala się w społeczeństwach, które wykielkowały z pośród ludów pasterskich.

Na wielkim stepie nie znajdziemy żadnego urzędzenia, któreby przypominało naszą organizację administracyjną, opartą na gminach. Życie koczujące i brak granic terytorjalnych udaremniają, a przynajmniej utrudniają powstanie podziałek, na które rozpada się naród osiadły.

Jedyną więzią po nad rodziną jest plemię, ale plemię przedstawia raczej zjednoczenie wielu rodzin wspólnego pochodzenia, niż stały obszar terytorjalny. Plemię odznacza się tą samą ruchliwością, co rodzina. Społeczność ta, w żadnym ogniwie hierarchji swojej, nie wzięła ziemi na swoją stałą i zupełną własność.

Rząd centralny nie ma również trwalszych form bytu. Polega na nominalnej, a dość niejasnej opiece, jakiej udziela koczownikom bądź Rosja, bądź Chiny, ujawnia się w haraczu, który niepodobieństwem jest zebrać na skutek trudności osiągnięcia opodatkowanych.

W gruncie rzeczy władza publiczna jak gdyby nie istniała, gdyż nie jest w stanie ani rządzić, ani osiągnąć ludności koczującej. Żyje ona w spokoju wśród pańników. Z pomocą rodziny i życia prywatnego rozwiązuje kwestję, którą my rozstrzygamy z taką trudnością i często tak powierzchniowo za pośrednictwem zastępu urzędników i wojsk.

Pokój panuje wśród pasterzy. Ludzie ci, tak straszni ilekroć wychylali się po za swój kraj ojczysty, na stepie są łagodni, uspołecznieni, gościnni, skoro nie potrzebują się obawiać współzawodnictwa cudzoziemskiego.

Poeci i geografowie greccy opiewali charakter koczowników. „Zeus, opiewa Homer, zwrócił swe oczy iskrzące na kraj jeźdźców tkackich, na strasznych w potyczce Myzj-

czyków i na dumnych Hippemolgów, karmiących się mlekiem, ubogich, ale najsprawiedliwszych wśród ludzi ¹⁾).

„Istnieją w Scytji koczownicy, karmiący się mlekiem kobył, z pośród pozostałych ludów wyróżniają się oni miłością prawdy“ ²⁾).

„Rzeczywistą ojczyzną Saków jest daleka pustynia, w której błakają się koczownicy, cnotliwi a sprawiedliwi ³⁾).

Autorowie i podróżnicy nowocześni również zaznaczają pokojowość i gościnność pasterzy. „Mieszkańcy obozu — pisze Elizeusz Réclus — zoczywszy druha lub cudzoziemca, pospiesznie wysyłają do niego kobietę z pomiotem dla rozpalenia ogniska, tak bowiem każą prawa gościnności“ ⁴⁾).

Kałmucy altajscy, pisze ten sam autor, „są najuczciwszymi z pośród Azjatów. Przedstawiają jakby gromadę braterską. Zasługują zwłaszcza na szacunek prostotą swoją i prawością, szlachetnością obejścia. Ci ludzie spokojni niedawno jeszcze byli poddanymi Rosji i Chin“ ⁵⁾).

Huc, który zwiedził część płaskowzgórza środkowego, tak się wyraża: „Niejednokrotnie robiłem wycieczki do kraju traw (*Tsao-ti*) i siadywałem pod namiotem mongolskim. Zaznajomiwszy się z tym ludem, pokochałem go“ ⁶⁾).

Pozwolimy sobie jeszcze na trzy wyciągi charakterystyczne, o barwie opowieści biblijnej. Wyjmujemy je z dzieła Huc'a, który przebył wśród koczowników dwa lata.

¹⁾ *Iljada*, XIII, 3, 6.

²⁾ *Ephoros* u Strabona, VIII, III, 7.

³⁾ *Choeribus* u Strabona, VIII, III, 7.

⁴⁾ *Géographie universelle*, VII, 187.

⁵⁾ *Ibidem*, VI, 642.

⁶⁾ *Souvenirs d'un voyage en Tartarie et au Thibet*, I, 2.

„W ciągu dnia szliśmy przez rozkoszne łąki Bandery Czerwonej, aż rozłożyliśmy się obozem w jarze. Zaledwie zleźliśmy z koni, otoczyli nas licznie Tatarzy, ofiarując usługi. Pomógłszy nam rozsiodłać wielbłądy i zbudować dom z błękitnej materji, zaprosili nas na herbatę do swoich namiotów“¹⁾.

W drugim przypadku Huc obozował na ziemi, od deszczu zepsutej. Pomiot był mokry, niepodobna było rozniecić ogniska. Ujrzał zbliżających się dwóch Tatarów. Po oddaniu zwykłego ukłonu, jeden z nich rzekł: „Panie, prawdopodobnie nie możesz rozniecić ogniska. Ludzie są braćmi i winni sobie pomoc. Przybywamy dopomódz tobie“. „Ci dobrzy ludzie, dodaje Huc, nas obserwowali, gdyśmy szukali miejsca na obóz i odgadłszy nasze kłopoty, pospieszyli z upominkiem dwóch koszów pomiotu“²⁾.

Jeszcze ostatnia cytata:

„Na odległości wystrzału od miejsca, na którem rozłożyliśmy się obozem, widniało kilka namiotów mongolskich. Niebawem przybył do nas starzec z olbrzymią białą brodą: „Panowie lamowie, rzekł, wszyscy ludzie są braćmi, ale ci, którzy żyją w namiotach, są nawzajem bliscy, są jak ciało i kości. Zechciejcie usiąść w mojem biednem mieszkaniu. Jesteście podróżnikami i cudzoziemcami, nie możecie dziś wieczorem siedzieć przed ogniskiem wśród waszej godnej rodziny. Odpocznijcie dni parę u nas, a obecność wasza ześle nam pokój i szczęście“³⁾.

1) Ibidem, I, 60.

2) Ibidem, I, 52.

3) Ibidem, 84, 85.

Pisaliśmy, iż podróż Huc'a wśród koczowników trwała dwa lata. Uskutecznił ją bez oręża i w towarzystwie dwóch osób, a zawsze u synów stepu znajdował przyjęcie, o którym dają wyobrażenie przytoczone ustępy.

Oto społeczność, ochraniająca pokój pomiędzy swymi członkami bez uczestnictwa władzy publicznej!

Pochodzi to z powagi ojcowskiej, rozwiniętej na łonie rodziny patryarchalnej, i z odosobnienia, przez step stworzonego. W dalszym toku wywodów ujrzymy, iż działalność władzy publicznej wzrasta w miarę uszczuplania się władzy ojcowskiej. Kiedy powaga ojca zniknie, władza policji będzie nieograniczoną. Dotknęliśmy się istotnego źródła, rzeczywistego początku władz publicznych: jest to konieczność utrzymania pokoju. Póki rodzina wywiązuje się z tego zadania, władza publiczna nie ma widoków powstania.

Ale niepodobna dowolnie stworzyć tej więzi społecznej, tak samo, jak nie można zrobić stepu; step—jej źródło.

Skutki, wywołane przez ustrój spółniczy, można zawrzeć w dwóch punktach:

1-o. Niechęć dla ciężkiej pracy. Ludzie, którzy żyją w ustroju spółniczym, czerpią z majątku wspólnego nie w stosunku do swej pracy, tylko w miarę swej potrzeby, są skłonni pracować jak najmniej. Każdy liczy więcej na pracę innych, niż na swoją własną, i poprzestaje na jak najmniejszym wysiłku. Bezwładność, bezczynność, fatalizm — oto cechy ludów pasterskich lub ludów, które wyszły z pośród pasterzy, a wszystkie te rysy wynikają z ustroju spółniczego.

2-o. Zagłuszenie inicjatywy osobistej. Ludzie, rodzący się, żyjący i umierający w atmosferze spółnictwa, podczas całego swego życia wolni od odpowiedzialności osobistej i nieznający decyzji własnej, we wszystkim podlegli powa-

dze głowy spółki, nie mogący nic przedsiębrać bez przyzwolenia wspólnoty, ludzie, którzy zawsze uchodzą za niepełnoletnich, tacy ludzie nie mogą poszczycić się posiadaniem pobudki samodzielnej. Jakim sposobem powzięliby taką ideę? Czynniki ten niezmiernie ułatwił na Wschodzie rozwój istniejącej tam zasady władzy i nadał władzy patriarchalnej piętno najwyższej powagi.

Jednak, szczęśliwym zdarzeniem, brak pracowitości i inicjatywy wywołuje mało klęsk wśród społeczeństw pasterskich, w których zadania życia zostały tak uszczuplone, a istota ludzka ma tylko przed sobą jedno — żądzę życia.

Człowiek jest mało skłonny do pracy; trawa, która stanowi główne źródło jego utrzymania, nie wymaga żadnej pracy, corocznie wyrasta samorzutnie. Ziemi, na której paszą się jego trzody, nikt mu nie odbierze, należy ona bowiem do wszystkich. Każdy użytkuje z niej na przekór swej nieopatrzności i lenistwu. Szczęśliwy posiadacz nie obawia się ani hipoteki i lichwy, ani wywłaszczenia.

Człowiek jest mało zdolny do inicjatywy; ale umiejętność pasterska z natury swojej jest stateczną, niesprzyja postępowi, pasterzowi pozostaje to robić, co zawsze robili przodkowie. Może być rutynistą, nie narażając własnych interesów.

ROZDZIAŁ II.

Przedłużenie szlaku stepów.

NAJAZDY PASTERZY.

I.

Na stepie codziennie spotykamy tylko jedną gromadę—rodzinę, a z władz publicznych tylko powagę głowy rodziny, t. j. patriarchy. Jednak, w pewnych chwilach i dla określonych celów, powstają tam gromady nadzwyczajne. Na ich czele stają wodzowie, obdarzeni władzą chwilową.

Te gromady dostarczają klucza do zrozumienia bardzo rozległego nieraz, a gwałtownego parcia, jakie pasterze w pewnych chwilach wywarli na daleki świat, po za obrębem stepu leżący.

Są to karawany, ów zarodek wielkich najazdów, które kilkakrotnie rzuciły postrach na świat i w nim przewrót sprawiły.

Karawanę możemy określić jako liczną gromadę osób, podróżujących na zwierzętach, bez dróg i zajazdów, pod kierownictwem wodza.

Powstaje ona na stepie, ilekroć przypadek zmusza lu-

dzi w znacznej liczbie do opuszczenia widowni zwykłych pochodów rodziny i jej trzód.

Step dostarcza siły pociągowej, t. j. zwierząt, a dostarcza jej szczodrze, gdyż trawa pokrywa całą powierzchnię ziemi, każda zaś rodzina włada trzodami. Na żyznym stepie ta siła jest kalibru wyśmienitego, bo jest nią koń, i do tego koń stepowy, t. j. najbardziej rączy ze wszystkich, najwytrzymalszy i najzwinniejszy.

Step nietylko zaopatruje człowieka w ten środek zmiany miejsca, ale nadto siła ta pociągowa jest jedyną, dostosowaną do tych niezmiernych przestrzeni bez dróg i zajazdów.

Na stepie nie ma dróg, bo nie ma władzy publicznej, któraby zbudowała, a co ważniejsza, niema potrzeby, która by je stworzyła.

W tym kraju, nie posiadającym dróg, cały step jest drogą. Właściwość ta stepu wynika z ukształtowania powierzchni i usposobienia mieszkańców. Powierzchnia przedstawia prawie płaszczyznę, a przeszkody przyrodzone zdarzają się rzadko. Co do mieszkańców, nieobecność dróg nie powstrzyma ich od podróży, bo przywykli codziennie zmieniać miejsce pobytu śladem trzód swoich.

Najlepszą drogą dla nich jest właśnie ta, gdzie znajdują dla trzód najwięcej trawy. Pasterze, zarówno w karawanie jak i w życiu codziennem, podlegają tym samym potrzebom: muszą nakarmić zwierzęta, tak samo juczne, jak i te, które podczas podróży dostarczają środków pożywienia. Zamiast poszukiwania dróg, winni unikać każdego utorowanego szlaku. Karawany, wchodzące w obszary osiadłe, unikają dróg, bo miejsca, nawiedzane przez człowieka, nie są zdatne dla koczownika i trzód jego.

W naszym określeniu powiedzieliśmy nadto, że kara-

wana jest liczną gromadą pod kierownictwem wodza. Obie te cechy narzuca jej otoczenie.

Podróż w licznych towarzystwie jest koniecznością, na skutek bardzo znacznych odległości i niebezpieczeństw podróży. Należy przechodzić ziemie innych pasterzy, poczytujących siebie za wyłącznych panów kraju. Nie mogą oni miłym okiem spoglądać na nieznanych przybyszów, paszących trzody swoje na przestrzeni, której użytkowanie chcą tamci zachować tylko dla siebie. Jest to źródło wiekuistej niezgody pomiędzy czeladzią Abrahama a Lota. Na krawędzi stepów, w pasie niewyraźnym pomiędzy ludnością osiadłą, a koczownikami, kręcą się rozbójnicy, zawsze czyhający na łupy.

Potrzebnym jest wódz, ów przewodnik, tak sławny w historii Wschodu, a nadto sławny zasłużenie.

1-o. Wódz ten jest niezbędny dla wytknięcia drogi. Podróż wybiega po za względnie wąskie szranki pochodów, jakie każda rodzina uskutecznia rok rocznie dla znalezienia paszy dla trzód. Zna ona dobrze te szlaki, jako i rodziny sąsiednie, z którymi spotyka się niekiedy za sprawą przypadków życia koczowniczego. Karawana ma przed sobą dalszą drogę, musi przejść olbrzymie przestrzenie, na co trzeba niekiedy kilku miesięcy. Drogi tej nie zna lub zna ją niedokładnie, gdyż leży ona po za obrębem szlaków użytku codziennego.

Nikt nie torował tej drogi. A jednak należy trzymać się określonego kierunku, bo chociaż step porósł wszędzie trawą, przecież nie wszędzie istnieje woda. Woda zaś jest niezbędnie potrzebną, jak i trawa, nietylko dla zwierząt, ale i dla ludzi. Trzeba więc posiadać znajomość krynic, niekiedy znajdujących się na wielkiej odległości od siebie. Krynice te są stacjami, do których należy co wieczór dosięgnąć

pod groźbą śmierci z pragnienia, a przynajmniej okrutnych cierpień, gdy zawód zdarzył się raz jeden.

2-o. Wódz jest potrzebny do utrzymania ładu.

Utrzymanie ładu nie jest tak łatwe wśród znacznego zbiorowiska osób obcych sobie, które zgromadziły się ze wsząd. Gdy chodzi o tak trudną wyprawę, każdy korzysta z nadarzającej się okazji i przyłącza się do karawany.

Huc, ażeby dostać się do Lhassy, musiał zaciągnąć się do karawany, bo zrozumiał niemożliwość uskutecznienia podróży w niewielkiej swej gromadce. „Doniosłą sprawą było dla nas zasiągnięcie możliwego języka o sławnej drodze tybetańskiej. Opowiadano nam rzeczy straszne: trzeba było podróżować cztery miesiące przez krainę zgoła niezaludnioną, a więc jechać z możliwie obfitemi zapasami żywności. Podczas zimy panują siarczyste mrozy, często podróżnicy marzną lub śnieg zasypuje ich swoim całunem. Bandy opryszków w pewnych porach roku przebiegają step i grabią jadących. Oglądaliśmy i rozmawialiśmy z paru Mongołami, szczątkami olbrzymiej karawany, którą napadła zeszłego roku banda rozbójników“ ¹⁾).

Nie było jednak środka odbycia podróży inaczej.

Huc postanowił jechać z wielką karawaną, która prawie corocznie idzie od granic Chin do Lhassy. „Przyłączyliśmy się do tej olbrzymiej gromady, potężniejszej w drodze na skutek wsiąkania karawan mongolskich, które również skorzystały z przewybornej okazji odwiedzenia Lhassy... Liczba ludzi i zwierząt w karawanie wynosiła: 15,000 wołów

¹⁾ *Souvenirs d'un voyage dans la Tartarie et le Thibet*, II, 57.

długowłosych, 1,200 koni, tyleż wielbłądów i 2,000 osób, Tybetańczyków i Tatarów. Pochód i ruchy karawany odznaczały się dość znacznym porządkiem a dokładnością, zwłaszcza w początkach. Zwykle ruszaliśmy codziennie na 2—3 godziny przed wschodem, kładliśmy się obozem w południe i dawaliśmy zwierzętom możliwość wypoczynku i paszy przez resztę dnia. Wystrzał armatni dostarczał sygnału, że trzeba wstawać, natychmiast każdy podnosił się, ogień iskrzył się we wszystkich namiotach, jedni pakowali rzeczy na bydło, inni przygotowywali wrzątek w garnkach i zaparziali herbatę. Drugi wystrzał był znakiem odejścia. Paru doświadczonych jeźdźców, służących za przewodników, jechało przodem, za nimi ciągnęły się długie pasma wielbłądów, dalej szły woły. Jeźdźcy nie mieli ściśle wyznaczonego miejsca, błakali się we wszystkich kierunkach¹⁾.

Do utrzymania ładu wśród tak ludnej gromady, przypominającej rzeczywistą armię, koniecznym jest wódz, wywierający swoją osobistością znaczną powagę, przyzwyczajony do rozkazywania, umiejący zmusić innych do posłuszeństwa. Jeśli siły go opuszczą, dobrobyt całości jej narażony, chodzi bowiem o śmierć lub życie. Pierwszy lepszy z brzegu nie może podjąć się tego zadania, trzeba na to wybitnego człowieka, urodzonego rozkazodawcę.

3-o. Wódz jest niezbędny do zachowania przyjaciel-
skich stosunków z ludnością krajów, przez które karawana przechodzi.

Zaznaczyłem, że ludność kraju nie patrzy miłym okiem na wtargnięcie tylu zwierząt i tylu ludzi na paśniki,

¹⁾ Huc: l. c., II, 200.

które uważa za swoją własność zbiorową. Należy z nią prowadzić układy, ażeby nie niepokoiła pochodu. Nadto trzeba stawiać czoło koczującym rozbójnikom, dla których przejście karawany jest zawsze miłą okazją grabieży.

Huc doświadczył tego. Karawana, do której należał, miała do przejścia pas pustyni Gobi, zawarty pomiędzy stepami. Rozpadła się na mniejsze gromady, gdyż paśniki były jałowe i nie pozwalały wszystkim obozować z taką liczbą zwierząt na tem samym miejscu. Naprzód rozpołowiała się. „Nasza gromada w ciągu dalszym musiała się jeszcze rozpaść, a gdy spoidła, łączące całość, prysły, pojawiło się mnóstwo drobnych wodzów, którzy nie zawsze byli w zgodzie ze sobą co do miejsc obozowania i godzin odjazdu“¹⁾. Zaledwie własnem życiem nie przyplacili braku zdolnego kierownika. Napadli na nich rozbójnicy. Na szczęście, ci ostatni okazali się dość uprzejmymi, skończyło się na wymianie upominków i wspólnem wypiciu kilku filiżanek herbaty.

Wywody nasze uwydatniły znaczenie i niezbędną konieczność wodza podczas pochodów przez stepy. Ale doniosłość tego wodza sięga dalej prostej sprawy przewozu. Właśnie na tym przykładzie stwierdzamy skutki nadzwyczajne, wywierane przez organizację przewozu na ustrój władz publicznych, a następnie na zdolności najezdnicze rasy, na jej działalność po za obrębem stepów, na sposoby jej rozpowszechnienia się w formie strasznych zagonów, które naszych pradziadów wprawiały w takie zdumienie.

Temu typowi, t. j. wodzowi karawany, nadaje donio-

¹⁾ Huc: II, 226 — 235.

słość społeczną ta okoliczność, iż powstał wśród społeczeństwa, złożonego wyłącznie z rodzin odosobnionych, niezależnych, nieokiełznanych przez żadną powagę publiczną.

*

*

*

Ukazanie się, w takim otoczeniu, wodzów karawany jest zdarzeniem nadzwyczajnym, obfitującym w następstwa, pierwszym i jedynym objawem władzy publicznej po zaobrębem rodziny, odruchem organizmu życia publicznego wśród społeczności, która z natury swej winna poprzestawać na istniejącym ugrupowaniu życia prywatnego. Powstaje w ten sposób warstwa arystokratyczna w otoczeniu, które dotychczas oglądało jedynie niezależne a równe rodziny.

Społeczeństwa stepu nie wydają z pośród siebie innych wodzów publicznych, tylko wodzów karawan.

Tem tłumaczyć należy wyjątkową doniosłość tej postaci, którą ujawniają dzieje Mahometa, pierwotnie przewodnika karawan.

Biorąc na siebie kierownictwo karawany, organizując jej pochód, utrzymując ład w jej wnętrzu, zapewniając jej bezpieczeństwo, wódz taki stwarza pomiędzy rodzinami, zazwyczaj odosobnionymi, jedyne spoidło, które istnieje. Pierwszy wdraża je do działalności zbiorowej, łącznej. Spełnia poniekąd rolę cementu pomiędzy rozrzuconymi głazami. Społeczeństwo, w rdzeniu swym domowe, wdraża w jedyne tory życia publicznego.

Ilekroć społeczeństwo to znajduje się wobec czynu zbiorowego, przewyższającego siły i środki pojedynczej rodziny, ilekroć przyrost ludności zmusi pewną część jego członków do opuszczenia granic przyrodzonych i szukania

nowych sadyb, naówczas posiada ono w tych przywódcach karawan gotowych wodzów, umiejących zgromadzać ludzi, pchnąć ich na inne tory. Są oni przyzwyczajeni do dowództwa, rozciągającego się po za szranki życia prywatnego.

Niewielka różnica oddziela karawanę od wojska, jej przywódcę od wodza wyprawy wojennej, od zdobywcy.

Czem jest bowiem karawana? Gromadą, która ma oręż, środki spożywcze, wodza. Ażeby ją przekształcić na armję, trzeba wzmocnić jej zastępy i skierować ją ku krajom, które ktoś chce podbić. Armje koczowników nigdy nie były niczem innem, tylko ogromnemi karawanami: przyjrzyjcie się wojskom Attyli, Dżyngishana, Tamerłana. Zdobywcy ci są wodzami karawan, sławniejszymi, niż inni, gdyż działali na wielkiej widowni i zjednoczyli pod swymi rozkazami większą liczbę osób.

Ich armje były urządzone na podobieństwo karawan: każdy uzbrajał się, jak chciał, prowadził za sobą zwierzęta, które go żywiły, rodziny szły za swoim patriarchą, bo wyprawy te były olbrzymiem wychodźstwem ludów, poszukujących nowej sadyby: były one ogromnemi karawanami lub zjednoczeniem wielu karawan pod tym samym wodzem.

Jak karawany, tak i te armje musiały wszędzie napotykać trawę wzdłuż swego pochodu, ażeby wyżywić prowadzone zwierzęta. Dlatego zawsze wtargały do osiadłych krajów wiosną, t. j. w porze, w której mogły znaleźć na polach trawę i młode zboże na paszę dla zwierząt.

Wojska te, tak pierwotne, jednak obaliły państwo rzymskie, strachem przejęły chrześcijaństwo średniowieczne, podbiły Chiny i Indje!

A to dlatego, że rozporządzały trzema nieporównanemi pierwiastkami mocy.

1-o. Były utworzone z całych narodów i skutkiem tego przedstawiały rzeszę nadzwyczajną, miażdżącą swoją liczbą przeciwników, którychby nie zdołały zwyciężyć orężem. Najbliższa pobudka uruchomiła w ciągu dnia, z jednego końca stepu do drugiego, ciżby ludu, który niczem nie był przymocowany do ziemi i przyzwyczał się co rano zwijać swoje namioty. Najdrobniejszy powód zgromadzał ten lud dokoła wodza karawany, słynącego w sąsiedztwie; ten wiódł go do wodza wpływowszego, ten jeszcze dalej. Tysiące strumyków zlewało się w wielką wodę, która parła, stosownie do kaprysu lub zbiegu wypadków, ku Zachodowi lub Wschodowi, na Południe, słowem wszędzie, gdzie istniały obszary, na których zdołałaby się rozlać.

2-o. Armje te obywaty się bez organizacji dowozu środków żywności. Pędziły swe pożywienie przed sobą. Pożywienie, które samo idzie, samo siebie przewozi, a nadto przewozi wojaków! Najdoskonalsza intendentura nigdy nie da takiego doskonałego, a prostego rozwiązania doniosłej sprawy wyżywienia armji w pochodzie. Wszystko jest pod ręką, chociaż ludzie zgoła nie zmienili codziennego trybu życia! Mogą oni nieskończony przeciąg czasu być na wyprawie, a jednak będą jak u siebie w domu. I rzeczywiście wyprawa ich ciągnęła się bez przerwy w ciągu wielu wieków. Która-ż więc z armji nowoczesnych może tego dokonać?

3-o. Armje te unikały skutków przegranej, ocalając się ucieczką. Jest to niezrównane źródło siły, bo nawet z przegranej wychodziły one zwycięską ręką. Na ucieczkę pozwalała organizacja życia koczującego, tak zdolna do prędkiej zmiany miejsc pobytu. Ogromne rzesze barbarzyńskie rozpraszały się z taką szybkością, iż niepodobieństwem było nawet odnaleźć ich śladów. Ucieczka jest także

ich ostatecznym środkiem ratunku, gdy zostaną napadnięci u siebie, zadaje ona straszny cios ludom osiadłym, które w tym celu zabłąkały się w głąb stepów i pustyń. Tej samej taktyki trzymają się Burowie wobec Anglików. Ich ruchliwość na pół koczownicza stanowi jedną z przyczyn ich przewagi.

*

*

*

Obok wyszczególnionych pierwiastków siły, armje koczowników zawierają w sobie pierwiastek słabości, obracający w niwecz ich zwycięstwa, z pozoru najbardziej stanowcze:

Nigdy nie zdołały utworzyć statecznych, wielkich państw, ani nie dały początku wielkim rządóm.

Nic zgoła nie pozostało z niezmiernych zaborów Attyli, Dżyngishana, Tamerlana, że wymieniamy tylko najświetniejszych przywódców ludów, które wylewały się ze stepów Azji środkowej. Państwa, przez nich założone, upadały z ich skonem lub niebawem po ich śmierci. Co się stało z potęgą Hunów? Gdzie podziało się państwo tatarskie i gdzie zniknęło państwo Mongołów? Były one jako potok, który wszystko zalewa wzdłuż swego nurtu, a następnie wsiąka w piaski, pozostawiając po sobie tylko ślady zniszczenia.

Amadeusz Thierry opowiedział historję Attyli i jego następców. Pierwszy rozdział, idący po opowieści o śmierci Attyli, nagłówkiem swoim głosi: „Niezgoda pomiędzy synami Attyli niszczy państwo Hunów“. Reszta dzieła opowiada o tem rozproszeniu, pokazuje nam prędkie drobnienie gromad, rzekłbym: karawan, połączonych na chwilę przez potężnego zdobywcę. W taki sam sposób kończą się dzieje Dżyngishana i Tamerlana.

Ta niezdolność organiczna wpływa z ukształtowania karawany, tego źródła i prawzoru wszelkiej organizacji wojkowej na stepie.

Karawana jest gromadą chwilową, zorganizowaną dla dopięcia określonego celu, krótkotrwałą. Zorganizowano się dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa w podróży. Po osiągnięciu celu, ludzie powracają na łono więzi rodzinnej, jedynej, która trwale istnieje wśród rozpatrywanej organizacji społecznej i której każdy konieczność odczuwa, ponieważ czyni ona zadość wszelkim potrzebom. Z samej natury rzeczy, powaga wodza karawany jest przelotną; gdy podróż jest uskutecznioną, odchodzą od niego, nie chcą o nim wiedzieć dłużej.

Wyprawa wojenna, ta rozproszona karawana, jest ukształtowaną z tych samych pierwiastków, według tych samych zasad i idej. A więc podlega tym samym prawom: jest gromadą chwilową pod dowództwem chwilowego pana. Gromada zbiera się dokoła zaborcy na wyprawę, tak jak zbiega się dokoła dowódcy karawany dla uskutecznienia zamierzonej podróży; po ukończeniu wyprawy każda rodzina odzyskuje niezależność swoją, tak samo, jak po dokonanej podróży. Dążenia przyrodzone, zaśniedziałe zwyczaje, posiadają większą moc wtedy, niż interes publiczny, nakazujący trzymać się pospołu. Zresztą społeczeństwa te nie wyrobiły jeszcze poczucia interesu publicznego, bo w życiu prywatnym nie czują potrzeby władz publicznych i życia publicznego.

W tem tkwi wyjaśnienie, dlaczego społeczeństwa pasterskie, zrodzone na stepie, są niezdolne do stworzenia statecznych powag publicznych, i to nawet wtedy, gdy rozstały się ze stepem i pasterstwem; a ta nieudolność organiczna

daje się wciąż odczuwać. Nawet gdy lud przeszedł do osiadłego bytu i wyłonił powagi i władze publiczne, przyczyny te sprawiają, że władze są zawsze dowolne i chwilowe. Tem tłumaczyć się także dają rewolucje pałacowe, stanowiące jeden z rysów charakterystycznych Wschodu i streszczające w sobie całą jego historję polityczną od czasów starożytnych. Władze publiczne są tam nie ogniwnem naturalnem, ale tworem sztucznym, obcym ogółowi warunków bytu tych ludów.

A na zapytanie, jakim sposobem, pomimo chronicznego rozprzężenia życia publicznego, te społeczeństwa żyć mogą, odpowiedź jest bardzo prosta. Dostarcza jej nasza dotychczasowa znajomość tamtejszego stanu społecznego.

Spółeczeństwa te trzymają się jedynie dzięki powadze ojcowskiej, którą życie pasterskie wygórowało i rozwinęło. Spoidła więzi publicznej są słabe, natomiast życia prywatnego mocne i zwłaszcza wytrzymałe, bo stanowią jedyną, zasadniczą osnowę społeczeństw stepowych. Opierając się na spólnictwie rodzinnem i mocno go się trzymając, ludy te unikają skutków słabej budowy spoidel publicznych. Zasada tych społeczeństw jest anarchja u góry, stateczność u dołu. Istnieją swoim dołem, co świadczy, iż istota życia społecznego tkwi w stateczności rodziny, ta ostatnia zdolną jest zrównoważyć najkompletniejszą chwiejność życia publicznego.

Wygłosiliśmy zdanie, że ustrój karawan tłumaczy nam zdolność tych ludów do rozszerzania się na zewnątrz. Step są miejscem poczęcia się zagonów i niezmiernego wychodźstwa.

Te ruchy na zewnątrz nie wszędzie na stepie uwydatniły się z tą samą mocą. Znajdują się one w ścisłym

związku z rozległością i geograficznym ukształtowaniem stepu.

*

*

*

Występują one z większą siłą na wysokich płaskowzgórzach.

Największe z pośród tych płaskowzgórz, trawą porośniętych, płaskowzgórze Azji środkowej, wydało z siebie prawie ciągłe pasmo strasznych najazdów. Szły one w różnych kierunkach: 1-o ku Chinom, 2-o Indjom, 3-o Syberji, 4-o zachodowi.

Niepodobieństwem jest, z powodu znacznej ich liczby, wyszczególnić wszystkie najścia pasterzy na państwo chińskie. Starczy wskazać najważniejsze w porządku chronologicznym:

Na rok 247 przed nar. Chr. przypada najazd, skutkiem którego Chińczycy zbudowali wielki mur, szaniec zresztą bardzo słaby, jak niebawem ujrzymy.

W drugim wieku naszej ery następuje szereg zagonów, przyprawiających Chiny o rozpadnięcie się na dwa mocarstwa, północne i południowe.

Od wieku IX do XIII najazdy ciągną się bez przerwy, w ich liczbie najście Dżyngis-hana w r. 1213. W r. 1225 koczownicy podbijają północne Chiny aż do rzeki Błękitnej i zmuszają dynastję Tong do haraczu. W r. 1260, Mongołowie pod wodzą Kubilaj-hana wypędzają tę dynastję, stają się władcami całych Chin i dają początek domowi Yen, który panuje do roku 1368.

W r. 1634, Mandzurczyk, Chun-Czy, owładnął Pekinem, ogłosił się cesarzem i założył dynastję Czyn, panującą obecnie.

U geografów część zachodnia wielkiego płaskowzgórza uchodzi za dzielnicę państwa chińskiego. W rzeczywistości, mocarstwo to znajduje się w zależności od ludu, który wyszedł z tamtąd.

Indje były lepiej niż Chiny zabezpieczone przeciw najazdom koczowników, dzięki przyrodzonemu „wielkiemu murowi“, utworzonemu przez grzbiet himalajski. To niezmiernie pasmo gór wznosi się stromo na swej stronie indyjskiej, a dla zagonów daje niewiele przesmyków, bardzo ciężkich i trudnych. Jednak przeszkoda ta nie zdołała zatamować pędu przyrodzonego, skłaniającego pasterzy do zaborów.

Dwa najścia zwłaszcza wryły się na stronicach historii. W r. 1024 koczownicy gaznewidzcy podbili Indje północne i zachodnie aż do Bengalji. W r. 1398 Tamerlan założył w całym Hindustanie mocarstwo Wielkiego Mogoła, które dotrwało aż do zajęcia tego kraju przez Anglików w r. 1759.

Najścia pasterzy na Syberję posiadają inny charakter. Uskuteczniały je rzesze mniej liczne i w sposób nie tak jaskrawy. Wynika to z dwóch przyczyn: Syberja była mało zaludniona, najeźdźcy nie spotykali oporu i mogli osiadać spokojnie; z drugiej strony, pasma altajskie i sajanskie, oddzielające ten kraj od płaskowzgórza środkowego, w wielu miejscach spuszczały się łagodną pochyłością, którą trawa porasta. Powstaje szerokie przejście pomiędzy obu dzielnicami, potok wylewa wody swoje łatwo. Rdzeń zaludnienia Syberji pochodzi z płaskowzgórza środkowego.

Najbardziej interesują nas najazdy pasterzy na Zachód. Niezmiernie ułatwiły je rozległe przestrzenie stepowe, które ciągną się od Pamiru przez Rosję południową do ujść

Dunaju. Taki sam szlak szedł ongi przez Niemcy aż do morza Północnego.

O pojawieniu się koczowników w okresie historycznym dochowała się jeszcze pamięć. Hunowie opuścili część zachodnią płaskowzgórza środkowego w początkach w. IV. Część osiadła na stepach, położonych na wschód od morza Kaspijskiego, są to Hunowie biali; druga podbija krewniaków swoich Alanów, później Gotów, nakłada haracz na Konstantynopol, przeciąga przez Trację i Ilyrję, pod wodzą Attyli pustoszy mocarstwo Zachodnie, przecina Niemcy, a ciągnąc za sobą ludy na wpół koczownicze, żyjące w środku Europy, przedostaje się do Galji i Italji.

Hunowie byli pasterzami i koczownikami. Historyk o nich pisze: „Nie mieli domów, ani chat, i nie czuli się bezpieczni pod strzechą. Rzadko schodzili z konia, siedząc na nim dniem i nocą“ ¹⁾.

Najazd Turków w w. X również począł się w Azji środkowej, jako i najście Dżyngis-hana, który, wódz prosty hordy mongolskiej (połączenia namiotów) pierwotnie, ujarzmił Chiny i Koreę, najechał Azję zachodnią i Rosję południową i wreszcie został panem na przestrzeni od morza Chińskiego do Północnego.

Inny wódz plemienia mongolskiego, Tamerlan, najechał Rosję, Syrję, Azję Mniejszą, a umarł w pochodzie na Chiny.

Oto krótki spis najazdów, które płaskowzgórze środkowe na świat wydało.

¹⁾ Cantu: *Histoire universelle*, VI.

II.

Zdolność pasterzy do rozszerzania się, dzisiaj bezsilna w skutek posiadania wyćwiczonych wojsk przez ludy osiadłe, znajdowała się w związku z okolicznością, o której teraz należy wspomnieć.

Koczownicy w swem rozpowszechnianiu się nie mogliby korzystać z już wyłuszczonej dogodności przyrodzonych, gdyby nie mieli dokoła siebie dzielnic, nadających się do pasterskiego trybu życia.

A właśnie przed nimi do wyboru leżały dwa wspaniałe szlaki, trawą porośnięte, umożliwiające osiągnięcie środka Europy.

Jednym z nich jest szlak nizin stepowych.

Podróżnik, któryby od stóp płaskowzgórza środkowo-azjatyckiego zapragnął udać się do ujść Dunaju, zdołałby dokonać tej drogi, około 5,000 kilometrów, podróżując wciąż przez niziny stepowe. Tylko wzdłuż rzek, w znacznej od siebie odległości, napotkałby wąskie pasy ziemi uprawnej. W okresie wielkich wędrówek pasterzy azjatyckich do Europy, wyłącznie trawa pokrywała te olbrzymie przestrzenie, na których ludzie i trzody nie napotykali najmniejszej przeszkody w swoim pochodzie.

Droga, której wyszczególniliśmy dwa punkty krańcowe, przesywa Turkiestan rosyjski, przechodzi pomiędzy morzem Kaspijskim a pasmem Uralskim, rozpościera się wszczegółniej Rosji południowej.

Największą część tej niezmiernej dzielnicy zaludniają jeszcze obecnie koczownicy i pasterze: Kirgizi w Turkiesta-

nie rosyjskim, Kozacy i Kałmucy paszą tam swobodnie swe trzody.

Pojeziorze jez. Uralskiego i morza Kaspijskiego w Turkiestanie to olbrzymi step, przeszło 3 mil. kilometrów kwadratowych, t. j. sześć razy tyle, ile wynosi powierzchnia Francji.

„U stóp lesistych stoków Tian-Szanu (płaskowzgórza środkowego) — pisze E. Reclus — rozpoczyna się dzielnica stepów-nizin, która ciągnie się przez cały Turkiestan i, ztamtąd przerzucając się przez wody Uralu, dosięga wnętrza Rosji. Prawie wszędzie oczy spoczywają na obnażonej przestrzeni, po której wzrok się ślizga aż do krzywizny widnokręgu. Różnice pomiędzy dzielnicami stepów występują w pierwszych dniach wiosny, kiedy wezbrane rzeki i błota wróciły do łożysk, Kirgizi zaś spalili suche zarośla na paśnikach. Młode rośliny kiełkują i rozwijają się w ciągu dni kilku, zieloność kwiecista jakby na hasło czarodziejskie zasłoniła jałową nagość równin. Step wtedy przybiera oblicze najodmienniejsze za sprawą różnic gleby, piaszczystej, gliniastej, skalistej, błotnistej z wodą słodką lub słonawą; każdy rodzaj gleby uwydatnia się w odmiennej roślinności i faunie, nigdzie rośliny i zwierzęta nie zależą bardziej od przyrody obszaru, na którym się znajdują. Ale bogactwo i przepych wiosenny trwają krótko. Krańcowość klimatu, znojnego podczas upałów, lodowego w okresie mrozów, pozwala wytrwać tylko nieznacznej liczbie roślin, tych, które są wytrzymałe na silne zmiany temperatury. Lato spala zielone latorośla, kwiaty znikają; step szary, pełen kurzu, przybiera postać, którą będzie miał podczas zimy; jedynie podczas paru dni jesieni deszcze wlewają w roślinność nieco życia, zapowiada się druga wiosna, ale nie-

bawem kwiaty wędną, a smutek zimy ogarnia samotne przestwory“¹⁾).

Stepy Turkiestanu rosyjskiego są bardzo biedne. Nie były one w stanie zatrzymać na długo koczowników, spuszcających się z Altaju. Jak tylko ci czuli w sobie dość siły, szli dalej.

Stepy rosyjskie składają się z czarnoziemiu, który jest wytworem powolnego gnicia traw, jak to twierdził podróżnik francuski Huot, a dowiódł botanik Ruprecht oddawna. Nie znaleziono tam muszli wody słodkiej, ani słonej, nie można więc poczytywać czarnoziemiu, jako pokładu napływowego, odłożonego przez morze lub jeziora. Grunta te zawierają około $\frac{3}{4}$, a nawet $\frac{4}{5}$ piasku i $\frac{1}{10}$ materji organicznych, zmieszanych z amoniakiem, sodą, potażem i kwasami fosforowymi.

„Rozpatrywany w swej całości, pas czarnoziemiu ciągnie się z południo-zachodu na północo-wschód, jako przesmyk pomiędzy Karpatami, a Uralem, za jego pośrednictwem Europa zachodnia niegdyś łączyła się z Azją. Ruprecht dał mu nazwę łądu czarnoziemnego“²⁾).

Łąd ten ogarnia blisko jedną trzecią Rosji europejskiej, t. j. przestrzeń, wynoszącą około 95 mil. hektarów. Co za wspaniała droga stepowa stała otworem przed pasterzami i nęciła ich do najazdów na Europę!

„Jak w prerjach dalekiego Zachodu amerykańskiego, można tam wędrować na wszystkie strony wśród traw, tak wysokich, iż kwiaty, kłosa i kity kołyszają się na poziomie

1) E. Reclus: l. c., V, 445.

2) E. Reclus: l. c., 447.

głowy podróżnika: w tej równinie bezbrzeżnej podróżnik ma wrażenie, iż zabłąkał się wśród zieleni, falującej od podmuchów wiatru“¹⁾).

Pasterze, nie przekształcając życia swego i pędząc przed sobą swe trzody, mogli dzięki temu dosięgnąć ujść Dunaju.

Na obu brzegach tej rzeki znajdowali oni mniej lub więcej znaczne przestrzenie, pokryte trawą, a pozwalające im przedostać się do obszernych stepów na nizinach węgierskich.

„Nizina ta zajęła miejsca dawnego morza węgierskiego. Zdala od dróg i wiosek nadaremnie szukalibyśmy tam na ziemi choć jednego krzemienia. Są to istotne stepy, gińące na widnokręgu. Hordy, których potomkami są mieszkańcy dzisiejsi, odnalazły tam płaszczyny trawiaste Azji środkowej. Węgrzy nazywają je pusztą“²⁾).

Puszcza była miejscem zbornem pasterzy w sercu Europy. Ztamąd przypuścili do państwa rzymskiego uderzenie najgwałtowniejsze.

Jeśli na mapie przyjrzymy się ukształtowaniu porzezcza Dunaju, ujrzymy, że ta ogromna przestrzeń, około 800,000 kilometrów kwadr., wciśnięta pomiędzy Karpaty od północy i Bałkany od południo-wschodu, zamknięta jest prawie zupełnie od zachodu przez góry Czarnogórza, Hercegowiny, Bośni i Kroacji, czyli Alpy dynarskie, ciągnące się dalej różnorodnymi gałęziami, jako Alpy austriackie.

1) E. Reclus: l. c., 447.

2) Vivien de Saint-Martin: *Nouveau dictionnaire de géographie universelle*.

Jest to rodzaj ogromnego worka, otwartego jedynie ku wschodowi. Kraina ta nadaje się do utrzymania i przechowywania, bez krzyżowań, ludów przybywających z Azji.

Takim jest pierwszy szlak, istniejący przed pasterzami. Wzdłuż niego mogli oni przedostać się do serca Europy bez jakiegokolwiek zmiany w swym bycie.

Drugim szlakiem jest droga, prowadząca przez stepy wielkich płaskowzgórzy.

Wielkie płaskowzgórze środkowo-azjatyckie, główna kolebka ludów pasterskich, łączy się z Europą nietylko za pośrednictwem szlaku, już rozpatrzonego, prowadzącego przez niziny stepowe, ale także, bardziej na południe, pasmem nieprzerwanem stepów, rozłożonych na wielkich płaskowzgórzach. Zaczynają się one u Pamiru i ciągną się do Bosforu, naprzeciw Konstantynopola. Są to płaskowzgórza Afganistanu i Beludżystanu, Persji, Armenji i Azji Mniejszej. W niektórych częściach swoich płaskowzgórza te wznoszą się do 2,000, a nawet 3,000 i 4,000 metrów.

W skutek swej wyniosłości i braku wilgoci, okolice te zabijają roślinność drzewiastą, oraz uprawną, i pozostają w stanie stepów, mniej lub więcej urodzajnych.

„Niewątpliwie — pisze E. Reclus — grunta tych płaskowzgórzy, nie podlegając stałym powodziom, jak pola zwilżane przez Tygrys i Eufrates, zostaną oswobodzone ze swych pierwiastków chemicznych i z wolna zjałowieją“¹⁾.

Okolice te są wystawione na działanie wiatrów, zwłaszcza suchych, bo te ostatnie dolatują tutaj, przebywszy gołe pustynie Gobi z jednej strony, Sahary z drugiej. Jedy-

1) *Nouvelle Géographie universelle*, IX, 15.

nie trawa może stawiać czoło takiej posusze. Brak wilgoci jest tak znaczny, iż od zatoki Omańskiej do Teheranu, na przestrzeni 1,000 kilometrów, podróżnik nie napotka ani jednej rzeki, w której woda sięgałaby kolan. Niezmierna suchość powietrza sprawia, iż można spostrzedz, jak sypią się iskry, gdy koń uderzy ogonem. Rozległe wahania temperatury wypływają z braku oparów w powietrzu, w czerwcu termometr pokazywał 13° przed wschodem słońca i dosięgał na słońcu rano o ósmej 62°¹⁾).

W części najwęższej, pomiędzy doliną Indusu a stepami Turkiestanu, płaskowzgórze posiada jeszcze trzysta kilometrów szerokości, w Persji zaś dosięga tysiąca. Wspaniała to droga dla koczowników! „Pod względem historycznym, płaskowzgórze irańskie przedstawia przejście, na którem tłoczyły się najrozmaitszego pochodzenia ludy w ich pochodzie ze Wschodu na Zachód“.²⁾

Do dnia dzisiejszego sztuka pasterska i koczowniczy tryb życia dotrwały w tych dzielnicach, jako i ustrój społeczny, właściwy ludom pasterskim: rodzina patryarchalna, spółnictwo, charakter zaczątkowy władz publicznych.

Plemiona — zawsze wywodzące się od jakiegoś patryarchy, jako przodka — posiadają samorząd. Każde z nich rozpada się na klany i podklany, *zói* albo *kheil*, a najmniejsze z tych klanów zawierają po kilka rodzin.

Większość mieszkańców płaskowzgórza perskiego jest jeszcze koczowniczą, lub nawpół koczowniczą, główne ich mienie—to trzody. Podczas lata rozkładają oni swe namio-

¹⁾ Ibidem, 179.

²⁾ Ibidem, 141.

ty na wyżynach, gdzie znajdują się obfite paśniki, na zimę spuszczają się na płaskowzgórze, bardziej zabezpieczone od wiatrów i mrozu. Na wzór innych ludów pasterskich grupują się nie według terytorjów, jeno rodzin, *illiat*. Uprawa rolna nie ogarnęła nawet $\frac{1}{50}$ części obszaru, jest możliwą tylko w częściach najniższych, posiadających wystarczającą wilgoć i jaką taką osłonę od wiatrów.

Takiemi są dwa szlaki stepowe, prowadzące od wielkiego ogniska pasterskiego Azji do środka lądu naszego.

Musimy jeszcze zastanowić się, jak, idąc wzdłuż obu tych dróg, pasterze zajęli Wschód Europy.

III.

Historja tych najazdów — pasterze pojawiają się na stronicach historii dopiero, gdy wyszli ze stepów — pozostała do dnia dzisiejszego okresem mglistym, w którym nie tylko uczeń, ale i badacz nie rozróżniają wyraźnie rzeczy.

Nieprzejrzystość taka poniekąd jest nieodłączną od samego przedmiotu. Ale jest także dziełem nieumiejętnej klasyfikacji barbarzyńców, która winna oprzeć się na cechach bardzo wyraźnych. Nie powątpiewamy, że społecznoznawstwo dostarczy nici przewodniej, która badaczowi wytknie kierunek i umożliwi rozbiór istniejącego zamętu ludów.

Szlak nizin stepowych był główną drogą, po której parło wychodztwo z Azji do Europy. Większość ludów, które z tamtąd przybyły do naszej części świata, torowała sobie drogę przez Turkiestan i Rosję południową. Gdy ostatecznie zajęto wschodnie dzielnice Europy, już dzielnice zachodnie oddawna były zaludnione. W niektórych częściach

Rosji południowej jeszcze obecnie byt osiadły nie zupełnie wyrugował koczownictwo, np. u Kozaków nad Donem, Kirgizów i Kałmuków nadwołżańskich. Opóźnienie to znajduje swoje wyjaśnienie w zjawisku, które powtarza się w każdej armji, w pochodzie będącej. Czoło armji przybywa na miejsce przeznaczenia i stawa obozem wcześniej, niż tylne zastępy, które jeszcze idą pewien czas, aż póki nie nastąpi chwila unieruchomienia wszystkich.

Dla wychodźców Azja była punktem wyjścia, celem— Europa.

Najście to Europy datuje się od w. VII, dokonano go ostatecznie dopiero w w. XV.

Już mocarstwo rzymskie doczekało się ukazania tyłu barbarzyńców ze stepów Turkiestanu i Rosji południowej, iż, zdawałoby się, dalsze wypadki nie powinny były nikogo wprawiać w podziw. A jednak z głębokiem uczuciem lęku dowiedziano się w w. IV o pojawieniu się nowej powodzi ludów. Rzymianie poczytywali ją za dziwniejszą i straszniejszą, niż dotychczasowe. Ludom tym nadano nazwę Hunów.

Hunowie przybyli do stepów, pokrywających niziny nadwołżańskie, wielką drogą, prowadzącą z Azji do Europy, pędząc przed sobą ludy, zagradzające im drogę. Posuwali się, sami pchani przez nowe fale.

Czy Hunowie byli pasterzami?

Przybyli z Azji środkowej, chociaż niepodobna wyznaczyć dokładnie ich kolebki. Howarth, uczony Anglik, zajmujący się studjami nad szczepem mongolskim, wyprosza ich od Czuwaszów, ludu pasterskiego Azji środkowej. Dr. Leitner z Lahory, mniema iż wyszli z Turkiestanu.

Pochodzenie ich roznamiętnia erudyków, dla nas starczy ów fakt niewątpliwy, iż byli pasterzami.

Historyk Amianus Marcellinus pozostawił obraz Hunów, w którym dokładnie odtworzył to, co widział na własne oczy:

„Hunowie nigdy nie dotykają pługa, nie mieszkają w domach ani chatach. Wszelka zagroda murowana wydaje się im grobem i nieufaliby własnemu bezpieczeństwu, znalazłszy się pod strzechą. Nieustannie tułają się, zmieniając ciągle miejsce swego pobytu, a raczej żadnego nie mają, od dzieciństwa wystawieni na wszelkie dolegliwości, głód, chłód i pragnienie. Ich trzody idą za nimi w wędrówkach, ciągnąc wozy¹⁾, w których przebywa rodzina. Tam kobiety przędą i szyją odzież męską, tam leżą w objęciach mężów, tam na świat wydają dzieci i wychowują je aż do czasu dojrzałości. Napróżno pytacie się tych ludzi, z kąd pochodzą, gdzie zostali poczęci, urodzeni. Nie powiedzą wam oni, bo sami nie wiedzą. Nie są zdatni do walki pieszo, możnaby mniemać, iż zrosli się z swemi małemi a niekształtnemi końmi, niezmordowanemi i prędkimi, jak błyskawica. Spędzają życie na koniu, trzymają się na nim okrakiem lub siedzą bokiem, jak kobieta; konno obradują, kupują i sprzedają, jedzą i piją, śpią nawet, schyliwszy się na szyję swoich rumaków“²⁾).

¹⁾ Użytek wozów posiada na stepie charakter przypadkowy i na dobre pojawia się w pobliżu krawędzi jego. Ale jest częsty w wycieczkach pozastepowych, wtedy bowiem można wozy otrzymać od ludów osiadłych, lub wyrobić je wskutek obfitości surowców i większej doskonałości narzędzi.

²⁾ A. Marcellinus: *Rerum gestarum libri XXXI*, XXXI, 2.

W obrazie niczego nie brak, typ pasterza zarysowany jest z możliwą dokładnością, z jego niechęcią do uprawy pól, życiem w namiocie, koczownictwem, uprawianiem zajęć pasterskich, wychodźstwem masowem, życiem na koniu. Dla uzupełnienia obrazu, Am. Marcellinus dodaje, iż Hunowie „nie posiadają żadnego kultu“. Istotnie, wśród pasterzy, ojciec rodziny spełnia obowiązki, wymagane przez kult domowy, bez pomocy duchowieństwa¹⁾. W takim położeniu znajdowali się dawni patriarchowie biblijni.

W r. 374 Hunowie przeszli Wołgę pod dowództwem Balamira. Na drugim brzegu spotkali Alanów, którzy wtedy zajmowali stepy pomiędzy Wołgą a Donem, tam, gdzie dzisiaj znajdują się Kałmucy.

Jak i Hunowie, Alanowie, zdaje się, przybyli z Ałtaju, zwolna posuwali się ku Zachodowi i również byli pasterzami.

Opis, podany przez Am. Marcellinusa, nie pozostawia pod tym względem wątpliwości. „Nie mają domów, nie uprawiają gruntów, karmią się mięsem i spożywają dużo mleka; na wozach, zrobionych z kory, błąkali się po pustkowiach swoich bez końca. Znalazłszy trawę, ustawiają wozy w koło, tam spożywają dziki swój posiłek, a kiedy zwierzęta ogołociły trawę, kładą swoje wioski na wozy. Mieszkanie ich daje się zwijać; dokądkolwiek przyjdą, służy ono im za ognisko i ojczyznę. Pędzą przed sobą trzody dużego i małego bydła, zwłaszcza dbają o konia. Słabi

²⁾ Zbory lamów indyjskich są na stepie azjatyckim utworem względnie świeżym i zostały sprowadzone z Indji. Ich czynności obejmują sferę zadań pozarodzinnych.

z powodu wieku lub płci znajdują zajęcie około wozów i nie oddają się gwałtownym ćwiczeniom, młodzież, od dzieciństwa przyzwyczajona do jazdy konnej, uważa za rzecz poniżającą posługiwać się swemi nogami“¹⁾.

Alanowie i Hunowie byli nawzajem pobratymcami zarówno ze względu na swe pochodzenie, jako i organizację społeczną. Zleli się więc łatwo i pospołu ciągnęli dalej ku ujściom Dunaju.

Zdaniem A. Thierry'ego, wtargnięcie Hunów, zalanie Europy przez Azję koczowniczą, było dla ludów europejskich wielkiem zdarzeniem. „W kraju zabranym wszystko natychmiast uległo przekształceniu: szczątki kultury, pozostawionej przez Gotów, rozpadły się²⁾, życie osiadłe ustało, koczownictwo wystąpiło w całej swej mocy, a pas, idący półkolem od ujść Dunaju do morza Kaspijskiego wzdłuż morza Czarnego, zamienił się na przejście, po którym nieustannie szły trzody i hordy. Plemię panujące Hunów osiadło nad Dunajem“³⁾.

I oto pasterze stanęli w porzeczu Dunaju. Znaleźli tam stepy puszczy węgierskiej, na których mogli prowadzić i nadal byt pasterski.

W tym okresie Attyla zjednoczył pod swoją władzą wszystkich Hunów oraz innych koczowników, którzy połączyli się z nimi. Ambasadorowie, wysłani do Attyli w r. 449 przez Teodozjusza młodszego, pozostawili bardzo ciekawy

¹⁾ *Rer. gest.*, XXXI, 2.

²⁾ Gotowie wyszli ze Skandynawji i szli inną drogą, którą kiedyś opiszemy i która doprowadziła ich do wyższej kultury.

³⁾ *Histoire d'Attila*, I, 41.

obraz życia Hunów nad Dunajem. Zachowali oni wszystkie rysy zasadnicze społecznej organizacji pasterskiej, jedynie dołączali do nich żądzę wojen i rozwiniętą chęć łupieżczą, które powstały skutkiem konieczności podboju nowych gruntów ręką zbrojną.

Na uczcie, wydanej przez Attyłę na cześć ambasadorów, „syn zdobywcy, Ellak — pisze Priscus — zajął miejsce na łożu ojca, ale niżej; miał oczy spuszczone przez szacunek dla ojca i podczas całej uroczystości zachował postawę skromną“¹⁾. Odnajdujemy w tym opisie ową cześć dla powagi ojcowskiej, którą wymieniliśmy jako rys zasadniczy społeczeństw pasterskich. Jeszcze dzisiaj, na stepach altajskich, syn, podchodząc ku ojcu, zgina kolano¹⁾. Pomimo długiej drogi Hunowie nie wyzuli się z pod wpływu tradycji, a to dlatego, że wzdłuż szlaku stepowego nie przestali prowadzić życia pasterskiego.

Sam Attyla, ten straszny zaborca, okazywał stryjowi swemu, Ebarowi, szacunek i uprzejmość i poważał go, jak opowiada nam ten sam pisarz, „jako ojca swego“. Wiemy, że w rodzinie patriarchalnej władza przechodzi nie z ojca na syna, tylko z brata na brata, tak, iż zawsze spoczywa w ręku starców.

Możnaby z tego faktu wnioskować, że Attyla nie był patriarchą we własnej rodzinie, ale że ta godność należała do stryja jego, Ebara. Widocznie ambasadorów rzymskich mocno uderzył ten fakt, kiedy zaznaczyli go z takim naci-

¹⁾ Priscus: *Exc. leg.*, 66.

²⁾ Voyage dans les steppes de l'Asie centrale, przez T. W. Atkinsona (*Tour du Monde*, kwartał I, 1863, 370).

skiem. Warto tutaj podnieść bardzo ważną zasadę o charakterze powagi wśród ludów: życie pasterskie rozwija powagę starców, wojna i zabory, wymagające siły i młodości, powagę osób młodszych. W danym przypadku zestawienie obu wpływów ujawniło się w stosunku Ebara i Attyli; gdyby Hunowie pozostali na paśnikach azjatyckich, Attyla prawdopodobnie zatarłby się zupełnie w cieniu powagi stryja. Ten sam objaw odnajdujemy w dziejach Mahometa, który nie był patryjarchą i dla zostania wodzem musiał dokonać paru zamachów.

Niebawem porzecze Dunaju, dokąd przybywały nieustannie nowe hordy, stało się ciasnem dla Hunów. Pod wodzą Attyli, w latach 451 i 452, rozleli się po Galji i Italji, niosąc postrach i zagładę wszędzie. Prawdopodobnie nie osiedli w żadnym z tych krajów dlatego, że nie znaleźli tam stepów, niezbędnych dla pasterstwa i koczownictwa. A więc w r. 453 Attyla z hordami swemi wraca na niziny węgierskie. Tam w roku następnym umarł ten straszny przywódca pasterzy, o którym współcześni powiadali, iż „trawa tam nie rośnie, gdzie koń jego przeszedł“.

Śmierć Attyli dała hasło do rozproszenia się wszystkich ludów, zgromadzonych chwilowo pod jego powagą. Mamy tutaj do czynienia z nowym objawem już zaznaczonego przez nas prawa: z organiczną nieudolnością ludów pasterskich zorganizowania na trwałe ustroju władz publicznych. Czerpie ona moc swoją z ustroju rodziny patryjarchalnej, tworzącej małe a zupełne społeczeństwo, niezależne, sobie wystarczające, znajdujące się pod władzą patryjarchy. Ażeby zgrupować wszystkie te odrębne powagi w ręku wodza, trzeba nacisku konieczności, wyjątkowego zbiegu warunków, wyjątkowej osobistości, takiej, jak Attyla,

Mahomet, Dżyngistan, Tamerlan, Mahdi. Ale siła odśrodkowa, tkwiąca w rdzeniu tych społeczeństw, uniemożliwia wielkim zbiorowiskom długie trzymanie się społem, rozprzegają się szybko, jeśli czynniki zewnętrzne nie narzucają im hierarchji społecznej, nie wytworzą wyższych organizmów, jakimi te gromady nie są same ze siebie.

Rozstrzeleniu państwa Attyli towarzyszyły gwałtowne wojny. Hunowie biali i czarni, Gotowie, Alanowie, Gepidowie, Rugowie, Herulowie, Scyrowie, Turcilingowie, Sarmaci, Swewowie, Kwadowie, Markomani rzucili się jedni na drugich, ku wielkiej uciezce państwa rzymskiego, i ostatecznie rozeszli się w różne strony.

Część Hunów, pod wodzą Hernaka, poddała się Rzymowi¹⁾ i osiadła z kilku hordami Alanów²⁾ i innych barbarzyńców nad dolnym, a nawet nad średnim Dunajem w Pannonji. Konieczność przynagliła ich niebawem do osiadłego trybu życia, do czerpania z rolnictwa dodatkowego pożywienia. Było to przejście od prostego korzystania z płodów przyrody do pracy wytwórczej, od prostego ustroju do złożonego. Wkroczywszy na tę nową a odmienną drogę, musieli przekształcić swój ustrój społeczny.

Ale największy odłam Hunów, zamiast wdrażania się w ciężką pracę rolną, wolał powrócić na brzegi morza Czarnego, do stepów naddnieprzańskich, z których wyszli przed

¹⁾ „Quidam ex Hunnis in parte Illyrici sede sibi datas coluere... se in Romaniam dederunt“. *Iornandes*, Res. gest., 50; „Hernach, junior Attilae filius, cum suis, in extremo minoris Scythiae sedes delegit.“ *Ibidem*.

²⁾ „Caeteri Alanarum, cum duce suo nomine Candax, Scythiam minorum inferioremque Moesiam acceperere.“

kilkunastu laty. Tam naturalnie po dawnemu żyli z pasterstwa i koczownictwa.

Zmiana pasterza na rolnika jest trudną. Wielu hordom, które jęły się rolnictwa, niebawem zbrzydł nowy tryb życia, zatęskniły do swobody stepowej. Porzuciwszy dzielnicę swoją, zapragnęły połączyć się z współbraćmi. Ale Rzymianie, których polityka zmierzała do przymocowania do ziemi plemion tułackich, będących dla nich nieustającą pogróżką, sprzeciwili się wyjściu. Koczujący Hunowie przybyli na pomoc rodakom i stoczyli z Rzymianami krwawą potyczkę pod Sardyką. Zostali zwyciężeni, ale historia nie opowiada o tem, czy ci, którzy uciekli od rolnictwa, zdołali osiągnąć obiecaną ziemi na stepie i pocieszyć się w swem nieszczęściu słodyczami życia pasterskiego.

Drobny odłam Hunów jął się rolnictwa nad Dunajem, zaś rodacy ich, żyjący w charakterze koczowników na stepach Rosji południowej, niebawem znowu dali wiadomość o sobie.

Stepy te przedstawiały naówczas osobliwy widok: były rozstajnem miejscem ludów. Tłoczyły się tam hordy pasterskie, wszystkie, jakie przybyły z Azji i parły na Europę.

Właściwi Hunowie zajmowali stepy pomiędzy ujściami Dunaju a Dniepru, powyżej tej ostatniej rzeki do Wołgi, morza Kaspijskiego i Kaukazu błakali się Hunowie Kutrygurscy i Utygurscy, a nurty Donu oddzielały ich obozowiska: pierwsi koczowali na zachód, drudzy na wschód od rzeki. Za Wołgą przebywali Ugrowie i Bułgarzy, jeszcze dalej Turcy i Mongołowie — pasmo olbrzymie pasterzy, ciągnące się od rękawów Dunaju do Altaju. Ten ostatni był głównem miejscem wychodztwa.

Ale to jeszcze nie wszystko: w Rosji, na północ od Hunów, koczowali ze swemi trzodami jeszcze inni pasterze, pochodzenia również altajskiego. Nazwa Słowian wtedy po raz pierwszy dała się słyszeć w Europie. Ich grupy zajmowały niezmiernie przestrzenie Rosji środkowej, rozpadając się na liczne plemiona.

Historycy z trudnością orientują się wśród tych rzesz ludzkich, które się mieszają, zlewają, rozchodzą i nazwę swoją zmieniają. Dla nas sprawa przybiera oblicze proste: wszystkie ludy, które parły, od brzegów Dunaju i stoków karpackich do skrzydeł Pamiru i Uralu, należały do formacji pasterskiej.

Świadczą o tem źródła, a gdyby one milczały, świadczyłaby wyłączna obecność stepów.

Przejście pasterzy do osiadłego życia na wschodzie Europy nie prędko, ani nie łatwo się odbyło.

Ludy, czerpiące utrzymanie swoje z dzikich darów przyrody, imają się rolnictwa dopiero wtedy, kiedy inaczej postąpić nie mogą. Przymus jest tu nieodzowny.

Przymus ten zjawia się, skoro wzrost zaludnienia i napływ wychodźców azjatyckich uniemożliwił koczownikom utrzymanie się z pasterstwa na stepach, które stały się teraz zbyt ciasne. Zmiana odbyła się najprzód w porzeczu Dunaju; w tej kotlinie, otoczonej z zachodu przez lesiste, wysokie góry, ludność stłoczyła się wcześniej, niż na rozległych stepach Rosji.

¹⁾ W stanie dzisiejszym wiedzy możnaby dowieść, że ognisko główne powstawania najazdów znajdowało się na południu Altaju. Jeszcze dzisiaj w tej okolicy można badać najczystsze wzory społeczeństw pasterskich.

Wmieszanie się cesarzy przyśpieszyło sprawę osiedlenia. Polityka Cesarstwa Wschodniego względem barbarzyńców polegała na podszczuwaniu ich przeciw sobie z zamiarem osłabienia ich. Dla rychlejszego osiągnięcia celu, przystali na odstąpienie niektórym ludom krajów, leżących na pograniczu państwa. Spodziewali się, iż w ten sposób przymocują je do ziemi i zrobią z nich szaniec przeciw najdom. Granicą, wtedy najbardziej zagrożoną, była linja naddunajska; na te miejsca rozległy step Rosji wysyłał swój nadmiar zaludnienia.

Cesarz Herakljusz (610—641) zamierzył utworzyć na prawym brzegu rzeki rząd państewek, oddając ziemię pasterzom, wyrugowanym z pańników przez sąsiadów.

W r. 620 osiadł w Dalmacji odłam Słowian, Chorwaci; inny, Serbowie, około r. 630 został umieszczony na dzisiejszym obszarze Hercegowiny, Czarnogórza, Bośni i Serbji. W parę lat później, brzeg południowy Dunaju zajęli Bułgarzy, pobratymcy Hunów, którzy przeszli Bałkany i rozleli się nietylko po obecnej Bułgarji, ale także w Tracji i Macedonji, to jest zajęli największą część obecnej Turcji europejskiej.

Życie osiadłe zastąpiło byt koczowniczy w całej dzielnicy, leżącej od Dunaju na południe. Pozostały tylko Węgry i Rosja.

W ostatnich latach w. IX odłam Hunów, Madziarzy, pchani przez innych koczowników, opuścili stepy Rosji południowej, przedostali się do Węgier i tam osiedli ostatecznie. „Odnaleźli tam, pisze Vivien de Saint-Martin, obraz stepów rodzinnych i nową ojczyznę. Szczepy, które przed nimi zajmowały kraj, zostały zamknięte w górach na północy; Madziarzy zajęli płaszczyzny środkowe, a nadto zapuszcza-

jąc się dalej, pola górzyste Panonji aż do Drawy i płaszczyn Raaby“¹⁾).

Włóścianin węgierski zachował jeszcze do dnia dzisiejszego zwyczaje pasterskie przodków swoich, pasie liczne trzody na puszczie, tylko, że zamiast bytu koczowniczego pędzi życie osiadłe i z pomocą pługa przekształcił część znaczną stepów.

„Na głównej puszczie kobierzec traw przedłuża się het daleko, w nim wzrok się gubi. Szerokie rozpadliny z czarnem błotem, ślady kół, wijące się wśród łąki, mura-wa, zmiętoszona nogami bydła, zwiastują nie drogę, bo drogi niema wśród puszczy, ale zwykłe miejsca przejścia... Jak stepy Azji, jak sawany Nowego Świata, puszcza jeszcze niedawno było dzielnicą paśników, bydło błąkało się samo, za nimi zaś koczujący pasterze. Obecnie uprawa rolna rozgościła się prawie wszędzie, ale miejscami można jeszcze spostrzedz szczątki dawnego morza traw. Tabuny koni ciągną w ordynku bojowym, trzody bydła w nieładzie, bawoły, śpiące w mule, sprawiają wrażenie panów płaszczyny. Czujemy, iż jesteśmy na łonie dziewiczej przyrody, zdala od cywilizacji, nawet nieokrzesany jeździec, pędzący za bydłem, ma w sobie coś dzikiego“²⁾).

Przejście do bytu osiadłego w granicach Rosji wymagało więcej zabiegów.

W tym kraju, koczownicy ustalili się dopiero na samym końcu. Nawet jeszcze dzisiaj koczownicy błąkają się pomiędzy Donem a Dnieprem; byt osiadły jeszcze nie zu-

¹⁾ *Nouveau dictionnaire de géogr. universelle, Hongrie.*

²⁾ E. Reclus: *Nouvelle géographie universelle*, III, 327, 328.

pełnie zatrjumfował tam nad koczownictwem. W części południowej trudno było przymocować koczowników do ziemi. W pewnych odstępach czasu przybywały z Azji nowe fale, które udaremniały wszelką poważniejszą próbę osiedlenia i rolnictwa.

Dość będzie wymienić dwu strasznych pasterzy, Dżyngis-hana i Tamerlana, którzy w w. XII i XIV przebiegli jako potok stepy Rosji południowej, a następnie zniknęli w czeluściach Azji, ażeby ponieść dokądindziej spustoszenie.

Takiem było rozmieszczenie ludów w Europie wschodniej, kiedy pojawiła się znieńska nowa grupa, przybywająca przez drogę, po której nie szło żadne z najść dotychczasowych.

To nowe pasmo pogromów szło płaskowzgórzami i wiąże się z imieniem Turków.

Spuściwszy się również z płaskowzgórza altajskiego, Turcy, tak samo jak Hunowie, koczowali czas długi na stepach turkiestańskich, przedostali się zamtąd na płaskowzgórze perskie i Azji mniejszej. Ciągnęli za sobą ludy tego samego pochodzenia, zawsze gotowe rzucić się na każdą przeszkodę. W zajętych krajach Turcy zakładali dynastję, z których najslawniejszemi były domy Gaznewidów, Seldżuków i Otomanów.

Księżę z ostatnio wymienionego domu, Mahomet II, przepłynął w d. 2 kwietnia 1453 Bosfor i obległ Konstantynopol. Miasto to wpadło w moc jego w d. 29 maja.

Turcy owładnęli następnie Trację, Macedonję, Serbję, Bułgarję, Bošnję. Narzucili władzę swoją większości ludów, którzy przed nimi osiedli na półwyspie bałkańskim, i utwo-

rzyli obszerne mocarstwo otomańskie, przed którym tak często drżała Europa. Turcy nie wypędzili tych ludów, ale jak Tatarzy w Chinach wystąpili w charakterze panów, rozproszywszy się gromadkami różnych rozmiarów.

Następuje tutaj pytanie, nad którym warto się zastanowić. Mianowicie, na karb jakich czynników trzeba położyć przewagę Turków nad innymi ludami, pochodzącymi również z pośród koczowników i osiadłymi w tych samych krajach?

Należy to przypisać trzem przyczynom:

1-o. Droga, idąca przez płaskowzgórza, po której szli Turcy, doprowadziła ich bezpośrednio do Konstantynopola. Z większą łatwością mogli oni zdobyć stolicę Wschodniego Cesarstwa. Ta wygrana otoczyła ich urokiem i siłą, zawsze dostajacemi się temu, kto jest władcą ogniska rządów. W pojęciu ludów stali się oni poniekąd spadkobiercami wszechwładzy cesarskiej.

2-o. Turcy mieli jeszcze drugą przewagę: przybyli ostatni.

Potomkowie Hunów, Słowian i innych koczowników, idących szlakiem od północy, zamienili się oddawna na rolników, przesiąknęli spokojnymi nawykami życia osiadłego, a przynajmniej utracili wojowniczość i zwyczaje surowego życia koczowników.

Turcy natomiast zachowali je w swej podróży po wysokich płaskowzgórzach Persji i Azji mniejszej, na których rolnictwo jest trudne, a niekiedy niemożliwe. Byli to istotni pasterze, mogący w potrzebie przekształcić się rychło a lekko na wojowników. Mieli tę wyższość, jaką posiadali koczownicy wobec Chińczyków, Maurów w zestawieniu z Hiszpanami, i jaką będą zawsze posiadały ludy prostego,

surowego trybu życia nad ludami zniewieściami za sprawą złożonych potrzeb.

3-o. Turcy umieli rozkazywać. W ciągu wielu wieków panowali nad mieszkańcami Persji i Azji mniejszej. Dali początek sławnym dynastjom, ród obecnych szachów perskich wyszedł z plemienia tureckiego. Ta długa władza obdarzyła ich zasobem, małych zresztą, zdolności rządzenia innymi, takim, do jakiego są zdolne ludy pasterskie. Wyższość Turków pochodziła więc z drogi, którą uskuteczнили, i była bardzo względna. O tem można będzie sobie wyrobić pojęcie, studjując ustrój ich rządów, którego nie mogą wpływy Zachodu przekształcić. Jak we wszystkich społecznościach pochodzenia pasterskiego, władze publiczne obracają się w wązkim zakresie, Turcy zadawalają się utrzymaniem całości terytorjalnej i pobieraniem podatków. W pozostałych sferach pozwolili mieszkańcom na samorząd, niezależny od działalności urzędników. „Francuzi, służący w Konstantynopolu w administracji tureckiej, często są gorsi dla rządzonych, niż starego pochodzenia paszowie muzułmańscy“ ¹⁾.

Panowanie tureckie pozwoliło ludności tych krajów zachować organizację patryarchalną. W niwecz ono obraca wpływy Zachodu i próby reformy i utrzymało Słowian południowych w stateczności społecznej, tak wyróżniającej ich od pozostałych krajów Europy. Naród serbski w ostatnich czasach oderwał się od Turcji i znajduje się pod wpływem Austrii. Natychmiast głębokie przeobrażenie odbyło się w jego ideach i zwyczajach, jego organizacja patryar-

¹⁾ E. Reclus: *Nouvelle géographie universelle*, I, 124.

chalna została nadwątloną, a kraj rozwija się w duchu urzędzeń Zachodu.

Europę wschodnią bezpośrednio i prawie wyłącznie zajęły ludy pochodzenia pasterskiego. Nie dziw, iż wpływy, wywierane przez ten typ ustroju społecznego, dotrwały w tej strefie rodziny patriarchalnej.

Tem to objaśnia się różnica tak jaskrawa pomiędzy Wschodem a Zachodem Europy.

ROZDZIAŁ III.

Szlak tundr i sawanów.

TYPY LAPOŃSKO-ESKIMOSKI I CZERWONOSKÓRY.

I.

Doniosłą dla ludu rzeczą jest umiejętny wybór szlaków swoich. Nie umiały się wywiązać z tego zadania ludy, które nieszczęśliwa gwiazda zaprowadziła na drogę wzdłuż tundr i sawanów.

Już od swego początku droga ta bynajmniej nie była zachęcająca.

Jej punkt wyjścia leży na północy od płaskowzgórza środkowo-azjatyckiego. Idzie ona wciąż na północ, t. j. ku Syberji, zmierza w kierunku posępnych dzielnic podbiegunowych.

Dzielnice podbiegunowe odznaczają się wielką jednolitością.

Jednostajność ta zależy przede wszystkim od napiętych chłódów, srożących się jednakowo nad wszystkimi ziemiami, otaczającymi biegun. Ta okoliczność na całej

przestrzeni daje początek tym samym produkcjom i narzuca ten sam tryb życia.

Następnie jest ona w związku z łatwością komunikacji. Oddzielne części tego obszaru wchodzą z sobą w porozumienie za pośrednictwem tego samego środka: sani, do których zaprzężono renifery lub psy. Jest to szybki sposób podróżowania, lód bowiem ze wszystkich powierzchni sprawia najmniej tarcia.

Ponieważ typ społeczny ludu zależy od związku pomiędzy rasą a miejscem, należy zbadać, z kąd wyszła rasa, która znalazła się na lodowatym szlaku syberyjskim. Otóż przybyła z południa, ze stepów płaskowzgórza środkowo-azjatyckiego. Uwydatnił to Paul de Rousiers, a na dowód przytoczył trzy argumenty:

1-o. Tradycje wielu ludów w obrębie tundr zgodnie wyznaczają swą kolebkę na południu.

2-o. Fakty historyczne świeżej daty świadczą niezbiecie o częściowym posuwaniu się plemion południowych ku biegunowi. Czukczowie na półwyspie Beringa zajęli miejsce Onkilów¹⁾, Tunguzi usunęli się przed przybyszami z południa, Jakutami, przywłaszczającymi sobie pańniki miuryjskie²⁾. Wspomnienie o Omokach istnieje jeszcze nad Kołymą; wyrugowali ich Czukczowie, obecnie zastąpieni na tem miejscu przez Tunguzów, Lamutów, Jugagirów i Jakutów, którzy wszyscy są południowcami.

3-o. Etnografowie przypisują pochodzenie tureckie Jakutom, temu najliczniejszemu ludowi Syberji północnej.

• 1) Nordenskiöld, I, 396.

2) Wrangell, I, 52.

Słowem, większość ludów syberyjskich pochodzi z południa, t. j. ze stepów płaskowzgórza środkowo-azjatyckiego.

Jaką jest przyroda tego szlaku? Jest to doniosłe pytanie, gdyż droga wywiera wpływ potężny na stosunki społeczne.

Szeroki pas lasów oddziela Syberję od płaskowzgórza środkowo-azjatyckiego. „Pomiędzy tundrami północy a stepami południa i w stosunku do nich strefa lasów syberyjskich zajmuje względnie największą przestrzeń: od Uralu do Kamczatki można podróżować ciągle w gąszczu lasów, przez tajgę, przerywają ją jedynie rzeki, nieliczne naturalne polany lub pola uprawne“²⁾.

Taka obfitość lasów powstała wskutek obfitych a prawidłowych deszczów, zraszających północne stoki płaskowzgórza azjatyckiego. Chmury, zatrzymywane przez wyniosły grzbiet, skraplają się w deszczu, podtrzymującym stałą wilgoć.

Krótki okres wilgoci wystarcza dla wzrostu trawy, natomiast wegetacja leśna dla swego rozkwitu wymaga dłuższego okresu wilgoci. Oto dlaczego tu przeważa las i zwycięża trawę, odwzajemniając się za przegranę, którą poniósł na płaskowzgórzu azjatyckim.

Strefa leśna zaczyna się na pochyłościach płaskowzgórza środkowego i ciągnie się z coraz mniejszą mocą do 55^o szerokości. Pokrywa więc znaczną część Syberji.

Las wytwarza społeczność zgoła odmienną od tej,

1) Ibid., 122 i nast.

2) E. Reclus: *Géographie universelle*, VI, 616.

jaka step zradza. Mianowicie niszczy więź spółniczą. Jednak spółnictwo istnieje u ludów syberyjskich, tych, które przebywają po tamtej stronie tajgi, t. j. na północ od niej.

Wyjaśnienia dostarcza zjawisko geograficzne, którego doniosłość społeczną ocenił po raz pierwszy Paweł de Rousiers¹⁾. „Przez strefę lasów idzie szereg szlaków, a plemię, idąc wzdłuż nich, może ze stepów przedostać się na tundry, nie rozstając się z ustrojem patriarchalnym. Te mi drogami są wielkie rzeki syberyjskie, które wszystkie płyną na północ, ażeby wlać wody swe do oceanu Lodowatego. Nietylko dostarczały rodzinom obfitego połowu ryb, oraz łatwego sposobu komunikacji, ale nadto wzdłuż ich nurtów zachował się pas stepów, zdatnych do wyżywienia trzód. Gromada, wyszedłszy ze stepów południa, może iść z biegiem rzek, nie poddając ustrojowi swego głębokiej zmianie“.

A oto jaka jest przyczyna istnienia stepów wzdłuż rzek: „Niejednokrotnie stwierdzono tę prawdę geograficzną, iż wielkie rzeki, w okolicach podbiegunowych płynąc z południa na północ, cisną na prawy brzeg. Ciśnienie to wyjaśniane bywa w sposób bardzo naturalny działaniem obrotu ziemi, który stawia przeszkody nurtowi i rzuca wody na brzeg wschodni, wówczas, gdy zachodni jest w stopniu większym lub mniejszym lekceważony przez rzekę“¹⁾. Rzeka więc przesuwa się ku wschodowi, pozostawiając po stronie lewej niziny napływowe bardzo urodzajne, zalewane podczas powodzi, a po prawej żłobiąc nowe a głębsze ło-

1) *La Science sociale*, VI, 155 i nast.

2) Reclus: VI, 594.

zysko, nad którym wznoszą się rumowiska skalne. O tem dobrze wiedzą tuziemcy; zanim odwiedzą nową rzekę, już przedtem nadają brzegowi lewemu nazwę niskiego, prawemu — wysokiego.

I pomiędzy roślinnością obu brzegów różnice są bardzo charakterystyczne, jak to stwierdza Nordenskiöld: „Na brzegu wschodnim (mowa o Jeniseju) roślinność zaczyna się bezpośrednio na urwisku wybrzeżnem. Stanowią ją drzewa iglaste... Pomiedzy drzewami leżą pnie i gałęzie zwalone, jedne jeszcze świeże, inne zgniły częściowo i zmurszały. Podróżnik musi wystrzegać się zejścia z drogi utorowanej. Brzeg zachodni, labirynt wysepek bez liku, składa się z niskich i bagnistych pokładów, powódź wiosenna zalewa je zupełnie i pokrywa żyznym mułem. Powstaje cudowna łąka, pokryta murawą, której kosa nigdy nie dotykała, porośla charakterystyczną roślinnością krzewiastą, dosięgającą 8 metrów wysokości. Wody rzeki, podczas pory wiosennej, spełniają w tym zieleniejącym parku, w którego obrębie nigdy nie powstała noga ludzka, czynność ogrodnika. W pobliżu urwiska ciągną się zielone trawniki, składające się jedynie ze skrzypu, bez domieszki żadnej innej trawy, a zasługujące na to, ażeby ozdabiały rezydencję magnata“¹⁾). Również i brzegi innych rzek syberyjskich, zwłaszcza zaś Obi, są takimi samymi wielkimi drogami, trawą porośłemi.

W ten sposób stepy wielkiego płaskowzgórza azja-

¹⁾ Nordenskiöld: *Voyage de la Vega autour de l'Asie et de l'Europe*, I, 340, 341.

tyckiego bezpośrednio łączą się z tundrą syberyjską z pomocą systemu szerokich dróg-łąk, wzdłuż nurtów rzecznych. Pasterze mogli dotrzeć do tundry, nie poddając istotnej zmianie swego bytu pasterskiego ani więzi społecznej.

Co z nimi stało się w tej dzielnicy? A przede wszystkim jaką jest przyroda tego nowego terytorjum geograficznego?

Pod nazwą tundry słynie dzielnica podbiegunowa, otaczająca z północy knieje syberyjskie i produkująca mchy jedynie. Taka wyłączna roślinność zawdzięcza swe istnienie surowości klimatu, która zabija zarówno drzewa, jak i trawy.

Mchy należą do grupy skrytopłciowych roślin, zawierających w sobie okazy, złożone jedynie z korzonków. Nizkiego wzrostu, odznaczają się żywotnością, rozwijają się na powietrzu i wymagają światła, na ziemi, skałach, pniach, starych drzewach. Rosną głównie w krajach chłodnych, w których inna roślinność nie zdoła wytrwać. Formy ich są bardzo urozmaicone: rośliny te przybierają już kształty skorup, to rozgałęziają się, niby drzewa w miniaturze, lub korale, niekiedy ciągną się jak nitki i dosięgają bardzo znacznych rozmiarów ¹⁾).

Z pośród zwierząt jedynie renifer może przystosować się do tej ubogiej roślinności. Niezliczone trzody pasą się w całej prawie dzielnicy podbiegunowej.

Renifer dosięga wzrostu pospolitego jelenia, ale posiada kształty mniej wytworne. Ma na głowie rogi, odzna-

²⁾ Patrz Deschanel i Focillon: *Dict. enc. des sciences*, art. Lichenacées.

czające się swoją wielkością, oraz kierunkiem gałązek na wewnątrz. Umie wydobywać pokarm z pod śniegu nogą swoją.

Zwierzę to na tundrze zastępuje konia i wołu. A to sprawia doniosłe zmiany w życiu pasterskim i w ustroju społecznym.

Renifer wymaga odległych a szybkich przemieszczeń, częstej zmiany pańników, a to z powodu ubóstwa gleby i szybkiego wyniszczania mchów.

Podczas zimy renifery schodzą na niziny i w doliny, w porze letniej udają się na wyniosłości, po części dlatego, ażeby uchronić się od dotkliwych ukąszeń paru gatunków much i muszek. Ludy, które ułaskawiły renifera, muszą uwzględniać te zwyczaje zwierzęcia, bardziej tułackie, niż konia. Lapończycy i Eskimowie posiadają niezliczone trzody reniferów, najbiedniejsi mają przynajmniej pół tuzina, zamożni po 700—800 sztuk.

Dzięki ręczości tego zwierzęcia, oraz gładkiej powierzchni lodu, ludy północy łatwo mogą zmieniać miejsce pobytu i odbywać znaczne podróże, niezbędne dla znalezienia nowych pańników.

Zaprzęgają reniferów z pomocą naszyjnika ze skóry, od którego idzie postronek, przechodzący pod kadłubem i między nogami do przodu sanek. Sznur, przywiązany do pnia rogów, zastępuje lejce. Renifery w zaprzęgu robią 10—12 kilometrów na godzinę. Sanie składają się z lekkiego ostowu z prętów, pokrytego skórą.

Pasterze są ubodzy. Samice dają mało mleka, trzeba około dziesiątka sztuk, ażeby otrzymać udój równoznaczny udojowi jednej krowy.

Ludy te muszą więc uzupełniać niedostateczne dochody pasterstwa przez dodatkowe źródła utrzymania. Zwracamy uwagę na ten fakt, bo jest pierwszym zwiastunem ewolucji w kierunku odmiennego typu więzi społecznej.

Lapończycy i Eskimowie nie mogą poprzestać jedynie na pasterstwie jak koczownicy płaskowzgórza środkowego, ale winni jać się nadto polowania i rybołówstwa.

Trudnią się połowem ryb w wielkich rzekach, o których wspominaliśmy; myśliwstwem w sąsiednich lasach i na przestrzeni tundry.

P. de Rousiers przytacza w tym względzie bardzo charakterystyczne uwagi admirała Wrangella, który spędził trzy lata w Niższym Kołymsku. W jego opisie rybołówstwo stanowi główne źródło utrzymania Kołymian. Zaczyna się w czerwcu, kiedy lody puszczają, a rybacy znajdują się w obliczu niezmiernej ilości ryb. Naówczas robią znaczne zapasy prowizji na zimę, każdy stawia swe sieci w ciągu kilku dni, kiedy ryby idą z prądem rzeki. Przygotawiają plony połowu w postaci gukoły, t. j. suszą lub wędzą każdą sztukę, wypapraszając ją poprzednio, przyczem wypaproszone części dostarczają znacznych ilości tłuszczu.

Po ukończeniu tej roboty, wszyscy udają się na wybrzeża, na których w tej porze gnieźdzą się stada gęsi, kaczek i łabędzi. Cokolwiek spadnie od pocisku łuku, pręta, lub wystrzału fuzji, wszystko to wędzą, zakopują w warstwie śniegu i przechowują do zimy.

Mieszkańcy, bardziej przewidujący i przedsiębiorczy, polują w tym samym czasie w tundrach lub w kniei na dzikie renifery. Zabite zwierzęta ćwiartują oni i konserwują w podobny sposób.

We wrześniu niezmierzone ławice śledzi ciągną w górę Kołomy. Ale ich pochod nie odznacza się prawidłowością. Niekiedy, w ciągu dwu lat z rzędu, można zrobić jedynie szczupłe zapasy, a niekiedy jedno pogrążenie sieci wyławia tysiące sztuk. Przejście trwa bardzo krótko: na przestrzeni trzech wiorst dokoła Niższego Kołymska tylko trzy dni.

Kiedy jesienią nastąpią mrozy, w lodzie, pokrywającym rzekę, wyrębują przeręble i wędką łapiają ryby; ten sposób połowu, odpowiednio do roku i miejsca, trwa krócej lub dłużej, ale wszędzie kończy się w grudniu, gdy mrozy i mroki zmuszą każdego siedzieć w domu.

Słowem, pasterstwo nie wystarcza, rybołówstwo zaś i polowanie dostarczają chwilowych i niepewnych źródeł utrzymania.

Wrangell pozostawił opis okropnych, perjodycznie powtarzających się głodów, których był świadkiem. „Można wtedy widzieć gromady Tunguzów i Jukagirów, które wypędził z wybrzeża Aniuju i tundry brak pożywienia, żebrzące w wioskach rosyjskich w okolicach Kołomy. Z przygastem okiem, z twarzą zsiniałą i wychudłą, błakają się nieszczęśliwi, przypominający nieboszczyków, co wypełzli z grobów; znalazłszy przypadkiem trup renifera, który zdechł z choroby, rzucają się nań jako gromada zgłodniałych wilków i pożerają, nic nie pozostawiając: skóra, kości, wszystko idzie na zęby, ściśnięte nadmiarem cierpień... Mieszkańcy niekiedy wychwytyją nędzne resztki pożywienia, przeznaczonego dla psów, a znaczna część ich ginie“ ¹⁾).

¹⁾ Tom I, 138, cytowany u P. de Rousiers'a.

Inny podróżnik, który spędził dziesięć miesięcy zimowych u Czukczów nad brzegami oceanu Lodowatego, zostawił opis nie mniej jaskrawy: „Dr. Kielman, lekarz naszej wyprawy, opowiada, iż w częstych odstępach czasu sąsiedni Czukczowie odwiedzali okręt i zwracali się do majtków ze słowami: *Uinga muri kanka*—„jestem głodny, nie ma co jeść, daj mi nieco chleba“. Ci biedacy, opowiada on, strasznie cierpią głody, nie mając możliwości upolowania foki, której mięso stanowi ich główny pokarm. Muszą poprzestać na rybie (duże odmiany dorsza), ale pożywienie to nie jest dostateczne. Zresztą zabrakło im tego pokarmu od czasu naszej wizyty ¹⁾).

W obrębie tundry, tak samo jak na stepie, prosty, dziki zbiór dostarcza środków utrzymania, ale trzeba uzupełniać pasterstwo połowem ryb i polowaniem. Te wszystkie źródła są szczupłe pod względem ilościowym, a nadto niepewne.

Ten stan rzeczy nie sprawia zmian w ukształtowaniu własności. Ziemia nie stanowi przedmiotu posiadania, tak samo jak u pasterzy stepowych, bo użytkują z niej z pomocą koczownictwa i prostego poboru plonów. Człowiek bardziej jest zainteresowany w posiadaniu swobody ruchów, niż w siedzeniu na tem samym miejscu. Stały osiadły byt nie może iść w parze z życiem tułackim z konieczności. Wartość gruntu spada, a posiadłość zbiorowa jest znacznie uszczuplona.

Rodzina przedstawia spółnotę; a warunki bytu pasterskiego ją ochraniają. Polowanie i rybołówstwo wpraw-

¹⁾ *Science sociale*, VI, 146.

dzie zachęcają jednostki odważniejsze i zręczniejsze do wyzwolenia się z więzów spółnictwa i zatrzymania na swój własny użytek plonów polowania i rybołówstwa. Ale te źródła utrzymania są zanadto skąpe i niepewne, ażeby zdołały zrównoważyć korzyści dostarczane przez ustrój spółniczy. Nadto niepodobna wyżyć w samotności wśród tych lodowatych pustyń.

Spółnictwo występuje w wyraźnej formie. Koczownicy ci „żyją w spółce w namiotach ze skóry; wyciągają pospołu sieci długie na metrów 40 i więcej, razem polują na dzikie renifery, lwy i cieleta morskie, pospołu łapią ptaszki w długie sidła“. Można znaleźć u Pallasa¹⁾ opis tych forteli myśliwskich, używanych przez Samojedów. Wrangell i Nordenskjöld w swoich opisach pozostawili obraz życia patriarchalnego tubylców, z którymi się zetknęli. Mianowicie Nordenskjöld czyni spostrzeżenie, iż niepodobna obliczyć ludności osady Czukczów, bo tubylcy spędzają dzień cały jedni u drugich i nigdy dokładnie niewiadomo, ile osób mieści namiot²⁾; jest przecież rzeczą niewątpliwą, że kilka sta- deł małżeńskich mieszka w tym samym namiocie, co potwierdzają Wrangell³⁾, Pallas w stosunku do innych ludów⁴⁾.

Ale spółnota jest nędzną, trzyma się częściowo potrzebą przebywania w gromadzie możliwie zwartej dla uniknięcia niedostatku. Rasa wyrodnieje z powodu cierpień,

¹⁾ *Voyage dans l'Asie septentrionale*, IV, 120 -- 125, wyd. 1793 r.

²⁾ Nordenskjöld, I, 434.

³⁾ Wrangell, I, 130 i 57.

⁴⁾ P. de Rousiers: *Science sociale*, VI, 146.

zarówno pod względem fizycznym, jak i moralnym. Warunki bytu są zaiste bardzo ciężkie.

Jak wydobyć się z nich? Jakim szlakiem można wy dostać się z tego więzienia lodowatego, gdy który lud miał nieszczęście w niem się znaleźć?

II.

Łatwiej przeniknąć do strefy biegunowej, niż z niej wyjść.

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że powrót na południe jest rzeczą łatwą, t. j. odbycie z powrotem tej samej drogi, po której ludy te przyszły.

Ale, niestety, droga ta jest zamkniętą z dwóch przyczyn, których przemódz niepodobna.

1-o. Ludy te nie posiadają środków przewozu, wymaganych przez dzielnice, bardziej leżące na południu.

Rozporządzają one tylko saniami i reniferem. Jedne i drugi wypowiedają posłuszeństwo poza obrębem strefy podbiegunowej. Pozbawione codziennych środków przewozu, zmuszone byłyby odbywać pochód pieszo. Taki stan rzeczy nie sprzyja przedsięwzięciu wypraw, zwłaszcza transportowi sprzętów.

2-o. Ludy te są zupełnie pozbawione pierwiastków życia publicznego.

Pasterz na stepie posiada przynajmniej przypadkowej natury karawany, których przywódcy mogą w potrzebie zgromadzić znaczną rzeszę i z nią rzucić się na sąsiadów.

Ale wśród lodów, wobec rzadkości pańników, wielkie zbiorowiska są niemożliwe, a rodziny nie przekraczają rozmiarów wspólnoty mało ludnej. Nie są ani przyzwyczajone do przypadkowych nawet najazdów, ani nie posiadają możliwości. Nie mają wodzów.

W historii dzielnicy podbiegunowej niepodobna wymienić nazwiska ani jednego wodza, nawet naczelnika gromady. Kto słyszał o wtargnięciu Lapończyków, Samojeatów, Eskimów do obcych krajów? Podobne przypadki nigdy nie zaprzętały, ani nie zaprzętną ciała dyplomatycznego ludów cywilizowanych. Fakt ten, którego przyczyn nie roztrząsają dyplomaci, możemy, z całą słusnością, poczytywać za ustalony.

Ludy te znalazły się poniekąd zaplątanemi w sidłach z lodu, które nie wypuszczają tak łatwo swego łupu.

A więc czyż ich przeznaczeniem byłby wiekuisty pobyt dokoła bieguna, bez wyjścia ztamtąd?

Wyjścia od zachodu, t. j. od krańców Laponji skandynawskiej, niema. Poza wybrzeżem północnem Norwegji rozciąga się morze, wolne od lodów wskutek wielkiego prądu ciepłej wody, Golsztromu, który, począwszy się w zatoce Meksykańskiej, podnosi się tamtędy ku biegunowi. A morze to jest nietylko wolne, ale nadto posiada niezmiernie rozmiary: istna to przepaść, oddzielająca Europę od Ameryki.

Na wątych czólnach ludy te nie mogą puszczać się na takie tonie, ani urządzać wypraw morskich.

Z tej strony szlak lodowaty urywa się znienacka, a niema środka stworzyć tam ciągłości.

Pozostaje droga na wschód, kończąca się u cieśniny Berynga, t. j. w obliczu zachodniego wybrzeża Ameryki.

Cieśnina Berynga w zestawieniu z tonią morską, która ciągnie się za Laponją skandynawską, posiada charakter zgoła odmienny. Raczej ułatwia, anizeli utrudnia stosunki.

Zimą, t. j. w ciągu prawie ośmiu miesięcy, cieśninę ścina gruba warstwa lodu, umożliwiająca podróże. Most z lodu łączy wtedy Syberję z Alaską.

Szerokość cieśniny jest dość niepokazna, wynosi bowiem tylko 92 kilometry pomiędzy Wschodnim Przylądkiem w Azji a Przylądkiem Zachodnim (ks. Walji) w Ameryce.

Rozmiary te zostają jeszcze uszczuplone obecnością w. Djomedesa, wznoszącej się pośrodku cieśniny i rozpoławiającej drogę. W połowie cieśniny głębokość nie przewyższa 50 — 90 metrów i zmniejsza się w kierunku obu wybrzeży.

A więc w porze zimowej, dla przedostania się z Azji do Ameryki, ludy syberyjskie nie potrzebują żadnych zmian w swoim sposobie przejazdów. Mogą drogę tę przebyć na saniach lub łyżwach.

Wiadomo, że Nordenskjöld musiał zimować w ciągu ośmiu miesięcy w punkcie północno-zachodnim cieśniny, bo lody zatamowały drogę *Vedze*, a o usunięciu przeszkody niepodobna było marzyć. Okoliczność, uniemożliwiająca ruchy *Vegi*, ułatwiła sanne i Czukczowie dojeżdżali reniferami aż do samego budynku¹⁾.

I podczas lata, trwającego zresztą tylko cztery miesiące, stosunki nie doznają przerwy.

¹⁾ P. de Rousiers: *Science sociale*, VI, 229.

Dzięki nieznacznej szerokości cieśniny i możliwości odpoczynku na wyspie Djomedesa, ludy nadrzeczne mogą korzystać ze swych łodzi, prostej budowy.

Łodzie te istnieją wszędzie w rozpatrywanej dzielnicy; są dwóch typów.

Jeden typ, zwany *bajdara* u tybylców cieśniny Berynga i *umiakiem* przez Eskimów Ameryki i Grenlandji, mieści 10—20 osób. „Składa się z ostowu drewnianego, którego oddzielne części związane mocnymi rzemykami z niewyprawionej skóry fok. Ostów ten zrobiony z długich żerdzi (lub w braku ich z lżejszego drzewa), dobrze na końcach swoich i dokładnie związanych takimi samymi rzemieniami, odznacza się zarówno wielką mocą, jak i znaczną elastycznością. Gdy rusztowanie to jest gotowe, pokrywają je skórami fok a przymocowują je silnie, przedtem bardzo mocno wyciągnąwszy. Otrzymujemy łódź, w której zdoła się zmieścić cała rodzina wraz z żywnością.¹⁾“

„Umiak — pisze podróżnik, który długo przebywał w Ameryce podbiegunowej—jest wozem rodzinnym, służy za środek transportu i zastępuje nasze większe czółna. W podróży mieści on dziatwę i starców, chorych, niedołączonych, a kobiety go w ruch wprawiają“²⁾.

Przedstawicielem drugiego typu jest *kajak*, statek lżejszy i ruchliwszy.

Kajak budują z tych samych materiałów, co umiak, t. j. ze skór fok zeszytych z sobą i naciągniętych na lekkie obręcze drzewa, zręcznie zaczepione i połączone³⁾.

¹⁾ Dr. I. I. Hayes: *la Terre de désolation*, 43.—P. de Rou-siers: l. c.

²⁾ E. Petitot: *les Grands Esquimaux*, 1887, 125.

³⁾ Petitot: l. c., 178.

„Z pomocą tych dwóch rodzajów czółen, plemię Czukczów może przejechać cieśninę Berynga nawet podczas lata, gdy pomost z lodu zniknął, i znaleźć się w Ameryce, nie wychodząc znacznie z biegu życia codziennego¹⁾).

Przejście to ukuteczniają oni dość często, o czym świadczy istnienie stosunków handlowych pomiędzy ludami wybrzeża azjatyckiego a amerykańskiego. „Różne ludy — pisze podróżnik Whymper — podtrzymują z sobą stosunki wymienne dość ożywione; można często spotkać w odległości setki mil w głębi Alaski ubrania, sprzedawane przez Czukczów; materiału dostarczyły trzody reniferów z okolic Plover-Bay'u (na wybrzeżu azjatyckim), a kobiety tamtejsze, posiadające sławę, iż są lepszymi krawczyniami niż niewiasty z nad Yukonu, wyrobiły odzież“²⁾).

Oto istotne wrota, któredy można wydobyć się z dzielnicy podbiegunowej! Jedynie tamteży ludy rozpatrywane wyjść mogą, gdyż mogą tego dokonać za pomocą posiadanych środków komunikacji; a nadto dlatego jeszcze, że w ciągu wieków, po tamtej stronie cieśniny, znajdowały ziemię wolną, do której nikt prawa nie rościł. Czekał je ład amerykański.

Szlak syberyjski sprawił wśród wychodźców ze stepu pewne przekształcenie, pierwsze co do czasu; szlak amerykański typowi temu nada nowy a odmienny kierunek rozwoju społecznego.

¹⁾ P. de Rousiers: l. c.

²⁾ *Voyages et aventures dans l'Alaska*, 1871, 187.

III.

Obszary podbiegunowe amerykańskie, w porównaniu z azjatyckimi, przedstawiają różnice, wynikające z warunków miejsca i pracy, ale nie o tyle zasadnicze, aby sprawiły istotną zmianę w typie społecznym szlaku syberyjskiego. Wydały one jedynie odmiany tego typu¹⁾.

Dopiero wtedy staniemy w obliczu doniosłych zmian w tym typie, kiedy będziemy śledzili ludy, które dzięki istnieniu wolnej ziemi opuściły dzielnicę podbiegunową amerykańską i rozeszły się po lądzie amerykańskim.

Przed nimi leżały trzy drogi:

1-o droga sawanów na południu;

2-o droga gór Skalistych na południo-zachodzie;

3-o droga jezior na południo-wschodzie.

Trzy te drogi dały początek trzem odmiennym typom społecznym.

Pierwszą drogą była droga, idąca przez sawany.

W tym kierunku udał się największy odłam. Pociągnęło go wzdłuż tego szlaku i poniekąd służyło mu za przewodnika zwierzę, bizon. Bizon wogóle wywarł znaczny wpływ na losy społeczeństw tamtejszych.

¹⁾ Istnieją dwie zasadnicze odmiany: typ właściwy Alasce i typ nadrzeczny, właściwy rzekom Ameryki Północnej. Pierwszy powstał za sprawą polowania na zwierzęta, futer dostarczające; drugi — polowania na foki. Szczegóły można znaleźć w pracy P. de Rousiers'a: *Scienze sociale*, VI, wrzesień i październik, 1888.

Paweł de Rousiers pierwszy wskazał i opisał fakty społeczne, które w toku naszych dalszych wywodów streścimy¹⁾.

Bizon, czyli dziki bawół amerykański, jest zwierzęciem trawozernem, krewniakiem naszego wołu domowego. Można go spotkać, acz rzadko, w niektórych okolicach dzielnicy podbiegunowej.

Buffon twierdził, że zwierzę to przybyło ze Starego Świata po lodzie przez cieśninę Berynga. Bizon szedłby tym samym szlakiem co ludzie,—zdarzenie bardzo prawdopodobne. Przypuszczenie to ma na swe poparcie argument w obecności byka piźmowca na wybrzeżu zatoki Hudsonskiej.

Ale obszar podbiegunowy nie jest odpowiednim miejscem pobytu dla bizona. Gromadzi się on w wielkie stada dopiero na rozległych trawnikach.

Przestrzenie te ulokowały się w strefie, leżącej bardziej na południu i zajmującej cały środek Ameryki Północnej. Słyną one pod nazwą sawanów lub prerji. Ciągają się od rzeki Misisipi na wschodzie do gór Skalistych na zachodzie.

Olbrzymie te przestrzenie, „bardziej niż któraś inna część globu, przypominają sobą stepy Mongolji.“ „Cała dzielnica, idąca od Nebraski do wielkich gór (gór Skalistych) — powiada p. de Smet²⁾ — przedstawia obszar piaszczysty a skalisty, pokryty substancjami pochodzenia wulkanicznego; miejsca urodzajne zdarzają się tylko nad rzekami

¹⁾ Patrz: *Science sociale*, VII i następne. 1888.

²⁾ Dzieła J. F. Cooper'a. Wstęp do pracy *la Prairie*.

i rzeczułkami. Dzielnica ta przypomina pustynie azjatyckie falistością swojej płaszczyzny, pozbawionej drzew, oraz swemi gruntami, pustemi a piaszczystemi, nużącemi oko swoją rozległością i jednostajnością¹⁾). Ten sam podróżnik ochrzcił stepy yellowstonskie nazwą pustyni 800-mi-
lowej²⁾).

Okolice te są tak pozbawione drzew, iż trzeba gotować strawę, używając wysuszonego łajna bizonów.

Warunki geograficzne i atmosferyczne dostatecznie wyjaśniają naturę prerji amerykańskich.

Olbrzymia ta płaszczyzna pochyla się ku wschodowi, t. j. ku Misisipi, na zachodzie zamyka ją pasmo gór Skalistych. Jest więc zasłonięta od wpływów wilgotnych Pacyfiku, a zarazem i Atlantyku wskutek znacznej odległości i przez pasmo Alegańskie. Wystawioną została na działanie wiatrów północno-zachodnich, wysuszonych przez lody, lub południowo-wschodnich, które utraciły wilgoć swoją, przebiegłszy połowę lądu amerykańskiego.

Okres wilgotny trwa krótko, gdy śniegi, przyniesione przez chłodne wiatry podbiegunowe, stopnieją. Ale wystarcza i tego czasu, jak i na stepie azjatyckim, dla wzrostu trawy, choć jest za krótki dla powolniejszego i bardziej wymagającego wzrostu drzew.

Okolica dziwnie sprzyja zwierzynie roślinożernej. Tułają się tam trzody niezliczone. „Po podróży siedmiodniowej wzdłuż Platy (w Nebrasce)—pisze P. de Smet—przybyliśmy do dzielnicy zamieszkałej przez bizony. Wczesnym ran-

²⁾ *Voyage aux Montagnes Rocheuses*, 19.

³⁾ Tamże, 85.

kiem opuściłem obóz samotnie; chciałem mieć zupełną swobodę; szedłem wąwozem, nie pokazując się, a wiatr był sprzyjający. Zwierzę to ma bardzo subtelne powonienie, które zawiadamia go o bliskości człowieka na przestrzeni 4 mil (ang). Natychmiast umyka, bo nie może znieść tego odoru. Niepostrzeżony dostałem się na wysokie wzgórze, z kąd miałem widok na obszar prawie 12-milowy. Obszer-na płaszczyna roiła się od zwierząt, targowisko europejskie może o tym obrazie dać jedynie bardzo słabe pojęcie. Miałem przed sobą jak gdyby targowisko świata całego, zebrane na jednej z najpiękniejszych jego płaszczyn. Podziwiałem wolny a majestatyczny krok ciężkich zwierząt, idących jedno za drugim w milczeniu, inne okazy szczypały chciwie obfitą paszę, zwaną tutaj krótką trawą bizona... Zmienacka po olbrzymim zastępie przebiegło wstrząśnienie: jedna gromada zawiadamiała drugą, cała trzoda cofała się, uciekając w różne strony. Bawoły poczuły wspólnego wroga, myśliwcy galopem prędkim wpadli pomiędzy zwierzynę. Zdawało się, iż ziemia drży pod ich nogami, a głucha wrzawa, która dolatywała, przypominała grzmoty odległe.“

Nasi wychodźcy, ścigając bizona, zostali pociągnięci ku południowi. Jęli się namiętnie polowania.

Czerwonoskórzy — możemy wychodźców ochrzcić obecnie tą nazwą — wyzyskują obecność bizona za pośrednictwem wysiłku myśliwskiego.

Ale czemu, zamiast oswojenia tego zwierzęcia, poprzestali na prostem polowaniu? Innemi słowy, dlaczego zamienili się nie na pasterzy, jak zrobili stepowcy azjatyccy, jeno na myśliwców?

Zagadnienie to doniosłe i zasadnicze! Wyjaśnia różnicę pomiędzy ludami Ameryki a Azji. Ujrzymy teraz, że

kierunek rozwoju cywilizacyjnego zależy nieraz od okoliczności z pozoru drugorzędnych.

Czerwonoskórzy nie jęli się pasterstwa, ale myśliwstwa dla następujących czterech przyczyn:

1-o. Za sprawą dotychczasowych nawyknień myśliwskich.

Nie chcę bynajmniej twierdzić, iż niepodobna zamienić rasy myśliwskiej na pasterską. Jednak pomimo rozległego rozbioru faktów, uskutecznionego w ciągu półwieku przez *Science sociale*, nie znalazłem ani jednego przykładu takiej zmiany, samorzutnie przez lud dokonanej.

Ta zmiana jest tak trudną, iż pomimo środków, jakimi rozporządza, ani nieustających starań w ciągu w. XIX, rząd Stanów Zjednoczonych nie zdołał przetworzyć na pasterzy niedobitków czerwonoskórych. Na przekór przepisom oszczędzenia bizonów, na przekór energicznej i czynnej działalności urzędników, rezydujących na terytorjum indyjskiem, Czerwonoskóry ściga stada nielicznych bizonów, które ocalały od wytępienia.

Zwierzęta te istnieją dzisiaj w liczbie zbyt niewielkiej i nie mogą wyżywić nawet tych kilku dziesiątków Indjan, jacy pozostali. Rząd amerykański musi stale dostarczać wołów tym zgłodniałym rozbitkom.

Indjanie, zamiast postarania się o rozmnożenie tych zwierząt domowych i połączenia pasterstwa z rolnictwem, nie mają nic pilniejszego nad urządzenie polowania na nie i wymordowania. Na woły oczekują oni na granicy swego terytorjum. Rozpoczyna się wściekła jazda konna przez prerję, a potem rzeź, która winna pocieszyć duchy przodków.

Ci dalecy przodkowie, przyzwyczajeni do polowania podczas pobytu swego w obszarach podbiegunowych,

wskutek uszczuplenia, a następnie zupełnego zniknięcia renifera, rozpoczęli polowanie na bizona, nie myśląc zgoła o ich oswajaniu.

Polowanie jest czynnością, posiadającą jeszcze więcej uroku niż pasterstwo: tem daje się wytłómaczyć niechęć do rozstania się z niem.

Myśliwski tryb życia przyczynia się do rozwoju lekkomyślności i życia z dnia na dzień. Gdy zwyczaje myśliwskie zakorzenią się na dobre, rasa traci wszelką zdolność do pracy, wymagającej chociaż nieco przewidywania.

2-o. Obfitość bizonów.

Obfitość zwierzyny bynajmniej nie sprzyjała zniechęceniu się rasy do powabów polowania. Raczej sprawiła, iż ludy oddały się całą duszą swoją temu trybowi życia.

3-o. Nieobecność konia.

Pasterstwo na rozległych przestrzeniach jest niemożliwe bez współudziału konia. Opisując pasterzy Azji środkowej, udowodniliśmy, iż koń umożliwia człowiekowi ściganie, dozór i pilnowanie trzód, a także przewóz sprzętów z paśnika na paśnik.

Ameryka nie miała konia. Nie zdołał przedostać się do dzielnicy podbiegunowej i dosięgnąć cieśniny Berynga. Dopiero Europejczycy rozkrzewili to zwierzę na lądzie amerykańskim. Oto parę świadectw.

W liście, pisanym do Ferdynanda i Izabelli 7 lipca 1502 r., Krzysztof Kolumb stwierdza nieobecność konia w Panamie i Hondurasie. Ufa jednak, iż znajdzie go w głębi lądu.¹⁾ Ale nie napotkał „innych czworonożnych prócz psa, nieumiejącego szczekać.”²⁾

¹⁾ Colomb: *Relat. de quatre voyages*, wydanie Navarrette'a III, 145—147.

²⁾ Ibid.; 110, 111.

Odkrywcy, którzy po Kolumbie zwiedzali te okolice, to potwierdzają. „Indjanie, gdy ujrzeli koni—pisze Herrera, historyk Hiszpanji i Indji Zachodnich za czasów Filipa II—byli bardzo zdziwieni, bo nigdy jeszcze nie oglądali tego rodzaju zwierząt. Zwrócili się do nas plecami i zaczęli uciekać każdy w swoją stronę, starając się ocalić, jak który uznał za stosowne.¹⁾“

To samo można powtórzyć o innych krajach Ameryki.

O Meksyku posiadamy świadectwo Diaza del Castillo, jednego z nieustraszonych towarzyszy Korteza. „Indjanie uciekli natychmiast. Wrogowie nasi mniemali, że rumak z jeźdźcem stanowią jedną całość, gdyż nigdy nie widzieli konia.²⁾“ Kortez razu jednego wymyślił fortel, polegający na wywołaniu masowego rżenia koni. To popłochem przejęło Indjan.³⁾ Zabiwszy konia, zawieszali jego skórę jako trofea najślawniejsze. Sprawozdania Diaza i Herrery obfitują w podobne przykłady.⁴⁾

Koń również nie istniał na obszernych płaszczyznach pomiędzy Misisipi a górami Skalistemi. „W nowych krajach konie są rzeczą najpotrzebniejszą, napędzają one strachu wrogom i rozstrzygają o losie bitwy“.⁵⁾ Wreszcie to samo można powiedzieć o Kanadzie, zwanej naówczas Nową Francją. Piotr Boucher w swej *Histoire véritable et naturelle des moeurs et productions de la Nouvelle*

¹⁾ *Hist. générale*, I, 93.

²⁾ *Hist. ver.*, I, 109.

³⁾ *Hist. ver.*, I, 112 — 114.

⁴⁾ Patrz Herrery: *Hist. génér.*, III, 246, 380, 610.

⁵⁾ Castanada: *Relation*, 245.

France, poświęconej Colbertowi, odzywa się w sposób następujący: „Czy są konie w tym kraju? Odpowiem przecząco. A czy są łąki, czy owies dojrzeva? Przewybornie, łąki zaś są przepyszne“.

Języki indyjskie nie posiadają własnej nazwy konia. Posługują się wyrazami europejskimi, np. *cohaiullo*, od hiszpańskiego *cavallo*.¹⁾ Jedno ze sprawozdań opowiada nam o pierwszej nauce jazdy konnej plemion koczowniczych indyjskich ²⁾

Koń nie istniał i w Ameryce Południowej.

Tubylcy peruwiańscy nic nie wiedzieli o koniach i mówili, że Hiszpanie „dosiadają wielkiej owcy“.³⁾ Na widok tego zwierzęcia zdejmował ich strach paniczny. „Indjanie—opowiada Xeres,—ujrzawszy pędzące konie, prawie wszyscy opuścili swe miejsca i uciekali z takim pośpiechem, iż zburzyli część muru miejskiego, a wielu padało nawzajem na siebie. Jeźdźcy, ścigając uciekających, tratowali, mordowali i zadawali rany. Piechota z taką gwałtownością dała ognia, iż niebawem większość tych, którzy pozostali, nie żyła. Podczas całej potyczki ani jeden Indjanin nie zrobił użytku ze swego oręza, taki był popłoch na widok Pizarra, pędzących koni, oraz z powodu wystrzałów artylerji. Były to wszystko rzeczy nowe. Uciekali więc nie walcząc“.⁴⁾

Historyk Inków, Garcilasso, opowiada o wprowadzeniu

1) Joutel: *Journal historique*, 231, 236.

2) Ibid., 36.

3) Zarate: *Histor. de la découv. de Perou*, I, 169.

4) *Relation véridique de la Conquête de Pérou*, 657.

koni do tego kraju Ameryki Południowej.¹⁾ Opisuje, jaki strach ogarnął Peruwiańczyków na widok koni. „Rumaki nabawiły Indjan wielkiego strachu; widząc je w biegu, stracili głowę, a chociaż droga była szeroka, nie umieli korzystać z jej boków i dać im przejście; zdawało się im, iż dokądkolwiek się zwróca, będą stratowani; gdy koń pędził galopem, przebiegali wpoprzek drogi parę razy, próbując się usunąć; przybywszy na jedną stronę, wyobrażali sobie, iż na drugiej będą bezpieczniejsi i natychmiast biedz zaczynali. Ze strachu truchleli i tracili wzrok; sam widziałem, jak, pragnąc uciec, rzucali się pod kopyta. Tylko wtedy czuli się bezpiecznymi, gdy mieli pomiędzy sobą choć jednego Hiszpana, chociaż i wtedy nie byli jeszcze zupełnie spokojni. Niepodobna odtworzyć sobie dzisiaj popłochu ówczesnego; obecnie, wskutek wielu zetknięć, strach zmniejszył się, ale nie o tyle, ażeby którykolwiek z Indjan ośmielił się zostać kowalem i jać się kucia koni; w innych rzemiosłach, których nauczyli się od Hiszpanów, są dobrymi robotnikami, ale nie biorą się do kucia, bo lękają się zbliżyć do koni; dzisiaj wielu Indjan służy u Hiszpanów, chodzi około koni i chędoży je zgrzeblem, ale nie odważa się ich dosiąść“.

O Wenezueli i Nowej Grenadzie znalazłem świadectwo Federmana, oficera niemieckiego w wojsku hiszpańskim: „Należy zaznaczyć, iż Indjanie doznają takiego strachu na widok konia, że kilku jeźdźców i garstka piechurów zmuszają do ucieczki tak bardzo wielką liczbę Indjan, iż obawiam się nawet o tem pisać“.²⁾

¹⁾ *Primera parte de los Comentarios*, 323, a także Acosta: *Histoire naturelle et morale des Indes*, 180, 182.

²⁾ *Belle et agréable narration du premier voyage de N. F. aux*

Pozostaje wreszcie olbrzymia dzielnica pampasów, zajmująca prawie całą południową część Ameryki Południowej na przestrzeni takiej, jak powierzchnia Europy. Koloniści hiszpańscy, cofając się wśród potyczek, pozostawili tam pięć ogierów i tyleż kobył, przodków, jak pisze Azara¹⁾, koni dzikich w pampasach. Zresztą i inne konie, przyprowadzone przez Europejczyków, niejednokrotnie odzyskiwały swobodę na tych stepach, dla nich zaiste stworzonych.

Pisarze ówczesni opowiadają o przerażeniu Gwaranjów na widok pierwszych koni. „Strach, napędzony Indjanom przez konie—pisze Hernandez²⁾—warto było obserwować. W obawie Hiszpanów przynosili zwierzętom wszelkiego rodzaju pożywienie, miód i kury, błagając, ażeby się nie gniewały, mówiąc, że będą je karmili dobrze, prosząc, aby się uspokoiły i nie opuszczały wioski. Sami zaś, obawiając się gwałtów hiszpańskich, stanęli obozem zdala od koni“.

Inny autor, opowiadając o podboju Chili i Araukanji, powiada: „Pogrom miał potężnego sojusznika w błędzie, w jakim trwały te ciemne ludy, gdy ujrzały ludzi, jadących na posłusznych zwierzętach. Mniemały, że dzięki cudowi lub jakimś innym sposobem cudzoziemcy przybywali z krain zaziemskich“.

Indjanie, mieszkający w gąszczach lasów, oswoili tylko psa, niezbędnego pomocnika na polowaniu.

Oto urocza stronica dziejów konia i jaskrawy dowód

Indes de la Mer Occéane, zbiór Ternaux, I, 133. O braku konia w Brazylii ob. Lery: *De la guerre, combat et hardiesse des sauvages*, 237.

¹⁾ *Histoire naturelle*.

²⁾ *Commentaires* przez Alva Nunez Cabeça, gubernatora w Rio de la Plata, 56, 73.

jego wielkiego wpływu społecznego! Jego obecność lub nieobecność wystarczają do przekształcenia warunków pracy i stanu społecznego zarówno na stepie azjatyckim, jak i wśród sawanów Ameryki. Widzimy, w jakim stopniu dzieje zwierząt wiążą się z dziejami człowieka!

4-o. Brak trawy w ciągu całego półrocza.

Prerje leżą pod śniegiem prawie sześć miesięcy. Bizon nie posiada umiejętności rozgrzebywania śniegu nogą, jak koń. Zwierzęta na zimę wędrują het daleko na południe.

W Ameryce lato następuje po zimie bezpośrednio. Wędrowki więc bizonów odznaczają się prędkością i odległością swoją.

Chcąc oswoić bizona, Indjanin musiałby robić na zimę zapasy siana i paszy i uprawiać ziemię.

Pomimo starań, rządowi amerykańskiemu nie udało się skłonić Indjan do rolnictwa. Przekształcenie pasterza lub myśliwca na rolnika stanowi rzecz bardzo trudną do urzeczywistnienia. Trzeba silnego przymusu zewnętrznego.

Podczas zimy Indjanie ścigali zwierzynę, dopóki mogli, i prowadzili życie nędzne i oszczędne, które sporo się przyczyniło do rozprzężenia ich typu społecznego. Niebawem dowiemy się, dokąd chronił się bizon i jakim niepodobieństwem było dla Indjanina osiągnięcie zwierzęcia.

Wyłączne a napięte zajęcie myśliwskie wycisnęło na Czerwonoskórych piętno społeczne, dostrojone do takiego trybu życia. W tym punkcie zarysowuje się jaskrawo różnica pomiędzy typem pasterza a myśliwca.

Polowanie utrzymało byt pół-dziki, w jakim zastali ich pierwsi zdobywcy i w jakim znajdują się jeszcze dzisiaj ich potomkowie, ci, których ziemi nie zajęto.

W charakterze myśliwców, nie zdołali wyłonić z pośród siebie rodziny patriarchalnej, typu rodziny, charakteryzującego pasterzy. Powagę ojcowską powściągała wyższość, jaką myśliwstwo dawało młodzieży nad starcami. Zamiast zwartej rodziny patriarchalnej, zapanował indywidualizm, cechujący rodzinę niestateczną. Polowanie, dostarczając szczuplejszych niż pasterstwo środków utrzymania, mnożyło wojny pomiędzy plemionami i zrodziło kanibalizm, nieznanym pasterzom.

Siła stała się głównym źródłem powagi. W każdym plemieniu władza spoczywała nie w ręku najmędrszych, t. j. starców, ale najsilniejszych. A taka władza jest despotyczną.

Wreszcie nieobecność konia pozbawiła te ludy potężnego środka transportu, istniejącego u pasterzy. Kiedy ci ostatni zalewali świat swojemi najazdami, tamci ulegli rasie, która miała konia. Konie zwłaszcza hiszpańskie ujarzmiły Amerykę, jak mongolskie — Chiny.

Warto zwrócić uwagę jeszcze na pewien fakt znamienny.

Gdy konia wprowadzono do Ameryki i zwierzę to tam się rozmnożyło, nawet i wtedy Indjanie okazali się niezdolnymi do pasterstwa. Nie zdołali oswoić koni, które wymknęły się ze stajni europejskich, nawet nie trzymają stadniny, lecz poprzestają na ujeżdżaniu błakających się okazów, kiedy tego zajdzie potrzeba. Łapia je wtedy. Wciąż zajmują się myśliwstwem, pozostali w stanie dzikim.

Ten fakt pozwala nam wygłosić wielką zasadę społeczną:

Rasa myśliwska nie przetwarza się dobrowolnie na

pasterską, ani nie przechodzi samorzutnie od typu rodziny niestatecznej do typu rodziny patriarchalnej.

Zkąd to pochodzi?

Ztąd, iż niedość posiadać stepy lub konia, ale nadto trzeba mieć tradycje moralne, zdolne do ustalenia rodziny patriarchalnej; są one tak samo niezbędne w pasterskim trybie życia, jak step i koń.

Rodzina patriarchalna, oparta na powadze ojcowskiej, na zgrupowaniu osób, nie może powstać z rodziny niestatecznej, spoczywającej na przewadze młodzieży i na indywidualizmie.

Taką jest nieodzowna niemoc rodziny niestatecznej, samej sobie pozostawionej.

Ta niemoc organiczna rodziny niestatecznej pozwala nam dorzucić ciekawy przyczynek do doniosłej kwestji początków rodzaju ludzkiego.

Z pośród myśliwców nie mogły wyjść społeczeństwa pasterskie, oparte na rodzinie patriarchalnej. Przykładu takiego przekształcenia nie dostarcza nam ani Ameryka, ani żadna inna dzielnica. Wszystko, co wiemy dotychczas, świadczy na korzyść takiej niemożebności.

Przeciwnie, zamiana pasterza na myśliwca, rozprężenie rodziny patriarchalnej w niestateczną, przedstawiają zdarzenie powszednie i normalne. Rozporządzamy na to licznymi dowodami. Zjawisko to daje się już spostrzedz w strefie na pograniczu stepu a kniei.

Fakt ten można tłumaczyć łatwością, z jaką spółnoty patriarchalne rozprzegają się pod działaniem pewnych okoliczności. W liczbie tych przyczyn najpotężniejsza tkwi w wychodztwie do puszczy leśnych. Pod wpływem polowania rodziny rozpadają się, bo łatwiej jest wyzwolić się z pod

powagi ojcowskiej, niż do niej się wdrożyć, kiedy wyzwolenia raz jeden dokonano.

Jesteśmy więc doprowadzeni do wniosku: w stanie dzisiejszym społecznostwa nie widzimy sposobu, ażeby pierwsi ludzie mogli być myśliwcami. Wszystkie znane fakty ewolucji społecznej przeczą temu ¹⁾.

*

*

*

Takie są zwykłe a ogólne wpływy życia myśliwskiego na rasy ludzkie. Ale istnieją różne szczeble w tem dziele rozprężenia społecznego.

Indjanie nie dosięgnęli ostatniego szczebla. Rozbicie społeczności nie jest wśród nich zupełne.

I znowu ta okoliczność znajduje się w związku ze zwyczajami bizona.

Jest to zwierzę, przebywające bardzo wielkimi trzodami i rozporządzające poważnemi środkami obrony. Nawet dzisiaj, konno i z fuzją w rękę, polowanie na bizona nastęcza sporo niebezpieczeństw. Było jeszcze trudniejsze dla piechurów, mających jedynie łuk i strzały.

Indjanie, dla urządzenia obław, musieli wiązać się

¹⁾ Wniosek fałszywy, jak i cała poprzednia stronica. Jeszcze ryzykowniejszym jest krótki ustęp o praojczyźnie rodu ludzkiego na płaskowzgórzu ormiańskim, który opuściliśmy. Autor pragnie udowodnić, iż z tego płaskowzgórza wzięły początek wszystkie ludy; żyły tam w rodzinie patryarchalnej, a rozchodząc się różnemi szlakami, przetwarzały swój typ społeczny. (L. K.).

w ludne gromady. Trzeba było zespolenia sił paru plemion¹⁾ dla uderzenia na trzody bizonów.

Ta konieczność rozkazodawcza sprawiła, iż wśród Indian ostała się jeszcze jakaś więź społeczna.

Ale więź ta bynajmniej nie była jedniłą rodzinną: zamiast więzi rodzinnej lub patrjarchalnej pojawia się klan myśliwski.

Typ patrjarchalny mógł dotrwać na północy, chociaż nadwątlony za sprawą ubóstwa pańników syberyjskich. U Indian znajdujemy jego przeżytki, coraz niklejsze.

Upadek wspólnoty rodzinnej ujawnia się w lekceważeniu przyrodzonych przywódców—starców, którzy u pasterzy zajmują wielką godność patrjarchów. Myśliwcy nietylko nie okazują im posłuszeństwa, ani nie oddają im szacunku, owszem lekceważą ich jako niezgrabnych i nieudolnych, a co gorsza, zgładzają ich ze świata, skoro ci nie zdołają uczestniczyć w wyprawie myśliwskiej i stali się ciężarem. Wspólnota rodzinna nietylko rozprzęgła się, lecz nadto odjęto jej głowę.

Obrzęd ów zresztą odbywa się według pewnego rytuału i uroczyście²⁾. Starzec, czując, iż siły go odbiegły, wyraża życzenie „zmiany klimatu“, jak brzmi zwrot mowy, a syn spieszy zadowolić to pragnienie. Ale w razie, jeśli to życzenie na czas nie przybywa i starzec nie oddaje się dobrowolnie pod tomahawkę, dają mu do wyboru taki skon, uchodzący za sławny, lub pozostawienie na pustej wysepce.

¹⁾ t. j. prawdopodobnie rodów. (L. K.)

²⁾ Według Pawła de Rousiers.

Zazwyczaj przygotowują łaźnię. Zamykają starca w izbie, szczelnie osłoniętej skórami; w tej ciasnej przestrzeni wytwarzają ogromną ilość pary, lejąc wodę na rozpalone do czerwoności kamienie. To wywołuje na osobę, tam się znajdującą, obfite poty. Podczas tej wstępnej ceremonji, członkowie rodziny palą „fajkę pokoju“ i śpiewają wielką pieśń leczniczą: „Pan życia udziela nam odwagi; zaiste, wszyscy Indjanie wiedzą o Jego ku nim miłości, dlatego posyłamy doń dzisiaj ojca swego, ażeby odmłodził na tamtym świecie i mógł znowu polować“. Następują tańce i śpiewy, najstarszy syn zadaje ojcu cios śmiertelny tomahawkiem; ciało, pomalowane jak najstaranniej, jest złożone w ziemi wraz z orężem.

Spólnota rodzinna zostaje zachwianą w swej zasadzie, w swej głowie przyrodzonej. Utraca zwartość swoją z okresu patryarchalnego, zjawia się nowa więź, a imię jej jest klan.

Polując na wielkie trzody bizonów, trzeba uderzać na nie ludnemi zastępami; a ponieważ głowa rodziny, nie posiadający ani dostatecznej siły, ani zręczności, nie może stać się ogniskiem gromady, przeto grupuje się ona dokoła młodych a znakomitych myśliwców. Klan myśliwski zapanowyywa stanowczo i odróżnia się wyraźnie od więzi rodzinnej.

Ale klan odznacza się naturą niestateczną. Nie jednoczy, jak spólnota rodzinna, jednostek trwale a prawiłowo.

Wyprawy myśliwskie organizują się i rozpadają z krańcową łatwością, zależnie od kaprysu, dobrego lub złe-

go mniemania myśliwców o sobie. Niestateczność jest tem większą, że nie włożono w spółkę kapitałów, tylko zręczność. Przy najmniejszej rozterce, a zdarza się ona często, ludzie rozdzielają się, a niekiedy wstępują w walkę wzajemną.

Niestateczność, właściwa więzi społecznej myśliwców, przywodzi wszystkim dziedzinom życia publicznego.

Życie publiczne jest tak samo chwiejne, jak prywatne.

Indjanie z największą trudnością urządzają prawidłowe wyprawy. Zastępy wojenne łączą się i rozdzielają tak samo, jak gromady, idące na polowanie; idą z tą samą łatwością za zaimprovizowanym wodzem lub go opuszczają.

Zdarzenie, opowiedziane przez świadka, Johna Tannera, powtarza się niezmiennie w wojennych wyprawach Indjan ¹⁾).

„Drużyna wyruszyła przeciw Siukom. Pomiedzy wodzów wkradła się niezgoda. Jeden z nich zabrał głos: „Muskogowie — rzekł — nie jesteście wojakami! Przybyliście zdaleka, ażeby napaść na Siuków. Setki wrogów znajdują się w pobliżu, lecz wy nie jesteście w stanie spotkać z nich ani jednego, póki sami nie nadejdą i nie wymordują was“. To powiedziawszy, oświadczył, iż ze swymi dwudziestu wojakami wraca do kraju. To było hasłem rozprężenia powszechnego.

„W ciągu większej części dnia pochód odbywał się pod niewzruszonym okiem głównego wodza, A-gus-ko-ganta, przezwanego prorokiem Wielkiego Ducha, lecz ten nie wy-

¹⁾ *Memoires de John Tanner*, I, 241 i nast.

kazywał zmieszania, ani nie próbował zatrzymywać niezadowolonych. Ani jeden mięsień na twarzy nie zdradził jego stanu. Ale gdy ujrzał, iż zastęp jego zmałał z 60 wojaków do pięciu, łzy rzuciły mu się z oczu“.

Podczas innej wyprawy, opowiedzianej przez tego samego podróżnika, dwustu Asinibojnów zmieniło zamiar swój, a zastęp spadł do 500 głów. „Było już tylko czterystu, gdy dwa dni drogi przedzielały go od osady, na którą zamierzano napaść. Wreszcie pozostało tylko dwudziestu, gdy wypa-
dło ruszyć przeciw wrogowi“¹⁾.

Tanner dodaje: „Z pomiędzy wojaków żaden nie chciał przyznać czyjejs powagi po nad swoją wolę. Wprawdzie zazwyczaj okazują pewne względy i szacunek dla wodza, pod którego rozkazami wyruszyli na wyprawę, ale najczęściej uległość trwa tylko póty, dopóki wola wodza zlewa się całkowicie z zamiarami wojowników“.

Polowanie na bizona nie ćwiczy ani karności, ani statecznej hierarchji. Chwiejność panuje wszędzie — od rodziny aż do ustroju życia publicznego. Indjanin jest odważny, może wytrwać na wyprawie wojennej, ale nie jest zdolny do wydania stałej organizacji. Dlatego tak łatwo zwyciężył go i ujarzmił Europejczyk.

IV.

Drugą jest droga gór Skalistych.

Zaznaczyliśmy, że znaczny odłam Indjan szedł z północy przez drogę prerji i uległ na niej rozprężeniu skutkiem polowania na bizony.

¹⁾ Ibidem, II, 126.

Ale nie wszystkie wędrówki odbywały się w tym kierunku. Niektórzy puścili się szlakiem wzdłuż Pacyfiku, drogą gór Skalistych.

Droga ta zaczyna się w pobliżu cieśniny Berynga i dosięga obecnego Meksyku poprzez dzielnice bardzo wyniosłych gór.

Do największych odłamów wychodźców, którzy udali się tą drogą, należą Płaskie Głowy i Siukowie, a nadto Kruki i Czarnonodzy.

W paru słowach wykażemy, dlaczego ta grupa Czerwonoskórych uległa mniejszemu rozprężeniu, niż ludy sawanów, i dlaczego poniekąd panowała nad temi ostatnimi ¹⁾.

Dzielnica gór Skalistych ciągnie się wzdłuż sawanów na całej swej rozciągłości z północy na południe. Płaskie Głowy i ich krewniacy znajdowali się w bardzo szczęśliwej sytuacji: corocznie mogli zapuszczać się na sawany i tam polować na bizona. Ich tryb życia przybrał ten sam charakter, co u ludów typu poprzedniego.

Lecz istniały różnice.

Podczas zimy bizon nie mógł pozostawać na sawanach, więc je opuszczał. Indianie musieli, pomimo ciężkich dolegliwości, iść za nim i ścigać go w jego sadybie zimowej.

Kresem wędrówki bizona były góry Skaliste. Tam znajdowały się doliny, w których śnieg topniał pod działaniem ciepłego prądu oceanu Spokojnego, Kuro-Siwo.

Gdy głód srożył się na sawanach, w ustronnych dolinach pasma Skalistego ucztowano. „Bez przerwy na wszyst-

¹⁾ Patrz pracę P. de Rousiers'a: Les premiers émigrants du Far-West, *Science sociale*, VII i VIII.

kich ogniskach pieczono byka i zwierzynę, karki i krzyżówkę—pisze Bonneville—zapach pieczystego unosił się w powietrzu“¹⁾).

P. de Smet powiada: „Urocze doliny są przeplatane bogatemi łąkami oraz sosnowemi i jodłowemi borami. Chyba nigdzie nie znajdziemy lepszych pańników, bydła jest mnogość nawet podczas zimy i nigdy nie cierpi ono od niepogód. Śnieg jest tam nieznany“²⁾).

Nadto w porze zimowej dzielnica posiadała jeszcze inne źródła pożywienia: prócz różnaitości zwierzyny, niezmierne ławice łososi płynęły w górę licznych rzek, zraszających stoki, a nadto wielka obfitość jagód, którym sprzyjał klimat, czekała ręki zbieracza.

Te korzystne warunki czyniły z dolin miejsce uprzywilejowane, gdzie nawet zimą znajdowano obfite środki utrzymania. Czynniki rozprzegające, które u ludności na sawanach wyływały z głodów perjodycznych, traciły moc swoją.

Wszyscy myśliwcy dobijali się o tę dzielnicę górzystą. Walczono o jej posiadanie, a ci, którzy szczęśliwym zbiegiem okoliczności zabłąkali się na tę drogę i na niej osiedli, musieli posiadać silną organizację, chcąc tutaj pozostać. A można było, na przekór współzawodnikom, trzymać się w tej dzielnicy tylko za cenę wyższości.

Płaskie Głowy, Siukowie i inni górale, dosięgnęli za sprawą wojen wiekowych wyjątkowej dzielności wojennej,

1) *Aventures du capitaine Bonneville*, II, 295.

2) *Missions de l'Orégon*, 82.

oraz wyższej organizacji wojskowej. Obawiano się ich na znacznej odległości.

W porównaniu z ludami prerji, górale mieli dwojaką przewagę, wyływającą z ich położenia geograficznego.

1-o. Więź społeczna była wśród nich skuteczniejszą.

Wyprawy myśliwskie nie posiadają przelotnego charakteru, jak w grupie poprzedniej, ale są stałe.

Polowanie trwa ciągle, bo w porze zimowej odbywa się w obrębie okolic górskich, latem zaś — na sawanach.

Powtóre, Indjanie tutejsi winni byli bronić dostępu do swoich gór uprzywilejowanych.

Obrona zaś była tem łatwiejszą, że samo przyrodzenie powierzchni górskiej stawiało przeszkody wtargnięciom.

Byli oni zwarciej spojeni oraz posiadali wpływowszą organizacją powagi społecznej.

2-o. Byli lepiej zorganizowani w. potrzebie wojennej.

Wódz nie jest chwilowy, ani zależny od kaprysu pojedynczej osoby.

Obiera go i mianuje stała rada plemienna.

Taki wyższy ustrój wojskowy zastanowił wielu podróżników.

„Sześćset, a nawet dwa tysiące osób przebywa razem i w zgodzie“¹⁾. Fakt ten każe domyślać się istnienia stałej a prawidłowej powagi. Gdy P. de Smet znalazł się wśród nich, przyjęto go z honorami, „zaprowadzono uroczyście do chaty wielkiego wodza, czyli wielkiej twarzy, który go przyjął otoczony przez radę i wygłosił długą mowę“.

1) P. de Smet: *Voyage aux Montagnes Rocheuses* 34. 35.

Istnienie organizacji z hierarchją uwydatnia się w udogodnieniach, które spotyka działalność misjonarzy. „Do spółki z nimi ułożyłem ustawę ćwiczeń duchowych—opowiada P. de Smet—zwłaszcza dla modłów porannych i wieczornych, wspólnie odbywanych, oraz dla godzin nauki. Jeden z wodzów ofiarował mi natychmiast dzwon do sygnałów; już pierwszego wieczora zgromadziłem wszystkich dookoła swej chaty. Codziennie, o świcie, stary wódz wstawał pierwszy, a dosiadłszy konia, objeżdżał obóz i podnosił lud swój. Zawsze stosował się on do tego zwyczaju; mniemam, że to utrzymywało Indian w wielkiej spójni oraz w prostocie zadziwiającej, jaka daje się spostrzegać pomiędzy nimi. Dzięki jego staraniom ojcowskim i mądrym radom, ta rzesza złożona z 1,600 głów tworzyła jak gdyby jedną rodzinę, w której ład i miłosierdzie panowały w stopniu zadziwiającym. Dzieci—krzyczał on—otwórzcie oczy! Zwróćcie swe pierwsze myśli i pierwsze słowa ku Wielkiemu Duchowi. Powiedzcie Mu, iż Go miłujecie i proście o łaskę. Słońce niebawem wzejdzie, winniście obmyć się w rzece. Bądźcie gotowi na uderzenie dzwonu ojca naszego. Następnie dawał napomnienia ojcowskie, jeśli sam lub inni wodzowie spostrzegli coś niewłaściwego w ich zachowaniu się wczorajszym¹⁾).

Droga gór Skalistych umożliwiła ludom zachowanie więzi społecznej, którą roztargały sawany. Oto pierwsza rzecz, którą stwierdzić chcieliśmy.

Pozostaje nam jeszcze uwzględnić drugą rzecz, doniosłą a nieoczekiwana.

¹⁾ libdem, 4.

Droga gór Skalistych ciągnie się dalej obszarami, zajętemi przez Siuków i Płaskie Głowy. Prowadzi na płaskowzgórze meksykańskie, a jeszcze dalej, w Ameryce Południowej, na peruwiańskie. Kordyljery są dalszem ogniwem pasma gór Skalistych.

W Meksyku i w Peru powstały dwa wielkie mocarstwa Ameryki starożytnej, państwo Montezumy i państwo Inków, niewyjaśnione dotychczas i nawet nie poddające się wyjaśnieniu ¹⁾).

Obie te godne uwagi cywilizacje nie mogły powstać z pośród rozprzężonych społeczeństw, właściwych sawanom. W stanie dzisiejszym wiedzy społecznej trzeba przypisać ich rodowód wędrowcom, idącym wzdłuż gór Skalistych.

Droga ta sprzyjała ustaleniu więzi zarazem rodzinnej jak i politycznej, t. j. zasadniczego rdzenia życia prywatnego i publicznego. Społeczeństwa Płaskich Główn i Siuków są pierwszym zrębem wielkich mocarstw Meksyku i Peru. Oba muszą być dziełem drogi górskiej. W dalszym toku pracy niniejszej ujrzymy, iż władza górali nad równiakami jest zdarzeniem społecznem, powtarzającym się często. W pewnych warunkach zwierzchnictwo to przybiera charakter stałej zasady ²⁾).

¹⁾ Twierdzenie nieuzasadnione. Prace Morgana oraz H. Cuno-wa przelały dużo światła na początki ustroju meksykańskiego i państwa Inków. (*L. K.*)

²⁾ Czytelnik zechce porównać dalsze wywody o wpływie społecznym górali przy rozważaniu początków cywilizacji greckiej.

V.

Trzecią drogą była droga jezior.

Szły po niej ludy, które opuściły dzielnicę podbiegunową, udając się na południo-wschód.

Ludy te miały przed sobą prawie nieprzerwaną sieć jezior. W Kanadzie osiedliły się one w pobliżu jezior Wyższego, Michiganu, Huronu, Erie i Ontario.

Huroni, Irokowie i Algonkini—oto najszlachetniejsi przedstawiciele tego typu.

Na podobieństwo obu poprzednich odłamów, ludy te ścigały bizona i żyły z produktów myśliwstwa. Odnajdujemy wśród nich już rozpatrzone rysy zasadnicze.

Ograniczę się tutaj na uwzględnieniu strony, która nadała im charakterystyczne cechy społeczne. Wyływają one tak samo, jak dla typów poprzednich, z ukształtowania się u szlaku.

Rys charakterystyczny plemienia Iroków i Huronów tkwi w posiadaniu dwóch odmiennych więzi pracy.

Pierwszą z nich jest ruchliwa więź, ogarniająca mężczyzn, zajętych wyłącznie wojną i polowaniem. Prowadzą oni byt, właściwy myśliwcom na sawanach. Wyprawy wojenne i obławy opierają się wogóle na zobowiązaniu chwilowem.

Drugą jest osiadła więź, ogarniająca kobiety, zajęte wyłącznie rolnictwem. Uprawa kukurydzy — oto główne zajęcie rolne ¹⁾.

¹⁾ Dowody obacz w pracy P. de Rousiers'a: *Les prédecesseurs de l'Habitant de New York, Science sociale*, tom IX i X.

Droga, po której ludy te wędrowały, dostarcza klucza do zrozumienia tej dwoistości.

Wyszędłszy z dzielnicy podbiegunowej, która ku wschodowi rozciąga się aż na południe od zatoki Hudsonskiej, Huroni i Irokowie napotkali po drodze mnóstwo jezior i rzek, które zatamowały drogę. Ale wzamian ofiarowały im, w charakterze źródła utrzymania, niezliczone odmiany ryb. Ludy te posługują się czółnami, owemi sławnymi czółnami z kory.

Czółno powinno było posiadać lekką budowę, bo trzeba było je przenosić często a na plecach z jednej rzeki do drugiej lub na inne jeziora, gdy wypadło ścigać zwierzynę lub iść na połów ryb.

Kobiety, dzieci i starcy przedstawiały żywioł, niezdatny dla uskutecznienia tych zadań. Byli oni tylko ciężarem. Pozostawiano więc ich na pewnem miejscu, ognisku i zarazem miejscu schronienia.

Odłam ten plemienia pędził byt osiadły i zwrócił się po środki utrzymania do rolnictwa. Urodzajność okolicy sprzyjała temu postępowi, jako też uprawa wydajnej rośliny, kukurydzy.

Starcy, *sachemi*, rządili tym odłamek. Kobiety trzymały w swem ręku kierunek rolnictwa, przedstawiały czynny pierwiastek grupy osiadłej.

Powstanie dwóch tych więzi wywarło skutki społeczne, odmienne od obrazu, który oglądaliśmy u grup poprzednich.

1-o. Rodowód wyprowadzano w linii żeńskiej.

Mąż znajdował się nieustannie na obławie lub wyprawie wojennej, żona przebywała samotna. To ją przywiązywało do własnej rodziny, nie zaś do rodziny męża. Wsku-

tek jego nieobecności, pozostawała istotą obcą dla jego rodziny.

Dzieci trzymały się rodziny matczynej, w której były wychowane, nie zaś ojcowskiej, z którą miały mało stosunku.

W razie śmierci mienie kobiety, zwłaszcza zaś uprawa roli, która do niej należała, przechodziły na rodzinę matki, nie zaś ojca.

Również gdy ojciec umierał, „syn nie brał po nim nawet fajki jego, ale majątek przechodził na braci albo siostrzeńców“.

Nazywają *ustrojem macierzystym* to zespolenie dzieci z rodziną matki. Odnajdujemy go u pewnej liczby ludów, a dał on początek długim sporom teoretycznym pomiędzy ekonomistami. Można byłoby uniknąć tej jałowej, a nieraz śmiesznej dyskusji, gdyby poprzestano na wykazaniu, iż ustrój macierzysty jest właściwością ludów, które za sprawą warunków powierzyły kobiecie wyłączne kierownictwo warsztatu pracy.

Nasza uwaga posiada doniosłość prawa społecznego. Sprawdzimy jej rzetelność, gdy będziemy zastanawiali się nad pewnym zjawiskiem u ludów handlowych Sahary, które oddały kobietom w wyłączną pieczę uprawę gruntu oaz.

Nauka utrwała się właśnie takim zestawieniem faktów oraz ich sprawdzaniem, święci swój tryumf nad teoretykami i zwolna przekonywa umysły.

2-o. Małżeństwo przedstawia związek pomiędzy wytwórczynią kukurydzy a myśliwym.

Okoliczność ta obdarza kobietę wyższą niezależnością i większą swobodą obyczajów. Wszak rozporządza czę-

ścią środków utrzymania! Nawet może obejść się bez zawarcia związków małżeńskich, póki któryś z braci nie wstąpił w zobowiązania małżeńskie i dostarcza zwierzyny dla zwiększenia i urozmaicenia produktów roli. Zadawała się ona związkami przelotnymi. Spostrzegamy to samo wśród robotnic, posiadających własne środki utrzymania.

Warunki pracy dają nam także wyjaśnienie czynników, za których sprawą w społeczeństwach ludzkich przeważa polygamja, monogamja lub polyandrja.

Wśród Algonkinów, zajmujących obszary, obficie uposażone w zwierzynę, lecz mało urodzajne, polowanie dostarczało z nadmiarem środków utrzymania, plony zaś rolnictwa były nieliczne. Jeden myśliwy zdołał wyżywić kilka kobiet. Algonkini zatem żyli w polygamji (wielożeństwie).

U Huronów polowanie dostarczało w niedostatecznej ilości środków utrzymania, myśliwy nie zdołałby wyżywić paru kobiet. Huroni byli monogamistami.

Wreszcie co do Iroków, polowanie było jeszcze mniej wydajne. Ale plony kukurydzy, uprawianej przez kobiety, odznaczały się obfitością i stanowiły główny przedmiot spożycia. Jedna kobieta zdołała utrzymać kilku mężczyzn, a co więcej, nawet kilku potrzebowała, ażeby zabezpieczyć sobie dostateczną ilość zwierzyny. Niektórzy Irokowie żyli więc w polyandrji.

Umowa małżeńska kształtowała się według stosunku, istniejącego pomiędzy kukurydzą a zwierzyną.

3-o. Główna powaga społeczna spoczywała w ręku kobiet.

Rzecznicy emancypacji kobiet uświadamiają sobie doskonale czynniki, które pociągają za sobą wpływ i dzia-

łałność niewiast. Wszystkie spory, teorje i wykłady zasad nie posuwają sprawy naprzód ani o krok jeden. Wpływ kobiet dojrzeła pod działaniem przyczyn, które studja ujawnić zdołają. Bez nich nie rozwinie się ich znaczenie.

Możemy wskazać jedną z tych przyczyn:

Rządy nad warsztatem pracy osiadłej zapewniły kobiecie znaczny wpływ na sprawy prywatne i doniosłą powagę w życiu publicznem, które stanowi zawsze tylko dal-
sze ogniwo życia prywatnego.

Wpływ kobiet jest tem rozleglejszy, im warsztat pracy rolnej odznacza się większą statecznością w porównaniu z myśliwskim warsztatem mężczyzny. Dostarcza on prawidłowszego plonu.

Wśród Huronów i Iroków, „kobiety przywłaszczyły sobie główną powagę. Wszystko przedsiębrano w ich imieniu, wodzowie byli ich pomocnikami. U ludów hurońskich kobiety wybierały radców, których godność była w ple-
mienu najwyższą, władza — najrozciąglejszą. Starcy, wiekiem namaszczeni, zajmowali drugie stanowisko, wojownicy —
trzecie“ ¹⁾).

Wojownicy zajmują trzecie miejsce dlatego, że rolnictwo przeważało nad myśliwstwem.

Najstateczniejsze społeczeństwa opierają się na rolnictwie. Okoliczność ta pozwala nam zrozumieć powody tryumfów Iroków nad Huronami: rolnictwo pierwszych znajdowało się na wyższym szczeblu rozwoju. Praktykowali oni polyandryję, gdyż rolnictwo było tak wydajne, iż jednej kobiecie umożliwiało wyżywienie paru mężczyzn.

¹⁾ *Hist. générale des Voyages*, przez La Harpe'a, XIV, 406, 407.

Naturalnie, stateczność ich bytu wynikała nie z polyandrii, jeno z rolnictwa, przyczyniła się zaś do nadania im majestatycznej nazwy „Rzymian Nowego Świata“.

Mamy przed sobą nowy objaw faktu, na który zwolna rzucimy więcej światła: światem nie oręż, tylko pług rządzi!

ROZDZIAŁ IV.

S z l a k l e ś n y.

TYPY INDYJSKI I MURZYŃSKI.

I.

Trzy drogi: sawanów, gór Skalistych i jezior, w ostatecznym swym rezultacie nadwątlają, w stopniu większym lub mniejszym, spólnotę rodzinną, oraz poniekąd rozprzęgają więzi, istniejące pomiędzy rodzinami, a raczej nad nimi.

Zwracając się ku Ameryce Południowej, dostajemy się na drogę, która doprowadziła rozprzężenie społeczne do ostatecznego kresu. Przed nami widnieje szlak rozstrzeleń i zupełnej niestateczności.

Typem, który dostarczy nam wzorów takiego stanu, jest Indianin wielkich kniei Ameryki Południowej.

Ciśnieniem ze strony nowych przybyszów, wskutek zwyczajnego przyrostu ludności, a może w następstwie nieustających wojen pomiędzy plemionami myśliwskimi ludy, bardziej rozprzężone, a więc i słabsze, zostawały zwolna

wypchnięte na południe. Były wyrzucone z obszarów, na których przebywa bizon, t. j. ze sawanów.

Wreszcie wygnańcy przeszli przesmyk panamski i znaleźli się w Ameryce Południowej. Nie mieli tam ani sawanów, ani bizona. Ujrzeni się w zacienionej dzielnicy, której znaczną przestrzeń zajęły najpotężniejsze knieje globu.

Nasze wywody dotyczą porzeczy Amazonki i Orinoko. W najznaczniejszej swej części należą one do Brazylii, w mniejszych do Guyan, Wenezueli, Kolumbji, Ekwatoru, Peruwji i Boliwji.

Przestrzeń ta ciągnie się z północy na południe od 10^o szer. półc., do 15^o szer. półd., t. j. na znaczniejszej odległości niż ta, która oddziela Sztokholm od Algieru; w kierunku ze wschodu na zachód jest zawarta pomiędzy 40^o a 80^o długości wschodniej, taką jest odległość od Paryża do gór Uralskich. Powierzchnia jej jest prawie równa powierzchni całej Europy. Okoliczność ta nadaje opisywanym zjawiskom doniosłość niezmierną.

Dzielnica posiada wyraźne granice: od wschodu Andy, na południu pasma górskie, oddzielające porzecze Amazonki od porzecza Paragwaju, na północy morze Antylskie, na wschodzie wody Atlantyku. Przedstawia charakterystyczną jedność geograficzną, bo porzecza różnych rzek wewnątrz niej są podzielone względnie niskimi wyniosłościami.

Nigdzie w świecie nie znajdziemy takiego zbioru wielkich rzek. Amazonka posiada 5,000 kilometrów długości, t. j. dłuższą jest pięć razy niż Francja, w górnej swej części miewa 3 — 5 kilometrów szerokości, przy ujściu zaś 288. Niezliczone dopływy wlewają do niej swe wody. Orinoko ma 2,500 kilometrów długości. Taki wygórowany rozwój wód bieżących wynika z obecności lasów, podtrzymujących

wilgoć, oraz ze zjawiska meteorologicznego, które niebawem opiszemy.

Na wszystkich tych rzekach znajdują się liczne wodospady. Wynika to: po pierwsze z ulewnych deszczów, unoszących olbrzymie głazy ze stoków gór, powtórę zaś z ukształtowania powierzchni, przedstawiającej olbrzymie schody, tak samo jak sieć wód spuszczone ku Atlantykowi. Rzeki Guyany są spławnymi dla parowców tylko na przestrzeni 12 — 15 mil od ujścia ¹⁾.

Dr. Crevaux czólnem pierwszy zwiedził tę okolicę we wszystkich kierunkach. Ciągłe powstrzymywały go wodospady, których nie mógł przepłynąć, niekiedy to przyprawiało go o niewypowiedziane trudności. Dzicy obawiają się zbliżyć do wodospadów i przypisują je złym duchom. Crevaux musiał w nich krzepić odwagę wystrzałami z broni palnej. Obchodzą oni spadki wody zdaleka, strzeżone jakoby przez niebezpieczne bóstwa ²⁾.

Pomimo swej liczebności, rzeki bynajmniej nie sprzyjają rozwojowi obcowania pomiędzy tubylcami, którzy rozmieszczają się najczęściej wzdłuż nurtu pomiędzy dwoma wodospadami i nie ośmielają się wydostać poza ich obręb. Mocą stosunków zostali przynaglenni do rozpadnięcia się na mnóstwo odosobnionych drobnych plemionek. Kraj nie sprzyja utworzeniu obszernej jedni społecznej.

Z drugiej strony, wskazane warunki utrudniają cudzo-

¹⁾ Crevaux: *Voyage dans l'Amérique de Sud*, 19. Nieoceniona to książka dla studjów nad ludami myśliwskimi dzielnicy leśnej (Autor nie zna jedynej w swym rodzaju książki K. v. Steinena o ludach nad rz. Xingu. *L. K.*).

²⁾ Ibid., str. 306.

ziemcom dostęp, kraj pozostaje wolnym od wpływów zewnętrznych i zdołał do dnia dzisiejszego zachować dla wiedzy społecznej wzory społeczeństwa dzikiego.

Rozbiór zjawisk meteorologicznych wykrywa przed nami zasadniczą przyczynę, rozstrzygającą o naturze roślinności i sprawiającą, iż zamiast stepu lub sawanów niezmiernie knieje zaległy porzecze Amazonki.

Dzielnica cała leży pomiędzy zwrotnikami, równik rozpoławia ją niemal. Panują tutaj upały.

Za sprawą tego napiętego gorąca, dolne warstwy powietrza rozszerzają się, stają się lżejszemi i podnoszą się. Próżnia, wywołana przez ich podnoszenie się, wciąga w siebie masy powietrza z okolic odleglejszych od równika, a więc i chłodniejszych. Powstają prądy, idące od biegunów do równika. Są to wiatry stałe (pasaty).

Ale masy powietrza, doprowadzone z miejsc przeciwnych przez pasaty, muszą szukać wyjścia. Rozszerzając się, podnoszą na parę kilometrów wysokości, t. j. powyżej strefy pasatów. Ztamtąd zwracają się one ku biegunom, rozdzielają się więc na dwa prądy powrotne, idące w odwrotnym kierunku i powyżej pasatów. Są to wiatry stateczne zwrotne.

Gdyby ziemia spoczywała nieruchomie, pasaty wiałyby w linii prostej ku miejscom swego przeznaczenia od biegunów na północ i na południe. Ale wskutek obrotu ziemi z zachodu na wschód doznają odchylenia na zachód, t. j. w kierunku odwrotnym obrotowi ziemi i dosięgają równika pod kątem ostrem.

Pasaty odznaczają się dwiema właściwościami, posiadającemi wielką doniosłość ze względu na rozpatrywane obecnie ludy.

1-o. Są stałymi wiatrami za sprawą stateczności i napięcia ogniska swego pod równikiem. Objawy, przez nich wywołane, są tem donioślejsze, że przyczyna działa w sposób ciągły.

2-o. Są przesycone wodą, bo nim dostaną się nad porzecze Amazonki, muszą przejść ponad Atlantykiem, gdzie pochłaniają wilgoć.

Przybywszy pod zwrotniki, te prądy powietrza wznoszą się w górę pod działaniem ciepła; w miarę dosięgania zimniejszych warstw powietrza, temperatura spada, para skrapla się i sprawia ulewne deszcze.

Pewien badacz przekonał się, iż podczas jednej burzy spadło wody na 90 cm.; wysokość roczna osadów deszczowych wynosi dwa metry, w Paryżu zaś tylko 50 cm. Obfitość deszczu jest w tej dzielnicy tak znaczną, iż majtkowie, potrzebując wody słodkiej, mogą ją zbierać na powierzchni oceanu. Warstwa oparów, unosząca się nad pasem równikowym, prawdopodobnie jest widzialną z sąsiednich ciał niebieskich i przypomina pasy, obserwowane na Jowiszu¹⁾.

Jednak nie w całej dzielnicy deszcz pada podczas całego roku. Wskutek ruchu słońca pomiędzy zwrotnikami, ognisko cieplne, wywołujące burze, zmienia perjodycznie miejsce swoje. Deszcze idą za tym ruchem i również przybierają charakter perjodyczny: w porzeczu Amazonki trwają siedm miesięcy, od grudnia do czerwca.

Deszcze odznaczają się osobliwą prawidłowością. Zaczynają padać zwykle po południu, t. j. w okresie najwięk-

¹⁾ E. Reclus: *La terre*, II, 363, 368-9.

szego ciepła, gdy powietrze jest nasycone oparami. Mieszkańcy miast wybrzeżnych wyznaczają sobie schadzki ku końcowi deszczu, jak gdzieindziej na wieczór.

Za sprawą tych czynników powstaje zjawisko, wręcz odwrotne temu, które oglądaliśmy w dzielnicy stepów.

W tej ostatniej krótka pora deszczów sprzyja wzrostowi trawy, lecz nie wystarcza na wzmocnienie kiełków drzew.

Tutaj więc dzieje się odwrotnie. Trwanie wilgoci w ciągu siedmiu miesięcy sprzyja rozwojowi lasów, ale powstrzymuje wzrost roślinności trawiastej, którą niebawem zagłusza brak powietrza i światła. Las wygrywa potyczkę, którą przegrał na stepie, z tryumfem rośnie ku górze. Odwet ten zawdzięcza tylko dłuższemu okresowi wilgoci, będącemu dziełem warunków atmosferycznych.

Odwet ów jest zupełny. Crevaux, znalazłszy podczas wędrówek po Guyanie wysepkę traw, nie może powstrzymać swego podziwu. „Polana miała dla mnie wielki urok, gdyż od początku podróży nie oglądaliśmy ani jednego punktu wzdłuż wybrzeży swobodnego od drzew, a przynajmniej od krzaków, ljanami splątanych. Wśród dziewiczej kniei guyańskiej, trawnik zdarza się tak samo rzadko, jak drzewo na stepach Rosji i pampasach Patagonji“ ¹⁾. „Polana ta wśród lasów niewątpliwie powstała wskutek jałowości albo małej głębokości warstwy roślinnej, niezdolnej do wyżywienia drzewa“ ²⁾.

Z wyjątkiem takich przypadków, zwierzchnictwo drzew

¹⁾ Crevaux, l. c., 223.

²⁾ Ibid., 302.

nie spotyka współzawodników. Crevaux tak spowiada się ze swoich wrażeń: „Las dziewiczy, czyli, jak mówią w Guyanie, wielkie drzewo, posiada charakter chłodny a surowy. Tysiączne rzędy kolumn, 35—40 metrów wysokości, podnoszą się ponad głową i podpierają ciężkie zielone sklepienie, które pochłania prawie zupełnie promienie słońca. U nóg oko nie dostrzeże ani źdźbła trawy, tylko nieco drzew wysmukłych a lichych, jakby spieszących się dosięgnąć wzrostu sąsiadów swoich i wraz z nimi skąpać się w powietrzu i świetle, którego im braknie. Na ziemi, z wyjątkiem paproci i paru roślin bez kwiatów, leżą obumarłe listki i gałęzie, pokryte pleśnią. Pierś łaknie powietrza, czujemy dreszcz febry“¹⁾.

Zamiana stepu na las wywołuje zanik zwierząt roślinożernych, a pojawienie się drapieżców. Zamiast zwierzyny, żyjącej gromadnie, przebywają tam zwierzęta rozproszone lub samotne.

Tapir należy w tych okolicach do najczęstszych zwierząt; łatwo go zabić, gdy przechodzi rzeczki. Mięso jego ma przewyborny smak: przypomina ono wołowinę, gdy zwierzę jest tłuste a młode. Aguti, paka, kapybara należą do gryzoniów, mają mięso twarde i smaczne. To samo da się powiedzieć o pekari, „odyńcu“ Ameryki Południowej. Małpy, istniejące w wielu odmianach, są cenione również przez tubylców. Z pośród płazów kajman posiada mięso z silnym zapachem piżmowym. Często można na brzegu rzek spotkać iguany, które dają się łatwo podejść. Istnieje mnóstwo węzów, w tej liczbie boa, którego mięsem murzyni nie pogardzają.

Ptactwo ma licznych przedstawicieli; najlepsze okazy

¹⁾ Ibid., 20.

należą do kurowatych. Koko posiada rozmiary młodej indyczki, daje się łatwo upolować, a mięso jest przyjemne. Agami, bardzo częsty na brzegach rzek, daje pożywienie dość liche ¹⁾).

Większość tych zwierząt przebywa w pobliżu rzek, dokąd przychodzą one gasić swe pragnienie; tubylcy dlatego osiadają nad rzekami. Ciągną ich tam także ryby, stanowiące ważny przedmiot połowu. Połów ryb jest raczej odmianą polowania, dokonywają go bowiem z pomocą ości z trzciny, zakończonej harpunem. Z pośród ryb wymienimy główne: kumaru, aymarę i komatę. Kumaru waży trzy funty, posiada mięso białawe, twarde, przewyborne. Poławiają ją w wielkich ilościach w pobliżu wodospadów, które przesadza tym samym sposobem, co łosoś; można złapać dwie lub trzy sztuki w parę minut. „Połów kumarów jest rzeczywistą namiętnością Indjan z górnych Guyan. Murzyni nie mijają nigdy porohów, ażeby całymi godzinami nie siedzieć nad tem tak opłacającym się zajęciem“ ²⁾). Większa od poprzedniej aymara waży 4 — 5 kilogramów, przypomina naszego karpia, posiada tłuste, delikatne mięso. Przebywa w spokojnej wodzie, zwłaszcza przy ujściu małych przystani, zkad można widzieć ją, jak śpi na dnie. Komata jest mniejszą od poprzednich i zastanawia budową swej szczęki w kształcie rurki do ssania.

Winniśmy także wspomnieć o jajach żółwi, leżących nieprzeliczonemi gromadami wzdłuż brzegu Amazonki. Sta-

¹⁾ Crevaux, l. c., 50 — 58.

²⁾ Ibid., 46.

nowią one dla tubylców pożywienie tak samo obfite, jak łososi dla mieszkańców Europy północnej.

Liczą na 1,800 — 2,000 liczbę gatunków ryb w Amazonce; jest to liczba większa, niż jaką spotykamy w morzu Śródziemnem, a nawet w Atlantyku.

II.

Puszcza nie mogą wśród swoich lasów zajmować się pasterstwem, ani polować na trzody; pozostaje im tylko jedno źródło utrzymania, a mianowicie polowanie na pojedyncze okazy, a nadto połów ryb i zbiór dziko rosnących owoców.

Fakt następujący da pojęcie o przekształceniu, jakiemu ulegają pasterze, osiadłszy w kniei. Crevaux napotkał w Guyanie małą osadę, należącą do białego, którego wyrzuciła z ojczyzny rewolucja. „Jak wielkiem było moje zdziwienie, gdym ujrzał w pobliżu chaty krowę, dwie owce i gromadkę świń! Osadnik miał jeszcze wołu, ale zabił go, ponieważ nie było paśników“ ¹⁾. Reszta zwierząt prawdopodobnie z biegiem czasu uległa temu samemu losowi i rodzina była zmuszoną utrzymywać się z myśliwstwa.

Jak i pasterstwo, polowanie polega na prostem korzystaniu z dzikich darów przyrody i nęci swoim urokiem. „Dziki nie może ścierpieć towarzystwa białych i przekłada nad nie knieję. Brak ambicji u Indjan—oto główna zawada w pracy cywilizacyjnej nad tubylcami Ameryki Południowej.

¹⁾ Crevaux, l. c., 357.

Indjanin, władając choć jednym nożem, nie podejmie najmniejszego wysiłku, ażeby posiadać jeszcze drugi“¹⁾).

Kładziemy nacisk na powaby polowania. Z ich winy pasterze bardzo łatwo przekształcają się na myśliwców. Okoliczność ta tłumaczy trudność, jaką spotykamy bądź na brzegach Amazonki, bądź w Stanach Zjednoczonych, gdy pragniemy skłonić myśliwców do karczunku lasów lub przemysłu.

Moglibyśmy o polowaniu powtórzyć to samo, co rzekliśmy o pasterstwie: nie wymaga przewidywania, bo zwierzyzna codziennie dostarcza pożywienia. Trzeba ją spożyć natychmiast, bo nie może leżeć długo. Praca ta jest dostępna dla wszystkich.

Acz w stopniu mniejszym, niż pasterstwo, myśliwstwo czyni zadość rozmaitym potrzebom: mięso służy za pokarm, skóra może być obrócona na odzież, mieszkanie, naczynia; pióra służą do ozdób bardzo poszukiwanych, sierść pozwala na wyrób bardzo prostych tkanin. W pewnej mierze myśliwy może sam sobie wystarczyć i wyodrębnić się od wszelkiego zetknięcia z ustrojami bardziej złożonemi. Uwaga ta ma dla nas wielkie znaczenie, bo wykazuje, dlaczego dzikie ludy Ameryki nie sprzeniewierzyły się zwyczajom i właściwościom swego bytu społecznego.

Pod tyłu względami polowanie zbliża się do pasterstwa! Ale różni się od niego pod wielu innemi a zasadniczemi przymiotami, zupełnie przeinaczającemi typ społeczny. Są to:

1-o. Przewaga wieku młodego nad podeszłym.

¹⁾ Ibidem, 338.

Ściganie i złapanie zwierzyny wymagają od człowieka specjalnych uzdolnień: zręczności, zwinności, siły. Przymioty te posiada wiek młody. Młodzież może wystarczyć sobie od bardzo wczesnego wieku, usiłuje więc jak najprędzej urządzić własne gospodarstwo, rozporządzać produktem własnej pracy i wyzwolić się od obowiązku pomocy rodzicom. Ten tryb życia zapewnia młodzieży przewagę nad starcami, wpływ i władza od ojców przechodzą na dzieci.

2-o. Rozwój indywidualizmu.

Zajęcie pasterskie trzyma w spólcie wszystkich członków rodziny. Polowanie na zwierzęta trzodowe, np. na bizona, łączy przynajmniej mężczyzn; polowanie na zwierzynę samotną nawet mężczyzn nie zespala. Najczęściej każdy, w imię własnego interesu, wyodosobnia się i ściga zwierzynę na własną rękę, każdy współtowarzysz jest współzawodnikiem.

Tego rodzaju myśliwstwo ułatwia młodym stadłom małżeńskim zagospodarowanie się i wzmaga indywidualizm. Młody koczownik-pasterz bynajmniej nie marzy o oddzieleniu się od wielkiej jednoty rodzinnej, bo nie zdołałby obejść się bez trzód, ani w nie zaopatrzyć się. Jest przymocowany do ogniska domowego wskutek niemożliwości wyzwolenia się. Zbieg warunków wzmacnia powagę ojców.

Inaczej rzeczy się mają w stosunku do myśliwca: wydatki na założenie własnego gospodarstwa są możliwie niskie, a nadto urządzenie się na swoim nie wymaga żadnych wysiłków.

Mieszkanie przedstawia prostą chatę z gałęzi, pokrytą skórą lub liśćmi. Zbudowanie jej odbywa się prędko. Sprzęty, z winy ciągłych wędrówek, nieodłącznych od my-

śliwskiego trybu życia, są bardzo pierwotne; materiału dostarcza drzewo, skóry zwierząt, skorupy żółwi.

Narzędzia myśliwskie również są nieliczne a proste: łuk i strzały, gdy chodzi o zwierzęta naziemne, oraz piroga dla połowu ryb. Dla wyrobu tego całego rynsztunku wystarcza parę godzin.

Piroga dzikich posiada budowę bardzo prostą.

Istnieją dwa rodzaje pirog. Jedne są z kory. Wyszukują dość wielkie drzewo i na długości kilku metrów oddzielają od niego kawał kory, którą następnie zwijają i wiążą silnie na końcach z pomocą lpany. Pokrywają łódź liśćmi i kładą na wielkiem ognisku. Wtedy roztwiera się. Pozostaje jedynie zalepić szwy kauczukiem, który z drzew sączy się.

Inne łodzie są wyżłabiane z pnia drzewa z pomocą siekiery (kamiennej). Acz czynność ta wymaga dłuższego czasu, jednak załatwiają się z nią szybko. Crevaux pisze, iż czterech mężczyzn w ciągu tyluż godzin kończą pirogę z kory. Spotkawszy wodospad, Indianin porzuca czółno i dla dalszej drogi po drugiej stronie wodospadu buduje nowe.

A zatem u rozpatrywanego odłamu myśliwców nic nie staje na przeszkodzie założeniu przez młode stadła małżeńskie własnego gospodarstwa. Owszem, wszystko je ku temu zachęca, a rodzice, dla utrzymania dzieci przy sobie, nie posiadają nawet bodźca interesu.

3-o. Ograniczoność środków utrzymania.

Step dostarcza człowiekowi środków utrzymania, z roku na rok odnawiających się stale. Natomiast zwierzyzna wyczerpuje się snadniej niż trawa. Nasze społeczeństwa, bardziej złożone, muszą z pomocą specjalnych przepisów regulować polowanie i rybołówstwo rzeczne. Byt dzikich

spoczywa na mniej trwałych podstawach, aniżeli byt społeczeństw, dotychczas przez nas badanych. Są one wystawione na ciężkie głody.

Myśliwy tutejszy nie rozporządza, jak w dzielnicy podbiegunowej, środkami przechowywania zwierzyny na wypadek głodu. Wysoka temperatura zwrotników czyni niemożliwym wszelkie oszczędzanie, trzeba spożyć natychmiast cały produkt polowania. Można mięso trzymać co najwyżej 4 — 5 dni, poddawszy je uprzednio działaniu silnego ognia.

Zapewnienie sobie pokarmu—oto najważniejsza troska dzikiego. „Nasza podróż zamieniła się na rzeczywistą walkę o byt. Każdą chwilę, którą odjęliśmy spostrzeżeniom, musieliśmy poświęcać na polowanie i połów ryb“ ¹⁾.

Niepewność jutra odpowiednio oddziaływała na żołądek dzikich. Mogą w ciągu paru dni nie jeść, natomiast gdy polowanie jest obfite, pochłaniają zadziwiającą ilość jadła.

„W każdej chacie Rukujenów znajdujemy kulki z gliny, zeschnięte od działania dymu. Podczas dnia, gdy pora wieczery jest jeszcze daleką, biorą jedną z tych kulek, odrywają zczerniałą łupinę, resztę zaś rozgniatają nożem. Otrzymują proszek i w dwóch dawkach połykają 5 — 6 gramów“ ²⁾.

Ale to jadło niewiele daje pożytku. Dzicy więc często są wystawieni na śmierć z głodu. Rodzą się zwyczajem, które ich stawiają poniżej Czerwonoskórych.

„Kanibalizm—pisze le Play—ze stanowiska dzikich posiada trzy zalety: uzupełnia pożywienie, daje im urok po-

¹⁾ Crevaux, l. c., 494.

²⁾ Crevaux, l. c., 285.

lowania i wreszcie zapobiega przeludnieniu“¹⁾). Zarazem uczy lekceważyć prawa moralne i życie ludzkie, rozwija okrucieństwo i zradza wojny międzyplemienne.

Jedno jest pocieszajacem: istota ludzka ze swego przyrodzenia bynajmniej nie wykazuje skłonności do pożerania bliźnich i ima się tej ostateczności z winy warunków. Gdyby ludożerstwo wyływało z instynktu naturalnego, istniałoby również u pasterzy. Ale tam go nie spotykamy, gdyż ludy pasterskie posiadają łatwe wyjście z przeludnienia lub na wypadek szczupłości źródeł utrzymania: koń umożliwia im znalezienie nowej ojczyzny. Myśliwy nie ma takiego ocalenia, nie posiada środków zaborczych. Dlatego, w rozpaczliwym położeniu, kiedy zwierzyna odmówiła zaspokojenia jego potrzeb, rzuca się na bliźnich swoich.

4-o. Konieczność, a zarazem trudność wędrówek prawidłowych.

Myśliwstwo zmusza dzikiego do prawidłowo powtarzających się wędrówek. Musi on ścigać zwierzynę w jej legowisku, a więc przedzierać się przez lasy, gdzie na polankach gromadzą się niektóre gatunki, to znowu kłaść się obozem nad rzeką dla połowu ryb wędrownych, jak kumaru, lub zbioru jaj żółwich.

Myśliwy, zmuszony do uskuteczniania wędrówek, napotyka w tem zadaniu osobliwe trudności.

Na stepie wszystko jest drogą, wszystko zaś w puszczy przeszkodą. Niema ścieżek, bo roślinność niebawemby je zniszczyła. Crevaux poznał tubylca, który torował drożynę w pobliżu swej osady, lecz był to jedyny przykład po-

¹⁾ *Les Ouvriers européens*, tom I, ks. I, roz. IV.

dobnej czynności, jaki oglądał. Trudności komunikacji są tak znaczne, iż pojedyncze plemiona nie mają najmniejszych stosunków z sobą. To odosobnienie jest tak wielkie, iż niekiedy na jedno narzecze przypada tylko stu Indjan.

Z powodu tych przeszkód Indianie mają zwyczaj podróżować długim rzędem jeden za drugim; ztąd pochodzi wyrażenie „marcher à la file indienne“. Ten zwyczaj tak silnie pielęgnują, iż nawet zachowują go na przestrzeniach bezleśnych. Podróżnicy nieraz wyrażają swój podziw na widok tego zwyczaju. Robią oni także spostrzeżenie, iż niemowlęta podczas wędrówek perjodycznych oczekuje śmierć nieuchronna ¹⁾).

Oto warunki, które, w stopniu jeszcze większym u tych ludów, niż wśród myśliwców na bizony, przyczyniają się do wzmocnienia zwyczaju, rozprzegającego rodzinę. Mówimy o porzucaniu starców, chorych, dzieci i wogóle wszystkich tych, którzy nie zdołają sami podążać. „Dzicy—pisze Crevaux ²⁾—przynajmniej podczas podróży, opuszczają chorych i ranionych“, Przytacza on fakt pozostawienia dziewczynki w hamaku nad brzegiem rzeki ³⁾). Razu jednego spotkał chorą staruszkę, pozostawioną bez jadła przez własną rodzinę, która nie była w stanie zabrać jej z sobą ⁴⁾).

W obliczu tych ciężkich warunków, nałożonych przez przyrodę i tryb pracy, następuje pytanie, czemu te ludy nie imają się rolnictwa dla otrzymania obfitszych i bardziej

¹⁾ Crevaux, l. c., 360.

²⁾ Crevaux, l. c., 612.

³⁾ Crevaux, l. c., 169.

⁴⁾ Crevaux, l. c., 276.

zabezpieczonych środków utrzymania. Otóż taka zmiana spotyka szczególną trudność na drodze swego urzeczywistnienia się.

W latach, kiedy zwierzyna jest obfitą, niektóre plemiona wzrastają ponad szranki, wyznaczone przez miejscowe źródła utrzymania. Ukazują się próby rolnictwa, lepszego zużytkowania sił gleby i zaspokojenia rosnących potrzeb ludności.

Ale nowy rodzaj pracy wymaga większych wysiłków i mniej pociąga, aniżeli myśliwstwo, przeto nie przypada do gustu zwłaszcza młodzieży. Jedynie powaga ojcowska zdolałaby na młode pokolenie wywrzeć niezbędny nacisk, ale jest bezsilną. Próby więc uprawy gruntów nigdy nie sięgają zbyt daleko.

Nadto, klęski atmosferyczne, tak częste w tej dzielnicy, usprawiedliwiają wstręt ludów tamtejszych do zajęć rolniczych. Epidemie i epizootje nietylko oswobadzają plemię od starców, żywiołu najszabszego i najmniej pielęgnowanego. Tępią one nawet całe plemiona, w ten sposób utrzymując równowagę pomiędzy liczbą żołądków a ilością pokarmu. Plagi te utrwalają panowanie tak uroczych zajęć, jak myśliwstwo, polegających na korzystaniu z samorodnych darów gleby i wód.

Przeszkody te przeciwdziałają zamianie myśliwców na rolników. Wśród puszczy Nowego Świata istnieją zaledwie bardzo pierwotne plantacje ryżu, ignamów, patatów, trzciny cukrowej, manioku.

Maniok, roślina najczęściej uprawiana, należy do wilczomleczowatych; jego mączka słynie pod nazwą tapioki. Dostarcza zarazem chleba i napoju wyskokowego, co jest cennym przymiotem; nie wymaga wielkiego wysiłku. Cztery

dni pracy co miesiąc starczy na wyżywienie rodziny, złożonej z dziewięciu głów.

Uprawę manioku uskuteczniają sposobem następującym: ścinają drzewa na miesiąc przed końcem pory dżdżystej i, gdy drzewo uschnie, podpalają. Z pomocą pręta robią w ziemi otwory 8—9 centymetrów i ku schyłkowi grudnia sadzą płonki. Oczekują plonów i ich zbioru. Korzeń miela na mączkę, *kassarwę*; nadto pędza z niego trunek fermentujący, *kaszyri*.

Pomimo łatwości uprawy tej rośliny, tubylcy zaprzętają się nią tylko o tyle, ile trzeba na zaspokojenie potrzeb najniezbędniejszych. Acz niepewne źródło utrzymania, myśliwstwo trzyma ich mocą swoją i ujarzmia. Pod działaniem konieczności robią krok jeden ku rolnictwu, ale nie trwają w swem postanowieniu i wracają pospiesznie do powabniejszych zajęć myśliwskich.

III.

Wśród tych ludów dzikich panuje spółnictwo gruntów. Las należy do wszystkich, bo jego produkty, tak samo jak stepu, nie wymagają od człowieka żadnej pracy. Warto zaznaczyć, iż w naszych społeczeństwach, bardziej złożonych, łąki i lasy najdłużej pozostają w niepodzielnem posiadaniu.

Ale chociaż las dla każdego jest dostępny, jednak obszar, przysługujący pojedynczej rodzinie, posiada rozmiary bardziej ograniczone, niż na stepie. To ograniczenie pochodzi przede wszystkim z przeszkód natury komunikacyjnej, które zmuszają myśliwych do poprzestawania na mniej-

szem terytorjum. Następnie wypływa z samej istoty produkcji, korzystającej z samorzutnych plonów przyrody. Te ostatnie wyczerpują się. Rodziny więc troskliwie ochraniają przeciw sąsiadom dostęp swobodny na swe terytorjum.

Byt myśliwców jest mniej zapewniony niż pasterzy.

Ziemia jest w posiadaniu zbiorowem, ale ognisko i narzędzia pracy już stanowią własność rodzinną skutkiem rozpadnięcia się rodu na pojedyncze stadła małżeńskie. Sprzęty są nieliczne. Wyrób ich łatwy. Zaledwie w drobnej mierze przyczyniają się one do rozwoju przezorności i oszczędności, przymiotów, których wszelka własność wymaga.

Dziki z natury samej rzeczy jest lekkomyślny.

Jego istotne mienie, to, którego zwłaszcza potrzebuje, tkwi w jego zręczności i zwinności; jest to rzecz wyłącznie osobista, której niepodobna ani nabyć, ani przekazać. Spadki więc tam są nieznane. Żadne spoidło, nawet rzeczowe, nie wiąże nawzajem pokoleń i nie zespala ich z sobą. Indywidualizm święci swój tryumf¹⁾.

Z powyższego wynika, iż rodzina patryjarchalna nie istnieje wśród myśliwców. Niepodobieństwem jest, jak w bycie pasterskim, trzymać wszystkich synów przy ognisku domowem. Owszem, dzieci opuszczają ojca, w miarę tego jak czują, iż wystarczą sobie.

¹⁾ Warto odróżnić indywidualizm, właściwy ludom dzikim, od partykularyzmu, spotykanego u ludów najpostępowszych. Pierwszy doprowadza do rozbicia na atomy, drugi zapewnia obywatelowi możliwie znaczną ilość niezależności względem państwa i bynajmniej nie pozbawia jednostki jej uzdolnień do zrzeszania się zarówno w życiu prywatnem, jak i publicznem.

„Rodzina—pisze le Play—u myśliwców zesłała do najprostszego swego wyrazu: polega na związku młodych małżonków, wzrasta z przyjściem na świat dzieci, uszczupla się przez wyjście dojrzałych i założenie własnego gospodarstwa, wreszcie bez śladu znika ze śmiercią rodziców. Jednostki pamiętają o związkach krwi o tyle, ile wymaga tego istnienie rasy“¹⁾).

Oto rysy charakterystyczne nieustalonej rodziny, żywiołowo powstającej u ludów myśliwskich.

W rodzinie patryjarchalnej stateczność rodziny jest dziełem ciągłości ogniska, ruchomego lub osiadłego. Niema tam, pomiędzy kolejnymi pokoleniami, przerwy tej spójni. U myśliwców rodzina rozprzega się perjodycznie, rozpada się dla zgrupowania się około nowych ognisk, tak samo krótkotrwałych, jak dawne. Nie przedstawia widoku drzewa stuletniego, ale rośliny jednorocznej.

Jak wiadomo, ludy patryjarchalne przekazują ze czcią religijną tradycje i prastare legendy rasy swojej. Jeszcze dzisiaj pamięć o sławnym Tamerlanie żyje pod namiotami, zachowała się w pieśni, przez Mongołów sławionej. Huc słyshał ją i przełożył.

Inaczej dzieje się wśród ludów dzikich. Nie mają przeszłości, gdyż niestateczność ogniska domowego nie sprzyja utrwaleniu i przekazaniu wspomnień o dalekiej przeszłości. Kto zdoła wskazać tradycje dzikich ludów Ameryki, Australji i Nowej Zelandji?²⁾

¹⁾ *L'organisation de la famille*, roz. II, § 5.

²⁾ Błędne twierdzenie. Nawet u Australczyków znaleziono podania o przeszłości. Maorowie N. Zelandji posiadają bogaty zbiór

Trwałość ogniska domowego udziela rasie trwałych składników narodowości. Rodzice, mając aż do skonu przy sobie wszystkich synów, a przynajmniej jednego lub dwóch, przekazują im ogół wiadomości, idei, zwyczajów, tradycji, które otrzymali w ten sam sposób od swoich przodków. Każde pokolenie jest dalszym a spójnym ciągiem poprzednich.

Nie potrzebujemy zastanawiać się, co dzieje się z powagą ojcowską w ustroju, który rozłącza tak wczesnie i tak głęboko rodziców z dziećmi. Czynności ojca ograniczają się do obowiązków podstawowych: do zapłodnienia i troski o materialne utrzymanie niemowlęcia; młodzieniec wyzwala się już z pod jego wpływów, dojrzały syn nie zależy od niego zupełnie. Organizacja rodziny ludzkiej wzoruje się według rodziny zwierząt.

Rodzina nieustalona pociąga jeszcze inne doniosłe skutki: pozostawia bez opieki i oparcia sieroty, chorych, starców, słowem niezdolnych i słabych. Ognisko domowe rodziny patriarchalnej zawsze przytuła te niedołążne istoty; nie wydalają się one z jego obrębu lub zawsze do niego powracają.

Ognisko domowe, ulegając wśród myśliwców prawidłowemu rozstrzeleniu, nie może ofiarować tym istotom schronienia. „Dzicy nie troszczą się o sieroty. Te nieszczęsne stworzenia, zmuszone do nadmiernej pracy, dzielą wraz

epopei plemiennych, a badacze w Ameryce Północnej odkryli u plemion również obfitą puściznę. Istnienie tradycji jest niezależne od organizacji rodziny — w tym sensie, jak tego dowieść usiłuje autor. (L. K.)

z psami odpadki kuchni“¹⁾). Każdy, niezdolny do pracy na siebie, jest potępiony; ażeby żyć, trzeba być silnym.

Ustrój władz publicznych przybiera również odmienny charakter u dzikich i u pasterzy.

U tych ostatnich cały mechanizm władz publicznych ześrodkował się w rodzinie.

Wśród ludów myśliwskich rodzina, rozbita i uproszczona w stopniu najwyższym, nie zdołałaby wywiązać się z tych zadań.

Starcy, nie mogący marzyć nawet o zwierzchnictwie nad ogniskiem domowym, dziećmi lub warsztatem pracy, nie są zdolni wziąć na siebie ciężkie zadanie stawiania czoła napadom plemion ościennych. Do wywiązania się z tej czynności trzeba posiadać młodość, siłę, energję. Władza przechodzi więc do tych, którzy są najsilniejsi. Ci sprawują ją samowolnie, jak zdarza się zawsze tam, gdzie wszelka powaga opiera się na sile, a ma za przedmiot wojnę, zwłaszcza prowadzoną w sposób dziki. Władza nietylko posiada charakter despotyczny, lecz nadto okrutny.

Każde plemię jest zorganizowane zarówno dla celów obrony, jak i działalności zaczepnej. Zawsze znajduje się w pogotowiu.

„Dzkiego, podróżującego w towarzystwie dwóch innych mężczyzn nad rzeką Aara, otoczyli i wzięli do niewoli Uitoci. Bez długiego krzątania się, przywiązano za ręce i nogi jednego z towarzyszków do drzewa i odebrano mu życie zatrutą strzałą. Podczas egzekucji nieszczęśliwy szlochał jak dziecko: „Dlaczego mnie mordujecie?“ Odpo-

¹⁾ Crevaux, l. c., 268.

wiedziano mu: „Zjemy ciebie, ponieważ twoje plemię pożarło naszych rodaków“. Przetknięto żerdź przez związane ręce i nogi i poniesiono trupa na brzeg jako prosty okaz pekari. Wódz rozdzielał mięso“¹⁾).

Odrażające trofea ozdabiają chaty dzikich. Przy wejściu do jednej z nich, Crevaux oglądał powyżej drzwi dolną szczękę, oraz parę fletów z kości ludzkich. W kącie nad bębniem znajdowała się wysuszona ręka, pokryta woskiem.

Parokrotnie napastowano naszego podróżnika. Wyszedł zwycięską ręką, dzięki swej odwadze i wyższości oręża. Dzicy nieraz nie chcieli mu towarzyszyć, gdyż obawiali się sąsiadów, którzy wychodzili na wyprawę dla wzięcia jeńców i ich pożarcia²⁾).

Wobec tego rodziny gromadzą się dokoła dzielnego wodza, mogącego je obronić. Ten nieustający stan wojenny utrwała najsamowolniejsze i najokrutniejsze rządy, niemoc zaś i chwiejność życia rodzinnego sprzyja wzrostowi roszczeń wodza.

Powaga rządu odznacza się swoją niestatecznością.

Siła wynosi wodzów, a zarazem pozbawia ich władzy. Nietylko przejmują innych postrachem, ale i sami drżą z obawy. Wszyscy podróżnicy, stykający się z ludami dzikimi, zaznaczyli ten objaw. Niestateczność ogarnia więc nietylko ustrój rodziny, lecz także i powagę publiczną.

Myśliwcy nie są obdarzeni zdolnością rozszerzania się poza terytorjum ojczyste, jak pasterze. Ta nieudolność pochodzi z trzech przyczyn:

1) Crevaux, l. c., 372.

2) Crevaux, l. c., 126.

Pierwszą przedstawia brak środków transportu.

Ludy dzikie nie posiadają koni; niekształtne pirogi, wyrobione z kory lub wydrążone w pniu drzewa, nie nadają się do żeglugi morskiej. Dziki zaledwie zdoła zwiedzać różne części własnego terytorjum i to z wielu trudnościami, a często niepodobieństwem jest wszelkie wyjście poza jego granice. Rozporządza, jako środkiem zmiany miejsca, tylko własnymi nogami, a to jest zbyt nieudolna dźwignia transportu.

Druga przyczyna wskazanej niemocy tkwi w rozstrzeleniu rodzin.

Ludy dzikie są rozbite na drobne, odosobnione grupy, bez żadnego porozumienia między sobą. Tylko wojna umożliwia im zetknięcie. Są więc nieprzygotowane do robienia najazdów, wymagających zgody i uprzedniego porozumienia się znacznej liczby plemion.

Wreszcie, zaludnienie jest słabe.

Pasterze rozlewają się po świecie nie dlatego, iż pogrom sprawia im przyjemność. Przeludnienie i brak środków utrzymania zmuszają ich do tego w prawidłowych odstępach czasu. Myśliwcy nie znają takiego nadmiernego przyrostu. Zarazy, powstające wskutek upałów i wilgoci, porzucanie osób, które niezdatne są do samodzielnego odbycia wędrówek, wojny pomiędzy plemionami, ludożerstwo, zapobiegają przeludnieniu.

Ludy myśliwskie rozmnażają się zwolna, a niekiedy nawet znikają. Martius w *Répertoire d'ethnographie* zaznacza, iż skutkiem zetknięcia się z białymi Indjanie Amazonki szybko wymierają. To samo daje się spostrzedz w Ameryce Północnej, w Australji, na N. Zelandji i Tasmanji. Na ostatnio wymienionej wyspie znajdowało się w r. 1816 około

siedmiu tysięcy tubylców; z tej rzeszy pozostało tylko pięć osób, a mianowicie trzech mężczyzn i dwie kobiety. „Oglądaliśmy je — pisze Beauvoir — trzymano je jako relikwie, zdjęto ich fotografie“¹⁾).

*

*

*

Sledząc drogę ludów myśliwskich Ameryki Południowej, dosięgnęliśmy krańca jednego ze szlaków dziejowych ludzkości. Typ bowiem, ostatnio rozpatrywany, powtarza się z nieznacznymi różnicami aż do krawędzi lądu amerykańskiego.

Wiemy, dlaczego ta droga wytwarza ludy w stanie coraz większego rozprzężenia. Knieja leśna jest tego sprawczynią.

Ale tym pojedynczym objawem nie wyczerpaliśmy takiego działania puszczy leśnej.

Jeszcze druga droga doprowadziła ród ludzki do niezmiernej dzielnicy leśnej, a mianowicie droga afrykańska.

Punkt wyjścia tego szlaku leży nie na północy, tylko na południu olbrzymiego płaskowzgórza azjatyckiego, które opisaliśmy na początku pracy niniejszej²⁾).

Nie wdaję się w rozbiór tej drogi, ani w kreślenie jej etapów; nie podejmuję się także prowadzenia czytelnika przez pasmo przekształceń społecznych, które zwolna zro-

¹⁾ Australja w *Voyage autour du Monde*, 250.

²⁾ Autor milcząco wychodzi z założenia, zupełnie nieuzasadnionego, iż różne szczepy rodzaju ludzkiego rozeszły się z okolic wielkiego grzbietu górskiego Azji. Nawet sama nazwa pracy jego pochodzi z tej zasadniczej, a jednak nieudowodnionej idei (*L. K.*).

dziły ustrój społeczny, właściwy różnym odmianom typu murzyńskiego. Zwalnia mnie od tej pracy dzieło mego współpracownika i przyjaciela A. de Prévillé'a *Les sociétés africaines; leur origine, leur évolution, leur avenir*, Paryż, 1894. Z pomocą tego dzieła czytelnik zdoła zapełnić lukę, którą tutaj umyślnie pozostawiam. Znajdzie tam te same metody, które mną kierowały, i ujrzy, jak udzielają różnym współpracownikom, grupującym się dokoła *Science sociale*, jedności poglądów i wniosków, tego rysu każdej pracy naukowej.

W metodycznej klasyfikacji dróg dziejowych globu, typ myśliciela kniei afrykańskiej należy umieścić po typie tylko co opisanym Indjanina Ameryki Południowej.

KSIĘGA DRUGA.

PRASTARE LUDY WSCHODU.

Przed nami nowe drogi, charakteryzujące sobą jeden ze zwrotnych punktów w dziejach rodu ludzkiego.

Opuszczamy glebę dziewiczą, z której powstały proste ustroje społeczne, i zwracamy się do gleb przekształconych, na których poczęły się ustroje złożone.

Na glebie dziewiczej, dotychczas badanej, ludy czerpią środki utrzymania swego z produktów, samorzutnie dostarczanych przez przyrodę. Człowiek, za pośrednictwem pasterstwa, rybołówstwa i polowania, zbiera plony, gotowe na zaspokojenie jego potrzeb; wysiłkiem swoim nie przetwarza dzieła przyrody.

Wpływ ów gleby jest tak możny, iż społeczeństwa te nie zmieniły się od początku świata, nieruchome pod względem trybu swego życia tak samo, jak niezmiennem jest ich otoczenie. Nie posiadają historii. Człowiek winien poprzestawać na tem, co mu daje przyroda samorzutnie, zaspakając swoje potrzeby w sposób możliwie bezpośredni

i naturalny. Niema tam środków rozwoju bogactw, potęgi, zawiślań społecznych. Prostota—oto ich tryb zasadniczy.

Spółczeństwom tym można nadać miano prostych społeczeństw. Istotę ich możemy określić w sposób następujący: jest to ustrój społeczny, w którym rodziny opierają głównie byt swój na samorzutnych plonach gleby i wód¹⁾.

Spółczeństwa pierwotne dostarczają wątku pierwszemu z dwóch wielkich działów wiedzy społecznej. Dla tej ostatniej są tem samem, czem pierwiastki w chemji, pokłady pierwotne w geologii, zoofyty w historii przyrodniczej. Odnajdujemy tam w zarodku punkt wyjścia dla zawiślań, rozwijających się w wyższych ustrojach społecznych. Kroczymy więc ścieżką naturalną: od zjawisk prostych do złożonych.

Spółczeństwa struktury złożonej odróżniają się bardzo zasadniczo od ustrojów prostych; produkty, dostarczane żywiółowo, nie pokrywają potrzeb ich bytu; społeczeństwa te, dla otrzymania obfitszego zasobu produktów, winny jać się przetwarzania gleby.

To przekształcenie odbywa się drogą wysiłków nieskończenie różnorodnych. Miejsce nie odgrywa zasadniczej, a przynajmniej najwplywowszej roli, jak w ustrojach prostych; nie jest siłą, kształtującą formy życia, organizację rodziny, całą więź społeczną. Działanie miejsca doznało ograniczenia, przeciwdziałają mu inne, zmienne czynniki, bo człowiek nie poprzestaje na tem, w co zaopatruje go gleba samorzutnie, ale zbiera to, co świadomie wytworzył.

Życie na stepie pociąga za sobą byt pasterski, ustrój

¹⁾ Le Play: *Les Ouvriers européens*, II, 475.

spółniczy, rodzinę patriarchalną, nieobecność opieki pozarodzinnej, wąskie szranki działalności przetwórczej, handlu, rzemiosł wyzwolonych, kultu publicznego, władz publicznych i t. d. Wszystkie te następstwa wypływają bezpośrednio z warunków miejsca, są przez nie narzucone.

Istota ludzka z chwilą, gdy ją się przetwarzania gleby, przekształca wpływy miejsca odpowiednio do zmian, jakie na ziemię wywarła. Ukazuje się pasmo następstw, wpływających coraz pośredniej z natury miejsca, a coraz bezpośrednio z wysiłku pracy.

Człowiek przestaje znajdować się pod jarzmem gleby, oddziaływa na nią, narzuca jej najrozmaitsze zmiany.

Oto jeden z przykładów.

Pomiędzy Dunajem a Morzem Czarnem ciągnie się step, szerokości 60 — 80 kilometrów, długości 200. Jest to Dobrudża. Niegdyś zajmowali ją wyłącznie pasterze. Rzymianie, owładnąwszy tym krajem, wprowadzili osadników, którzy zwolna przekształcili glebę z pomocą uprawy, dali początek przemysłowi, utorowali drogi i założyli miasta. Zamiast prostego i jednostajnego ustroju społecznego pasterzy, ukazały się różniczkowane warstwy społeczne, odpowiednio do różnorodnej jakości pracy, a więc na jednym miejscu rolnicy, gdzieindziej rzemieślnicy, kupcy i t. d. Pó cofnięciu się Rzymian, step znowu pokrył Dobrudżę, był zaś pasterski ze wszystkimi swymi następstwami rozpostarł się jednostajnie nad całym krajem. Dzisiaj rolnictwo znowu przetwarza glebę, mając współpomocników w handlu i przemyśle. Kolej od Kustendży do Czarnej Wody ostatecznie pchnęła kraj na tory zmian.

Widzimy z tego przykładu, iż na ziemi przetworzonej działanie miejsca słabnie i nawet zupełnie zanika, tymcza-

sem wpływ pracy, t. j. swobodnej działalności człowieka, potężnieje i zapanowuje. Odpowiednio do tego, czy istota ludzka położyła nacisk na rolnictwo, lub na przemysł, handel, komunikację, udziela ona danemu krajowi osobliwego charakteru społecznego.

Któż o tem nie wie, iż założenie fabryki na wsi szybko przekształca jej mieszkańców: rolnik zostaje robotnikiem, t. j. odmiennym typem społecznym. Budowa kolei sprawia szereg przekształceń, uderzających nawet najmniej spostrzegawcze umysły.

Rozmaitość zjawisk społecznych, zachodzących na tej samej glebie, oto najogólniejszy rezultat, wynikający z przekształcenia ziemi przez człowieka.

Rozmaitość tę sprawiają dwie przyczyny:

1-o. Nieskończona rozmaitość pracy.

Na każdej odmianie gleby pierwotnej istnieje tylko jedna zasadnicza forma pracy, a raczej prostego zbioru: pasterstwo, polowanie, rybołówstwo. Wszystkie rodziny oddają się z konieczności temu samemu zajęciu, a ztąd wypływają dla wszystkich jednakowe następstwa.

Ale rzeczy przybierają inny charakter, gdy człowiek przetwarzać jął glebę; ma on do wyboru nieskończoną liczbę zajęć, przekształcenia zaś społeczne nie mają kresu. Najrozmaitsze typy społeczne powstają na tej samej glebie, krzyżują się i kombinują tysiącznymi sposobami.

2-o. Rozległa rozmaitość uzdolnień każdej jednostki.

Rozmaitość uzdolnień ludzkich wywiera mały wpływ na pracę w okresie pierwotnym. Jakość i ilość otrzymanego produktu zależą nie tyle od pracy jednostki, ile od potęg przyrodzonych, które są niezależne od woli ludzkiej. Pasterz, rybak, myśliwy, nie usiłują zrobić stepu urodzajniej-

szym, ani wód bardziej rybnemi, lub lasu bardziej uposażonym w zwierzynę. Warunki miejsca panują nad nimi i zarazem im służą, człowiek zaś nie ima się pracy ich przekształcania. Wszyscy ludzie równi są wobec żywiołowych, swobodnych sił przyrody.

Widok ów zmienia się, gdy przejdziemy na glebę przekształconą. Człowiek doskonali przyrodę i wzmacnia znaczenie ilość produktu, dostarczanego przez pracę. Jednostki rozmieszczają się w społeczeństwie według uzdolnień swoich: jedna otrzyma dziesięć razy więcej z tego samego kawałka ziemi lub wyrobu, niż inna.

Spółcześnieństwa, do których rozbioru przystępujemy, odznaczają się złożonością.

Ztąd pochodzi ich miano: ustrojów złożonych.

ROZDZIAŁ I.

Droga wielkich mocarstw pustyni.

TYPY: ARABSKI, SAHARY, ASYRYJSKI I EGIPSKI.

I.

Droga pustyni ginie w mroku wieków. Na niej powstały pierwsze wielkie mocarstwa, o których historia wspomina na swoich stronicach: Asyrja i Egipt.

W czasach późniejszych na niej ukazało się mocarstwo Islamu.

Dzisiaj zajmują ją Arabowie i ludy Sahary.

Droga ta idzie od wielkiego płaskowzgórza stepów azjatyckich. Tworzy ich przedłużenie nie ku północy, jak tundra, jeno w kierunku na południe. Przerzyna Syryję, Arabję i Saharę, które ciągną się za sobą bez przerwy od północy na południo-zachód.

Jak i na stepie, trawa stanowi jedyny produkt tych dzielnic, ale jest rzadką, szczupłą, a w porze suchej, letniej, zupełnie jej niema.

Bardzo długa posucha stanowi rys zasadniczy tych obszarów. Powstaje za sprawą wysuszonego prądu powietrza,

który dmie stale ze strony płaskowzgórza środkowo-azjatyckiego aż do Senegalu. Przebiega on ponad wszystkimi temi krajami, przybywa zaś suchy wskutek przejścia ponad lądem azjatyckim.

„Prawie zupełnie niema drzew w Arabji północnej, roślinność składa się z traw i z niskich roślin drzewiastych i trwa tylko przez wiosnę; ku schyłkowi maja przyroda przybiera charakter posępnej, suchej przestrzeni, rośliny zwiędły i barwą naśladują glebę. Bardziej na południu leżąca Arabja środkowa należy do strefy również ubogiej w gatunki roślin. Niektóre dzielnice są zupełnie obnażone, pozbawione krzaków i trawy, jedynie mchy rozpostarły się na skałach, niby skorupa na kamieniu. Nawet w Tehama, na wybrzeżu morskiem, roślinność odznacza się ubóstwem, na półwyspie Adeńskim naliczono tylko 85 gatunków roślin, a z nich blisko część trzecia stanowi właściwość jedynie Arabji. Ogół wegetacji przypomina roślinność Sahary“¹⁾.

Pustynia Nefond, pomiędzy Nedzedem, Hadramautem i Omanem, zajmuje prawie całą ćwierć półwyspu Arabskiego. „Składa się prawie wyłącznie z grubo-ziarnistego, czerwonego piasku; podróżnikowi na słońcu, gdy odczuwa już w ciele dreszcz febry, a napół oślepienie oczu szukają nadaremnie punktu, na którym mogłyby spocząć bez cierpień, zdaje się, iż przepływa morze ze krwi lub ognia: to wiatry podejmują „fale ogniste“. Faliste wzniesienia piasku, ciągnące się na powierzchni Nefondu, dosięgają niekiedy wysokości stu metrów“²⁾. Co zaś do Sahary, jej suchość

¹⁾ E. Reclus: *Nouvelle géographie universelle*, IX, 870.

²⁾ Ibidem, 848.

i jałowość zanadto są znane, ażebyśmy mieli się nad niemi zatrzymywać.

Trawa w pustyni jest zbyt skąpa, ażeby koń zdołał w niej znaleźć dostateczne wyżywienie. Zwierzę to jest tam przedmiotem zbytku, własnością wodzów, którzy są w dostatecznym stopniu zamożni, aby módz wyżywić konia w sposób bardzo kosztowny, np. daktylami i ziarnem zdaleka sprowadzanem.

Konia zastępuje inne zwierzę, wielbłąd. Pasterz koni znika, a pojawia się pasterz wielbłądów.

Wielbłąd dostraja się do tych olbrzymich przestrzeni swoją rącością, pozwalającą mu przebiegać znaczne odległości, oraz wstrzemięźliwością, która sprawia, iż zadawała się nędzną trawą i wodą, rzadko otrzymywaną. Ale będąc cennym pomocnikiem ze względu na swoje właściwości, jako zwierzę juczne, dostarcza daleko mniej od konia pokarmów człowiekowi. Wielbłądzice dają bardzo mało mleka.

Sztuka pasterska nie wystarcza sama jedna na utrzymanie człowieka. Musi on szukać dodatkowych źródeł zarobku.

Niedostateczność środków utrzymania, dostarczanych przez pasterstwo, zmusza do przemysłu przetwórczego i handlu; oto kierunek drogi, wiodącej typ pasterski ku nowym a wyższym przeznaczeniom.

Pustynie, na pograniczu swoim posiadające ziemie urodzajne, zajęte są przez rolników.

Tutaj należą dzielnice wybrzeżne Arabji, z których jedna nosi miano „Szczęśliwej“; Hedżaz i Yemen na zachodzie; Hadramaut na południu, Oman i Hasa na wschodzie. Tutaj także trzeba wymienić dzielnice morskie, ogranicza-

jące Saharę od wschodu, północy i zachodu, od Egiptu do Marokka. Są one zdatne pod uprawę, dzięki sąsiedztwu morza, które w postaci deszczu obdarza je dostateczną ilością wilgoci. Tam mieszkają rolnicy, posiadający nadmiar ziarna, tak potrzebnego koczownikowi.

Weźmy dla przykładu, na krańcu południowo-zachodnim Arabji, Yemen, odpowiadający „Arabji Szczęśliwej“ dawnych geografów. „Góry Yemenu wkraczają do strefy pod względem klimatycznym zgoła odmiennej od pustyń; główne płaskowzgórze, przyodziane zielonością, zacienione drzewami, przypomina krajobrazy włoskie. W setkach dolin stokom nadano kształty uprawnych tarasów, które tworzą olbrzymi amfiteatr pogrążony w zieloności. W tej okolicy górzystej ukształtowanie powierzchni i klimat prawie uniemożliwiły pasterstwo. Zaludniona przez rolników, żyjących z uprawy gruntów, dostarcza paru najcenniejszych artykułów żywności w Azji“¹⁾.

Nieco bardziej ku wschodowi, wzdłuż południowego wybrzeża Arabji, leży Hadramaut, posiadający tę samą urodzajność i zamożność. „Makalla służy za port morski bogatych dolin; według Wrede'go, jedyne dotychczas podróżnika, który je zwiedził, wioski są tam liczniejsze, niż w jakiegokolwiek innej dzielnicy półwyspu; na dziesiątki można tam liczyć osady, posiadające 6,000 i więcej mieszkańców; w niektórych dolinach ogrody i ulice ciągną się rzędem nieprzerwanym. Podziw zdejmuje nas wobec gęstości zaludnienia Hadramautu, jaką podaje wymieniony po-

¹⁾ E. Reclus: l. c., 836.

dróżnik: wytrzymałaby ona porównanie z gęstością zaludnienia w Europie zachodniej“.

Ale syn pustyni musi czegoś dostarczać rolnikom wzamian za ich zboże. Tymczasem wielbłąd nie posiada żadnej wartości dla ludności osiadłej.

Konieczność wskazała inną rzecz. W dotychczasowym rozbiorze losów rodzaju ludzkiego jej jeszcze nie napotkaliśmy, chociaż wywołuje ona jeden z najpotężniejszych przełomów społecznych. Są to: produkcja na sprzedaż, oraz przewóz w celach handlowych.

Typy, badane dotychczas, wytwarzają jedynie na własny użytek. Mieszkaniec pustyni wyrabia przedmioty na sprzedaż. Produktem trzód swoich, a więc skórom, wełnie i t. d., nadaje kształty, podnoszące wartość produktu, a nie wymagające kosztów, gdyż na fabrykację poświęca długie wczasy swojego zajęcia pasterskiego. Wytwarza burnusy, kobierce, dywany, poduszki, worki, naczynia, sznury i t. d., a te wyroby przybywają aż na nasze rynki za pośrednictwem kupców, znajdujących się wśród ludności pogranicznej. Mieszkańcy dzielnic ościennych kupują te przedmioty po cenie tańszej, niż gdyby sami zajmowali się ich wyrobem, i wzamian dają zboże, bez którego koczownicy nie zdołali by istnieć.

Oto pierwsze źródło dodatkowego zarobku mieszkańców pustyni, niedostateczne jednak wobec niskiej ceny wyrobów w porównaniu z olbrzymią ilością potrzebnego zboża.

Musieli przeto jąć się jeszcze drugiego fachu, który zaopatrzyłby ich w pieniądze, niezbędne do zakupna zboża na rynku. Zostali podróżnikami na rachunek ludów osiadłych, albo, co jest korzystniejszym, na swój własny rachunek.

Rozwój jednej i drugiej działalności odbył się w sposób naturalny.

Koczownik może na korzyść swoją obrócić podróże do krajów pogranicznych, dokąd udaje się dla zamiany produktów swej trzody na ziemiopłody. On jeden jest w stanie przebiegać znojne pustynie Arabji i Sahary od jednego końca do drugiego; on tylko zdoła stworzyć stosunki wymienne pomiędzy urodzajnymi a handlowymi krajami, które pustynia oddziela; on zna drogę wzdłuż piasków, oraz rzadkie studnie, służące za przystanek; posiada niezbędne zwierzę, słynące jako „okręt pustyni“; wreszcie on jeden tylko może znieść mozoły i dolegliwości, które czekają podróżnika wśród tych olbrzymich przeklętych przestrzeni.

Lekceważy te mozoły, bo produkty, które wiezie, mają znaczną wartość przy małej objętości: są to drogie wytwory krańców „Szczęśliwej Arabji“ lub krajów zwrotnikowych Afryki. A przewiezione na drugą krawędź pustyni, powiększają wartość swoją w stopniu nieprawdopodobnym, bo dają 150%—500%. Z tych cyfr można wnioskować o zyskach, jakie spływają, a zwłaszcza spływały na kupca i pośrednika.

Logika wypadków, ta wielka mistrzyni człowieka, doprowadziła syna pustyni do uzupełnienia niewystarczających dochodów pasterstwa produkcją na sprzedaż i przewozem dla wymiany.

Rozwój przemysłu przetwórczego i handlu wydał doniosły skutek, a mianowicie stworzył stateczną organizację życia publicznego.

Ażeby z wnętrza pustyni osiągnąć jej krańców, trzeba dokonać znacznej podróży, a na krańcach dopiero można sprzedać lub wymienić produkty. Podczas podróży, ja-

dący spotykają innych przewoźników, z którymi niekiedy trzeba rozprawiać się o paśniki i wody rzadkie a biedne; niekiedy dochodzi do bitwy o towary, zwykle drogie, a przewożone w celach sprzedaży.

Wskutek tego wszystkiego, jadący powinni znajdować się w znacznej liczbie, nawet bardzo znacznej i posiadać możliwie doświadczonych kierowników. Jest to kwestja życia i śmierci.

Konieczność ta powołuje do życia związki rozleglejsze, zawierające w sobie nietylko najbliższych krewniaków, ale nawet najodleglejszych. Na stepie, gdy spólnota stała się zbyt ludną, pewna część jej członków emigruje pod wodzą nowego patriarchy, pospolicie jednego z braci patriarchy dotychczasowego. Tutaj, przeciwnie, nigdy nie jest zbyt wielką, nikt nie oddziela się od rodu, który skutkiem tego potężnieje i zamienia się na plemię.

Możemy plemię przyrównać do armji w pochodzie, której wszyscy uczestnicy są związani węzłami bliższego lub dalszego pokrewieństwa.

Plemię zawiera kilkuset, a niekiedy parę tysięcy członków. Taka gromada, ażeby wyżyć na glebie tak ubogiej, musi rozpaść się na mniejsze grupy, duary, „pułki.“ Wszystkie duary ciągną za sobą z odległości dnia drogi, stanowią jednię pod kierownictwem tego samego wodza i łączą się przy najmniejszym niebezpieczeństwie i na pierwszy znak dany.

Powstaje karawana, a co najważniejsza, zamienia się na ustrój normalny a trwały. W obrębie Arabji i Sahary nie przedstawia ona więzi przypadkowej, jak u Mongołów, ale jest urządzeniem codziennem: Arab i mieszkaniec pustyni afrykańskiej są stale pod działaniem tej organizacji. I nawet

nie może być inaczej. Większą część roku spędzają oni w podróży od jednych krańców pustyni do drugich, wioząc towary na sprzedaż.

Dla dokonania takich wypraw na tak znacznej odległości, jadący muszą być zawsze gotowi do obrony. Trzeba zbrojną ręką walczyć o studnie, rzadsze tutaj, niż na stepie, gdzie większa obfitość trawy świadczy o większej wilgotności powietrza i gleby; trzeba być zawsze na pogotowiu, bo ubóstwo pustyni przyczynia się do powstania rozbójników. Rozbój nęci koczowników, bo karawany wiozą cenny produkt, owoce zwrotników, wyroby przemysłu ludów osiadłych. Łup sownie pokrywa niebezpieczeństwa. *Razzia* tak jest rozwinięta wśród pustyni, iż nawet my, Francuzi, zapożyczyliśmy z tamtąd wyrazu dla oddania samej rzeczy. Każdy pragnie należeć do grupy ludnej i silnej.

Prosta współrzędność rodzin patrjarchalnych ulega doskonaleniu się i przechodzi w stałą karawanę.

Z notat, otrzymanych od jednego z wychowalców naszej szkoły, którego wysłaliśmy do Sahary, zapożyczam obrazu zasadniczych pierwiastków karawany tamtejszej.

Jednostkę ustroju stanowi *namiot*, w którym przebywa stadło małżeńskie. Nad nim piętrzy się *nezla*, ogół namiotów ojca, synów, stryjecznych braci; sprzęty i bydło są wspólną własnością całej grupy, która w gruncie rzeczy przedstawia rodzinę patrjarchalną. Kilka nezel tworzy *duar*. W tej jednostce, rozleglejszej, czuć jeszcze wspólne pochodzenie; jest to zbiór rodzin patrjarchalnych, wyprowadzających swój rodowód od wspólnego przodka, zrzeszenie ujawnia się w wielu zajęciach, a więc podczas robót codziennych, dozoru trzód, posterunków nocnych, pojenia zwierząt. Kilka *duarów* tworzy z kolei *ferkwę*, zawierającą w sobie

liczbę osób i zwierząt w prostym stosunku do codziennej obfitości wód i pańników; ogniwo to w karawanie ciągnie jedną masą. Powyżej tej jednostki plemiennej podział staje się niezbędnością, ferkwy winny znajdować się na pewnej odległości od siebie i w ten sposób zapobiedz jednoczesnemu rozbiciu obozu na pańnikach i przy studniach. Wreszcie *plemię* przedstawia jednię najwyższą, obejmującą ogół ferkw i posiadającą wspólny rząd. Na czele plemienia stoi *dżem-maa*, czyli rada starców, a jeden z tych ostatnich spełnia obowiązki władzy wykonawczej, wodza całej ogromnej karawany. Abd-el-Kader był takim wodzem.

Karawana arabska z powodu ubóstwa pańników i szczupłości wód, musi rozpadać się na ferkwy, ale członkowie tej ostatniej należą do szerszej więzi, do plemienia, prawidłowo zorganizowanego i zawsze gotowego do zmian w kierunku postępowym.

Karawana tego typu przedstawia trzy nowe cechy, odróżniające ją dobitnie od karawany ze stepów, a nadto wywiera zgoła inne skutki na ustrój władz publicznych i warunki rozkrzewiania się terytorjalnego rasy.

1-o. Karawana ta przedstawia stałą instytucję, bo powstała nie za sprawą czynników przypadkowych, ale wskutek przymusu, wywieranego przez warunki bytu. Człowiek spędza większą część roku na podróżach od jednego krańca pustyni do drugiego, plemię zaś nigdy się nie rozpada.

2-o. Karawana składa się zawsze z tych samych pierwiastków. Zawsze te same rodziny wchodzą w skład plemienia, nikt nie opuszcza tej więzi; przez całe życie, z pokolenia do pokolenia, potomkowie należą do plemienia ojcowskiego. Taki ustrój karawany stwarza pomiędzy rodzi-

nami mocne a trwałe węzły, uzdalnia je do wspólnego a długotrwałego czynu bądź to w zakresie życia codziennego na pustyni, bądź dla obrony lub napadu. Niema obawy, że spójnia ta rozpręże się po pierwszym wysiłku, gdyż jej członkowie nie mogą się obejść bez pomocy wzajemnej, a są złączeni pracą nie jednego pokolenia, lecz całego ciągu wieków.

3-o. Wódz plemienny kieruje karawaną. O ile wyżej wzniósł się nad prostego kierownika karawany stepowej! Jest wodzem stałym, bo i całość, której przewodzi, jest ciągłą; występuje nietylko w charakterze przewodnika, którego inni słuchają podczas krótkiej wędrówki, a potem porzucają bez żadnej ogródki. Władza jego jest stateczną; może on brać w rachubę dzień jutrzejszy i przedsiębrać dalekie wyprawy.

Jeszcze więcej. Zwierzchnik ów nietylko rządzi życiem publicznem bądź w charakterze kierownika karawany, bądź jako osoba, obowiązana prowadzić stosunki z cudzoziemcami lub wrogami, ale nadto władza jego rozciąga się na sferę pracy codziennej. Na zasadzie swej godności wódza, jest kierownikiem zajęć. Spełnia dozór nad zajęciem pasterskiem, bo plemię jest tylko rozszerzoną rodziną. Jest najwyższym patriarchą. W swych rękach zgromadza wszystkie najważniejsze czynności społeczne, a więc czynności głowy państwa i kierownika warsztatów.

Spółeczeństwa pustyni bynajmniej nie ograniczają się, jak na stepie, na ustroju rodzinnym, ale posiadają ustrój władz publicznych i to wśród warunków, zapewniających temu ostatniemu trwałość i ciągłość. Skutkiem tego społeczeństwo arabskie zbliża się do złożonych ustrojów Zachodu. Ma to, czego nadaremnie poszukiwalibyśmy w społeczeństwach Zachodu.

czności mongolskiej i tatarskiej, a mianowicie zdolność wyłaniania i utrwalania władz publicznych. Utrwalony wiekami ustrój zarazem dostarczył potrzebnych na to pierwiastków. Zrobił je zdolnemi do zorganizowania stałych urzędów publicznych w obrębie dzielnic, w których istnieje.

Obecnie zrozumiemy, czemu rola największego z przewodników karawany, Mahometa, i jego następców, tak jest różną od dzieł Attyli, Dżyngis-hana i Tamerlana. Prawdopodobnie prorok Islamu nie przewyższał tych ostatnich genjuszem osobistym, natomiast rozporządzał narzędziem władzy, trwałem a mocnem. Armje zaborców mongolskich rozpręgały się przy pierwszej okazji, a każda rodzina odzyskiwała swoją niezależność; przeciwnie, uczestnicy trzymali się wodzów arabskich, wierni sztandarowi, bo byli wychowani w trwałej więzi plemiennej, nie zaś w prostem współsąsiedztwie rodzin patryjarchalnych.

Taki odmienny ustrój nietylko uzdolnił ich bardziej do wyłonienia władz publicznych, ale nadto do rządów nad osiadłemi a ucywilizowanemi ludami i do rozciągnięcia zwierzchnictwa swego na kraje, gdzie ani Mongołowie, ani Tatarzy nie zdołali osiąść.

Tatarzy i Mongołowie napotykali tam kres dla swego krzewienia się terytorjalnego, gdzie kończyło się państwo traw; ich mocarstwa nieodzownie były przymocowane do granic stepu. Hunowie z Attylą przedostają się do Rosji południowej, t. j. do dzielnicy, która jeszcze obecnie w znacznym stopniu jest, a wtedy całkowicie była stepem. Ztąd wyszedłszy, przekraczają sławne żelazne wrota Dunaju, ażeby osiąść—ale gdzie? Na rozległych płaszczyznach Węgier, na Puszczy, tym ostatnim wyrostku stepów Europy. Attyla tam zatrzymuje się, staje obozem, w nim przyjmuje

ambasadorów bizantyjskich. Ale nie ma siły opuścić stepu europejskiego, na którym ludzie jego i trzody mogą żyć popołu. Mocarstwo jego opiera się na trawie, i ów zdobywca, zdaje się, pojmuje, iż moc jego zniknie, gdy opuści ziemię traw. Ale wypadki są wszechwładniejsze od woli jego; fale ludów, przybywających ze Wschodu, zmuszają go iść na przód; opuszcza więc stepy, a jedna wyprawa wystarcza do rozproszenia napozór olbrzymiego mocarstwa, jako i niezliczonej armji, postrachu Zachodu. Poza obrębem stepu, Attyła mógł zostać tylko „biczem“, ale nigdy założycielem państwa. Zwyciężony, niezdolny do utrwalenia czegokolwiek, powrócił na stepy węgierskie, ażeby umrzeć. Potomkowie zaś Hunów osiadają tam, bo nie mogą przedostać się dalej.

Dżyngis han i Tamerlan nawet nie zdołali wyjść poza obręb stepu od strony zachodniej; ku wschodowi, przedostali się do Chin i Indji, ale nie utrzymali się tam i nie założyli trwałego państwa. Powodzenie swe względne zawdzięczają tylko temu, że mieli, jak w Chinach, do czynienia ze społeczeństwem patryarchalnem, niezdolnem do przeciwstawienia najeźdźnikom silnie urządzonych organów władzy publicznej.

W ostatecznym wyniku najazdy mongolskie i tatarskie, poza stepem, nigdy nie dały początku zorganizowanym mocarstwom. Zawsze trzymały się wnętrza lądów, cofały się nawet przed rzekami, nawet i wtedy, gdy stepy się tam ciągnęły, jak w Rosji południowej, a to z powodu nieudolności do rozkazywania ludom miejskim i handlowym, osiadłym nad rzeką. Niemoc przewybornie uwydatniła się w Chinach: koczownicy powstrzymali tam postęp i pogrążyli kraj w śpiączkę, ciągnącą się od wieków, pomimo ruchliwości jego pracowitej ludności wieśniaczej.

Jakaż to różnica z naturą wpływów arabskich! Arabowie nie tylko opuszczają stepy i zakładają na zewnątrz mocarstwa, lecz rozszerzają się wzdłuż pomorza, tak, iż w ciągu całego okresu morze Śródziemne prawie zamieniło się na jezioro arabskie. A to dlatego, że warunki bytu stwarzały z nich nie tylko pasterzy, lecz i kupców. Instytucja karawan handlowych zetknęła ich w sposób prawidłowy a ciągle z miejskimi ludami pogranicza. Zetknięcie to ich ogłodziło i ucywilizowało, cywilizacja bowiem nie nadaremnie pochodzi od wyrazu *civitas*, a oznacza właściwie byt, właściwy mieszczanom.

Władza Arabów posiada na stronicach historii zgoła inny charakter, niż mocarstwa Attyli, Dżyngis-hana i Tamerlana. Istnieje „cywilizacja“ arabska, a była wspaniałą; sprawiedliwość i zarząd kalifów słynęły. Umieeli rządzić nie tylko na Wschodzie, ale i w Hiszpanji, nie tylko stworzyli rolnictwo, ale także sztuki, nauki i literaturę. Istniały bowiem sztuka arabska i arabska wiedza. Tymczasem nikt jeszcze nie słyszał o sztuce i nauce mongolskiej.

Te tak odmienne zdolności do sprawowania rządów były dziełem stałej więzi plemiennej. W swej organizacji plemiennej społeczeństwa arabskie posiadały mechanizm władz publicznych, działających wśród warunków, które ręczyły za jego trwałość i ciągłość. Dzięki temu koczownicy pustyni zdołali narzucać swe rządy podbitym ludom osiadłym i wśród nich, a nad niemi zorganizować swoją władzę. Posiadali wszystkie zadatki do wywiązania się z tego zadania. Konieczność corocznej sprzedaży wytworów pracy przetwórczej w miastach pogranicznych stworzyła pomiędzy Arabem a cywilizacją miejską stały stosunek. Pojmował on tę ostatnią. Wśród rozmyślań na pustyni spostrzegł jej sła-

be i dobre strony, zważył swe uzdolnienia, a kiedy zwycięstwo dało mu rządy nad państwami i nad bogatymi a ludnymi miastami, zgoła nie czuł, iż został wyrzucony ze swego żywiołu.

II.

Ale zanim wydostali się na zewnątrz, koczownicy pustyni, wśród wysepek rozrzuconych na jej powierzchni, mieli możliwość zaznajomienia się z bytem osiadłym, cywilizacją i prawidłowym zarządzeniem miejskim.

Postęp ten, którego koczownik ze stepów nie miał nigdy sposobności spróbować, odbywał się w oazach.

Oazy są wysepkami rolniczymi, rozsianymi wśród piasków. Zawdzięczają byt swój sztuce, są nawskroś dziełem człowieka, a zniknęłyby, gdyby ręka ludzka przestała je utrzymywać.

Stworzenie oazy jest zadaniem bardzo trudnym. Wśród upałów tamtejszych, a wobec szczupłości opadów deszczowych, trzeba przede wszystkim, dla rozpoczęcia rolnictwa, znaleźć podziemną żyłę wody, utworzoną skutkiem nieprzepuszczalności warstw niższych. Należy następnie wydostać tę wodę na powierzchnię i skierować ją do punktów, które mają być polewanymi. Wreszcie trzeba ochraniać to łożysko naziemne od piasków, zagrażających wciąż dziełu rolnika.

Wszyscy podróżnicy zaznaczają nieustające wysiłki, które trzeba podejmować dla zabezpieczenia tych wysepek od posuchy klimatu. „We wszystkich oazach

Sufu saharyjskiego — pisze Goblet d'Alviella ¹⁾ — woda istnieje na nieznacznej głębokości pod powierzchnią, ale ponieważ nigdzie nie wydobywa się sama, trzeba wywiercać studnie, posiadające, odpowiednio do miejscowości, 4 — 10 metrów głębokości. Urządzenie studni jest zarazem ciekawe i pierwotne. Wyobraźmy sobie olbrzymi żóraw', którego podporą są dwa pnie palmowe, długa żerdź zaś ramieniem; na końcach żerdzi dwa sznury podtrzymują z jednej strony naczynie ze skóry koźlej, zawierające 10 — 12 litrów, z drugiej — olbrzymi kamień, służący do utrzymania równowagi. Za pomocą rowków, pozatykanych kawałkami wełny, woda płynie do ogrodów ze zbiornika, znajdującego się u stóp żórawia. Używają jej tylko do podlewania młodych sadzonek palmowych“.

Autor opisuje walkę nieustającą z najściem piasków. Znalazłszy wśród wydm sprzyjające zagłębienie, badają na głębokości 1-go lub 2-ch metr. podziemną żyłę wody, odrzucając piasek, który dokoła tworzy skutkiem tego okrągły nasyp. Na nim wznoszą groblę z gałęzi palmowych, a jeszcze wyżej mur ze skamieniałości gipsowych. Kiedy piaski zewnętrzne, działaniem wiatru gromadzone, osiągną poziom ogrodzenia, mieszkańcy wznoszą z tych samych materiałów nowy mur, powyżej dawnego. Wydrążenie rośnie i z biegiem czasu przybiera kształty prawidłowego krateru. Jednak na przekór ostrożnościom, piasek zapełniłby niebawem próżnię, gdyby po każdym huraganie ludność nie oczyszczała ogrodów z pomocą skrzyń i koszów, które następnie z wysiłkiem wypróżniają za obrębem oazy. Jednak pomimo tylu

¹⁾ *Sahare et Laponie*, 51.

do większej liczby krajów, właśnie do krajów najzamożniejszych, jakich nie omywają wody morza Śródziemnego.

2-o. Pustynia nie zmusza do zmiany trybu życia. Ażeby ją przebyć, trzeba tam stworzyć przystanki, ale gdy te ostatnie urządzono, pasterz może w nich przebywać, nie przekształcając uprzedniego trybu swego życia. Zajęcie zaś rzemiosłem żeglarskiem przychodzi pasterzowi z trudnością, a nadto wymaga długiego okresu wdrożenia się do nowych obowiązków.

3-o. Pustynia umożliwia pochód wielką gromadą. Karawana daje większe bezpieczeństwo względem możliwych napadów. Dość porównać te ludne gromady z nieznaczną gromadką Pelazgów i Fenicjan, pierwszych żeglarzy na morzu Śródziemnem — gromadką, wsiadającą na okręty. Co wieczór trzeba było stanąć na kotwicy na bezpiecznym miejscu wzdłuż wybrzeża, ale wtedy załoga była narażoną na napad tubylców, a zbyt nieliczną, ażeby czoło stawiać.

Oto przyczyny, które skłoniły ludzi do podróży po pustyni, do korzystania z niej, jako żywiołu ułatwiającego przewóz wcześniej, niż do korzystania z morza. Ludy pustyni dosięgnęły Słupów Herkulesa i nawet żyły w Hiszpanii od epoki najwcześniejszej. Gdy Celtowie porzeczem Dunaju wtargnęli do Galji, znaleźli w jej części południowej, w pobliżu grzbietu Pyrenejskiego, Iberów, prastarych Berberów, którzy w bardzo odległej starożytności przybyli z Sahary.

Ale przedostanie się przez pustynie było niemożliwe, a nawet i dzisiaj byłoby nie do urzeczywistnienia bez istnienia przystanków. Jakieśmy widzieli, stworzenie tych przystanków, czyli oaz, nie było rzeczą łatwą. Któż, wśród

społeczności pasterskiej, rozstrzelonej na niezależne plemiona, ośmielił się podjąć to zadanie?

Bez najmniejszego wahania możemy na to udzielić odpowiedzi. Istnieje pewna grupa, która zarówno w teraźniejszości, jak i w najdalszej przeszłości uchodziła za jedyną, wszechwładną i prawowitą władczynię, a zarazem mistrzynię pustyni. Nie wchodząc wyłącznie w skład któregoś pojedynczego plemienia, ale werbując dla siebie fanatycznych zwolenników we wszystkich plemionach na przestrzeni całej pustyni, jest nietylko wszechpotężną, ale i powszechną. Wszyscy zdobywcy, którzy usiłowali wkroczyć do pustyni, napotykali ją na swej drodze; z tą zawadą nieprzezwyciężoną mają do czynienia Anglicy na pograniczu Egiptu, Francuzi — Algieru.

Tymi panami są bractwa religijne, *zauja*¹⁾; ich członkowie noszą nazwę braci, *chuanów*, wodzowie zaś — *kalifów*, *szeików* i t. d. Niekiedy, w okresach zapału i egzaltacji religijnej, ci ostatni przywłaszczają sobie miano *mahdi*, t. j. wysłańca Boga. Biada tym, którzy wtedy usiłują dostać się do pustyni!

Nieskończone korzyści, których pod względem handlowym dostarczało przejście pustyni, zwłaszcza wtedy, gdy była jeszcze główną drogą przedostania się do najbogatszych dzielnic świata, zmusiły ludzi do poszukiwania środków dopięcia tego, do stworzenia tam punktów odpoczynku, do zabezpieczenia karawan i towarów. A ponieważ jedynem

¹⁾ Zauja, dosłownie „kąt“, „przysłup“. Zaują zowie się kapliczka, zbudowana na grobie czczonego marabuta. W zabudowaniach jej zawsze istnieje szkoła.

spoidłem pomiędzy pojedynczemi plemionami była wspólność poczucia religijnego, niezmiernie rozwiniętego u pasterzy, więc to poczucie stało się tarczą i ochroną kupców wobec wrogich plemion. Zyski, płynące z handlu, były niezmiernie; opiekujące się handlem bractwa rozwinęły się potężnie i zgromadziły znaczne bogactwa. Ani jeden podróżnik nie przejdzie bezpiecznie przez pustynię, jeśli nie odda się pod ich opiekę.

Podróżnikiem, który zwiedził najdalsze krańce Sahary, jest Henryk Duveyrier. W oazie Temasyńskiej, gdy udawał się do Tuaregów, wielki marabut bractwa Tidżanów, Sidi Mohammed-el-Aid, udzielił mu tytułu brata, dał dyplom i różaniec kaplicy zakonu. Odtąd Duveyrier'a traktowali jako braciszka wszyscy chuani, rozproszeni wzdłuż i wszerz Sahary i tylko dzięki tej pomocy wyszedł zdrów i cały z niebezpiecznej wędrówki. Bo bractwa te są wszechwładnymi panami pustyni. Posiadają we wszystkich oazach domy, wzorowane według głównego przybytku. Oaza Guemar w Saharze, mająca 700 — 800 mieszkańców, liczy 11 meczetów i cztery zauje.

„Jesteśmy zdjęci podziwem, spostrzegając ponad lepiankami istotne pałace, przypominające opisy z *Tysiąca i jednej nocy*. Jest to zauja“¹⁾. Służy jednocześnie za klasztor, szkołę i szpital. Należy do zakonu Tidżanów, posiadających ognisko w oazie Temasyńskiej.

Goblet d'Alviella zwiedzał prywatne mieszkanie marabuta. „Bogactwa jego i zbytek wprawiły nas w podziw. Podwórze środkowe otaczały dwa rzędy piętrzących się arkad, ogrodzenie było wyrzeźbione artystycznie. Na te ga-

¹⁾ *Sahara et Laponie*, 106.

lerje wychodziły dwa obszerne pokoje, ozdobione grubemi kobiercami, poduszkami haftowanemi, zwierciadłami z drzewa palmowego, fotelami europejskiemi w stylu przeszłego wieku i licznemi wazami z porcelany zagranicznej¹⁾.

Ten zbytek jest uprawniony wobec dochodów, jakie gromadzą się w ręku bractw religijnych. Dochody ich zwiększają się nadto skutkiem stypendjów religijnych oraz dobrowolnych podarunków, wynoszących znaczne kwoty. Zajmują się one organizacją obrzędów religijnych, kazaniami, nauczaniem, utrzymywaniem szkół, dobroczynnością, rozdawaniem amuletów i t. d. Łatwo zrozumieć, jaki olbrzymi wpływ wywierają!

Bracia posiadają hasło przejścia, znaki, hierarchję, sięgającą od wielkiego mistrza, kalifa, aż do podrzędnych agentów (posłańców, chorążych, strażników); urządzają zebra-
nia dla pielęgnowania praktyk mistycznych, rozpatrzenia instrukcji, dawanych przez wielkiego mistrza, lub wtajemniczenia nowych członków.

Ta ostatnia ceremonja odbywa się uroczyście. Nowicjusza, wprowadzonego przez dwóch kumów, zapytuje szejik według ustawy tradycyjnej. Opasują go pasem symbolicznym, sadzają na kobiercu i częstują lekkim posiłkiem, doręczają dyplom, stwierdzający przyjęcie jego do zakonu. Od tej chwili wtajemniczony nie należy do siebie: staje się niewolnikiem, rzeczą zakonu lub raczej zwierzchników jego, *perinde ac cadaver*, „trupem w ręku tego, kto obmywa trupy i przewraca je na tę lub inną stronę“.

Niektóre z tych zakonów powstały niedawno, np. za-

¹⁾ Ibid., 63.

kon Tidżanów liczy zaledwie jedno stulecie, a przecież posiada tysiące członków. Ich zauje ciągną się od Nilu do Atlantyku, od morza Śródziemnego do Timbaktu, t. j. wzdłuż wszystkich szlaków karawany, utorowanych, podtrzymywanych i wyzyskiwanych przez bractwa.

Kiedy przed kilku laty wielki marabut Tidżanów wracał z pielgrzymki do Mekki, wszędzie, według świadectwa pewnego inżyniera francuskiego, spotykał na drodze rzesze 4 — 5 tysięcy osób, które zbiegały się zewsząd, ażeby ucałować podkowy jego muła i w zamian za złożone dary otrzymać błogosławieństwo¹⁾.

Wobec takich świadectw niepodobna zaprzeczać temu, że zakony religijne są rzeczywistymi władcami pustyni, że żadna wyprawa handlowa nie zdoła się powieść bez ich pomocy, ani współdziału.

Pojmiemy te wpływy, jeśli w swej pamięci odświeżymy tę prawdę, iż podczas wieków średnich zakony rycersko-religijne były przednią strażą, oparciem i pomocnikiem handlu. Podobne przyczyny sprawiły ten sam skutek. Jak obecnie w pustyni, nie było naówczas wielkiej potęgi publicznej, jeno mnóstwo władz miejscowych, zamkniętych w niewielkiem terytorjum, a nie mogących handlowi udzielić pomocy powszechnej, dalekiej a rozległej. Zakony rycerskie objęły rolę opiekunów. Templarjusze spełniali to zadanie, byli bankierami swojej epoki i zgromadzili niezmiernie bogactwa.

Upadły one akurat w chwili, w której wielkie potęgi polityczne, rozwijające się na Zachodzie, zdołały rozciągnąć

²⁾ Ibid., 107.

rozległą opiekę nad handlem. Zaczęto lekceważyć pożytek zakonów, dostrzegano jedynie ich niezmiernie majątki, wzbudzające chciwość książąt. Ci ostatni owładnęli więc ich mieniem. Ale pustynia nie daje się przekształcić, wielkie potęgi publiczne tam nie dojrzewają i bractwa religijne do dni naszych spełniają zadanie opieki nad handlem bez współzawodników.

Zaznajomiwszy się z czynnikami, stwarzającymi oazy, możemy wejrzeć w głąb tych zielonych wysepek wśród pustyni.

Oazy spełniają podwójne zadanie. Są one miejscami odpoczynku, oraz miejscami składu towarów.

Ażeby zaopatrzyć karawany w środki żywności, a nadto wyżywić samych siebie, mieszkańcy oazy winni wydobyć z ziemi możliwie wielką ilość produktów. Rozporządzają zasadniczym pierwiastkiem rolnictwa, niezbędniejszym tam, niż gdzieindziej — wodą. Ale napotykają dwie przeszkody stałe: glebę, wyłącznie prawie piaszczystą, i słońce żarem płonące. Zaledwie jedna roślina zdolną była zupełnie dostosować się do takich warunków gleby i klimatu: palma, którą Linneusz ochrzcił nazwą „królowej roślin“ z powodu jej uroczej postaci.

Owoc palmy, daktyl, jest rzeczywistym chlebem pustyni, wraz z mlekiem wielbłądziej stanowi podstawę żywienia.

Daktyl dla osób, zmuszonych uskuteczniać w poprzek pustyni dalekie wyprawy, posiada tę zaletę, iż ususzony, daje się łatwo przechowywać i przewozić. Ubity w workach, przy małej objętości dostarcza jada bardzo pożywne. Jedno drzewo daje rocznie około 12 kilogramów daktyli.

Ale palma daktylowa obdarza tuziemców jeszcze innymi mniej cennymi produktami. Pestki, utłuczone i skruszone, służą za pokarm dla kóz i wielbłądów nawet.

Z włókien tubylcy wyrabiają sznury do wyciągania wody ze studzien, obwiązywania pakunków i t. d. Z liści otrzymują materiał na maty i koszyki, pnie idą na wzmocnienie teras i studzien. A kiedy drzewo zestarzeje się, obcinają koronę i wydobywają mleczną ciecz, dającą po sfermentowaniu wino palmowe, *lagmi*.

Pożytek, płynący z palmy, nie kończy się na tem. Cień dobroczynny, jaki dokoła siebie rozciąga, osłabia skutki upału zwrotnikowego i palących promieni słońca. Pod jej osłoną można uprawiać bardzo znaczną liczbę roślin, zwłaszcza warzyw, uzupełniających pokarm, jaki daje palma. Dzięki temu oazy dostarczają kawonów, bobów, kapusty, marchwi, tomatów, dyni, brzoskwiń, gruszy, jabłoni, pigw i t. d. Rośliny te, wymagające u nas ciepła i światła, tam pragną wilgoci i cienia, a palma szczerze obdarza je te temi dobrodziejstwami.

Istnieją kompletne lasy palmowe. Grupa oaz Gurary saharyjskiej liczy około 80,000 głów ludności i posiada około 3,000,000 drzew palmowych; Tuat zawiera 120,000 głów i ma około 3,500,000 palm; Tidikelt daje przytułek 25,000 osób i 1,500,000 palm.

Oazy są nie tylko miejscami odpoczynku i zaopatrzenia się w środki spożywcze. Służą one nadto na składy towarów i jako rynki pustyni.

Podróżnik muzułmański, El-Aichi, który przejeżdżał przez oazę Tsabit (w Gurarze) w r. 1073 hegiry, a w roku 1695 naszej ery, pozostawił wskazówki następujące: „Miaściczka Tsabitu są miejscem spotkania się karawan, przy-

bywających z Timbaktu, okolic Agri i różnych dzielnic Sudanu. Znajdziemy tam najróżnorodniejsze tkaniny i wszelkiego rodzaju towary, nadchodzące w znacznych ilościach. Jest to skład towarów, nadsyłanych z Marokko na żądanie Sudańczyków, a więc sukien i jedwabiu. Karawany, udające się do Tsabitu, znajdą tam wielki rynek zbytu ¹⁾).

Rynki te zbytu bogactwami swemi wzbudzają chciwość i naturalnie wymagają obrony. Wszystkie oazy są warowniami. „Prawie wszystkie w swoim wnętrzu zawierają główne miasto, wznoszące się na pagórku, a bronione przez mur ząbkowany i rów błotnisty, z jednym lub dwoma mostami, odpowiednio do liczby bram“ ²⁾).

Mieszkaniec pustyni, osiadłszy w obrębie oazy, znajduje w nowem otoczeniu pobudkę do dalszych zmian. Musimy przedstawić to oddziaływanie, gdyż oaza wywiera wpływ głęboki a trwały na wszystkie ludy pustyni.

Oaza przekształca organizm społeczny w trzech kierunkach:

1-o. Praca staje się osiadłą, ale przemysł i handel górują nad rolnictwem.

Życie osiadłe idzie w parze z rolnictwem, które nie może współrzędnie istnieć z bytem koczowniczym. Jest to poważny czynnik wzrostu złożoności. Ale złożoność posiada tam jeszcze charakter możliwie łagodny, bo mieszkańcy oazy pędzą życie koczownicze przynajmniej w ciągu pewnej części roku, oraz zajmują się przewozem i handlem bądź na własny rachunek, bądź na rachunek kogoś trzecie-

¹⁾ Adrien Berbrugger: *Voyage dans le Sud de l'Algérie*, 22.

²⁾ Goblet d'Alviella: *Sahara et Laponie*, 36.

go. Zresztą rolnictwo jest tam zajęciem lekkim, bo palma daktylowa i drzewa owocowe dostarczają głównego produktu. Jest to zatem ogrodnictwo, najłżejsze ze wszystkich odmian rolnictwa, bo produkt wzrasta samorzutnie, istota zaś ludzka winna zerwać go jedynie. I uprawa warzyw nie wymaga zbytnej skrzętności; warzywa dla swego wzrostu potrzebują bardzo krótkiego przeciągu czasu, a plony niebawem opłacają wysiłek, obrócony na ich otrzymanie.

Zresztą mężczyźni w znacznej mierze usuwają się od tego zajęcia, pozostawiając je kobietom, oraz niewolnikom murzynom, przedstawiającym bardzo ważny przedmiot handlu.

Rolnictwo więc w oazach nie wdraża mężczyzn do ciężkiej roboty w polu. Wychodźcy z oaz zwykle wstępują do rzemiosł miejskich, jak o tem świadczą odezwania się podróżników. „Rok rocznie pewna liczba Suafów wychodzi do miast Tunisu i Tellu, gdzie zamieszkują oni w dzielnicy maurytańskiej jako kowale, mularze, faktorzy i t. d. Ale jak Sabaudczycy i Szwajcarzy, zachowują oni żywe przywiązanie do swej ojczyzny, dokąd wracają, zrobiwszy majątek. Zaślubiają wtedy parę kobiet, wyzyskują ich pracę, zmuszając je do tkactwa, kupują murzynów i wśród bogobojnej bezczynności urzeczywistniają ideał życia muzułmańskiego“¹⁾.

Wogóle mężczyzna nie nabywa w oazie umiejętności pracy rolnej, tylko nabiera uzdolnień do handlu i drobnego przemysłu. Jest to rys charakterystyczny, cechujący społeczeństwa, które wzięły początek w pustyni.

2-o. Położenie kobiety jest wysokie.

1) Goblet d'Alviella, 56.

Przebywanie w pustyni podnosi i kształci zwłaszcza kobietę. Pod jej kierownictwem, podczas długiej nieobecności męża, znajduje się osiadły warsztat pracy; ona rozciąga dozór nad uprawą i tą częścią trzód, która, nie potrzebując dalekich wygonów, pasie się dokoła oazy; ona wreszcie zajmuje się różnemi gałęziami przemysłu domowego. Tym sposobem osiąga stanowisko i wpływy pani domu; w takim samym, a niekiedy w większym niż mąż, stopniu jest źródłem dobrobytu rodziny; pozostawiona samej sobie, przyzwyczajają się do niezależności i władzy, której nie posiadają kobiety pustyni w plemionach, będących pod rządem patriarchy.

Ta praca niezależna a osobista umożliwia kobiecie dojście do własnego majątku, jako wytworu jej skrzętności i oszczędności.

Pojawiają się dwa rodzaje majątków: jeden — majątek prawy, będący dorobkiem kobiety; drugi nieprawy — nabytek ojca, pochodzący z handlu, a niekiedy z rozboju¹⁾.

Dorobek kobiety, będąc majątkiem osobistym, a nie całej wspólnoty, jak mienie nieprawe, bywa pomiędzy dziećmi dzielony na równe działy. Córka, wychodząc za mąż, wnosi do gospodarstwa własny majątek po matce, rozporządza nim i powiększa własną skrzętnością w zakresie produkcji, której kierownictwo w jej ręku spoczywa. Skutkiem tego sama wybiera męża i w stosunku do niego posiada większą niezależność, niż to bywa u czystej wody koczowników.

Jeszcze jedna okoliczność wywiera znaczny wpływ na stosunki społeczne i wzmacnia niezależność kobiet.

¹⁾ Patrz *Science sociale*, IX, 229 — 230 (art. Prévillé'a).

Mąż często wychyla się z domu na wyprawy handlowe i rozboje. Kobieta pozostaje samotna, bez opieki. Unika osamotnienia, przebywając we własnym, t. j. matczynym duarze; mężatka więc nie mieszka w rodzinie męża, jeno w tej, w której urodziła się i wychowała.

W tej samej spółce matczynej, rodzinnej, wychowuje własne dzieci, które w ten sposób znajdują się mniej lub więcej poza sferą wpływów ojca i jego rodziny. Przywiązują się do rodziny matczynej, w której otrzymują wykształcenie i której przesiakają wspomnieniami i interesami.

Dorósłszy, synowie nie wstępują do duaru ojcowskiego, dla którego byli dotychczas zupełnie obcy; na wyprawy handlowe i rozbójnicze udają się z duarem matki, stanowiąc część wspólnoty, tworzonej przez braci i wujów matki; i wtedy także nic ich nie wiąże z ojcem, który, na mocy tego samego zwyczaju, wchodzi do grupy swojej matki.

Powstaje ustrój macierzysty, który oglądaliśmy u ludów amerykańskich z nad Jezior, jako twór pokrewnych wpływów.

Ale każdy z duarów macierzystych, stanowiących wspólnotę, w której dorobek nieprawdy nie podlega działom, potrzebuje posiadać wodza męskiego. Wodzem nie może być którykolwiek z mężów duarzanek, gdyż żaden z nich nie należy do danego ogniwa więzi społecznej. Zostaje nim najstarszy syn najstarszej siostry.

Położenie kobiety staje się jeszcze wyższem: jej znaczenie wzrasta nietylko na skutek nieobecności męża, zarządu majątkiem, pochodzącym z rolnictwa, posiadania własnego mienia, wyłącznej pieczy około wychowania dzieci, ale nadto za sprawą ukształtowania spółnictwa rodowego. Nie mąż, tylko ona jest ogniskiem spółki rod-

wej, bo ta ostatnia opiera się na prawie macierzystem, kierownikiem zaś jej jest najstarszy syn najstarszej siostry.

To stanowisko kobiety w pustyni rzuca się w oczy wszystkim badaczom: „U ludów berberyjskich kobieta korzysta ze swobody i posiada wpływy, dla których nie znajdujemy wzoru w społeczeństwie arabskiem. Tłomacz Féraud opowiada, że aż do dni naszych, w razie zatargu pomiędzy współzawodniczącymi oazami Tarzut i Guemar, kobiety rzucały się pomiędzy walczących i ich podniecały. Nie miały oręża, tylko naczynie z rozbełtanym sokiem pewnej rośliny¹⁾, a rzucały je na odzież tchórzów i piętnowały ich hańbą“²⁾.

Ta chęć podniecenia walczących jest zgoła naturalną u kobiet, bo chodzi o obronę majątków, których są kierowniczkami i właścicielkami³⁾.

3-o. Władze publiczne kształtują się poza obrębem wspólnoty rodzinnej i plemiennej.

Są one dziełem bractw religijnych, które kierowały stworzeniem oaz. Administracja oazy spoczywa w ręku chuanów i zauji, panujących tam wszechwładnie.

„Oazy Tuat, Gurara, Tidikelt — pisze komendant Deporter — są ziemią obiecaną marabutów: wszystkie zakony religijne posiadają tam licznych przedstawicieli, oraz bogate i odwiedzane zauje, majątek zaś zauji jest niezmierny; pochodzi z darowizn i jałmużn, przez dobroczynność

¹⁾ Zwanej przez tubylców *henneh* (*cipurus* starożytnych. L. K.)

²⁾ Goblet d'Alviella, 67.

³⁾ Patrz E. Reclusa: *Géographie universelle*, XI, 840, wytlomaczenie doniosłej roli kobiety u ludów oaz, oraz jej wpływowego stanowiska.

publiczną ofiarowanych na utrzymanie tych przybytków. Organizacja bractw, prosta, ale poważna, przypomina sobą ustawę zakonów religijnych świata katolickiego. Wśród członków są braciszkanie (chuan), mokaddemi i szeikowie. Braciszkanami zowie się rzesza wtajemniczonych; miano mokaddema posiada bezpośredni przedstawiciel szeika, obowiązany do zbierania jałmużny, przewodniczenia ceremonjom religijnym i kierowania sumieniem braciszkań. Szeik, czyli szeik-el-trika, jest najwyższą głową, wielkim mistrzem zakonu, przebywa w miejscu, w którym znajduje się grób świętego założyciela zakonu, czyli w głównej zauji. Udziela on *baraka*, czyli błogostawieństwa¹⁾.

Prócz wtajemniczonych chuanów, niektóre zakony posiadają jeszcze choddamów, służących czyli klientów, którzy z rąk zakonu otrzymują tylko różaniec bez *dikru*, t. j. specjalnej modlitwy. Choddamami bywają całe plemiona, przyjmujące politykę zakonu i jej broniące. Skutkiem tego powaga zakonu rozkrzewia się daleko, nawet pomiędzy osobami, do niego nie należącymi.

Nie dziw, że bractwa trzymają w ręku swoim administrację oaz. Administracja zależy od dżemai, t. j. zgromadzenia osób, wybranych przez każdą dzielnicę oazy, a składa się wyłącznie z braciszkań lub sprzymierzeńców panującego tam zakonu, który w ten sposób ma cały zarząd pod wpływem swoim.

Poniżej rady znajduje się sześciu urzędników, również wybranych z pośród panującego stronnictwa religijne-

¹⁾ Deporter, l. c., 51.

go, a zależnych od dzemai. Ci dzielą pomiędzy siebie różne czynności.

1-o. *Uakaf* jest przedstawicielem służby policyjnej. Rozciąga dozór nad bramami—czynność bardzo doniosła w oazach, często wystawionych na rozboje; przyjmuje wędrowców, umieszcza ich w „domu dla gości“ i wyznacza rodziny, które podczas ich pobytu winny dostarczać pożywienia. Wobec tego, iż oazy z natury rzeczy są miejscami odpoczynku, gościnność ta przedstawia zgoła rzecz zrozumiałą. Każda oaza ma interes w przyciąganiu do siebie ruchu towarowego, a więc i podróżników.

Uakaf, z pomocą bębna, zawiadamia o zbliżaniu się nieprzyjaciół. Przywodzi szpiegom, obowiązany śledzić poruszenia plemion nieprzyjacielskich.

W zamian za te usługi, otrzymuje z każdego ogrodu daninę w daktylach, pewną ilość innych produktów gleby, kawałek każdej zarżniętej owcy, wreszcie chodzi po kweście w dzień Aidu, kiedy przerywają post zwany Ramadanem.

2-o. *Berra* spełnia obowiązki herolda publicznego, oraz wykonawcy wyroków i otrzymuje wynagrodzenie również w naturaljach.

3-o. *Kiel-el-ma* zajmuje się podziałem wody. Czynności jego są bardzo doniosłe; wgląda w to, czy każdy otrzymał dokładną ilość wody, do jakiej posiada prawo a bez której wszelka uprawa byłaby niemożliwą. Ma tablicę miedzianą lub klepsydrę dla dokładnego wymierzenia czasu, jaki każdemu przysługuje do brania wody. Jak i poprzedni urzędnik, otrzymuje od mieszkańców określone produkty.

Trzej ci dostojnicy spełniają obowiązki religijne, co

wymownie świadczy o religijnym charakterze rządu w oazach.

4-o. *Uakil*, zarządca meczetu, pod kontrolą dzemai zarządza własnością meczetów, która tworzy się z darów osób prywatnych. Czynność to honorowa.

5-o. *Imam*, czyli marabut, specjalnie zajmujący się spełnianiem służby religijnej, codziennie odmawia oznaczone modlitwy, przewodniczy pogrzebom, wreszcie wykłada w szkołach. Otrzymuje mieszkanie i wynagrodzenie pieniężne, lub daninę daktyli z ogrodów.

6-o. *Mueddyn*, urzędnik kultu, pięć razy dziennie, z wierzchołka minaretu meczetowego, wzywa do modlitwy. Zwolna wygłasza rotę islamu: „Bóg nasz jest największy, Bóg jest największy! Składam świadectwo, iż Mahomet jest apostołem Boga! Zbierajcie się na modlitwę! Bóg jest największy! Bóg jest największy! Niema innej boskiej istoty prócz Boga!“

To nawoływanie ze wszystkich minaretów islamu, powtarzane pięciokrotnie w ciągu dnia, stanowi jak gdyby uroczyste świadectwo charakteru zasadniczo religijnego tego społeczeństwa, rządzonego i kierowanego raczej na wzór klasztoru, niż społeczeństwa cywilnego. Działanie systemu religijnego jest tak głębokie, że owo nawoływanie odnajdujemy wszędzie pomiędzy ludami, które wyszły z pustyni. Jest to jeden z charakterystycznych i nieodzownych rysów typu.

Z natury rzeczy różne bractwa współzawodniczą, a rywalizacja doprowadza często do długich i okrutnych wojen. Obecnie jeden z tych zakonów wzniósł się ponad innemi i usiłuje zostać wielkim władcą pustyni — zakon sławny Snussiów. Z wielką zręcznością Snussiowie starają się stwo-

rzyć obszerny związek wszystkich zakonów religijnych i założyć teokrację wszech-islamską. Idą po drodze tradycji, która dała początek rządowi publicznemu w oazach. Dla umożliwienia powstania takiej federacji, zmniejszyli liczbę zasad religijnych i obowiązków, ciążących na braciszkach.

Zakon ten powstał niedawno, około 1250 r. hegiry, a 1872 naszej ery, za sprawą Si-Mohammed-ben-Ali-ben-Snussi'ego. Po wielu przygodach założył on zauję w Dżerbubie (w Tripolisie). Odtąd powstało około 250 filji w Saharze i Arabji, a wszystkie są rządzone z Dżerbubu, stolicy zakonu.

Pustynia, ze swojemi oazami, które ciągną się wzdłuż wszystkich dróg, przedstawia wielką widownię handlu i przewozu. Bez handlu oazy i ich zaludnienie zniknęłyby, pustynia zaś byłaby niezaludnioną, a nawet niemożliwą do zaludnienia w największej swojej części.

III.

Oazy są przystankami i miejscami odpoczynku, etapami handlu; celem zaś karawan — pogranicze pustyni, t. j. pasy ziemi uprawnej, ciągnące się wzdłuż Sahary i Arabji.

Są to: dokoła Arabji dolina Tygrysu i Eufratesu, Lar-sa, Oman, Hadramaut, Yemen, Czumak, Hedżaz, dzielnica Libanu; dokoła zaś Sahary: dolina Nilu, Tripolis, Tunis, Kabylja algierska i Marokko.

O tych krajach można powiedzieć, iż nie będąc oazami, otoczonemi przez pustynie, przedstawiają przecieź charakter jakby obszernej oazy. Są to „pół-oazy“.

Zamieszkują w nich wygnańcy pustyni, wyrzuceni z niej podczas różnych epok¹⁾). Nie przybyli oni do tych okolic dobrowolnie, bo ludy te, mało przyzwyczajone do ciężkiej pracy w polu, przekładają wolne a awanturnicze życie pustyni nad ograniczony bardziej tryb życia, właściwy pograniczu.

Rozbitki przynieśli w te miejsca ze sobą dwie zasadnicze zdolności, rozwinięte w pustyni i przez pobyt w oazach: obrotność handlowa i zdolność do wyłaniania władz publicznych. Widzieliśmy, jak organizacja plemion pustyni i ustrój bractw religijnych w oazach sprzyjają powstaniu ostatnio wymienionego uzdolnienia.

Zdolności obie uwydatniają się na pograniczu jeszcze bardziej, typ rasy rozwija się i nadal w duchu dotychczasowym.

Zdawałoby się, iż na tej glebie, lepiej uposażonej w wodę, dzięki bliskości mórz, oraz pod działaniem konieczności, uzdolnienia rolnicze powinny zwyciężyć. Nie zawsze jednak tak się dzieje. Część pogranicza jest górzystą, tworzy grzbiet zewnętrzny tej miednicy, wśród której leży pustynia, dogodne grunta zdarzają się tam przypadkowo i mało odpowiadają wymaganiom uprawy. Skutkiem tego pogranicze sprzyja rozwojowi stosunków wymiennych, zwłaszcza dzięki swemu środkowemu położeniu pomiędzy dwiema wielkimi drogami handlowymi: morzem a pustynią.

Rzecz to godna uwagi, że w tym pasie pogranicznym uprawą gruntów zajmują się najniezdolniejsi i najmniej

¹⁾ E. Reclus: *Géographie universelle*, XI, 442, 447.

przedsiębiorczy. Najruchliwsi i najenergiczniejsi porzucają ją przy pierwszej okazji i poświęcają się drobnemu przemysłowi na sprzedaż, albo imają się wyłącznie handlu.

To twierdzenie możemy sprawdzić w Kabyli, klasycznym kraju pogranicza.

„Różne plemiona kabylskie obrały sobie każde pewną specjalność. Na ich targach, odbywających się kolejno w wioskach w różnych dniach tygodnia, można zaopatrzyć się we wszystkie potrzebne wyroby rzemieślnicze. W wielu plemionach kobiety poświęciły się wyrobowi kształtnych naczyń ceramicznych, a nadto trudnią się fabrykacją pospolitych garnków. Tkactwo daje zajęcie Bu-Szaibom i Ait-zdżerom; Slilteni i Illulowie są rzeźbiarzami, Ait-Frukeni zatrudniają się kowalstwem, Fenajów dezenter francuski nauczył fabrykować fuzje; Ait-Yennowie są jubilerami i gisera-mi. Targi kabylskie, zasilane przez przemysł miejscowy, są bardzo ożywione, a zarazem służą jako ogólne zebrania dla roztrząsania spraw publicznych“¹⁾.

Charakter ów, jednocześnie przemysłowy i handlowy, doznaje wzmocnienia za sprawą rzemiosł, których imają się wychodźcy. Pewna liczba Kabyłów bierze się do piekarstwa, inni stają się bankierami swych współrodaków w różnych miastach Algieru, największy procent imają się handlu obnośnego ze wsi do wsi, przy czem wykazują ten sam duch handlarski, jak nasi Owerniacy. Niezbyt śpieszą się z pielgrzymką do Mekki, a gdy puszczą się w podróż, to raczej w charakterze kupców, niż pątników²⁾.

¹⁾ E. Reclus: *Géographie universelle*, XI, 452.

²⁾ Por. *Ouvriers des deux Mondes*, V, 469 — 476.

Umiejętność zorganizowania władz publicznych uwydatnia się również, jak i sprawność handlowa. Na pograniczu wpływ bractw religijnych trwa w ciągu dalszym; istnieją liczne zauje i, jak w pustyni, wpływ fanatyków-braciszków. Działają tam te same podniety religijne, które dały początek władzom publicznym oazy.

Ustrój władz publicznych jednak posiada charakter samorzutniejszy i swobodniejszy, typ społeczny nie ma potrzeby podlegać w takim stopniu wmieszaniu się bractw religijnych. Ojcowie rodzin sami wprawiają w ruch sprężyny życia politycznego. Opieka zakonów religijnych jest dla nich tylko ciężarem i dla tego usiłują się od niej wyzwolić. Mieszkaniec oazy jest osobą małoletnią pod względem politycznym, zaś na pograniczu osiąga pełnoletności i jak kieruje swemi sprawami prywatnemi, tak samo zaczyna samodzielnie rozstrzygać o sprawach publicznych. Większa zręczność w prowadzeniu interesów osobistych zradza w nim lepszą sprawność w zakresie zagadnień publicznych. Jest to wynik zgoła naturalny rozwoju handlu, przyzwyczajającego ludzi do rozprawiania o własnych interesach w sposób praktyczny i rozsądny i do rozważania doniosłości każdego postępu.

Pożytek, przynoszony przez bractwa religijne, a polegający na otoczeniu bezpieczeństwem dalekich podróży kupieckich, nie daje się odczuwać, bo ludy te prowadzą osiadły tryb życia. Organ znika, gdy zbyt dużą jest czynność która go zrodziła.

Za sprawą wszystkich tych czynników, powaga władzy wyłącznie religijnej słabnie, ojców zaś rodzin — potężnieje. „Szacunkiem darzą marabutów, ale im nie ufają i starannie zapobiegają położeniu przez nich ręki na

prawa gminy. Wyznaczono im specjalne osady, zwykle poniżej osad plemiennych, a ich położenie strategiczne nie naraża sąsiadów na niebezpieczeństwo“¹⁾. Co to za upokorzenie dla ludzi, którzy urządzili pustynię i panują w niej jeszcze dzisiaj.

Każda osada tworzy „małą rzeczpospolitą, samodzielnie się rządzącą“, wszyscy obywatele posiadają jednakie prawo uczestniczenia w rządach, bo kto ma tyle siły, ażeby unieść oręż, ma prawo głos zabierać. Dzema zbiera się raz na tydzień i wszechwładnie rozstrzyga o wszelkich sprawach.

A więc na pograniczu pustyni władza publiczna zamiast charakteru religijnego przybiera świecki.

Ale w tym nowym przyodziejku władza ujawnia wszystkie właściwości, nieodłączne od ustroju spółniczego: działa, narzucając swe rozkazy, i zmierza do ucisku życia prywatnego, do zniesienia pobudki osobistej. Spółnictwo państwowe tem bardziej w siłę rośnie, że, wskutek życia osiadłego, rodzina kurczy się i słabnie, stawiając coraz słabszy opór działalności władz publicznych.

Gminy rozdzielają pokarm pomiędzy nędzarzy. W pewnych dniach są urządzane uczyty publiczne, a każdy w nich uczestniczy. Kto buduje chatę, może zażądać pomocy całej osady; kto sieje i pracuje w polu, również ma prawo do rąk całej wioski. Istnieją szarwarki publiczne dla uprawy pola tych, którzy sami nie mogą tego dokonać.

W miarę słabnięcia rodziny, państwo zamienia się na

¹⁾ Reclus, l. c., 458.

coraz rozleglejszą podporę. Taką jest zarodkowa faza rozwoju społeczeństw spółniczych w kierunku państwa. Związuje ona współzawodnictwo oraz nastanie namiętnych walk w celu owładnięcia sterem władzy publicznej, która trzyma w swych rękach interes tylu osób, a dostanie się do niej opłaca się sownie. Spostrzegamy to u Kabyłów, rozpadających się na niezliczone klany i partje polityczne. Partje te, czyli *soffy*, łączą się, dzielą i znowu tworzą nieustannie pod działaniem namiętności i interesów. „Przeznaczeniem ich była wojna — mówią tubylcy — ale przekleństwo Lolla Kedydży rzuciło je w objęcia waśni nieustającej pomiędzy sobą“.

*

*

*

Ten krótki rzut wykazuje, iż typ społeczny pogranicza przedstawia dalsze ogniwo rozwojowe typu społecznego oaz.

Gdybyśmy zapragnęli dać charakterystykę społeczności, które wyszły z pustyni, to rzeklibyśmy, iż podniosły się do poziomu, na którym człowiek wyzwala się od więzów spółnictwa i rozwija pobudkę osobistą. Zaznaczyliśmy ten proces, przeszedłszy od pustyni do oazy i od oazy do pogranicza. Uszczuplanie się spółnictwa rodzinnego występuje z całą wyrazistością.

Ale z drugiej strony typ ten czuje odrazę do uprawy ziemi. Zajęciu temu oddaje się w stopniu możliwie najmniejszym. Podnosi go handel. Pustynia jest rozsadnikiem kupców i przewoźników.

Właśnie skutkiem tego szybkiego, a napiętego rozwoju handlu, typ ten tak wczesnie zajaśniał wielkim blaskiem, i to w okresie, kiedy reszta świata nie znała ani bogactwa i życia politycznego, ani historii.

Dzieje rozpatrywanego typu sięgają, przeciwnie, najodleglejszej starożytności. Z pustyni wyszły pierwsze wielkie mocarstwa, które zachowały się w żywej pamięci ludzi: Chaldeja, Asyrja i Egipt.

Panowanie mahometan Arabów jest ostatnim blaskiem, którym ta grupa rodu ludzkiego olśniła historję: Mahomet, zarazem przewodnik karawany i mistrz zakonu religijnego, upostaciował w sobie dwie doniosłe instytucje pustyni, a więc handel i rządy bractw.

A później — nic! Te dzieje, tak odległe i świetne, dobiegły swego kresu, berło nad światem przeszło w inne ręce, do ludzi innej formacji społecznej.

Zkąd pochodzi takie zaćmienie po okresach blasku i świetności?

Ztąd, że rozpatrzone społeczności umiały błyszczeć i zdobyć przewagę tylko w zakresie handlu. Ale handel, acz udziela bogactw, nie daje rękojmi trwałego bytu, bo z istoty swej odznacza się niestatecznością. Zależy od zmiany kierunku dróg, które mogą zwrócić potok wymiany na inne tory. Najprzód morze Śródziemne, w charakterze wielkiej drogi handlowej, zaczęło współzawodniczyć z pustynią, później droga dokoła przylądka Dobrej Nadziei zastąpiła wody Śródziemne, wreszcie odkrycie Ameryki skierowało na zachód wielkie szlaki handlowe. Ujrzymy te przewroty handlowe w miarę tego, jak przed naszym wzrokiem

wystąpią różne drogi z właściwemi sobie typami społeczeństw. Na razie zaznaczymy tylko, że handel nie daje ani stateczności, ani trwałości latoroślom społecznym pustyni. Również nie udzielił im zdolności rozszerzania swej władzy na dalekie przestrzenie, a przedewszystkiem jej utrwalania. Niepodobna ujarzmić świata za pomocą handlu, można tego dokonać tylko za pomocą uprawy. Nie kupcy, tylko osadnicy czynią zabory. A tymczasem typ ów wytwarza jedynie handlarzy. Nigdy nie kolonizował on świata. Co najwyżej, jak w Hiszpanji, zdołał rozciągnąć panowanie nad rolnikami, ale sam nie zapuszczał korzeni.

Przy pierwszym wstrząśnieniu upadł, pomimo wyjątkowych uzdolnień handlowych. Handlowa sprawność kalifów, następców bractw pustyni, nie zdołała zastąpić nieudolności rolniczej. Nie oręż i polityka, tylko pług podbija światy!

Jakaż olbrzymia różnica pomiędzy tą ewolucją, tak wspaniałą, ale krótkotrwałą, a ewolucją ludów rolniczych!

Typ społeczny pustyni zrodził wielkie państwa Chaldei, Asyrji i Egiptu. Mocarstwa te w okresie początkowym były jedynie oazami, rozleglejszemi i lepiej położonemi, i dla tego stały się wybranem miejscem odpoczynku.

Ukazują się one pierwsze na stronicach historii, ponieważ drogę pustyni uczęszczano w najodleglejszych czasach wcześniej, niż morze Śródziemne.

Losy tych mocarstw były tak zwarcie związane z uczęszczaniem drogi, iż te państwa upadły, skoro zużytkowano drogę wód Śródziemnych i Europy środkowej.

Zrodzone z pustyni, wraz z nią upadły.

Nie będę się rozwodził nad wielkimi cywilizacjami Wschodu, odsyłając czytelnika do prac nad Egiptem starożytnym, które stanowią ciąg i zakończenie rozdziału niniejszego¹⁾.

¹⁾ A mianowicie: *l'Égypte ancienne* w *Science sociale*, tom IX i nast.; porównaj także E. Babelon'a: *la Société assyrienne*, ibidem, tom I; L. Poinsarda: *Les Chaldéens*, ib., XVI i nast.; *Les Berbères*, ib., XVI; Danzanvillier'a: *Le mouvement Mahdiste et son évolution*, ib. IX; E. Demolins'a: *l'Archéologie orientale. Comment l'art reçoit sa forme du milieu physique et sociale*, ib., tom VIII; tegoż: *l'Art à Ninive et à Babylone*, ib., VII; Ph. Champault'a: *les Patriarches bibliques*, ibidem, XXIII.

ROZDZIAŁ II.

Droga wielkich mocarstw Azji.

TYPY CHIŃSKI, JAPONSKI I HINDUSKI.

I.

Jeden odłam rodu ludzkiego krzewił się na północy płaskowzgórza azjatyckiego, torując sobie drogę do dzielnicy podbiegunowej i do Ameryki, inny zaludniał lasy Afryki, jeszcze inny parł na południo-zachód ku pustyniom Arabji i Sahary. Wreszcie jeden z tych tworzących się odłamów udał się na wschód Azji.

Odpowiednio do miejsca, dał początek Medom i Persom, Chińczykom, Japończykom i Hindusom.

Medowie i Persowie byli pasterzami, koczującymi na małych płaskowzgórzach pomiędzy wielkim wzniesieniem gruntu azjatyckiego a pustynią syryjską. Znajdowali się pod oddziaływaniem, idącym od obu wymienionych dzielnic, a zatem zbliżają się do typów, które rozpatrzyliśmy. Poprzedzę na tem wyznaczeniu ich miejsca w metodycznej kla-

syfikacji typów społecznych, odsyłając czytelnika do prac, ogłoszonych w *Science sociale* ¹⁾).

Winniśmy zwłaszcza skupić uwagę swoją na drodze, prowadzącej do Chin.

Chiny zostały zaludnione przez dwie drogi, a każda z nich wycisnęła swe piętno na pewnej części ludności chińskiej: jedna dostarczyła warstwy wyższe, druga — włościan. Obie te warstwy są tworem różnych formacji społecznych, wytłomaczyć ich początek możemy tylko różnicą pochodzenia i dróg.

1-o. Droga warstw wyższych.

Odwiecznymi panami Chin są Mongołowie, Tatarzy i Mandżurowie. Panują jeszcze i obecnie. Znamy już drogę, po której szły ich najazdy; biorą one początek bezpośrednio z płaskowzgórza środkowego na północy od Chin. Dla położenia kresu tym zagonom, zbudowano „wielki mur“, rodzaj ciągłej warowni, otaczającej Chiny wzdłuż granicy północnej, t. j. od Mongolji. Wzniesiono go około r. 214, a użyto 500 tysięcy robotników.

Wielki mur nie zapobiegł ani jednemu najazdowi.

Droga ta wyjaśnia pochodzenie jednego z pierwiastków, które wchodzi w skład społeczeństwa chińskiego, a mianowicie warstwy wyższej, dostarczającej panów i rozkazodawców.

Przybyli oni przez pustynię Gobi i na wzór Turków w Europie nigdy nie mogli nagiąć się do pracy i zamienić się na osiadłych rolników i spożywców ryżu. Poprzestając

¹⁾ Jest to praca A. Prévillé'a: *La Race Indo-Européenne—les Médes*, w *Science sociale*, tom XII.

na ściąganiu haraczu i poborze do wojska, wychodźcy ci z pośród ludów pasterskich nie sprzeniewierzyli się swojej roli, jedynej, jaką zdolni są spełniać.

Ale droga ta, tłumacząc nam rodowód tego typu, nie wyjaśnia początków zasadniczej ludności Chin, stanowiącej rdzeń społeczeństwa chińskiego. Warstwa panów przybyła ze wspaniałych stepów Dżungarji, krainy Chalchów. Ażeby przedostać się do Chin, zdobywcy musieli przebrnąć pustynię Gobi, która jednak nie wywarła na nich wpływu, jaki badaliśmy w Saharze i pustyniach Arabji. Nigdy nie wywierała i dzisiaj nie wywiera żadnych skutków natury społecznej.

Odchylę się nieco od właściwego wątku. W nauce do rzeczy najbardziej interesujących należy odkrycie podczas studjów szczegółu, pozwalającego sprawdzić, na mocy swej odwrotności, zasadę społeczną już wprzód odkrytą. Gobi właśnie dostarcza podobnej okazji.

Pustynia ta nie wywarła wpływów, ponieważ braknie jej tego właśnie, co zapewniło innym pustyniom ich doniosłość. Ta ostatnia nie wypływa jedynie z jałowości, bo Gobi wtedy powinna byłaby tak samo oddziaływać. Działanie społeczne Arabji i Sahary pochodzi ztąd, iż pustynie te przedstawiały jedyną bezpośrednią drogę handlową pomiędzy krajami, odznaczającemi się bogactwem produktów swoich.

Gobi nie była i nie mogła stać się drogą handlową, bo nic nie podniecało ruchu towarów z jednego krańca na drugi. Na północy i na północo-zachodzie ciągną się stepy Chalchów, tam rodziny utrzymują się wyłącznie z produktu trzód, nic nie posiadają na sprzedaż i prawie nic nie potrzebują kupować. Na wschodzie leżą kraje bardzo ubogie, jak

Tybet, również mające bardzo mało rzeczy na sprzedaż i nie posiadające środków do kupna. Chińczycy, przeważnie drobni rolnicy, utrzymujący się wyłącznie z pracy na własnym zagonie, wywożą tylko herbatę, którą stepowcy spożywają, nie czyniąc z niego przedmiotu dalszej wymiany. Każda rodzina koczująca zaopatruje się w cegły herbaciane, gdy koczując znajdzie się w pobliżu granicy albo w sąsiedztwie lamarni. Brak tam rozległych dźwigni handlu.

Dlatego pustynia Gobi nie wywarła wpływów społecznych, pozostała niezaludnioną. Przebywają ją możliwie prędko, gdy konieczność uskutecznienia transportów zmusi do tego. Podróże przelotne nie pozostawiają najmniejszego śladu pobytu swego w pustyni. Jest to ciało obojętne, jak owe związki chemiczne, nie zmieniające barwy roztworu, w którym je pogrążono. Nie przekształca pasterzy stepu na pasterzy pustyni, ani nie udziela im wyższego rzędu uzdolnień.

Koczownicy przybyli do Chin, posiadając jedynie przymioty, właściwe pasterzom stepu; utrzymywali się jedynie z haraczu. Nigdy nie odstąpili od tej zasady, jak i Rusowie lub Arabowie, którzy znaglili Słowian północy i Hiszpanów do uprawy ziemi, przemysłu i handlu. Nigdzie nie zoczemy śladów ich działalności w tym kierunku. Rządy ich, jak i Turków, trzymają się jedynie powierzchni.

A jednak, pomimo braku przymusu z góry, Chińczyk jest wytrwałym robotnikiem, posiada w najwyższym stopniu zamiłowanie do pracy rolnej, przemysłu i handlu. Pod temi trzema względami przewyższa Słowian.

Wracam jednak do właściwego wątku. Otóż z tego wszystkiego wynika, iż rdzeń zaludnienia Chin przybył inną

drogą, a więc nie od północy, drogą, która zdołała stworzyć właściwości, cechujące rolnika chińskiego.

Poszukiwałem początkowo tej drogi w kierunku Indji, ale niebawem przekonałem się, iż wychodztwo wschodnie nie zdołałoby wyłonić z siebie typu chińskiego. Oba te typy są przedzielone nawzajem zbyt wielką różnicą.

Naówczas przyjaciel mój, Henryk de Tourville, podzielił się ze mną swemi przypuszczeniami, zgoła nowemi, zachęcając do ich zbadania i sprawdzenia. Niepodobna dłużej powątpiewać: mniemam, iż odnalazłem drogę, która przywiodła do Chin rdzeń jej zaludnienia i daje wyjaśnienie tego ciekawego a zagadkowego kraju.

2-o. Droga rolników.

Zagadnienie brzmi w następujący sposób: trzeba odnaleźć drogę, zdolną zaprznać lud do uprawy roli, do przemysłu i handlu, ale wyłącznie do drobnej uprawy, drobnego przemysłu i drobnego handlu w stopniu napiętym. Nadto idące przez tę drogę ludy nie powinny roztrwonić spólności rodzinnego, ale przeciwnie je wzmocnić, bo w takim stanie społecznym znajduje się typ chiński. Ten stan nie zrodził się bezpośrednio na glebie chińskiej, bo wychodźcy ze stepu nie wdrażają się żywiołowo w jego karby. Na przekór zdolności otoczenia chińskiego do przyswajania obcych pierwiastków, wychodźcy tego pochodzenia, jak się zdaje, nie podlegli najmniejszej zmianie.

Droga taka jeśli istnieje, powinna po sobie pozostawić ślady w historii mniej lub więcej namacalne, a nadto jeszcze obecnie uwydatniać swe istnienie i pożytek.

Droga taka istnieje. Jest to droga tybetańska.

Tybet na mapie przedstawia się w kształcie długiego a olbrzymiego korytarza, wyniosłego, otoczonego na półno-

cy przez góry Tsang, oddzielające kraj od płaskowzgórza mongolskiego, na południu przez grzbiet himalajski, idący pomiędzy Tybetem a Himalajami. Ktokolwiek wlaź w ten przesmyk, trudno mu będzie ztąd się wydostać i na południe z powodu Himalajów, nie posiadających przejść łatwo dostępnych, ani na północ, nie tylko ze względu na pasmo Tsang, ale nadto z powodu jałowości wielkiego płaskowzgórza mongolskiego, niczem nie pociągającego. Pozostaje jedno: ciągnąć wzdłuż korytarza, aż do jego końca.

Ten przesmyk, tak wyraźnie ukształtowany i tak szczelnie zamknięty przez przyrodę, idzie bez przerwy od stepów Turkiestanu i Afganistanu aż do Chin; kończy się w pobliżu źródeł rzeki Żółtej i północnych dopływów rzeki Błękitnej, tych dwóch wielkich dróg, prowadzących do Chin. Za pośrednictwem tych rzek dosięgamy najurodzajniejszych dzielnic tego kraju.

Ale czy Tybet istotnie był drogą, nie zaś zawadą? Czy można było tędy dosięgnąć Chin i czy w rzeczy samej to miało miejsce?

Niewątpliwie skorzystano z niej. Jeszcze dzisiaj należy do liczby dróg, najbardziej uczęszczanych i odwiedzanych w całej Azji. W gruncie rzeczy, na lądzie azjatyckim niema żadnej drugiej drogi tubylczej, któraby wiodła od krańców Wschodu na krańce Zachodu. Szlak północny, prowadzący przez Syberję, oraz drugi, południowy, morski, utorowali Europejczycy, wyłącznie z nich użytkujący.

Mongolja zaś, będąc zamknięta na zachodzie przez wyniosłość Pamiru i jego zwiastunów, na swej przestrzeni jest otwartą tylko dla koczowników.

Natomiast droga Tybetu jest dobrze znana Azjatom, którzy po niej idą jeszcze i obecnie: ciągle pasmo dolin i rzek wyłobiło jej wyraźny kierunek. Punktem wyjścia jest wysoko położona dolina Kabulu w Afganistanie; przez przesmyk Peszawerski prowadzi ona do doliny Indusu. Ta przełęcz jest miejscem wtargnięć historycznych zarówno do Indji, jak i do Tybetu; Anglicy ochraniają ją skwapliwie, bo wszystkie najazdy parły tędy. Znalazłszy się w wysokiej dolinie Indusu, jesteśmy w obliczu wejścia do korytarza tybetańskiego. Trzeba podnieść się w górę rzeki aż do jej źródeł. Tam prawie bez przerwy idą za sobą źródła Dżangpo lub Brahmaputry. Spuszczamy się przez Lhasę, leżącą prawie przy ujściu do Brahmaputry jednego z jej dopływów, doliną Brahmaputry; za Lhasą dolina rozszerza się, rzeka przebija Himalaje, ale korytarz zwraca się na północ i prowadzi do rzek: Żółtej i Błękitnej. Wstępujemy wtedy do Chin dolinami obu tych nurtów.

Niepodobna znaleźć drogi, lepiej utorowanej, a do tego bardziej uczęszczanej.

Jest ona mało znana Europejczykom, bo jej końców pilnie strzegą. Służy tylko dla tubylców, którzy korzystają z niej codziennie. Jest tak uczęszczaną, iż przejeżdżają po niej regularnie karawany, prawie o wyznaczonej godzinie, i rozporządzają wzdłuż całej długości stacjami, porządnie zorganizowanymi. Ruch ten karawan poczyna się akurat na zachodnim krańcu korytarza, t. j. w Kaszmirze. „Miasto Leh (nad Indusem) jest ogniskiem handlu pomiędzy Kaszmirem a chińskimi dzielnicami Tybetu i Tan-szan-Nanlu (Turkistanu chińskiego); tam tworzą się coroczne karawany, wiozące do Lhassy jedwabie, szale, szafran, wyroby angielskie,

a w zamian za to biorące herbatę, turkusy, wełnę¹⁾. Na wiosnę, kiedy karawana odchodzi, i w początkach zimy, kiedy wraca, Jarkandowie, Kaszmiryjczycy, tragarze różnego pochodzenia, obozują tłumnie dokoła Lehu. Zagrodzone łąki ciągną się we wszystkich sprzyjających okolicach wzdłuż ścieżyn, po których idą kupcy“²⁾. W Kaszmirze istnieją całe grupy ludności, których główne zajęcie polega na przewożeniu towarów do Lhassy³⁾.

Kaszmir, punkt wyjścia na zachodzie, znajduje się w prawidłowym a podtrzymywanym stosunku z Lhasą, środkowym punktem drogi.

Zatrzymajmy się nad Lhasą.

W naszej próbie przeniknięcia do tego miasta jedynym naszym przewodnikiem będzie Huc, jeden z tych nielicznych Europejczyków, którym powiodło się zwiedzić Lhasę. Świadczy to, że droga, tak otwarta dla tubylców również szczelnie jest zamknięta dla obcych. Huc zaznacza, iż Kaczowie, t. j. lhassańczycy pochodzenia kaszmirskiego, tworzą znaczny odłam ludności miejskiej. „Są oni najbogatszymi kupcami w Lhasie, posiadają sklepy z płótnem, bielizną, oraz przedmiotami zbytku i toalety, kantory wekslu i handlują złotem i srebrem. Dlatego stale monety tybetańskie posiadają znamię farsyjskie“⁴⁾. Obecność takich znaków starczyłaby już do wykazania licznych stosunków, ja-

1) Według Drew'a wartość handlu wywozowego z Lehu wynosiła w 1873 r. 2,380,000 franków, importu 2,060,000 fr. Cały obrót 4,770,000 fr.

2) Reclus: *Géographie universelle*, VIII, 131.

3) Reclus: *ib.*, 115.

4) *Voyage en Tartarie et au Thibet*, II.

kie istnieją pomiędzy częścią zachodnią a środkową rozpatrywanej drogi.

Nadto Huc oświadcza, iż Kaszmiryjczycy zajmują w Lhassie stanowisko poważane i wpływowe. To położenie ich daje się wytłomaczyć tem, że kraj ich leży u wejścia do tej tak długiej drogi. Są więc jej panami i w rękach swych trzymają cały handel Tybetu. „Ich turban — pisze Huc — długa broda, chód poważny i uroczysty, wyraz twarzy inteligentny i majestatyczny, czystość i bogactwo odzieży, wszystko to znajduje się w jaskrawej sprzeczności z zewnętrznym wyglądem ludów, wśród których są rozproszeni. W Lhassie posiadają gubernatora, od którego bezpośrednio zależą, a jego władzę toleruje rząd tybetański. Jako ludziom zamożnym i wpływowym, dają im odrazu wolne przejście na ulicach i wyciągają języki na znak szacunku“ ¹⁾).

Lhasa występuje przed nami w nowem świetle, otrzymujemy wyjaśnienie niepojętego dotychczas znaczenia tego miasta. Oto miasto, położone w pośrodku Azji, w kraju górzystym, prawie niedostępnym, a w każdym razie niedostępnym dla Europejczyków nie tylko z powodu licznych przeszkód przyrodzonych, ale także zazdrosnej podejrzliwości Chińczyków; klimat odznacza się surowością i nie sprzyja pobytowi, gleba jest niezmiernie jałowa, a przecież miasto to jest religijnem ogniskiem dalekiego Wschodu, świętym grodem buddyzmu, stolicą wielkiego Lamy, t. j. żyjącego Buddy.

Gdyby Tybet nie był drogą, prowadzącą na daleki Wschód, doniosłe znaczenie Lhassy nie miałoby wyjaśnienia;

¹⁾ *Voyage dans le Thibet*, II, 268—271.

ale to ostatnie jest zgoła zrozumiałe w przeciwnym przypadku. Lhasa została w rzeczy samej wielką stacją pomiędzy dwoma światami, pomiędzy Wschodem a Zachodem, jedynym punktem, gdzie typ dalekiego Wschodu mógł się narodzić i przybrać swe kształty charakterystyczne. Lhasa—to rzetelna ojczyzna ludów świata chińskiego.

Nie dziw, że droga nie tylko istnieje od Lhasy aż do Chin, ale nadto stosunki urządzone w sposób prawidłowy. Huc zwiedzał tę drogę i opisał ją z przystanku na przystanek. Miejsca wypoczynku są rozmieszczone w określonej odległości. Co więcej, istnieje poradnik dla podróżujących, ułożony według tych samych zasad, jak przewodniki Bederera.

Oto posłuchajmy:

„Mandaryn chiński Ly-Kuo-Ngan — pisze Huc — z uprzejmością dostarczył mi licznych szczegółów o drodze, która nas oczekiwała (od Lhasy do Chin) i którą odbyłem osiem razy (oto uczęszczana droga!). Ażebyśmy codziennie posiadali wiadomości dokładne o drodze, użył nam książki chińskiej, zawierającej przewodnik od Czyng-Tu, stolicy dzielnic Sse-Czuen (Chiny), do Lhasy. Dzieło to nosi tytuł: *Ui-Tsang-Czu-Czy*, t. j. opis Tybetu. Ozdabiają je rysunki (co jest postępem w porównaniu z wydawnictwami Joanne'a). Zawiera suchą listę, z etapu na etap, miejscowości, leżących wzdłuż drogi. Dla dania o niem pojęcia, przepisujemy ustęp, obejmujący pierwszy dzień podróży:

Z Detsi-Dżug do przystanku Tsai-Li.

Z Tsai-Li do noclegu w Lhasa. W Detsi-Dżugu znajduje się wiele oberży, w których jadący zatrzymują się. W pobliżu

drogi stoi dom pocztowy, ztamtąd 40 li
 • drogi do klasztoru Tsai-Li 40 li

W Tsai-Li istnieje *dheba*, zaopatrująca podróżujących w drzewo i siano. Miejscowość ta jest oddzielona tylko rzeczką od powiatu lhassańskiego; do Lhassy 20 li; przebywa tam komendant wojskowy . . . 20 li

Razem 60 li

Niemal możnaby odnaleźć samemu drogę z pomocą przewodnika chińskiego. Przystanki odznaczają się prawidłowym urządzeniem: w Midczukug istnieje *ulah*, t. j. zastęp koni, wołów jucznych i dozorców. Rząd tybetański zorganizował te powinności na całej przestrzeni od Lhassy do granicy chińskiej. Tylko oficerowie, urzędnicy chińscy i tybetańscy, podróżujący po tej drodze, posiadają prawo do korzystania z tych dogodności. Wielkorzędca lhassański wydaje im paszport, na którym wskazuje wyraźnie liczbę ludzi i zwierząt, jaką winny przejeżdżającemu dostarczyć wsie, uiszczające ulah. Notatka chińska o tym przedmiocie brzmi w sposób następujący: „Co do powinności miejscowej, zwanej ulah, wszyscy, posiadający jakikolwiek majątek, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, niosą jej ciężar; nawet ci, którzy przybyli z okolic najodleglejszych, ale zajmują cały dom, nie są od niej wolni. Liczba ludzi, których każdy dom ma dostarczać, zależy od jego majątku. W potrzebie biorą woły i konie, osły i muły z domów zamożnych; biedni wiążą się w grupy, trzy lub cztery chaty dostarczają jednej sztuki“ ¹⁾.

¹⁾ *Voyage en Tartarie*, II, 404, 405, 408.

A więc od Kaszmiru aż do Chin, t. j. od zachodu aż do krańców wschodnich Azji, istnieje nieprzerwana, naturalna droga, uczęszczana i jeszcze obecnie utrzymywana. Ogniskiem jej, głównym przystankiem jest Lhasa, stolica buddyzmu, którego wpływ religijny promieniuje od jednego końca tej długiej drogi do drugiego, od Kaszmiru aż do Chin, Indo-Chin i Japonji. Klasztory buddyjskie leżą licznie w Kaszmirze, lamowie są tam potęgą. „Mieszkańcy znoszą jarzmo lamów i budują dla nich klasztory, świątynie, *mani* z świętymi napisami; zdaje się, w ostatnich latach stanu kapłańskiego ima się mniejsza liczba kandydatów, niektóre klasztory opróżniały“ ¹⁾.

II.

Stwierdziliśmy istnienie samej drogi. Należy teraz zbadać, jaki wpływ wywarła na losy ludów, które szły po niej, a przede wszystkim czy oddziaływanie to odpowiada duchem swoim rozwojowi społeczeństwa chińskiego.

Tybet leży na południe od 40^o szer. płnc., ale nie posiada klimatu południowego, bo jego położenie nad poziomem równoważą wpływy szerokości. Tybet przedstawia olbrzymią szczelinę pomiędzy najwyższym pasmem górskim na ziemi. Nawet spód tego wąwozu znajduje się na wielkiej wysokości. Lhasa leży na poziomie 3.566 metrów, t. j. 150 metrów wyżej niż najwyższy szczyt Pyrenejów.

¹⁾ E. Reclus: *Géographie universelle*, VIII, 116.

Na takiej wysokości i na tak górzystej powierzchni, pasterstwo, główne źródło utrzymania ludności, doznaje ograniczenia; zwierzęta przybrały wzrost niższy, a więc konie, krowy są małosłone; wśród trzód przeważa koza, owa sławna koza tybetańska, zwierzę nawskroś górskie.

Pasterstwo, tak ograniczone, nie wystarcza na wyżywienie mieszkańców. Trzeba było zwrócić się do roli o dodatkowe środki utrzymania. Uprawa była możliwą w osłoniętych dolinach, mających wodę, gdzie za sprawą szerokości południowej klimat odznacza się dostatecznym ciepłem, zwłaszcza podczas krótkiego lata. Zbyteczna dodawać, iż rolnictwo stoi nisko, jest rolnictwem górskim.

Tybetańczyk jest nie tylko drobnym pasterzem, ale także drobnym rolnikiem.

Jest rolnikiem cierpliwym, bo otrzymać z ubogiej gleby produkt może tylko za cenę bardzo wielkiej skrzętności,

Przed nami zarysowuje się oblicze przyszłego Chińczyka, który jest również drobnym a cierpliwym rolnikiem, uporczywym, otrzymującym z hektaru pożywienie dla 10 — 12 osób. Chińczyk nie tylko jest drobnym rolnikiem, lecz nadto jeszcze drobnym a skrupulatnym wytwórcą, oraz drobnym kupcem. Tybet dostarcza obu ostatnio wymienionych typów. Aby wyżyć z jałowej gleby trzeba posiadać kilka cięciw na łuku i imać się różnych rzemiosł. Każda osoba w rodzinie wytwarza wszystko, czegokolwiek potrzebuje, domowa praca przetwórcza staje się dodatkowym źródłem utrzymania. Tybetańczykowi zwłaszcza handel przychodzi z pomocą. Warunki sprzyjają jego rozwojowi, bo Tybet leży na środkowej drodze Azji, pomiędzy Europą a krańcowym Wschodem.

To przekształcenie człowieka w kierunku typu chińskiego poczyna się już od początków drogi tybetańskiej. Już w Kaszmirze odbieramy pod wielu względami to samo wrażenie co w Chinach. „Pola w okolicach Srinagaru, głównego miasta Kaszmiru, zużytkowano aż do ostatniej piędzi, ogrodnicy nawet umieli założyć na jeziorach pływające ogrody (jak w Chinach), długie tratwy z korzeni roślin wodnych, związane w pęki i pokryte ziemią, na których uprawiają zwłaszcza melony i ogórki“. Wysoka temperatura, panująca podczas krótkiego lata, umożliwia hodowlę tych warzyw.

Krótką porą letnią oraz rzadkość odpowiedniej gleby przyuczyły górali do drobiazgowej a napiętej uprawy, istotnego ogrodnictwa, które na urodzajnej ziemi chińskiej przybrało taki osobliwy rozwój. Chińczycy flancują zboże, jak my warzywa. Ileż w tem wszystkim jest cierpliwości, porządku, oszczędności i uporczywości byłego górala! Włóścianina chińskiego niepodobna pojąć, nie uwzględnivszy jego pobytu w Tybecie!

Chińczyk odznacza się duchem przemysłowym i kramikarskim, co postrzegamy już w Kaszmirze. „Jeszcze dzisiaj główną gałęzią przemysłu rękodzielniczego w Srinagarze jest wyrób *duchala*, szali, tkanych z *piszma*, *paszmina* lub *paszmu*, sierści kozy, która pochodzi z Lodaku, Tybetu i Turkiestanu chińskiego. Srinagar nadto posiada przedzielnie jedwabiu, warsztaty wyrobów filigranowych i malowideł na papier-maché, oraz znaczną liczbę innych zakładów, zajmujących się wyrobem przedmiotów, wymagających zręczności ręki i gustu w doborze barw“ ¹⁾. Te roboty na je-

¹⁾ E. Reclus: *Géographie universelle*, VIII, 138.

biu i papierze, oraz zręczność i smak, odnajdujemy na drugim krańcu drogi, w Chinach. A jednak ten kraj przedzielony jest od Kaszmiru całą szerokością Azji. Jest rzeczą jasną, iż Tybet raczej łączy niż rozdziela ludy, tak odległe.

Dodając, iż „handel Kaszmiru, chociaż podupadł, jest znaczny“, stwierdzimy tam istnienie trzech charakterystycznych uzdolnień ludu chińskiego.

Ludy te pozyskały swe uzdolnienia od chwili znalezienia się w przesmyku tybetańskim. Tybet swoim wpływem nadał im charakter, potrzebny, ażeby pojawił się doskonały Chińczyk. Ten ostatni jest nie tylko rolnikiem, przemysłowcem i kramikarzem, połączenie takie powtarza się w wielu krajach i nie zawiera w sobie jeszcze nic osobliwego; cechę charakterystyczną jego stanowi to, iż wszystkie te fachy uprawia w małych rozmiarach: jest włościaninem, drobnym wytwórcą, kramikarzem ¹⁾.

Właśnie pobyt w Tybecie oddziałwał w kierunku takiego ukształtowania zajęć.

Na tej glebie górzystej a jałowej rodziny nie mogą wzrosnąć w bogactwo, ani wznieść się. Ledwie zdołają wyżyć. Żyją nędznie, wydatkując niezmierną ilość energii i pracy, co zwiastuje sobą typy chińskie.

„Tybet, prawie całkowicie pokryty górami i zbrózdzony gwałtownymi potokami, obdarza mieszkańców bardzo niewielu gruntami ornemi. Tylko rolnik dolin rzuca ziarno

¹⁾ Chińczyk podnosi się na poziom wielkiego handlu tylko w niektórych miastach w pobliżu kantorów europejskich. Uskutecznia to pod wpływem cudzoziemskim

na ziemię, ufny, iż uda mu się zebrać plony. Tybetańczycy uprawiają nieco pszenicy i jeszcze mniej ryżu. Głównem zbożem jest *tsing-ku*, czarny jęczmień, z którego wyrabiają *tsambę*, główną potrawę ludu tybetańskiego. Wogóle, Tybetańczycy odżywiają się lichy. Zwykle ich jadło składa się z herbaty z masłem i tsamby, którą kruszą niewykwintnie w palcach. Najbogatsi trzymają się tych samych zwyczajów: litość bierze, gdy patrzymy, jak przygotowują sobie tak nędzną strawę. Mięso, jeśli mają, spożywają poza obrębem stałego posiłku; jest to rzecz tylko gustu¹⁾.

Przemysł posiada małe rozmiary, tak samo jak rolnictwo. Polega on na wyrobie *pu-lu*, pachnących lasek i naczyń. Pu-lu są to tkaniny wełniane, wazkie a bardzo mocne, co do gatunku przedstawiają wszelkie różnice od prostego, włochatego sukna do najsubtelniejszych i najpiękniejszych wyrobów. Buddyzm pozwala lamom odziewać się jedynie w pu-lu. Zapotrzebowanie tego produktu w Tybecie jest bardzo znaczne, karawany wywożą znaczne jego ilości do Chin północnych.

Pręty pachnące, czyli perfumy tybetańskie, stanowią dla lhassańczyków bardzo doniosły artykuł handlu. Wyrabiają je z drzew aromatycznych z domieszką piżma i proszku złotego. Palą w świątyniach i przed bałwanami.

Tybetańczycy nie posiadają sprzętów do stołu, ale zajmują się wyrobem drewnianych miseczek z korzeni paru cennych drzew, rosnących w górach.

Nadto uprawiają wyrób przedmiotów, służących do upiększenia świątyń i klasztorów, tak licznych w ich kraju.

¹⁾ Huc: *Voyage en Tartarie*, II, 264.

„Modelarze tamtejsi i artyści odznaczają się wyjątkową zręcznością w wyrobie posążków, kwiatów sztucznych i ozdób z masła, stawianych przed bożkami“¹⁾.

Oto drobna produkcja, wymagająca drobiazgowości i zręczności ręki, t. j. cech, właściwych przemysłowi przetwórczemu chińskiemu. Zaznaczmy u Tybetańczyków istnienie jeszcze zdolności do handlu. „Tybetańczycy są urodzonymi handlarzami. Wszyscy handlują, bez żadnego podziału pracy, oraz wszystkim, cokolwiek dostanie się do rąk. Każdy dom jest sklepem (cecha kramikarstwa!), każda lamarnia — składem. Klasztory posiadają *garpona*, czyli szefa handlu, mającego pod swemi rozkazami cały zastęp urzędników i trzody zwierząt jucznych dla przewozu towarów“.

Mniemam, iż obecnie uchwyciliśmy zasadnicze rysy typu: są to włóścianie biedni, trudniący się produkcją przetwórczą i kramikarstwem.

Wyjście z Tybetu prowadzi na grunta niskie a żyzne, będące czemś więcej niż miejscem przechodniem. W tych urodzajnych nizinach typ tybetański, trzymając się swych cech zasadniczych, rozwija się ostatecznie.

Rozwój ten przybrał w Chinach największe rozmiary. Idąc w tym kierunku, Tybetańczyk nie napotkał oporu, ani zwierzchnictwa innych ras jak w Indjach. Znalazł wolne przestwory, na których doskonalił się swobodnie.

Odosobnienie Chin stało się głośnem.

Górne części rzek, płynących ku Indo-Chinom, pozostały dotychczas niezbadanemi z powodu nieprzebytych la-

¹⁾ E. Reclus: *Nouvelle géographie universelle*, VIII, 94.

sów, które stanowią niedostępny szaniec, odgradzający Chiny od zachodu. Istnieje jedno tylko przejście przez dolinę Hoang-Ho, przy nim nie potrzeba trzymać się wielkiego łuku tej rzeki ku północy. W części średniej, niskiej, rzeka podchodzi ku Yang-tse-Kiangowi, płynącemu w równoległej a podobnej dolinie. Oto rzeczywiste Chiny. W tej dzielnicy zwłaszcza gleba odznacza się urodzajnością: są to sławne żółte ziemie chińskie i pokłady napływowe. Więż społeczna chińska przybrała tam charakter najbardziej uwydatniony.

Ze strony stepu, lub raczej pustyni północnej, Chińczycy, nie znajdując w pustyni dostatecznego szanica przeciw przypadkowemu najazdom pasterzy, wznieśli wielki mur.

Morze wreszcie dopełnia odosobnienia. Żegluga jest wśród tych szlaków trudną zarówno z powodu odległości, jak i bardzo niebezpiecznego obejścia, stworzonego pomiędzy Indjami a Chinami przez Indo-Chiny.

Dzięki temu odosobnieniu typ mógł swobodnie rozwijać się, zachowując cechy, nałożone nań przez pobyt w Tybecie.

III.

Chińczycy zachowali nadto charakter spółniczy, właściwy ludom małych, a trawą porośniętym płaskowzgórzom, które ciągną się u zachodniego krańca szczeliny tybetańskiej. Możemy o niej wyrobić sobie pojęcie na podstawie opisu, zapoznającego nas nadto z trybem życia tych drobnych włościan.

Przed paru laty dawny konsul francuski w Chinach, Eugenjusz Simon, ogłosił dzieło: *la Cité chinoise*, w którym zastanawia się nad rodziną, pracą i ustrojem państwowym

Chin. Książkę swoją kończy rozdziałem: Rodzina *Uang-Ming-Tse*. Jest to monografia rodziny, a ideę napisania jej podsunęły autorowi dzieła le Play'a. Rozdział obfituje w dokładne szczegóły, dobrze spostrzeżone, żywcem wzięte z otoczenia, a notowane w toku długich rozmów z członkami rodziny, której Simon cieszył się zupełnem zaufaniem.

Rodzina ta mieszkała w Chinach południowych, w Uang-Mo-Chi, w odległości 14 mil od Fu-Czeu, w prowincji Fo-Kien. Ryz, herbata, bawełna, cukier, pomarańcze, oto najgłówniejsze ziemiopłody kraju. Kanały, związane z Ta-Czuei, zraszają okolicę aż do wierzchołka pagórków. Z tych kanałów, wznoszących się przynajmniej na jedną część pochyłości, przyrządy, wprawiane w ruch przez ludzi lub woły, podnoszą wodę i wlewają ją do kanału wyższego, z kąd w ten sam sposób dostaje się do trzeciego, czwartego i piątego, wraca zaś do swego właściwego łożyska, dopiero pozostawiwszy po sobie wszędzie wilgoć i życie.

Uang-Ming-Tse opowiedział Simon'owi historję swojej rodziny. „Mój ojciec—mówi on—był czwartem dzieckiem w rodzinie posiadającej czternastu potomków; wyprzedzali go dwaj bracia i siostra. Pierwszy i trzeci pomagali rodzicom, pozostali rolnikami i nigdy nie opuścili domu“. Dwoje dzieci żyło z rodzicami i nie rozstało się z domem rodzinnym, a więc pozostali w spółce rodzinnej. „Majątek rodziny był nieznaczny i nie był w możności dania zajęcia i utrzymania takiej znacznej liczbie dzieci. Postanowiono, iż chłopcy wyuczą się rzemiosł i udadzą się do miasta szukać tam środków podniesienia ogólnej pomyślności“. A więc rozproszenie rodziny spowodowała konieczność, ponieważ majątek nie starczył na utrzymanie wszystkich. Ale czy

dzieci te, opuściwszy dom rodzinny, rozstali się zupełnie ze wspólnotą domową? Zobaczymy, że i nadal są jej członkami.

„Mój ojciec udał się jako cieśla do miasta. Zarabiał niebawem tyle, iż zaczął odkładać, oszczędności zaś swoje oddawał całkowicie rodzinie, gdy co pół miesiąca ją odwiedzał. Trzej inni synowie poszli za jego przykładem. Dzięki tym oszczędnościom ojciec mój zaokrąglił swe pola, a gdy zwiększony majątek zdołał dać zajęcie jednemu jeszcze z synów, przywołał go do siebie. Najmłodszy pozostał w Fu-Czeu. Jest jednym z wielkich kupców miasta, ale zawsze przyjeżdża podczas obchodu rocznic; gdy wycofa się z interesów, powierzając je dwom z pośród synów, zamieszka tutaj z nami. Nabył znaczny kawałek gruntu, na którym gospodaruje jego syn najstarszy, i tam wybudował grób sobie. Możemy uważać go za osobę, która pozostała w rodzinie“ ¹⁾.

Zatem wszystkie dzieci, nawet te, które opuściły dom ojcowski, stanowią i nadal część wspólnoty, odsyłają jej swoje oszczędności i, gdy mogą, wracają do kąta rodzinnego. Duch spółniczy musi odznaczać się swoim napięciem, jeśli trwa na przekór warunkom, które powinny były go rozproszyć!

Ta dążność różnych członków rodziny do trzymania się pospołu tak zagnieżdżyła się w umyśle Chińczyków, iż przedstawia objaw powszechny. „Jedną zwłaszcza okolicznością zbliża rodziny, żyjące w tej samej wiosce, mianowicie iż wszystkie są spokrewnione ze sobą. Mieszkańcy uboższych domów doznają pomocy i wsparcia, jak w najlepiej

¹⁾ Simon, 280.

zorganizowanem zrzeszeniu, ze strony większych rodzin, z pośród których wyszli. Każda chata, każda grupa domków przedstawia sobą ustrój doskonały, w którym mieszkańcy znajdują szkołę, zarząd, sąd rodzinny, a nadto w potrzebie ręce do pomocy, wołu, młyn, przyrząd irygacyjny, w ogóle rzeczy, które byłyby niedostępne dla drobnych osad. A jednak każdy znajduje się u siebie, odosobniony, o ile uzna za stosowne, jest panem, dostojnikiem w swem ustroniu, przy swym ognisku domowem“ ¹⁾).

Przed nami występują węzły moralne i nawet materialne, jednoczące tych biedaków w całość jednorodną, poddające ich spójni szerszej, jednocie rodzinnej, i będące podstawą mocy Chin całych.

Ojciec rodziny opowiada następnie Simonowi o dziejach ojca swego po śmierci dziada. „Ojciec mój miał wtedy już własne dzieci, ale młodsi bracia jego i siostry nie znajdowali się jeszcze w wieku dojrzałym, ażeby rozpocząć gospodarstwo na własną rękę. Niepodobna było rozprzegać spółnoty, zresztą nikt o tem nie myślał. Rzeczy pozostały jak ongi pod kierownictwem starszego brata.

„Mieszkaliśmy nadal pod jedną strzechą. Mój ojciec, posiadający umiejętność czytania i pisania, zajmował w innej prowincji stanowisko dość zyskowne, zażądał tylko części swego spadku, resztę zaś pozostawił spółnocie“. Ustęp to charakterystyczny, świadczący, iż podział majątku ojcowskiego jest w gruncie rzeczy dość ograniczony, oraz trzymany w pewnych szrankach przez ustrój spółniczy. „Pozostało jeszcze w domu pięć córek i sześciu mężczyzn, w tej

¹⁾ Simon, 40.

liczbie czworo zawarło związki małżeńskie i posiadało dziewięcioro dzieci. To pospołu czyniło 24 osób“¹⁾. Oto doskonały wzór spółki, zawierającej cztery stadła małżeńskie prócz dziewcząt i kawalerów.

Wreszcie nastąpiło przesilenie. Przypatrzmy się, jak się odbyło.

„Póki istniała jednota społeczna, żyliśmy w dobrobycie, posiadając 80 meu'ów gruntu²⁾. Ale po zamążpójściu ciotek i zamieszkaniu najmłodszego z wujów w Fu-Czeu, stan rzeczy uległ zmianie. Wuj, potrzebując środków dla prowadzenia handlu, zażądał swego działu. Mandaryn, którego rodzina wzrastała prędzej niż dochody, skorzystał z okazji i zrobił to samo. Jasnym się stało, iż prędzej lub później trzeba będzie się rozejść. Postanowiono dokonać tego natychmiast. Właśnie w tym czasie sąsiedzi nasi, posiadający więcej gruntu niż potrzebowali, zapragnęli sprzedać część pewną, a okoliczność ta ułatwiła nam sprawę podziału. Siedmiu braci podzieliło spadek na siedm równych działów³⁾.

„Dwa działu wraz z domem ojcowskim według zwyczajności dostały się najstarszemu bratu. Części kupca i mandaryna nabyła spółnota, składająca się obecnie z 5-u braci, za kwotę, którą zobowiązała się uiścić w ciągu lat trzech, wypłacając procenty z góry. Nadto wzięła w dzierżawę grunta sąsiadów, przytem wyraziła chęć ich nabycia oraz spłaty należności w określonym terminie“⁴⁾.

1) Simon, 261.

2) t. j. 5 hektarów i 60 arów.

3) Simon, 362.

4) ibid.

A więc spółka rodzinna, nadwątlona wskutek wystąpienia dwóch braci, natychmiast organizuje się dla odkupienia i powiększenia majątku rodzinnego.

„Pięciu tych braci dokonało nowego podziału. Cały majątek nabyty, około 40 meu'ów, podzielono na 5 kawałków, każdemu bratu dostała się jedna część, która powiększyła to, co każdy otrzymał ze spadku. Zaczęto budować mieszkania dla tych, którzy dotychczas nie mieli domostwa, w obrębie gruntów każdemu wyznaczonych (spólnota odradza się dla wzniesienia pospołu zabudowań!) Gdy chaty stanęły, każdy zamieszkał w swojej. Wreszcie po ukończeniu domów, ku schyłkowi trzeciego roku uiszczono całą należność za nabyte grunta, a to dzięki spółce, która trwała przez czas cały i umożliwiła różne oszczędności“ ¹⁾.

„Jednak i nadal uskutecziano zbiorowo główne roboty w polu i podczas żniwa, oraz udzielano sobie pomocy wzajemnej i wsparcia we wszelkiej okazji“ ²⁾. Nabyto dwa woły robocze na spółkę, trzymano wspólnie służących i t. d. Spólnota istniała we wszystkim, co dotyczyło pracy.

A spółka ta bynajmniej nie była czczym wyrazem.

„W ciągu lat trzech spłaciliśmy wszystkie długi, i to niebawem po zamażpójściu najmłodszej ciotki, której daliśmy (na koszt spółnoty) posag i wyprawę wartości przynajmniej 200 taelów (1600 franków). Ojciec mój z braćmi swymi znalazł się w bardzo przykrem położeniu. Ale to, żeśmy trzymali się gromady, nas ocaliło. Bez tego, nie wiem doprawdy, co byłoby z nami.“

¹⁾ Simon, 362.

²⁾ Ibid. 269.

Jednota więc podtrzymuje sobą cały ustrój domowy i organizację pracy. Zapobiega skutkom, wypływającym w każdym pokoleniu z działań, gdyby te ostatnie odbywały się bez tej instytucji poprawczej.

Chińczyk kładzie nacisk na ten punkt. „Działając w odosobnieniu, bylibyśmy bez środków nabycia wołu dla każdego, ponieważ mieliśmy tylko dwie sztuki na pięć gospodarstw. To samo da się powiedzieć o reszcie. Nadto nasi sąsiedzi byli naszymi krewniakami. Moralnie byliśmy tak samo związani, jak gdybyśmy po dawnemu mieszkali pod tą samą strzechą. Poczucie solidarności coś przecież znaczy“ ¹⁾.

Uang-Ming-Tse opowiada, jak zagospodarował się na swoim, mając już lat 40, po skonie ojca. Dotychczas spełniał obowiązki małego urzędniczka w pewnej prefekturze. „Postanowiłem wraz z braćmi utrzymać wspólny spadek. Pomogli mi ponieść wydatki, z powodu zamążpójścia trzech moich starszych córek. Ani bracia moi, ani synowcowie nie pomyśleli nigdy o podziale interesów. Każdy z nas posiadał własne mieszkanie, lecz prace i dochody były wspólne“.

Nadto spółnota istniała we wszystkim, co dotyczyło bytu religijnego i moralnego rodziny, patronatu oraz wielu czynności, które u nas przypadły na władzę publiczną.

Simon rozpytywał się głowy rodziny Uang-Ming-Tsów: „Co dzieje się z waszym kultem religijnym, gdy rodzina rozpadła się? Czy, gdy każdy osiadzie na swoim, również i te węzły moralne pryskają? Słowem, w jakim stosunku pozo-

¹⁾ Simon, 271.

stawali pańscy stryjowie względem siebie i domu ojcowskiego?”

Oto odpowiedź:

„W ogóle działy wtedy są uskuteczniane, gdy wszystkie dzieci zdolne są do samodzielnego bytu. Znajdują się już wtedy w związku małżeńskim, bardzo często posiadają dorosłe potomstwo (wiedzimy, jak długo trwa zupełne spólnictwo i jak późno dokonany zostaje podział). Nie wychodząc z domu, mogą uczynić zadość większości zwyczajów i obowiązków, połączonych z kultem przodków. Każdy ma prawo do spełniania tych obrzędów, a zwykle bierze się do tego dopiero po skonie jednego z założycieli nowego ogniska, ojca lub matki. Do tej chwili i nawet później, wszyscy zbierają się w domu najstarszego brata. W każdym zaś przypadku pod jego strzechą są obchodzone rocznice ojca i matki, oraz właściwe rodzinie święta. To samo bywa podczas uroczystości, związanych z porami roku. W razie gdy rodziny posiadają świątynię, specjalnie poświęconą kultowi swych przodków, to zebrania tam się odbywają. Dla pokrycia zasadniczych kosztów tych obchodów starszy otrzymuje prócz swego działu dodatkową część spadku; bogaci przedstawiciele rodziny czynią uposażenia na rzecz tego majątku. Jeśli to nie wystarcza, każdy, przybywając na zbory, daje jeszcze daninę od siebie. Tak było i pomiędzy nami, i muszę przyznać, iż obaj stryjowie, kupiec i mandaryn, rzadko nie stawiali się na wielkie uroczystości“ ¹⁾).

Zaznaczyłem, iż spółnota ogarniała nie tylko sprawy

¹⁾ Simon, 266.

kultu. „Czy władza sądowa—zapytał się Simon—rozciąga się i na tych, którzy oddzielili się, siedzą na miejscu lub mieszkają w pewnej odległości?”

— Niewątpliwie — odrzekł Chińczyk — z kądem otrzymaliby pomoc poza rodziną? Jakim sposobem, w sprawach doniosłych a pilnych, moglibyśmy wydawać krewniaków na pastwę trybunału mandarynów? Przysłowie głosi, iż mandaryn i prawo istnieją dla nieuczciwych“ ¹⁾.

Zaiste, te jednoty rodzinne winny odznaczać się żywotnością i siłą, jeśli mogą tak poważać swój trybunał w obliczu trybunału mandarynów i prawa!

„Jedynie rodzina spełnia zadania opieki—pisze jeden misjonarz. Rzecz to godna uwagi, iż wszyscy, noszący to samo imię, są obowiązani do dopomagania sobie nawzajem i opiekowania się sobą.“ Duch rodzinny, ujawniający się w ten sposób, jest duchem spółniczym, właściwym rodzinie patryjarchalnej.

Tem poczuciem przesiąknęły nawet urządzenia publiczne. „Urzednicy są odpowiedzialni za wszelką sprawę, która pragnie uniknąć trybunału rodziny; wszystko, czego może dokonać sama rodzina, nie wchodzi w zakres ich działalności“.

Możemy obecnie paru słowami zcharakteryzować stan społeczny, który powstał za sprawą każdej z dwóch dróg, wzdłuż których przybywały fale ludzkie do Chin.

Droga północna służyła za łożysko dla nieustającego potoku panów i zwierzchników, wychodzących ze stepu. Droga ta tłumaczy nam wiekowy zastój Chin.

¹⁾ Simon, 266.

Droga tybetańska dawała ujście rasie, już wdrożonej do pracy, oszczędności i wąskiej widowni życia. Wyjaśnia nam ona drobną uprawę ziemi oraz typ drobnego włościanina, który stanowi rdzeń zaludnienia Chin.

IV.

Winniśmy, z powodu podobieństwa rysów społecznych, rozważać w związku z Chinami Japonję i Indo-Chiny.

Niewątpliwie, Indo-Chiny otrzymały część swej ludności bezpośrednio z Tybetu. Od Lhassy, przez Himalaje, idzie droga, która okrąża od południa niedostępne pasma gór, dające początek rzekom indo-chińskim. Droga ta przeryna Indje wschodnie, przechodzi przez Birmanję i sięga Yunnanu chińskiego. Dostarcza nowego przyczynku dla zrozumienia doniosłości Lhassy, od której rozpoczyna się to rozdwojenie szlaku, prowadzącego z Tybetu do Chin. Ale zaludnienia Indo-Chin dokonało zwłaszcza wychodztwo z Chin.

Indo-Chiny leżą w znacznej odległości od stepów tatarsko-mongolskich, dzięki temu uniknęły zaborczej powodzi pasterzy; podzielone pod względem geograficznym przez pasma niemal nieprzebytych gór, nigdy nie zlały się w jedną, ale pozostały rozdzielonemi na przyrodzone obszary.

Japończycy również przedstawiają bardzo wiele podobieństwa z Chińczykami. Ale odznaczają się większem zamiłowaniem postępu, oraz większemi uzdolnieniami. Zmuszeni zająć pod uprawę swe wyspy górzyste nawet do najdrobniejszych i najwyższych kawałków, winni byli zadać sobie więcej wysiłku i podnieść pracę swoją na wyższy poziom

udoskonalenia. Skutkiem tego powstały wśród nich wybitne, acz destrukcyjne osobistości, które, strząsnawszy z siebie wpływ rodziny patryarchalnej, wyzwalały się zupełnie i przyswajają łatwo nowe zwyczaje. Tak samo, w podobnych okolicznościach, postępują nawet Chińczycy i w ogóle osoby pochodzenia wschodniego, jak to możemy obserwować w Paryżu i wielkich stolicach Zachodu. Ci wychodźcy ustroju spółniczego dają się lekko uwieść wszystkim nowinkom; ale jednocześnie nie posiadają także dostatecznej siły moralnej, również z przyczyny tego samego ustroju, który trzymał ich w ciężkiej podległości.

Zresztą, zdaje się, kolejne fale wychodztwa chińskiego pchały nieustannie Japończyków po drodze kultury. Wprawdzie istnieją pomiędzy nimi warstwy społeczne, będące może wytworem podboju; władza centralna rozporządza tam organizacjami samowładnemi, trwającymi tylko dzięki nadzwyczajnej zapobiegliwości ze strony tej powagi. Takie panowanie daje się wyjaśnić jedynie z pomocą osiedlenia się klasy zaborczej. Gotów jestem mniemać, iż zdobywcy ci wyszli z pośród korsarzy malajskich.

Japonję ocaliła od zastoju, właściwego Chinom, ta okoliczność, iż, dzięki położeniu wyspiarskiemu, była zabezpieczoną od nieustających najazdów i zwierzchnictwa pasterzy. To ją zrobiło podatniejszą i dostępniejszą na nowe rzeczy, pochodzące z Zachodu. Daje ona przybliżone pojęcie o tem, czem byłyby Chiny, gdyby w sposób tak ciągły i tak bezpośredni nie podlegały wpływom stepu.

Co do Indji, poprzestanę na wzmiance, iż w klasyfikacji społeczeństw ludzkich należy wyodrębnić wyraźnie grupę hinduską od chińskiej. W tej pierwszej objawy społeczne posiadają charakter bardziej zawikłany, spółnictwo

zaś rodzinne dotrwało z mniejszą siłą. Ludy hinduskie są dzisiaj blizkie rodziny niestatecznej. Upadek ich jest znany faktem, jaskrawo wyróżniającym ich od nieruchliwości chińskiej.

Indje, tak samo jak Chiny, są krajem nadmiernej wydajności. Grunta, posiadające głęboką warstwę urodzajną prawie niewyczerpanej wydajności, lekko poddają się uprawie, dobrze są uposażone w wodę; nie tylko istnieją poniżej 40° szer. płnc., ale przechodzą zwrotnik ($23\frac{1}{2}^{\circ}$) i ciągną się poza jego linję. Potężny grzbiet himalajski ochrania je od północy. Istnieją tam wszystkie niemal produkty zwrotnikowe, Indje tem się właśnie sławią.

Jak Chiny składają się z doliny rzeki Hoang-Ho i dolnego porzecza Yang-tse-Kiangu, tak samo Indje zawierają się w dolinie Indusu poniżej Himalajów, w dolinie Gangesu i w pomorzu. W tych dzielnicach ustrój społeczny tego kraju występuje z charakterystycznym obliczem.

Indje nie sąsiadują, jak Chiny, ze stepem. Od niego przedziela je Tybet całą swoją szerokością, a nadto Gobi. Himalaje obroniły je skuteczniej niż wielki mur.

Na podobieństwo Chin, jedynie od zachodu stoją one dostępnym z powodu wązkich przesmyków górskich. Jak przez Tybet droga prowadzi do Chin, tak samo do Indji idzie przez płaskowzgórze erańskie i górny Turkiestan (dzielnice Balku i Samarkandu). Istnieją przecież pewne różnice.

1-o. Indje nie leżą na krańcowym Wschodzie ani nie są odosobnione, jak Chiny; są zbliżone do Zachodu, kolebki ras, sąsiadują z Persją.

2-o. Persja i górny Turkiestan były drogą nie tylko krótszą, ale i zamożniejszą, oraz odmiennie kształtującą losy społeczne niż Tybet.

Indje mogą poszczycić się większą liczbą napływów etnicznych, posiadających bardziej złożony ustrój społeczny, niż ten, jaki właściwy jest stepom lub Tybetowi. Oto już podwójne źródło większej złożoności.

Złożoność ta uwydatnia się w nieskończonem piętreniu się kast jednych nad drugimi, istnieniu współrzędnem odmiennych cywilizacji od najwyższej do najniższej, w odmienności wreszcie typów fizycznych i zwyczajów. Wszystko to znajduje się w silnem przeciwieństwie z prostotą ustroju chińskiego.

Za sprawą tej złożoności spółnictwo rodzinne docho-
wało się w gorszym stanie, zwłaszcza pomiędzy klasami
pracującymi. Ustrój spółniczy stracił swe posterunki na ko-
rzyść gminy publicznej. Ta ostatnia stanowi istotną podsta-
wę społeczności hinduskiej, tak samo jak jednota rodzinna—
chińskiej.

Gminą tą jest z jednej strony wioska, z drugiej kasta,
zresztą podporządkowana kastom wyższym. Wreszcie wpla-
tają się w tę budowę klasy, reprezentowane przez licznych
a drobnych możnowładców, którzy pomiędzy sobą dzielili
i jeszcze dzielą Indje.

KSIĘGA TRZECIA.

TYPY STAROŻYTNE ZACHODU.

DROGA WIELKICH MOCARSTW NADŚRÓDZIEMNOMORSKICH

Droga pustyni była pierwszą co do czasu. Pierwsze mocarstwa powstały w pośrodku pustyni, w sławnych oazach nad Nilem, Tygrysem i Eufratesem.

Ale drogi, jak i ludzie, podlegają losom! Przechodzą przez okresy rozkwitu i upadku.

Upadek dotknął drogę pustyni bardzo wcześnie, a dotknął w sposób stanowczy. Datuje się on od tej chwili, gdy potok ludzki poszedł równoległym korytem na północy, które posiadało tę wyższość, iż prowadziło do krajów bardziej umiarkowanych i urodzajniejszych.

Korytem tem było morze Śródziemne.

Droga ta z pośród szlaków dziejowych starożytności

jest najdonioślejszą, a to ze względu na głęboki wpływ, jaki wywarła na rozwój cywilizacji.

Wpływy te nie były dowolne, ale dają wyjaśnić się czynnikami dodatniej natury, wpływającymi z otoczenia fizycznego i trybu pracy.

Typy, badane przez nas dotychczas, przedstawiały jeden rys wspólny a zasadniczy, a mianowicie opierały się na trwałem spółnictwie rodzinnem lub plemiennem. Ta stateczność spółnictwa nadała wszystkim tym ludom ten sam odrębny charakter, a mianowicie wstręt do pracy osobistej i postępu, oraz słabe napięcie inicjatywy jednostkowej.

W grupie społeczeństw, do których rozbioru przystępujemy, dotychczas spotykane formy więzi społecznej znajdują się w upadku i wreszcie zanikają prawie zupełnie. Jednostka jest pozostawiona samej sobie, pozbawiona pomocy zbiorowej. Dąży do stworzenia więzi wyższej, rozleglejszej a publicznej, i wreszcie ją stwarza. Jest to *civitas*, miasto.

Do tej kategorii należy miasto pelazgijskie, fenickie i kartageńskie, greckie, wreszcie rzymskie, które takim blaskiem otoczyło ten ustrój społeczny. *Civitas*, *urbs*, sławne te wyrazy dały początek terminom francuskim *civilisation* i *urbanité*, charakteryzującym właśnie stan społeczny, który powstaje w łonie tych ustrojów.

Począł się on w dzielnicach wód śródziemnych.

Dzielnica nadśródziemnomorska przedstawia rodzaj przyrodzonego przedsiionka, przez który przejść musiały ludy, w ciągu wieków nadające południowej i zachodniej Europie jej zasadnicze piętno społeczne. Niepodobna zba-

dać Europy zachodniej, noszącej słuszne miano łacińskiej, a nawet Niemców południowych i nadbałtyckich, nie poddawszy uprzedniemu rozbiorowi społecznej formacji nadśródziemnomorskiej, z której łona wyszły ludy łacińskie.

Pod nazwą „krajów nadśródziemnomorskich“ będziemy rozumieli dzielnice, które przytykają do wód Śródziemnych i pod względem społecznym znajdowały się pod ich wpływem.

Ciągną się one wzdłuż wybrzeży morza Śródziemnego i obu jego przyczepów: morza Czarnego i Adrjatyckiego, aż do grzbietów, które je oddzielają i wyodosobniają od wnętrza lądu. Ogarniają one również wszystkie wyspy tych mórz, oraz półwyspy apeniński i grecki.

Dzielnica ta przedstawia charakterystyczną jednolitość, zależną od trzech warunków:

1-o. Od stosunków, wytwarzanych przez ogół wód. Morze łączy wszystkie te kraje. Raczej je zespala niż dzieli. Przejazd jest krótki i łatwy, gdyż wody posiadają małą rozległość, a nadto są urozmaicone mnóstwem wysp — miejsc odpoczynku. Po morzu Śródziemnem od najodleglejszej starożytności żeglowały ludy, ale rozporządzały bardzo pierwotnymi statkami.

Morze odznacza się tem, iż podczas wędrówek po niem człowiek nie podlega przekształceniu. Przedstawia ono poniekąd ciało obojętne: w miejscu wylądowania wypuszcza człowieka w tym samym stanie społecznym, w jakim wyjeżdżał z ojczyzny. Dlatego już w dalekiej starożytności cywilizacja na całej przestrzeni morza Śródziemnego była prawie jednorodną. Co za różnica z przekształcającą potęgą szlaków naziemnych, wzdłuż których powstawały i prze-

kształcały się różne typy społeczne, przez nas opisane w rozbiornie dotychczasowym. Ludy te znajdowały się w ciągu długiego pasma lat, a nawet wieków pod działaniem dróg lądowych i musiały poddać się zmiennym a różnorodnym wpływom, tam istniejącym. Tymczasem nikt stale nie przebywa na morzu i nie dostraja się do jego wymagań, tylko stara się je przejechać możliwie prędko.

2-o. Z jednostajnego ukształtowania gleby.

W ogóle, wybrzeża nadśródziemnomorskie przedstawiają łańcuch niewielkich napływowych dolin, otwartych ku morzu, a z trzech pozostałych stron otoczonych wieńcem gór, za którymi rozciągają się płaskowzgórza. Doliny i pokłady napływowe są wytworem licznych potoków, zbiegających z grzbietów wybrzeżnych. To ukształtowanie powierzchni jest dobrze znane i dość silnie podkreślone w historii.

3-o. Z jednostajności produktów przyrodzonych.

O tej jednostajności świadczy dostatecznie istnienie roślinności, nazwanej „nadśródziemnomorską“. Pochodzi to ztąd, iż morze Śródziemne rozciąga się nie od północy na południe, tylko od wschodu na zachód, t. j. wszystkie dzielnice jego leżą w tym samym klimacie. Nadto wszystkie znajdują się pod wpływem tych samych oddziaływań ze strony morza, które udziela im tego samego umiarkowanego ciepła, jako też prawidłowych opadów. Nadto małe doliny posiadają jednakowo małe potoki i składają się z tej samej gleby napływowej.

A jednak typ nadśródziemnomorski przedstawia obecnie mniejszą czystość niż ongi. W czasach starożytnych wody Śródziemne były jedynem morzem, najdoskonalszem, jedynie znanem, takim, po którym można było żeglować

z jednego końca do drugiego. Nie pojawiali się na nim żeglarze z innych mórz, ani z Oceanu. Korzystały z niego tylko ludy, siedzące na jego wybrzeżach, i skutkiem tego przedstawiały one wspólne rysy. Dzisiaj objęły je w posiadanie statki wszystkich wielkich mocarstw Zachodu, przynosząc z sobą różnorodność zwyczajów i wpływów.

Nadto kraje, graniczące z wybrzeżem, oddawna stały się pastwą zaborów. Zalewały je powodzie ludów północnych i wschodnich, idące szlakami lądowymi i należące do odmiennej formacji społecznej. Są to Gallowie, barbarzyńcy wszelkich nazw, Arabowie, Turcy, Słowianie. Nawet mniejsza ilość tego parcia starczyłaby do zniszczenia jedności, tak wybitnej w okresie starożytnym.

Za sprawą tych domieszek rozbiór typów obecnie tam istniejących jest bardziej utrudniony niż typów prastarych. Jednak istnieją jeszcze w ustroniach i miejscach, oszczędzonych przez dzieje, szczątki rzetelnego typu nadśródziemnomorskiego, uszkodzone wprawdzie, ale rozpoznać się dające. Postaramy się wydobyć je z ukrycia, wzór jeden chociażby, ale żywy, a nawet niedoskonały, pozwoli nam rychlej zrozumieć typy dawne, bardziej całkowite i wykończone. Tak samo słoń, typ zwyrodniały w stosunku do mamuta, ale żyjący, umożliwia przyrodnikowi lepsze zrozumienie i odtworzenie jego odległego a wygasłego krewniaka.

Dzielnica nadśródziemnomorska składa się z trzech odmiennych pierwiastków:

1-o. Właściwych dolin, części uprawnej.

2-o. Portów nadmorskich, ulokowanych w pewnych punktach wybrzeża, a sprzyjających żegludze.

3-o. Małych płaskowzgórzy, wznoszących się nad dolinami.

Każdy z tych obszarów zrodził i oglądał odmienne objawy społeczne. Chcąc, aby rozbiór był wyczerpujący, winniśmy wyodrębnić je i badać osobno. Przystępujemy do tego zadania, posługując się typem tegoczesnym dla odtworzenia starożytnego.

Rozpoczynamy od dolin.

Tam zarówno w terażniejszości, jako też i w starożytności, zrodziły się najprostsze i najoryginalniejsze objawy społeczne.

ROZDZIAŁ I.

D r o g a d o l i n.

TYPY KOLCHIDZKI I PELAZGIJSKI.

I.

Dolina jeła nasamprzód kształtować typ nadśródziemnomorski. W liczbie tych obszarów znajdował się jeden, który odegrał, jak się zdaje, rolę znakomitą. Może był punktem wyjścia całej sieci dróg dziejowych Nadśródziemnomorza.

Mamy na myśli dolinę dawnej Kolchidy, tak sławną w historii.

Leży ona w dzielnicy Pontyjsko-Kaukaskiej. Tworzy ją podwójna dolina Inguru i Rionu, dawnego Phasiosu. Dolina otwiera się na morze Czarne, dawny Pontus Euxinus, z trzech zaś pozostałych stron wtlacza się w odnogi grzbietu Kaukaskiego i płaskowzgórza ormiańskiego. Obejmowała kraj, zwany dzisiaj Mingrelją.

Dolina dostarcza przewybornego przytułku. Trudno wskazać okolicę, lepiej odgraniczoną i niedostępniejszą dla przybyszów. Ustronie to cudowne, małe, zamknięte pomiędzy morzem a górami. „Porzecza Inguru i Rionu są przewybornie zamknięte przez grzbiet Kaukaski, Anty-Kaukaski oraz pośrodku leżące pasmo Meskijskie. Od Abazji do Lazów góry tworzą doskonałe półkole; z wyjątkiem wybrzeża najniższy punkt, przesmyk Suramski, posiada 919 metrów wysokości. Grzbiety gór, ciągnących się równolegle do Wielkiego Kaukazu, dzielą ten obszerny amfiteatr na dalsze ustronia, niektóre z tych ostatnich są zupełnie odosobnione i stanowią odrębne małe światy“ ¹⁾).

Te rzędy małych dolin bocznych są jeszcze dzisiaj, a były ongi jeszcze bardziej niedostępne ze strony lądu. Z gór sąsiednich można się do nich dostać, idąc wzdłuż głównych dolin. Przed wojną r. 1858 jedna z nich, dolina Inguru, nie posiadała żadnej drogi: istniała tylko „niebezpieczna ścieżyna, idąca po wyniosłości prawie 3.000 metrów“ ²⁾. Wejście przez dolinę riońską nie było dogodniejszym; nieznaczna garstka zdołała łatwo obronić tę wąską drogę. Nadto posiadała ze strony Kolchidy naturalny szaniec pod postacią obfitych lasów, pokrywających stoki. „Drzewo orzechowe rośnie tam powyżej 1650 metrów nad poziomem morza. Biała morwa i krzew winny zdarzają się jeszcze na poziomie 1000—1100 metrów, Ruprecht zaś oglądał krzak bawełniany, w górnej części doliny

¹⁾ E. Reclus: *Géographie universelle*, VI, 161

²⁾ Ibidem, 162.

Rionu, na wysokości 634 metrów“¹⁾). Lasy ochroncze Kolchidy posiadają tradycję 50 wieków i o nich mówią opowiadania o strasznej kniei, do której wszedł Jazon za złotem runem.

Oto mały świat, dobrze odosobniony i broniony przeciw wpływowi zewnętrznemu, przewyborny przytułek dla wychodźców, poszukujących samotności. Kim byli ci wychodźcy? jakiego typu?

Dzielnica ta graniczy ze stepami pokrywającymi płaskowzgórza Iranu i Armenji. Ażeby zrozumieć punkt wyjścia całej ewolucji ludów nadśródziemnomorskich, winniśmy zatrzymać się nad charakterem tych płaskowzgórz.

Płaskowzgórza irańskie i ormiańskie składają się z szeregu wysokich, chłodnych, dość jałowych stepów, poprzerynanych przez urodzajne doliny, w których płyną liczne potoki. Z powodu swej liczebności potoki te nie są zbyt zasobne w wodę.

Płaskowzgórza nie dostarczają trzodom tak obfitych źródeł pożywienia, co stepy azjatyckie, zanadto są bowiem pocięte. Poprzestając na uszczuplonej ilości bydła, na jaką zezwalają te wyniosłości lub doliny, stosownie do pór roku, każda wspólnota rodzinna winna osiąść w którymś z jarów i tam uprawiać ryż i pszenicę, jako uzupełnienie dochodów pasterskich. W północnej Persji przeważa uprawa ryżu, w pozostałych prowincjach — pszenicy.

Dzielnica więc ta zgoła nie przedstawia, jak pustynia, niezmiernego stepu, wśród którego znajdują się nieliczne oazy; przeciwnie, jest to przestrzeń gruntów zdatnych do

¹⁾ Ibid, 167.

uprawy, zawierająca w sobie płaskowzgórza, sprzyjające pasterstwu. Różnica warunków topograficznych uwydatnia się w ustroju społecznym ludów: starożytni Medowie, tak samo jak Persowie i Ormianie, nie przebywali w stanie koczowniczym, ale mieszkali w stałych osadach. „Każda gmina tworzy wioskę — pisze Herodot ¹⁾—w pośrodku pól, jej paśniki dla bydła leżą na sąsiednim płaskowzgórzu. Pasterstwo uzupełnia uprawę roli, pasterze należą do warstwy służebnej, zamiast panować, jak to się dzieje w oazach pustyni“.

Mieszkańcy tych małych płaskowzgórz posiadali już w starożytności, tak samo jak posiadają w teraźniejszości, ustrój na pól wioskowy. Uprawiali wyniosłe jary. Niżej położone a urodzajniejsze doliny Inguru i Rionu winny były silnie pociągać te ludy.

Uprawa ziemi rozwinęła się w tych nisko położonych dolinach pod wpływem dwóch czynników:

1) Eksploatacji złota. Dawna Kolchida słynęła w starożytności jako kraj złota. Podanie o wyprawie Argonautów po złote runo przechowało pamięć o tem. Zdaje się, złote runo to symbol bogactw Kolchidy; jej mieszkańcy, pogrążając wełnę owiec do rzeczek, wydobywali z tamtąd kawałki złota, przyniesione przez wodę. Pierwsze osady Pelazgów na wybrzeżu Azji Mniejszej, zdaje się, również leżały w krainie złotodajnej; świadczą o tem wykopaliska, wykazujące, iż metalurgia pelazgijska czyniła obfity użytek z tego kruszcu: na dowód przytoczymy skarb Priama, odkryty przez Schlie-

¹⁾ I, 96.

manna, oraz Iwa myceńskiego. Simois i Xanthos zawierały w swym piasku żdźbła złota.

Złoto ściągnęło wychodzców w znacznej liczbie, a w dalszym rezultacie, gdy „gorączka złota“ minęła, przyczyniła się do rozwoju rolnictwa, trzeba było bowiem wyżywić znaczną ludność, jak to widzimy w Kalifornji i Australji.

Rozwój ten był tem naturalniejszym, ile że wychodzcy z małych sąsiednich płaskowzgórz byli przyzwyczajeni do uprawy pól.

2) Łatwości uprawy.

Rozwojowi zwłaszcza sprzyjała ta okoliczność, iż nie chodziło tam o pracę ciężką, wymagającą wielu wysiłków, co odstręczyłoby ludy jeszcze pól pasterskie. Uprawa odpowiadała ich uzdolnieniom, polegała bowiem na pielęgnowaniu drzew.

Drzewa owocowe stanowią w tem uroczem ustroniu główne źródło utrzymania; nigdzie niema takiej znacznej różnaitości gatunków owocowych. Taka wyjątkowa urodzajność Kolchidy pochodzi z tego, iż zgromadza się tam prawie cała wilgoć, znajdująca się w prądach powietrznych zachodniej części Pontu Euksyńskiego. „Spada tam ilość wody, trzy razy znaczniejsza niż w środkowych częściach dzielnicy, sześć, ośm a nawet dziesięć razy większa niż w porzeżu Kury (rzeki, wpadającej do morza Kaspijskiego). To działanie wilgotnych wiatrów morza Czarnego nie sięga dalej gór Meskijskich czyli Suramu“ (stanowiącego wschodnie oparcie doliny riońskiej) ¹⁾.

¹⁾ Reclus: *Géographie universelle*, VI, 72. Porówn. także mapę deszczów.

Taka wyjątkowa urodzajność zwróciła na siebie uwagę wszystkich podróżników. „Kolchida jest szczęśliwszą od Sycylji, bo nie utraciła dawnej żyzności. Swoim prastarym pługiem, którego kształty nie zmieniły się od czasów Argonautów, gnuśny rolnik mingreński zaledwie porusza ziemię, a jednak zbiera obfite plony. Zamożność ta razi w obec posepnych widoków porzecza Kury, wystawionego na pałace wiatry Azji środkowej... Ten kraj uprzywilejowany nieustannie odświeżają wilgotne wietrzyki morza Czarnego; wszystkie płaszczyzny są tam niezmiernie żyzne, a stoki gór pokryte wspaniałymi lasami“ ¹⁾.

Ziemia ta jest krajem drzew owocowych, a nawet, według Candolle'a i innych botaników, ich ojczyzną. W tych dolinach powstały i tam znajdowały się w stanie dzikim grusza, śliwa, jabłoń, wiśnia, pigwa, morwa, drzewo migdałowe, krzew winny, porzeczeki i t. d., że już nie wspominamy o warzywach. Wszystkie te rośliny dają produkt, a nie wymagają uprawy, nie żądają od człowieka prawie najmniejszego wysiłku. Pozostaje tylko jedna praca — zbierania owoców, odnawiających się z każdym rokiem.

Uprawa drzew owocowych również przeważa we wszystkich dolinach nadśródziemnomorskich, które znajdują się w tych samych warunkach klimatycznych. Taka szczupłość wysiłku, wymaganego przez uprawę, przedstawia rys znamieny rolnictwa Grecji i w znacznej części Włoch. Poezja wiejska tych ludów maluje roboty w polu jako zajęcie łagodne, przeplatane słodkimi wczasami i marzeniami.

¹⁾ *Le Caucase, la Perse et la Turquie d'Asie*, przez barona Ernouf'a, na podstawie sprawozdań barona Thielmanna, 27, 30.

Pojmujemy teraz poezje Hezjoda, *Georgiki* Wergiljusza. Jeszcze obecnie robotom w polu towarzyszą pląsy i śpiewy, tak praca jest lekka.

Osiedlenie w dolinach nadało rasie jej wybitne pięćno: żywołu miejskiego.

Ludy te z natury swojej nie były skłonne do rozstrzelania się na odosobnione osady, a to za sprawą spółniczego trybu życia, narzuconego przez połowiczne pasterstwo na małych płaskowzgórzach. Przeciwnie, rodziny pragnęły pozostać w pobliżu siebie. Zwłaszcza w dolinach ludność zgęszcza się, co jaskrawo odróżnia ludy nadśródziemnomorskie od grup, dotychczas zbadanych. Ludzie osiadają nie tylko wioskami, ale usiłują zamieszkać jeszcze w sposób bardziej zwarty — w miastach, a właściwie w warowniach.

Napięte życie miejskie, oto rys wybitny rozpatrywanej dzielnicy.

Dla zrozumienia powyższego rozwoju, winniśmy odświeżyć sobie w pamięci ten fakt, iż doliny Nadśródziemnomorza są otoczone płaskowzgórzami, na których przebywają ludy napół koczownicze a wojownicze. Ci wojowniczo usposobieni sąsiedzi zawsze są gotowi osiać w dolinach, rozpostartych u ich stóp: obfitość produktów przyrodzonych nęci ich ku sobie. Góral utrzymywał się zawsze i jeszcze obecnie utrzymuje się z rabunku mieszkańców niziny. Opowiadania o tego rodzaju wyprawach stanowią jeden z wątków historii miast pelazgijskich i greckich Azji Mniejszej. Ludność ich wciąż była niepokojoną takimi wtargnięciami.

Na jednej z pierwszych stronic *Historji* swojej Herodot opowiada o takiej wyprawie na Milet, miasto, które leżało w dolinie, znajdującej się na zachodnim wybrzeżu

Azji Mniejszej: „Alyattes ciągnął przeciw Miletańczykom wojnę, rozpoczętą przez brata. Oto jakim sposobem prowadził ją przeciw temu miastu. Ruszał na wyprawę, gdy płody ziemi już dojrzały, wojska maszerowały przy dźwiękach cytar, fletów i fujarek. Przybywszy na terytorjum Miletu, nie niszczył ani nie puszczął z ogniem domów, nie wywazał drzwi, lecz wszystko pozostawiał na swoim miejscu. Ale niszczył plony i owoce, poczem oddalał się. Lydyjczyk nie niszczył domostw Miletańczyków, a to dlatego, że mając dokąd się schronić, uprawiali i zasiewali pola, on zaś w swoich wyprawach zawsze miał coś burzyć“¹⁾).

Zaborcy ci byli przewidującymi ludźmi, dbającymi o to, ażeby nie zupełnie zniszczyć doliny, z których pobierali haracz. Z drugiej strony mieszkańcy dolin mieli jeden tylko środek uniknięcia podobnych rabunków: siedzieli w mocnych murach miejskich, z poza których mogli się bronić.

Napięte życie miejskie przedstawiało konieczny wytwór takich warunków miejscowych.

Oto początek tak osławionych miast starożytności pelazgijskiej i greckiej. Prawie wszystkie znajdowały się w tem samym położeniu, a mianowicie zajmowały środek niewielkich dolin, otwierających się ku morzu i otoczonych półkolem gór. Typ ten istnieje na całej przestrzeni od Kolchidy aż do W. Grecji, a nawet Słupów Herkulesa.

Ta konieczność otaczania się mocnymi murami przeciw zamiarom górali tak jest nieodwołalnie związana z topografią miejsca, iż dotrwała do dnia dzisiejszego w Mingrelji.

) Herodot: *Historje*, I, 17.

Jeszcze obecnie „wszystkie domostwa w górnej części Ingu-ru są rzeczywiście warowniami, mogącemi wytrzymać oblężenie; gnieźdzą się na występie skały, a nad niemi wznoszą się czworokątne wieże 20 — 25 metrów wysokości. Mieszkaniec domu szpieguje wroga, pojawiającego się w pewnej odległości i przygląda mu się ze strzelnic. Wrota do tych wieżyc znajdują się na drugim lub trzecim piętrze; można się tam dostać wzdłuż pochylonych pni drzewa, zaopatrzonego poprzecznemi prętami“ ¹⁾.

To samo powtarza się w wielu prowincjach Persji i Turcji, nad któremi panują płaskowzgórza Kurdystanu. W Aderbaidżanie i Laurystanie istnieją osady, żyjące w nieustannym popłochu. Wioska jest warownią, szpiegowie w pewnych porach roku mają bez odpoczynku na uwadze okoliczne pola. Gdy na widnokręgu wzbije się w górę tuman kurzu, a z pośród niego ukążą się czerwone kamizele i olbrzymie zawoje jeźdźców kurdyjskich, z wierzchołka którejś wieżycy rozlega się sygnał, pracownicy, rozproszeni w polach, zewsząd zbierają się i wracają pospiesznie; za nimi zamykają się ciężkie dębowe podwoje, okute żelaznemi sztabami, to jedyne wejście. Gdy Kurdowie pojawią się, prawie wszyscy są już na pogotowiu; ale zawsze parę kobiet lub dzieci nie zdąży się schronić, nie wszystkie trzody są w bezpiecznym miejscu, na polach znajduje się dojrzałe zboże, oczekujące sierpa. Najeźdźcy pospiesznie koszą zboże z tych pól, przez kogo innego zasianych. Do siodeł swoich przywiązują ciężkie snopy, wieczorem odjeżdżają

¹⁾ Reclus: *Géographie universelle*, VI, 176.

w góry, pędząc przed sobą płaczących jeńców i beczące lub rżące trzody“¹⁾).

Czy to opowiadanie z doby obecnej nie wygląda na dalszy ciąg, a zarazem komentarz do opowieści Herodota, tylko co przytoczonej?

Warunki miejscowe sprzyjały rozwojowi wśród rozpatrywanej rasy wyjątkowych uzdolnień budowniczych.

Konieczność szukania schronienia wśród murów tłoczy nam umiejętności budownicze, które od najdawniejszej starożytności odznaczały się ludy tych dolin, ale jeszcze nie wyjaśnia wyjątkowego napięcia samej sztuki ani mocy, jaką posiadały ich budynki. Ruiny pelazgijskie jeszcze dzisiaj służą za przedmiot podziwu i uwielbienia; budynki te stawiano z materiału znacznych rozmiarów, noszą one nazwy murów cyklopicznych. Do najświetniejszych okazów należą mury Akropolisu tyrynckiego, wrota lwie i wrota skarbu atreuszowego w Mycenach, mur i wrota pelazgijskie w Samotrace. Znajdujemy tego rodzaju szczątki blisko w dwunastu innych miastach²⁾).

Oto jeden z rysów znamiennych rozpatrywanych społeczeństw.

Budynki te składają się z olbrzymich głazów, niekiedy surowych, czasami ociosanych, lecz zawsze kładzionych bez cementu, nieregularnymi wielokątami. Mury i galerje np. w Tyryncie są zbudowane z głazów tak wielkich, iż para koni w zaprzęgu nie zdołałaby poruszyć z miejsca najmniejszego z pośród nich. We wrotach skarbu atreuszowego

¹⁾ Vivien de Saint-Martin, art. Kurdes, *Dict. de géogr.*, III, 234.

²⁾ Duruy: *Hist. de Grecs*, I, 68, 191.

znajduje się głaz, posiadający 8.25 metrów długości, a 5.10 szerokości.

Jedną z cech tych budowli stanowi ogrom użytych materiałów. Historyków na widok ich zdejmowałyby mniejszy podziw, gdyby uwzględnili obecność tych głazów w pobliżu, i to głazów prawie już gotowych, leżących na powierzchni doliny i zawadzających rolnictwu. Biorąc je na budynki, za jednym strzałem zabijano dwie sztuki. Moreny, czyli rumowiska kamieni, tworzące się u stóp lodowców, dostarczały materiałów; sięgały zaś one, zwłaszcza w starożytności, uprawnej części doliny napływowej. Jeszcze dzisiaj możemy oglądać to samo w Mingrelji. „Lodowce trufberskie wysunęły swoją przednią morenę aż na odległość 2 kilometrów od wioski swaneckiej Dżabeczy (w gminie mużalskiej); sama wioska, jak wiele innych, wznosi się na rumowiskach, pozostawionych przez dawne lodowce“ ¹⁾.

Prócz rumowisk skały wśród moren, mieszkańcy małych dolin mogli jeszcze rozporządzać głazami, które na ich usługi zostały zniesione w doliny przez potoki i ulewy i tam leżały wzdłuż urwisk. Uważali za rzecz prostszą bezpośrednio zużytkowanie tego materiału, aniżeli ciężkich głazów obrabianie. A robota była tem lżejszą, że głazy leżały swobodnie tuż pod ręką: nie trzeba było ani wydobywać ich z ziemi, ani z daleka przywozić.

Budynki pelazgijskie zasługują na uwagę nie tylko ze względu na ogrom materiału, odznaczają się jeszcze zręcznością i smakiem, cechami, które zwłaszcza rozwinęły się

¹⁾ Reclus: l. c., VI, 162.

wśród spadkobierców kultury pelazgijskiej: Greków i Rzymian.

Te uzdolnienia poczęły się z konieczności przedsiębrania wielkich prac osuszających, oraz wznoszenia wodociągów wśród warunków, niekiedy bardzo trudnych. Jak wiadomo, tego rodzaju budowle należą do najsubtelniejszych zadań sztuki inżynierskiej.

W większości dolin nadśródziemnomorskich wzdłuż rzek tworzą się ławice piasku, przeszkadzające swobodnemu biegowi wód, które z gór spływają. Niziny dolnej części tych potoków były ongi i są jeszcze dzisiaj trzęsawiskami. Fakt ten tłumaczy nam, dlaczego większość miast pelazgijskich leżała nie nad rzeką, ale w pośrodku doliny, na wyniosłości, zdala od wód stojących. Takim było położenie Troi, Argosu, Tyryntu i t. d. To samo oglądamy w Mingrelji obecnej. „W nizinach błota krzewią zarazki febry, wpływy malarji, zabójcze dla człowieka, są również szkodliwemi dla bydła, o tem wiedzą wszyscy mieszkańcy Kaukazu. Włóścianie mingrelscy w okolicach błotnistych nawet nie mogą chować kur w swoim gospodarstwie. Toropow nie powątpiewa o tem, iż źródłem śmiertelności jest febra“ ¹⁾. Pojmujemy teraz doniosłość mytu o Herkulesie, który miał odwrócić łożysko rzeki i osuszyć bagnisko.

Wszystkie doliny napływowe, rozsiane wzdłuż pomoza śródziemnomorskiego, są dziełem ławic piasku. Z powodu tej zawady przyrodzonej, wody wzbierały w dolinie, niszczyły pola uprawne i zwiększały rozległość błot w okresie nadmiernych wylewów. W tem tkwi wyjaśnienie olbrzy-

¹⁾ Reclus: l. c., VI, 171.

mich stoków, zbudowanych przez Pelazgów. Rolnictwo w Egipcie nie wymagało wysiłku, ale zwracało go na wielkie roboty irygacyjne; natomiast u Pelazgów największe zadanie polegało na wzniesieniu budowli, które winny by oswobodzić ich od nadmiaru wód.

Takim sposobem przyroda otoczenia topograficznego zrobiła Pelazgów i ludy, biorące od nich początek, znakomitymi budowniczymi.

Przyroda również sprzyjała rozwojowi piękna i harmonji typu fizycznego.

Znamy dostatecznie z historii i sztuki dziwną prawidłowość typu fizycznego u Greków starożytnych. Zbyteczna popierać to nowemi argumentami, trzeba natomiast wyjaśnić źródło tego faktu. Najazdy, które dosięgły Nadśródziemnomorza wzdłuż szlaków lądowych i sprowadziły do niego różnorodne żywioły etniczne, zniekształtowały silnie typ dawny. Jednak w dolinach, które bardziej niż inne miejsca pozostały wolne od tego napływu obcych pierwiastków, a więc jedynie podlegały wpływom swej okolicy, fizyczne właściwości typu dochowały się. Ma to miejsce w Mingrelji i w dolinach Kaukaskich. Uroda rasy georgijskiej jest sławną. Wszyscy podróżnicy to potwierdzają. „W nizinach Mingrelji, a zwłaszcza na pierwszym sząncu gór, dosięgającym 1.000—1.200 metrów wysokości, wszyscy mężczyźni odznaczają się swoją pięknnością; odbywszy przechadzkę w dniu targowym w Zugdidi lub w innem miasteczku dolnego Rionu lub dolnego Inguru, przekonamy się, iż rodzaj ludzki nigdzie nie posiada powabniejszych przedstawicieli“ ¹⁾.

¹⁾ Reclus: l. c., VI, 172.

Uroda typu tak jest związana z doliną, iż już górale sąsiednich okolic, acz należą do tej samej rasy, są upośledzeni pod względem fizycznym. „Wśród gór, gdzie walka o byt jest ciężką, a niekiedy niebezpieczną, figura jest mniej proporcjonalnie zbudowana, często zaś oglądamy osoby zupełnie brzydkie, zwłaszcza pomiędzy kobietami; wole, kretynizm zdarzają się bardzo często wśród Swanetów, zwłaszcza w górnej części doliny czenijskiej. Całe rodziny składają się z kretynów. Gdy podnosimy się w górę Inguru, pola kukurydzy na tle białem, zmiany w powierzchowności mieszkańców przypominają widok, jaki mamy przed sobą, gdy od uroczych jezior włoskich zagłębiamy się w wąwozy górskie“ ¹⁾).

Zrozumiemy harmonijną urodę typu fizycznego mieszkańców doliny, gdy uwzględnimy, iż podstawowem zajęciem jest zbiór owoców, połączony z lekką i pierwotną uprawą ziemi. Człowiek przebywa pod otwartem niebem, wśród umiarkowanego klimatu, ciała jego nie męczy ciężka robota, która wykoszlawia członki, a przecież ćwiczy je w mierze dostatecznej dla zachowania zręczności i harmonji. Podziwiano niejednokrotnie wdzięk i urodę fizyczną Tahityjczyków; lud ten utrzymuje się także tylko ze zbioru owoców, a to dzięki niezwyklej urodzajności drzew owocowych. Ta sama przyczyna wydała ten sam skutek!

Winniśmy jeszcze zwrócić uwagę na inny objaw, a mianowicie na rozwój smaku artystycznego i zdolności muzycznych.

Zdolności te wyróżniały rasę grecką. Istnieją one

¹⁾ Reclus: VI, 172.

w dolinach Mingrelji. „Jedną z cech najosobliwszych rasy georgijskiej jest zamiłowanie śpiewu i tańców. Śpiewają dzień cały przy wtórze dairy i tamburynu, albo bałatajki, t. j. gitary o trzech strunach. Każdemu ruchowi, że tak rzekniemy, towarzyszy rytm muzyki. Podczas pielenia pól kukurydzanych, podczas każdej roboty w polu, mężczyźni, rozproszeni prawidłowemi gromadkami, śpiewają rymowane wyrazy, dotyczące danego rodzaju pracy; w miarę roboty przyśpieszają rytm śpiewu, ruchy ich dostrojone stają się coraz szybszemi. Dosiągłszy końca zagonu, pracownicy zatrzymują się, ażeby znowu idąc z powrotem rozpocząć strofki piosnki i miarkować robotę swoją. Panowie, pochodzący z Rosji, nakazali milczenie swym robotnikom imereckim, ale musieli ustąpić, bo bez radosnych dźwięków muzyki pospolite roboty nie byłyby nigdy uskutecznione“ ¹⁾.

Czyż ta muzyka, rozlegająca się jeszcze obecnie, nie pomaga nam do zrozumienia mytu o Orfeuszu, jednej z typowych osobistości rasy pelazgijskiej! Niemal słyszymy jeszcze śpiewy, przy których wtórze Pelazgowie nabywali siły wznoszenia swoich niezniszczalnych murów i olbrzymich kanałów, dwóch warunków, zabezpieczających istnienie tego ludu!

I któż nie zrozumie, iż te uzdolnienia artystyczne i muzyczne zrodziły się za sprawą łatwego i wolnego od trosk życia, samorzutnej obfitości produktów, usubtelniły się dzięki codziennemu obcowaniu w otoczeniu miejskiem. Współdziałanie obu tych wpływów doprowadziło te zdolności do takiej mocy.

¹⁾ Reclus: VI, 212.

Mingrelja dzisiejsza przedstawia słabą pozostałość dawnego typu pelazgijskiego; wszakże dadzą się tam jeszcze odnaleźć ogólne zarysy prastarej społeczności, która wydała najcharakterystyczniejsze ludy Nadśródziemnomorza. Na nie-szczęście, powódź tatarska i turecka zalały Mingrelję. Cho- ciaz miała się na straży przeciw koczownikom górskim, przecież mieszkańców dolin zatopiła powódź górali jak małą kępkę zieloności na olbrzymim stepie.

Zamknięta w tak wązkich szrankach nie tylko przez koczowników, ale i odmienną przyrodę okolic ościennych, Kolchida nie mogła ani rozkrzewiać zwolna urządzeń swoich, ani zaludnić pobliskich dzielnic swymi wychodzcami i wy- gnańcami, ani stworzyć w ten sposób potężnego związku miast, a nawet wydać wolnej rasy emigrantów.

Pelazgowie dawnej Kolchidy mieli jedną tylko mo- żliwość uniknięcia tej trudności, a mianowicie winni byli zwrócić się na jedyną drogę, która pozostawała wolną. Za- poznamy się z nią, badając typ starożytny dolin nadśród- ziemnomorskich.

II.

Pelazgowie ukazują się w zaraniu dziejów Nadśród- ziemnomorza. Wyciąg, który podajemy, streści poglądy hi- storyków na ten przedmiot. „Przy pierwszych brzaskach, jeszcze bardzo słabych, jakie historia, a raczej poezja prze- lała na te czasy odległe, pojawia się wśród mroków nocy wielki lud, Pelazgowie, rozpostarty zdaje się na przestrzeni Azji Mniejszej, Grecji i pewnej części Italji. Po sobie zоста- wił język, który przyczynił się do ostatecznego ukształtowa-

nia języków greckiego i łacińskiego, oraz bogów, których przywłaszczyli sobie Helenowie i ludy italijskie... Plemiona, które zaludniały właściwą Grecję, słyną pod sławną nazwą Pelazgów i Helenów, z nich pierwsi poprzedzili ostatnich. Grecy ogólną nazwą Pelazgów obejmowali ludy, które przed nimi żyły na ziemiach Helady“¹⁾.

Jakim sposobem Pelazgowie zaludnili różne części wybrzeża śródziemnomorskiego?

Oto za pośrednictwem żywiołu morskiego. Twierdzenie to opiera się na czworakiego rodzaju dowodach:

1) Na świadectwach starożytnych. Starożytni byli wolni od uprzedzeń względem żeglugi morskiej, właściwych historykom nowoczesnym, którzy prawdopodobnie w tym razie znajdują się pod wpływem naszego, osiadłego trybu życia. Według Herodota Pelazgowie tyrreńscy, czyli Etruskowie, przybyli morzem z Lydji, t. j. z wybrzeży Azji Mniejszej²⁾. Podróż ta, przecież jedna z dłuższych, jaką można uskutecznić na przestrzeni wód Śródziemnych, bynajmniej nie przeraża ojca historii: uważa on ją za zgoła naturalną. Homer każe zwyciężonym Trojańczykom szukać ucieczki na morzu, a każdemu wiadomo, jak wpływową rolę odgrywa żywioł morski w *Iljadzie* i *Odysei*. Według tradycji, wielu założycieli miast greckich przybyło morzem, a więc Cekrops, Inachos, Kadmus. Tą drogą Argonauci puścili się na wyprawę do Kolchidy, Grecy — do Troi. U Wergiljusza jeszcze znajdujemy odgłosy tych podań: Eneasz i syn jego Askajnusz również przybywają morzem do Italji. Poczucie tej

¹⁾ Duruy: *Hist. des Grecs*, I, 39, 43.

²⁾ *Historje*: I, 163.

tradycji dochowało się jeszcze za czasów Tacyta: „Wędrówki ludów odbywały się ongi nie wdłuż lądu, ale na okrętach“¹⁾.

Żegluga na wodach Śródziemnych doznaje ułatwienia z powodu porzniętych kształtów wybrzeża i mnóstwa wysp, pozwalających co wieczór znaleźć przytułek i schronienie podczas nocy²⁾.

2) Morze Śródziemne znajdowało się podówczas poza obrębem szlaków lądowych. Była to dzielnica zamknięta od północy, potok ludów szedł szlakiem Dunaju, szeroką a otwartą drogą. Ażeby przedostać się do pomorza śródziemnego, trzeba było przedrzeć się przez Bałkany, drogą, bynajmniej nie nęcącą pasterzy, którzy nie zdołaliby wyżywić się ze swemi trzodami na tej glebie lesistej. A kiedy Celtowie dosięgnęli wybrzeży, znaleźli tam Pelazgów, osiadłych oddawna.

Na południu od wód Śródziemnych, wielka pustynia afrykańska umożliwiała wędrówkom ludów swobodny dostęp na zachód. Dolina Nilu nadzwyczajną swoją urodzajnością zgromadzała ludy i je zatrzymywała.

Nadto Pelazgowie i w ogóle ludy nadśródziemnomorskie pod względem społecznym różnią się zasadniczo od wszystkich wychodzców, którzy znaleźli się na szlaku Europy środkowej lub na afrykańskim.

3) Jedynie droga morska wyjaśnia ustrój społeczny, wspólny w starożytności wszystkim ludom nadśródziemno-

¹⁾ *Germania*, 2.

²⁾ Znajdujemy rysunki okrętów na naczyniach starożytnych. Odtworzył je Duruy, l. c., I, 178.

morskim. Od morza Czarnego aż do Słupów Herkulesa cywilizacja jest jednolitą i wszędzie posiada te same cechy. Jednostajność taka na podobnej przestrzeni, idącej wzdłuż całej Europy, zasługuje na uwagę. Daje się wytłomaczyć tylko przypuszczeniem, iż wszystkie te ludy parły tym samym szlakiem. A tymczasem tylko droga morska jest wspólna tym wszystkim wybrzeżom. W społecznosci dowód ten powinien rozstrzygać.

4) Jedynie droga morska zdoła wytłomaczyć niezmierny rozkwit cywilizacji nadśródziemnomorskiej aż do krańców zachodnich. Ten rozkwit niejednokrotnie w podziw wprawiał historyków, z których żaden jednak nie usiłował wyjaśnić go w sposób ścisły. Jakim sposobem na wybrzeżu południowym Italji, Galji i Hiszpanji, nie oglądamy pół-koczowników, pół-barbarzyńców jak Celtowie, ale ludy cywilizowane, miejskie, tak samo posunięte w kulturze jak ludy Azji Mniejszej i Grecji? Wyroby garncarskie Etrusków są podobne do wyrobów pochodzących z Azji Mniejszej i bynajmniej im nie ustępują swoją dobrocią. Rzecz jasna, iż wszędzie są to Pelazgowie, t. j. ludy tej samej formacji, której nadaliśmy miano pelazgijskiej. Ludy więc te musiały trzymać się tej samej drogi, która pozwalała im na uniknięcie przewrotów, osadzała na nowem miejscu w stanie społecznym, w jakim wywędrowali z ojczyzny swojej, i to na przekór przebytej odległości. Tylko droga morska przedstawia podobne właściwości.

Lecz z kąd wzięły się i w jakim kierunku parły te ludy?

Pelazgowie przybyli z Kolchidy wzdłuż wybrzeży Azji Mniejszej. Ten rodowód możemy poprzeć następującymi argumentami:

1) Na Kolchidę wskazują najdawniejsze wspomnienia historyczne. W liczbie tych podań do najstarożytniejszych należy męt o Prometeuszu, „dziecku ziemi a ojcu Deukaljona“, który uchodzi za prarodzica Helenów. Według legendy, Prometeusza przykuto do Kaukazu, t. j. gór, które wznoszą swe szczyty nad Kolchidą. Widocznie te odległe dzielnice istniały w tradycjach Pelazgów od najdawniejszych czasów. I, rzecz godna uwagi, do tych miejsc wiedzie nas jeszcze inne wspomnienie historyczne, jedno z najstarożytniejszych. Mam na myśli tak żywą jeszcze tradycję wyprawy Argonautów. Tradycja opowiada nam o zaczepnem działaniu kolonji pelazgijskich Grecji przeciw dzielnicom pelazgijskim Azji Mniejszej, o działaniu, które wyprzedziło wojnę trojańską. Fryksus, ów zarodek całej legendy a zarazem wcielenie najdalej sięgających w przeszłość podań greckich, uchodzi za blizkiego krewniaka króla kolchidzkiego, u którego poszukuje schronienia i którego córkę poślubia. A tymczasem Grecy nie tak łatwo przyznawali się do pokrewieństwa z innemi ludami. Istnieje jeszcze inna wskazówka, którą godzi się uwzględnić. A mianowicie gdyby Pelazgowie nie przybyli z Kolchidy, to z kądby wiedzieli, w okresie najodleglejszym dziejów swoich, o tem ustroniu, leżącym w głębi Nadczarnomorza.

2) Kolonje pelazgijskie ciągnęły się wzdłuż wybrzeży od Kolchidy do Myzji i Lydji. Dla przekonania się o tem, dość okiem spojrzeć na mapę starożytnych kolonji greckich w Azji Mniejszej. Istnieje tylko wązka przerwa za Trebizon-dą, tam, gdzie płaskowzgórze anatolijskie pokrywa wybrzeża, uniemożliwia istnienie dolin otwartych ku morzu, a więc udaremnia osiedlenie według wzorów pelazgijskich.

3) Pochodzenie kolchidzkie znajduje potwierdzenie

w zwrotnem parciu państwa Greckiego. Jest to bardzo doniosłe świadectwo, a jako będące świeżej daty, daje się ła-
cniej stwierdzić. Możemy wygłosić jako stałą zasadę spo-
łeczną tezę, iż ludy naciskane przez potężniejszych przeci-
wników odstępują, zawracając w kierunku kraju, z którego
wyszły. Udają się w kierunku powrotnym po drodze, po
której szli przodkowie, bo drogę tę znają lepiej, podtrzymują
zawsze stosunki z okolicami, znajdującemi się w tej stronie,
są świadomi istnienia ludów tego samego języka, rasy, for-
macji społecznej. Dzisiaj tak postępują Turcy i Tatarzy: nie
prą oni na Zachód, lecz ku Wschodowi, gdzie ich współro-
dacy jeszcze dzisiaj torują sobie szlaki. Innemi słowy, ludy,
nie mogąc utrzymać swego zaboru, powracają ku praoj-
czyźnie.

Państwo Greckie znalazło się w bardzo przykrem poło-
żeniu, gdy mocarstwo Łacińskie wyparło je z Konstantyno-
pola w r. 1204. Zwyciężeni Grecy schronili się do Azji
Mniejszej, ale trzymali się wybrzeża północnego w kierunku
Kolchidy. Na tej odwiecznej drodze swojej rasy założyli
dwa państwa: Trebizondzkie i Nicejskie, jak gdyby zapragnęli
skończyć dzieje swoje tam, gdzie je rozpoczęli. Tem samem
jak gdyby składali namacalne świadectwo, jakim był szlak
młodzieńczego ich rozwoju. To cofanie się powrotne rasy
greckiej stanowi jeden z dowodów odwrotnej natury na ko-
rzyść kierunku ich parcia pierwotnego ¹⁾.

4) Kolchida nie otwiera przed wychodzcami innej
drogi, tylko morską. Pelazgowie mogli zachować swój typ
społeczny na całej przestrzeni wód Śródziemnych, tylko

¹⁾ Por. mapy w atlasie Foncina, №№ 12 i 26.

imając się drogi morskiej. Z Kolchidy niema innego wyjścia prócz morza. Ze strony lądu kraj ten otoczyły góry, zaludnione przez szczep wojowniczy. Zaludnienie, dosięgłszy zbytnej gęstości, z konieczności winno było rzucić się ku morzu. Oto szczegół, przewybornie dostrojony do charakterystyki Pelazgów, rolników, rozkrzewiających się drogą morską i osiadających w dolinach, ku morzu otwartych.

5) Kolchida wyjaśnia osobliwości charakteru Pelazgów i ich zupełną nieznanomość wielkich mocarstw Wschodu. Ta nieznanomość wielkich mocarstw Asyryjskiego, Irańskiego i Egipskiego zdumiewa. Pelazgowie nie tylko uchronili się od wpływów z tej strony, ale nadto ich mowa, tradycje, sztuka są całkiem odmienne. Pelazgowie i ich potomkowie wyodrębniają się wyraźnie od całego świata wschodniego. Winniśmy dla nich znaleźć odrębną kolebkę, oraz drogę, leżącą poza obrębem tych wpływów. Właśnie Kolchida przedstawia zamkniętą dzielnicę, odosobnioną w stosunku do tych państw, ulokowaną w ustroniach morza Czarnego. Drogi, przez którą z tamtąd mogli się wydobyć, nie odwiedzał ani jeden wielki lud południa. I pod tym względem Kolchida odpowiada naszym założeniom.

6) Wreszcie Kolchida dostarcza klucza do zrozumienia typu fizycznego i społecznego Pelazgów. Uroda fizyczna, zdolności artystyczne, uprawa drzew owocowych, oto rysy, wyróżniające Pelazgów i Helenów. Stwierdziliśmy, iż te przymioty istnieją jeszcze u ludności Mingrelji dzisiejszej, a dawnej Kolchidy. Z któregokolwiek punktu badamy przedmiot, zawsze kończymy na tym kraju.

Ta wielka wędrówka morska bynajmniej nie odbyła się za jednym zamachem.

Pelazgowie obrali sobie za przystanek Myzję i Lydję. Oba te kraje, leżące na wybrzeżu zachodnim Azji Mniejszej, składają się z licznych dolin, spuszczających się z płaskowzgórza anatolijskiego ku morzu. Wzdłuż tych wybrzeży leżały Troja, Focja, Milet i setka innych sławnych miast. Jest to zaiste pierwotna Grecja, pokrywająca takim blaskiem pierwsze stronice historii.

Wybrzeża te leżą na drodze, przez nas opisaną, a prowadzącej Pelazgów kolchidzkich do Grecji i Italji. Ale dlaczego wychodźcy zatrzymali się tutaj i osiedlili gromadnie? Zrozumiemy znaczenie tego przystanku, rozważywszy położenie geograficzne dzielnic. Bardziej ku południowi Fenicjanie zajmowali wybrzeża i zamykali dalszą podróż w tym kierunku. Na wschodzie ciągnęły się góry z groźnymi lodami. Na zachodzie trzeba było przebyć morze — po raz pierwszy, bo dotychczas wychodźcy żeglowali wzdłuż brzegu. Znalezli się więc chwilowo w zwątpieniu i jęli się gromadzić na tem samem miejscu, póki było to możliwe.

Zdecydowali się na to tem snadniej, że doliny dzielnic sprzyjały jeszcze bardziej niż Kolchida osiedleniu i dobrobytowi rasy. Pas wybrzeżny był znacznie szerszy, a doliny głębsze. Od koczowników górali przedzielała ich strefa słonych pustyń, oraz lasy, nie sprzyjające pasterskiemu trybowi życia. Poniekąd niewielkich rozmiarów rolnicza Europa, wtłoczona w płaskowzgórzu azjatyckiem!

To uprzywilejowane położenie wyjaśnia nam niezwykły a odwieczny rozkwit tych miast, których wzorem pozostanie Troja. „Troja sławiła się mocą murów swoich, bogactwami i zbytkami mieszkańców, których zwyczaje i reli-

gja, wreszcie mowa, były te same, co u Greków, acz znajdowały się na wyższym szczeblu rozwoju“¹⁾).

Zamożność ta skłoniła Greków do zawładnięcia Troją. Dlatego-to wzięcie tego miasta uważano w starożytności za tak doniosłe zdarzenie. Był to tryumf późniejszych kolonji nad macierzami, jak gdyby owładnięcie Londynem przez Anglo-sasów amerykańskich.

Ale to położenie pomimo wszelkich stron dodatnich posiadało także i ujemne. Kraj leżał za blisko dzielnicy górali koczowników, zanadto był wystawiony na ich rozboje, jak wiemy ze świadectw Herodota. Skończyło się tem, iż miasta te dostały się pod władzę Medów i Persów, t. j. zwierzchniczych górali Azji Mniejszej. Zresztą brakło tam miejsca dla przyrostu ludności.

Pelazgowie ujrzeni się w konieczności puszczania się na otwarte morze, ażeby dosięgnąć brzegów Grecji. Zdaje się, iż Myzja, kraj, w którym leżała Troja, był głównem ogniskiem ich promieniowania. W rzeczy samej, przejście z tego miejsca było najkrótsze i najłatwiejsze. Wyspy Imbros i Lemnos dawały możliwość odpoczynku, a ztamtąd łatwo było dosięgnąć przyładków Chalcydei, które trzema odnogami zwracają się ku Azji Mniejszej, jak gdyby ku sobie wabiły wychodzców, niedoświadczonych jeszcze w sztuce żeglarskiej. To właśnie skłania nas do przypuszczenia, iż tamtędy szła najdawniejsza droga przez wody egejskie, uczęszczana przez Pelazgów: tamtędy podanie prowadzi Jazona i Argonautów, a nadto wyspy Imbros i Lemnos dłu-

¹⁾ Duruy, l. c., 108.

go zachowały charakter rdzennie pelazgijski. Na tych wyspach ześrodkował się kult Kabirów, tak bezpośrednio związany z Pelazgami.

Po przepłynięciu morza Egejskiego Pelazgowie znaleźli się poza obrębem rabunków ze strony koczowników. Ci ostatni nie mogli pójść w ich ślady, bo nie byli wdrożeni do żeglarstwa. Dlatego to, od chwili osiedlenia się Pelazgów w Grecji, historia ich przybiera osobliwy charakter: rozwijają się na wolnej ziemi, swobodni od obcych ciśnień, od wpływów ze strony wielkich narodów azjatyckich. Uwydatniają tutaj wszystkie właściwości swej formacji społecznej.

Właściwości te dadzą się ułożyć w dwa rzędy:

1) Osiadają oni jako drobne a niezależne ludy. Właściwość ta jest dobrze znana, góruje nad całą historją Grecji i Italji południowej podczas całej epoki starożytnej. Miasta tworzą pomiędzy sobą związki federacyjne, które dostarczają im rękojmi pokoju, a zarazem obrony przeciw dalszym przybyszom. Obfitość drobnych dolin wzdłuż wybrzeża sprzyjała temu odosobnieniu i samodzielności.

2) Nie przeniewierzają się swemu charakterowi rolników. Zrozumiemy tę stateczność, bo północne brzegi morza Śródziemnego oraz większość wysp tamtejszych w tej epoce odległej rzadko widywały czystej krwi handlarzy i żeglarzy, których wzorem są Fenicjanie. Ci ostatni w tej epoce uskutecznieli przewóz towarów pomiędzy Asyrją a Egiptem, a gdy później odważyli się żeglować po otwartem morzu, to trzymali się przedewszystkiem wybrzeży południowych. W ciągu wielu może wieków Pelazgowie żyli w samotności, rozstrzeleni w dolinach, bez stosunków z wielkimi ludami Wschodu. Każda dolina wystarczała sama sobie ła-

twością i obfitością uprawy drzew. Odosobnienie dało przestwór ich przyrodzonym skłonnościom. Puszczali się na morze tylko po to, ażeby odkryć nową dolinę, mogącą dać schronienie nadmiarowi ludności. Podróż Eneasza, opisana w *Eneidzie*, daje prawdopodobnie dokładny obraz wędrówek pelazgijskich w najodleglejszej przeszłości.

Tradycje, które dotrwały do naszych czasów, świadczą o charakterze rolniczym Pelazgów. Herodot, który miał przed sobą dobrze zachowane wzory tego typu, maluje ich jako wieśniaków czystej wody. Między innymi przytacza charakterystyczną opowieść: „Według Hekateusza, syna Hegesandra, Ateńczycy ujrawszy kraj poniżej Hymetesu, do nich należący, a oddany Pelazgom wzamian za mur w Akropolisie, ongi przez tych ostatnich wzniesiony; ujrawszy kraj ten, niegdyś bezpłodny i bez wartości, a obecnie dobrze uprawiony, zapłonęli chciwością i zapragnęli odzyskać grunta, wypędzili więc Pelazgów bez najmniejszego pretekstu“¹⁾. Wzamian za pracę otrzymują oni grunta bez wartości, ale ci zręczni karczownicy wszystkich dolin nadśródziemnomorskich nie omieszkują zająć tej ziemi pod uprawę; wtedy bez powodu zostają wyrzuceni. Względem pospolitych wieśniaków żywiono tylko pogardę!

Według podania, Pelazgowie pierwsi wypiekać zaczęli chleb z mąki. Poeci opiewają słodycz niezrównaną uprawy drzew. Według Hezjoda błogi stan ludzi cnotliwych na wyspach Szczęśliwych polega na następującem: „Trzy razy do roku zbierają owoce słodkie jak miód, z drzew zawsze kwieciami pokrytych“.

1) Herodot, VI, 137.

Wszystko, co wiemy o religji Pelazgów, potwierdza doniosłość rolnictwa, a przede wszystkim sadownictwa. Religja to nawskroś naturalistyczna, ubóstwiająca zjawiska przyrodzone, czynniki fizyczne. Zdaniem C. Périgot'a, Helenowie zawdzięczają Pelazgom parę postaci swego Olimpu. „Zeusowi poświęcono dąb, w tej postaci niegdyś czczono go niewątpliwie, wtedy, kiedy według tradycji pelazgijskiej ludzie żywili się żołędzmi, jest to bóstwo pochodzenia pelazgijskiego; również Hera czyli Junona ongi była pniem gruszy, z tego drzewa rzeźbiono jej posągi, lub dzikim granatem, kładzionym później do jej rąk jako symbol; podobnie Posejdon czyli Neptun, zalewający wodami niziny Attyki, dzielnicy pelazgijskiej, której nazwą pierwotną według Strabona była Posidonia; Atena czyli Minerwa, bogini drzewa oliwnego, opiekunka wzgórz, oraz miast otoczonych wieżami i murami, Demetra albo Cerera, bogini rolniczego trybu życia, która nauczyła Triptolemesa siejby; Hefestos albo Wulkan, boski kowal (żelazo jest niezbędne do wyrobu sprzętów rolnych), który spadł na Lemnos, gdzie Pelazgowie istnieli jeszcze za czasów historycznych; wreszcie Artemis-Djana, zrodzona w Arkadji, która pozostała pelazgijską aż do ostatnich czasów Grecji, bogini gór, gajów świętych, źródeł, jezior, nimf, faunów i satyrów.

Czyż nie jest to religja ludu, oddanego rolnictwu, a przede wszystkim hodowli drzew? Możliwość niemal, na podstawie cech, właściwych bogom, odtworzyć zajęcia samego ludu.

Ale typ nie zdoła sam jeden wyjaśnić społeczeństw nadśródziemnomorskich. Obok niego istnieją i z nim są zmieszane jeszcze dwa inne: portów wybrzeżnych i płasko-

wzgórz. Społeczności nadśródziemnomorskie przedstawiają wytwór ich połączenia. Zdołamy wyjaśnić te ostatnie dopiero wtedy, gdy weźmiemy na uwagę każdy z pierwiastków składowych.

Przystępujemy do analizy drugiego z tych pierwiastków—portów wybrzeżnych.

ROZDZIAŁ II.

Starożytny szlak portów morskich.

TYPY: FENICKI I KARTAGEŃSKI.

I.

Widzieliśmy, jak w najodleglejszej epoce historycznej Pelazgowie z Kolchidy zaludnili wąskie doliny, które porznęły wybrzeże śródziemnomorskie, jak pozostali na poziomie drobnych, samodzielnych a rolniczych ludów.

Nie one to stworzyły żeglugę handlową na wodach Śródziemnych. Zwiedzali morze, o ile trzeba było odkryć ziemię do osiedlenia, jak robił Eneasz.

Zaczęto wyzyskiwać morze Śródziemne dla celów handlowych na wybrzeżu syryjskim, a dokonały tego ludy, należące do formacji społecznej, odmiennej od Pelazgów. Wybrzeże syryjskie sprzyjało rozwojowi handlu, stykało się z dwoma wielkimi mocarstwami ówczesnymi, Egiptem i Asyrją i łączyło je. Handel na wodach Śródziemnych po-

wstał w Tyrze i Sydonie, a jego pierwszym zadaniem były przewóz i wymiana towarów pomiędzy Egiptem a Asyrią.

Rozwinięty a czysty typ, właściwy portom morskim, odnajdujemy w starożytności u Fenicjan i Kartagińczyków, będących zresztą dwoma odłamami tego samego ludu. Lud ten czerpał wyłącznie, lub prawie wyłącznie środki utrzymania z istnienia portów, trudnił się wyłącznie lub prawie wyłącznie żeglarstwem.

Grecy i Rzymianie znacznie mniej zajmowali się handlem morskim. Byli żeglarzami i nawet ostatecznie pozyskali przewagę nad Fenicjanami i Kartagińczykami, ale bynajmniej nie byli, jak ci ostatni, czystego kalibru żeglarzami. Fenicjanie i Kartagińczycy umieli korzystać z morza w sposób bez porównania bardziej wyłączny i dlatego są w najwyższym stopniu przedstawicielami szlaku portów morskich.

Kolebką typu fenicko-kartagińskiego były wybrzeża Chanaanu. Wielkie a zamożne ludy siedziały w starożytności na wybrzeżu azjatyckim, nie zaś europejskim morza Śródziemnego. Była to epoka wielkich mocarstw Asyrii i Egiptu. Otóż należy zaznaczyć, iż zawsze żegluga handlowa, i w ogóle handel morski rozwijały się pod bokiem możliwie najliczniejszych spożywców i wytwórców przemysłowych. Porty w krajach nowych przedstawiają tylko kantory. Tem to trzeba objaśnić, iż w starożytności handel powstał przede wszystkim na wybrzeżu fenickim, które leżało w bezpośrednim sąsiedztwie wielkich mocarstw Wschodu.

Fenicjanie w Nadśródziemnomorzu reprezentowali typ społeczny portów miejskich, Pelazgowie — dolin. Fenicjanie pierwsi założyli na wybrzeżach wód Śródziemnych kantory handlowe i kolonje morskie: w Azji Mniejszej, w Grecji, na

morzu Czarnem. W stosunku do wielkich mocarstw Azji były to naówczas kraje nowe, odległe; góry niemal nieprzebyte Anatolji, oraz wielkie półkole lądowe, otaczające morze Czarne, pozwalały osiągnąć tych brzegów tylko drogą morską. Rhodus, Kreta, główne wyspy Archipelagu, Argolida i Attyka za czasów pelazgijskich otrzymały z pośród Fenicjan pierwszych założycieli swoich miast nadmorskich. Inachos, Ogyges, Danaos, Cekrops, Kadmus i inni byli Fenicjanami. Usiłowano niektórych z nich zrobić Egipcjanami, tylko dlatego, że Fenicjanie puszczali się na morze na rachunek Egipcjan i posiadali osady w dolnym Egipcie.

Pierwotna kolebka Fenicjan, wybrzeże Chanaanu, zwłaszcza sprzyjała temu pierwszemu rozkwitowi handlu. W głębi lądu znajdowała się długa a wązka oaza: dolina Jordanu. Była ze wszystkich stron zamknięta: od północy, wschodu i południa przez pustynie Syrii i Arabji; od zachodu i północy przez rząd nieprzerwanych pasem górskich, należących do systemu gór libańskich i spuszcających się aż do morza. Przedstawiała kraj urodzajny, „płynący miodem i mlekiem“, według wyrażenia Biblii.

Dolina ta prawdopodobnie w najodleglejszej przeszłości była zajęta przez rozbitków, wyrzuconych z sąsiednich płaskowzgórz. Kimkolwiek byli, znalazłszy się tam stworzyli formację społeczną, właściwą typowi chanaańskiemu. Abraham, a później Izraelici zastają ich w stanie osiadłym, zajmujących się uprawą roli, jak zresztą czynią wszystkie ludy pustyni, wyrugowane z niej na krawędzie, zdatne do uprawy. Wystawieni na ciągłe najazdy koczowników (ulegli wreszcie Izraelitom), zbudowali warowne mury i stali się wielkimi architektami, sławne mury Jerycha były ich dziełem.

Gdy parcie ze strony koczowników przybrało zbyt

znaczne rozmiary, musieli obejrzeć się za lepszym schronieniem i zwrócili się w jedynym kierunku, nie zamkniętym przez wrogów — ku wybrzeżu morskemu.

Wybrzeże to dostarczało im podwójnej korzyści: było bronione przeciw najazdom koczowników przez zalesione urwiska Libanu, a nadto wysepki, leżące w pobliżu brzegów, ofiarowały im jeszcze dogodniejsze schronienie. Na wyspach założono Sydon, Tyr, Arad. Arad, według Strabona, był zbudowany „na skale, zewsząd omywanej przez tonie, a miał około 7 stadjów obwodu. Skala była pokryta budynkami i nawet jeszcze dzisiaj jest tak zaludnioną, iż domy mają po kilka pięter. Mieszkańcy piją wodę deszczową, przechowywaną w cysternach lub dowożoną z sąsiedniego brzegu“. Mocne mury otaczały każde miasto, a Fenicjanie ćwiczyli swe zdolności budownicze. Salomon, gdy zapragnął zbudować świątynię w Jeruzalem, otrzymał robotników od Hirama, króla tyńskiego. Ciasno było Fenicjanom na tych wysepkach i wybrzeżu, nie mającym więcej nad 4 – 5 mil szerokości. Grzbiet Libanu, który bronił ich od koczowników, udaremniał im również kolonizację lądu. Pchał ich ku morzu. Góry dostarczały cennego materiału dla wypraw morskich, były wtedy bowiem pokryte wspaniałymi lasami. Cedry libańskie słynęły.

Warunki fizyczne pchnęły Fenicjan ku handlowi morskemu, uprzednia formacja społeczna również uzdalniała ich do tego zajęcia. Nie wyszli bowiem ani z otoczenia dzikiego, ani koczowniczego. Byli ludem cywilizowanym: o tem świadczy ich rolnictwo i sztuka budownicza. Skłaniało ich także sąsiedztwo dwu największych mocarstw, podówczas istniejących a znanych dobrze Fenicjanom: Asyrii, z kąd pochodzili, bo podanie wyprowadza ich z nad za-

toki Perskiej ¹⁾, oraz Egiptu, u którego wrót osiedli, zajmując ziemię Chanaańską.

Doprowadzeni więc zostali drogą naturalną a konieczną do rozpoczęcia handlu pomiędzy temi dwoma krajami.

II.

Rozwój historyczny typu fenicko-kartagińskiego przebiegł trzy fazy:

1) Faza pierwsza: prowadzenie handlu pomiędzy wielkimi mocarstwami.

Szlaki handlowe fenickie podczas tej fazy odznaczają się wyrazistością. Szły olbrzymim półkrcgiem bądź wzdłuż rzek, bądź przez morze. Nilem wysyłano towary do morza Śródziemnego, a ztamtąd dowożono je na statkach do portów fenickich, trzymając się brzegów. Droga dalsza szła lądem przez przesmyki libańskie oraz pustynię aż do górnego Eufratesu, który w swym górnym biegu zbliża się znacznie do wybrzeża fenickiego. Przewóz przez pustynię uskuteczniały karawany, posługiwano się zaś koczownikami, którzy w tem zajęciu znajdowali zyskowne źródło dochodów. Wiązano się z nimi za pomocą obrzędu pobratymstwa. Przećinano następnie całą Asyrję wzdłuż Eufratesu i Tygrysu aż do zatoki Perskiej. Tam używano statków dla objechania Arabji, tu i owdzie rzucano kotwicę na jej urodzajnych wybrzeżach. Ztamtąd, trzymając się brzegów, dostawali się Fenicjanie do doliny Indusu, zkad sprowadzali bogate pro-

¹⁾ Lenormant i Babelon: *Hist. anc. de l'Orient*, VI, 105, 106.

dukty Indji, albo za pośrednictwem morza Czerwonego do Etjopji ¹⁾. Oba te kraje były wrotami Wschodu.

Te wyprawy handlowe, zbliżające do siebie najzamożniejsze społeczeństwa pierwotnego świata i dokonywane w razie potrzeby całkowicie drogą wodną, były bardzo zyskowe dla Fenicjan.

W tym okresie Fenicjanie odkryli jeszcze drugie źródło dochodów, dostarczając na usługi Faraonów marynarki wojennej. „Sydończycy dostarczali statków wojennych, na których przewożono wojska egipskie, przeznaczone na podbój Puntu, t. j. Arabji południowej, składu wszystkich tak cennych produktów Indji, metali, kosztowności, drogiego drzewa, korzeni, kości słoniowej, oraz statków handlowych, zazwyczaj prowadzących handel pomiędzy portami tego szczęśliwego kraju a portami Egiptu. Faraonowie XXVI-ej dynastji, pragnąc stworzyć własną marynarkę na wodach morza Czerwonego, musieli się zwrócić do Fenicjan. Biblia nam opowiada, że na skutek przymierza pomiędzy Salomonem a Hiramem majtkowie tyrcy kierowali okrętami, które władca izraelski kazał zbudować dla handlu z Ofirem; powodzenie pierwszej wyprawy świadczy, iż Fenicjanie podejmowali się przewodnictwa na morzu dobrze sobie znanem, że posiadali o tych okolicach wiadomości, sięgające początkiem swoim wcześniejszych wypraw; że Tyryjczycy Hiramowi jedynie ciągnęli to, co na kilka wieków wcześniej zrobili ich poprzednicy Sydończycy w porozumieniu z Egiptem“ ²⁾.

¹⁾ Szczegóły o handlu i szlakach fenickich patrz: Lenormant i Babelon, l. c., VI, 538 i nast.

²⁾ Lenormant i Babelon, VI, 492.

Faza druga: handel na przestrzeni wschodnich dzielnic morza Śródziemnego.

Istniał jednak handel jeszcze zyskowniejszy niż ten, który odbywał się pomiędzy wielkimi cywilizacjami ówczesnymi, a mianowicie handel z nowymi ziemiami, na pół jeszcze dzikimi. Brano od nich cenne surowce, a więc korzenie, perfumy, kawę, cukier ze trzciny, futra, kość słoniową, złoto, srebro, cynę, lub produkty ogólnej użyteczności, jako to: wełnę, zboże, a w zamian dawano mało znaczące lub umiarkowanej wartości wyroby rzemieślnicze, przywiezione ze starych krajów, np. fabrykaty szklane, nożownicze, metaliczne, galanteryjne, wstążki, przeceniane przez dzikich. Oto idealny handel, pozwalający w krótszym czasie i z mniejszymi kosztami otrzymać bardzo znaczne zyski! Ta właśnie okoliczność, we wszystkich epokach, skłaniała handlarzy, pomimo wielu wysiłków i niebezpieczeństw, do poszukiwania „nowych krajów“. Niema korzystniejszego zbytu nad rynek tych dzielnic.

Fenicjanie byli zbyt wprawnymi handlarzami, ażeby o tem nie wiedzieć. Starali się więc wyzyskać nowe wybrzeża morza Egejskiego i Czarnego. Zresztą jedna zwłaszcza pobudka skłaniała ich do tego, a mianowicie chęć otrzymania cyny, tak obfitej w górach Kaukazu. Bronz, będący spławem cyny i miedzi, był wtedy w powszechnem użyciu, cyna zaś zdarzała się rzadko i Fenicjanie nie wahali się odbywać dalekich podróży dla jej sprowadzania ¹⁾).

Ale, na nieszczęście Fenicjan, znaleźli oni niebawem na

¹⁾ Co do szczegółów Lenormant i Babelon: *Hist. anc. de l'Orient*. VIII, 488, 489.

tem polu współzawodników, Pelazgów, z którymi prowadził handel i którzy wyszli z Kolchidy. Chociaż początkowo mniej zręczni żeglarze niż Fenicjanie, niebawem zrosli się oni z morzem, jak o tem świadczy wyprawa Argonautów i oblężenie Troi. „Od czasów Argonautów ustają zwykłe wyprawy Fenicjan na morze Czarne i do Kolchidy: zostają oni ztąd wyrugowani“¹⁾.

Fenicjanie więc byli zmuszeni do cofnięcia się przed Pelazgami, a to przyczyniło się do upadku Sydonu. To bogate miasto dostało się w ręce Filistyńczyków, będących kolonją Pelazgów w południowej dzielnicy wybrzeża Chanańskiego, Kreta zaś — przystankiem, z którego przybyli²⁾. Klęska była tak doniosłą, iż imię Fenicji znika na pół wieku ze stronic historii.

Tyr wzniósł się na ruinie Sydonu i dalej prowadził interesy, ale znalazł nowe rynki, które zupełnie zastąpiły dawne, tak zniemacka zamknięte dla Fenicjan. Wraz z tem zwracamy się do fazy trzeciej.

Faza trzecia: handel z zachodnimi dzielnicami morza Śródziemnego.

Tyr porzucił handel z morzem Egejskim i Czarnem, na którym spotkał współzawodnictwo Pelazgów. Powziął śmiały zamiar przeniesienia swych kantorów na wybrzeża zachodnie morza Śródziemnego i rozpoczęcia wyzysku nowych krajów, dających zawsze handlowi największe dochody. Ale ponieważ wybrzeża północne wód Śródziemnych były już częściowo zajęte przez Pelazgów, Fenicjanie zwró-

¹⁾ Lenormant i Babelon, l. c., VIII, 494.

²⁾ ibid, 215.

cili przeto swój wzrok na brzegi południowe. Założyli na brzegu afrykańskim Utykę, Adrumetę i t. d., przystanki na Malcie i południowym wybrzeżu Sycylii. Przejechali nawet sławne Słupy Herkulesa i w Hiszpanji południowej założyli kolonję Gades (Kadyks), gdzie prowadzili handel cyną, tak obfitą w tym kraju. Usiłowali zakładać kolonje na wybrzeżu północnem zachodniego Nadśródziemnomorza w Hiszpanji, Galji i Italji, ale napotkali tam kolonje pelazgijskie, Etrusków i Greków jońskich i musieli się byli cofnąć.

Ażeby powetować tę stratę, Tyr zajął się tem usilniej wybrzeżem południowym i założył Kartaginę. Rzecz godna uwagi. Fenicjanie zakładali kolonje swoje w miejscach, przez wody bronionych: Gades leżał na wyspie, Kartagina na półwyspie. Dążenie to stwierdziliśmy już w samej Fenicji, a stanowi cechę znamiennej ludu, utrzymującego się z handlu morskiego.

Po okresie rozkwitu Tyr upadł, tak samo jak Sydon, pod uderzeniami siły. W r. 572 Nabuchodonozor zdobył go i zniszczył ¹⁾. Podkreślamy tutaj tę krótkotrwałość miast handlowych, a przyczyny tego poznamy w dalszym toku wykładu.

Kartagina zabrała spadek po Tyrze. Znajdowała się w położeniu korzystniejszym. Leżąc w znacznej odległości od Greków i Rzymian i będąc zabezpieczona przeciw niespo-

¹⁾ Tyr odrodził się pod nazwą Nowego Tyru, zdobytego przez Aleksandra W. Ale cios, zadany miastu przez Nabuchodonozora, był stanowczy. „Odtąd miasto tylko wegetowało, bez sił zreformowania swej marynarki, bez środków wskrzeszenia handlu i panowania nad kolonjami, które dostały się w spadku Kartaginie“.

dziewanym napadom, jednak zajmowała pozycję pomiędzy temi ludami i posiadała możność wyzysku obu. Nadto usadowiła się w części zachodniej Nadśródziemnomorza, w sąsiedztwie nowego świata, który zwolna zaludniał się i wzrastał. Blizkie sąsiedztwo z wielką pustynią afrykańską, podówczas najważniejszą drogą lądową, umożliwiało jej stosunki bezpośrednie z Egiptem i dzielnicami zwrotnikowemi, t. j. z krajami, odznaczającemi się bogactwem produktów.

Jednak powiodło się Kartaginie nie lepiej niż obu wielkim miastom fenickim w sprawie utrwalenia swej potęgi. W pięć wieków po upadku Tyru znika, wzięta przez Rzymian i spalona. Nigdy nie zmartwychwstała.

III.

Dla zgłębienia przyczyn takich kompletnych upadków winniśmy zapoznać się z organizacją społeczną, stwarzaną przez handel w wielkich miastach.

Handel morski zniszczył spólnotę rodzinną i nadał ustrój niestateczny Fenicjanom i Kartagińczykom.

Pod względem społecznym ludy te roztaczają widok dla nas zgoła nowy. Wśród typów dotychczas badanych, handel i przewóz przedstawiały jedynie zarobek dodatkowy; tutaj zaś zamieniły się na zasadnicze źródło utrzymania dla znacznej większości mieszkańców.

Dopiero wśród Fenicjan i Kartagińczyków występują z całą mocą skutki społeczne handlu i przewozu, a nietylko odznaczają się powszechnością, lecz nadto panują wszechwładnie.

Dopiero morze pozwala całemu społeczeństwu utrzymywać się wyłącznie z handlu i przewozu, gdyż stwarza łatwe, proste, niekosztowne stosunki z mnóstwem krajów odległych, a dostarczających bardzo urozmaiconych i pożądanych produktów. Jeszcze obecnie przewóz wodny jest tańszy niż z pomocą kolei, i to nawet stosuje się do parowców. Morze, prócz tego, iż prowadzi we wszystkie kierunki, przedstawia nadto drogę bezpłatną, nie wymaga wydatków na utorowanie swoje i utrzymanie, odznacza się najmniejszym tarciem; użytkując z tej samej siły, można poruszyć na morzu ciężar znacznie większy niż na lądzie.

Wyłączna przewaga przewozu i handlu nadaje społeczności charakter niestateczny. Niestateczność ta jest rysem zasadniczym odpowiednich ustrojów.

1) Niestateczność w stosunku do ziemi.

Człowiek nie wrasta w glebę, tylko na niej mieszka. Ludność tłoczy się w miastach, jak najbliżej portu, bo z niego wszyscy żyją w stopniu większym lub mniejszym, więc gęstość zaludnienia wzrasta. Ziemia jest potrzebna tylko na takiej rozległości, jaką zajmują mieszkania i składy towarów. Na co przydałyby się rozleglejsze grunta, kiedy nikt nie dba o rolnictwo i hodowlę bydła? Miasta te sadowią się przede wszystkim na drobnych wybrzeżnych wysepkach, gdzie każda piędź ziemi jest wymierzona, domy zaś, jak w Tyrze i Sydonie, miewają po 6 pięter.

Ale ziemiopłody są nieodzownie potrzebne dla spożycia codziennego. Dostarczają ich rolnicy ościenni, którzy, trzymając się zdala od handlu, rozwijają drobną uprawę warzyw, opłacającą się tak sownie. A jeśli okolica poblizka nie wytwarza dostatecznej ilości produktu, ludy handlarskie zawsze mają możliwość sprowadzania wiktuałów z zewnątrz,

niekiedy z krajów bardzo odległych. Dla ludu, trudniącego się przewozem, odległość nie stawia przeszkód; owszem, znajdują w tem zajęciu łatwe a zyskowe źródło wynajmu statków.

Okolica, trudniąca się uprawą warzyw, a leżąca w pobliżu, nie oddziaływa na miasto. Utrzymuje się tylko dzięki jego istnieniu, służalczo zaspakaja jego potrzeby i popiera jego interesa, z jego upadkiem sama upadnie. Jest to stosunek odwrotny temu, jaki spostrzegamy u ludów rolniczych, wśród których miasto przedstawia wytwór wsi i odczuwa wszystkie szczeble jej rozwoju: gdy wieś ubożeje lub wyludnia się, rzemieślnicy i kupcy, stanowiący rdzeń ludności miejskiej, wegietują, a potem tłumnie opuszczają miasto. Takimi są dzieje wielu miasteczek we Francji.

2) Niestateczność wśród rodziny.

Ruchliwość, którą handel rozwija w osobistościach bardziej uzdolnionych, niszczy spólnotę rodzinną. Zajęcie kupieckie jest działalnością nawskroś indywidualną, powodzenie zależy jedynie od przymiotów osobistych. Ci, którzy czują siłę w sobie do przedsiębrania spraw samodzielnie, odłączają interes swój od interesu całości rodzinnej. Ludy fenicko-kartagińskie przewybornie uwydatniły tę dążność, handel bowiem przybrał wśród nich rozleglejsze rozmiary i wyłączenie panował, a więc i jego wszystkie skutki zarysowały się w większym stopniu.

Ale taka wybujałość interesu osobistego nie stwarza nic stałego. Działalność handlowa nie zna kresu, jak rolnicza; codziennie winna być nawiązywana, ryzyko towarzyszy w stopniu mniejszym lub większym każdej rozpoczętej czynności. Powodzenie zależy często od nieprzewidzianych okoliczności, które zawodzą wszelki rachunek i obracają w ni-

wecz wszelkie wyrachowania. Niekiedy znajduje się na łasce przypadku, który zdarzył się w odległej okolicy globu: powstania lub uniedostępnienia rynku lub drogi, złych interesów nabywcy, któremu sprzedano towar na kredyt, a w handlu niepodobna inaczej sprzedawać. Człowiek pokutuje nie tylko za własne błędy i winy, ale również za winy innych. A więc typ wyłącznie handlowy podlega nieokreślonej chwiejności i niestateczności.

3) Niestateczność w stosunku do klientów.

Poza obrębem rodziny powstające grupy są oparte tylko na stosunku wyłącznie osobistym, a zatem na pierwiastku bardzo chwiejnym. Właściciel ziemski trzyma ludzi z pomocą ziemi. Jako właściciel jest związany z dzierżawcą węzłami, które często przechodzą z ojca na syna, a w każdym razie odznaczają się długotrwałością. W rolnictwie krótkotrwałe umowy przynoszą szkodę zarówno właścicielowi jako i dzierżawcy; pierwszy jest narażony na to, iż grunta jego ulegną wyjałowieniu, drugi nie może wyzyskać korzyści z dokonanych meljoracji. Z natury rzeczy rolnictwo pomiędzy ludźmi stwarza stateczność, włościanin jest człowiekiem tradycji i rutyny.

W handlu stosunki przybierają inny charakter. Prynypał swoich ludzi trzyma w korbach tylko uzdolnieniami swemi osobistemi. Przywiązanie ogarnia nie macierz-ziemię, tylko mienie ruchome. Bogactwa te, ruchome, są rozproszone we wszystkich portach i składach świata, niepewne i zawsze narażone na niebezpieczeństwo, iż pewnego dnia można je stracić. Ludzi niepodobna przywiązać do siebie kredytem: jest to spójnia najsłabsza.

Związek pomiędzy kupcem a klientelą nie jest trwalszy niż wewnątrz rodziny.

Ogół tych warunków oddziaływa na ustrój władz publicznych. Tem pytaniem nie zaprzataliśmy się jeszcze. Niebawem poznamy całą doniosłość jego.

Handel morski sprzyja wszechwładzy więzi publicznej i nadaje jej charakter despotyczny.

Wśród społeczeństw handlowych władze publiczne tworzą się z pośród najgłówniejszych kupców, bo nikt inny nie rozporządza takimi, jak oni, wpływami. „W Kartaginie są takiego zdania—pisze Arystoteles—że ktokolwiek pragnie spełniać jakąkolwiek czynność publiczną, powinien nietylko posiadać wielkie zalety, ale również wielki majątek“. Najzamożniejsi kupcy tworzą „syndykat“ rządzących.

Naturalnie, najważniejsze zadanie tego syndykatu polega na urzeczywistnieniu środków, najbardziej sprzyjających interesom. Jest to Izba handlowa, zamieniona na Izbę polityczną. Taki *senat* zarządza wielkimi miastami handlowymi.

Ale nie może on rządzić bezpośrednio: jest zbyt liczny, a nadto członkowie jego są pochłonięci własnymi sprawami. Jak wiadomo, handel bardziej pochłania niż zarząd wielkim majątkiem ziemskim, a najmniejsza opieszałość lub nieobecność mogą wywołać ruinę.

Trzeba więc rządy powierzyć Komisji. Powstaje sławna Rada dziesięciu, którą odnajdujemy w Kartaginie i w Wenecji. Podkreślamy to podobieństwo, które świadczy na korzyść istnienia praw społecznych.

Ta rada posiada w swych rękach wielką władzę. Korzysta z niej, siejąc postrach. Bogaci kupcy nie trzymają urokiem swoim w karbach ani klientów, ani tem mniej jeszcze ludności; prócz wzniecania popłochu nie posiadają innego środka. Są dorobkiewiczami i tylko strach może uśmie-

rzyć zawiści, wywoływane ich majątkiem. Tem daje się wytłomaczyć charakter podejrzliwy, inkwizycyjny a despotyczny władz publicznych w Kartaginie i Wenecji.

Potrzebną jest jeszcze władza wykonawcza, któraby podpisywała rozporządzenia i prawa, reprezentowała miasto podczas obchodów publicznych i wobec potęg zagranicznych. Powierzoną zostaje kupcowi obywatelowi, cieszącemu się największym szacunkiem. Zajmuje on to stanowisko czasowo lub dożywotnio, spełnia czynności swoje tak, ażeby nikt go nie zaćmił. Rządca ten w Tyrze i Sydonie tytułował się królem; Kartagina posiadała aż dwóch suffetów; w Wenecji nosi on miano doży, we Florencji gonfaloniera. Moznaby mniemać, iż wszystkie te rządy zostały skopjowane jedne z drugich, gdyby nie to, iż wszystkie są wytworem tego samego stanu społecznego, zrodzonego przez handel.

Podobieństwo rozciąga się jeszcze dalej. Naturalne współzawodnictwo, istniejące pomiędzy handlującymi, zraza partje, walczące nawzajem. Znana jest sławna rywalizacja dwóch stronnictw kartagińskich — Amilkara Barki i Hannona; wygnanie Hannibala, który należał do partji Barki, było jednym z rezultatów tej walki. Partja taka przedstawia poniekąd odmianę klanu celtyckiego, z tą różnicą, iż skupia się nie dokoła wojaka, tylko zamożnego kupca, czerpiącego swój wpływ z majątku osobistego, nie zaś z dzielności wojackiej.

Nad całym tym ustrojem politycznym panuje jedna siła: pieniądz. Rząd opiera się na powodzeniu, jakie zapewnił interesom handlowym. Tymczasem to powodzenie jest rzeczą bardzo niepewną, ostatniem słowem ustroju politycznego jest więc niestateczność.

Ustrój polityczny istnieje, trzyma się nieufnością zawsze czujną. Senat niedowierza Radzie dziesięciu i czuwa nad nią troskliwie z pomocą „stałego komitetu trzydziestu”. Rada Dziesięciu nie ufa suffetom, sprawdza ich postęпки; władza tych ostatnich „nominalnie bardzo rozległa, faktycznie była skromną”. Wszyscy podejrzewają wodzów wojska i przy ich boku umieszczają senatorów, obdarzonych zupełnem pełnomocnictwem, na wzór komisarzy podejrzliwej Konwencji z r. 1794. Senatorowie pilnują wodzów i zmuszają ich poprzestawać na czynnościach wyłącznie wojennych, sami zaś zawierają umowy i układają się z państwami.

I nawet te jeszcze ostrożności uchodzą za niewystarczające wobec posępnej podejrzliwości kupców: „z pośród senatorów mianują oni stu sędziów — pisze Justinus — obowiązanych pociągać, po wyprawie wojennej, do odpowiedzialności wodzów za to, że ci nie stosowali się do praw i trybunałów ojczyzny”. Ta rada stu, zwana przez Greków *geruzją*, stała się najwyższem ciałem, kierującym polityką państwa i sądzącym urzędników i wodzów; nawet suffetów oddano pod jej sądy. W ostatnich czasach rzeczypospolitej trybunał ten dopuszczał się takiego ucisku, iż Hannibal go rozpędził.

Tak wygląda rząd miasta-macierzy. Takim jest i w licznych kolonjach, utrzymywanych przez miasto w różnych krajach, z któremi tamto znajduje się w stosunkach handlowych.

IV.

Spółeczność rozpatrywanego typu powołuje do życia niestateczne państwo kolonjalne.

Osady, powołane do życia na obczyźnie przez wielkie miasta handlowe, nie są kolonjami, tylko zwykłemi kantoryami i mają na celu robienie interesów. Miasta handlowe bynajmniej nie są zdolne do wrośnięcia w ziemię trwale a mocno.

Kantory te przedstawiają trzy następujące cechy:

1) Leżą z konieczności w znacznej odległości od siebie. Gdyby znajdowały się w pobliżu, stwarzałyby sobie wzajemnie konkurencję, odbierałyby zarobki i nie zdołałyby istnieć. Interes każe im leżeć w możliwie znacznej od siebie odległości i wyzyskiwać odmienne kraje.

2) Kantory są tylko miejscami składu i wymiany. Chodzi tam tylko o kupno i sprzedaż towarów. Nikt tutaj nie osiedla się na stałe, ale opuszcza kolonję, zrobiwszy majątek, a więc nie zaprzęta się sprawą objęcia w trwałe posiadanie kraju. Kantory wielkich domów handlowych Europy na wybrzeżu Afryki posiadają ten sam charakter, nieodłączny od przedsiębiorstw kupieckich na obczyźnie.

3) Nie mają na widoku korzyści kraju, jeno jego wyzysk. Społeczeństwa rolnicze, stwarzając kolonje, kolonizują nową glebę na stałe, nie cofają się przed rozpoczęciem kosztownych meljoracji, z których cały kraj korzysta, zarówno osadnicy jak i tuziemcy. Budują drogi, szkoły, kościoły na całej przestrzeni kraju, koloniści bowiem nie gromadzą się w jednym punkcie, ale rozchodzą się na wszystkie strony; ulepszają sposoby uprawy gruntów i dostarczają zarobku znacznej rzeszy osób. Słowem, przynoszą pożytek

krajowi i tubylcy uświadamiają to sobie. Zgoła inaczej postępuje ognisko kantorów handlowych: kupcy możliwie najmniej pozostawiają trwałych dzieł, poprzestają na wyzysku kraju, płacąc poniżej wartości za nabywane towary u tubylców a każąc im płacić powyżej wartości za dostarczone przedmioty. Narazają ich nadto na straty, podniecając wśród tych biedaków, niezdolnych do obrony, wszelkie wady, sprzyjające handlowi, wszystkie występki, z których można ciągnąć pieniądze. Czyż i dzisiaj nasze kantory afrykańskie nie zatruwają i nie zbydlęcają Murzynów gorzałką, tak drogo sprzedawaną?

O sposobach wyzyskiwania ludów przez Fenicjan starożytni pozostawili nieco szczegółów. Herodot rozpoczął swoją *Historję* obrazem targu fenickiego w Argosie, targu, który prawdopodobnie jest bardzo podobny do rynków, założonych przez tych śmiałych żeglarzy na wybrzeżach morza Śródziemnego. Statki fenickie, naładowane towarami pochodzenia asyryjskiego i egipskiego, stają na kotwicy w porcie tego miasta heleńskiego; rozkładają towary na placu w ciągu 5—6 dni, ażeby dać czas mieszkańcom wnętrza lądu przybyć, obejrzyć je i porobić sprawunki. Kobiety peloponeskie, ciekawe i ufające, podchodzą do samych statków; pomiędzy niemi znajduje się Jo, córka króla Inachosa. Na dany znak korsarze rzucają się na piękne Greczynki i je uwożą. Podnoszą kotwicę i rozpuszczają żagle do Egiptu.

O innym rysie, niemniej charakterystycznym, postępowania Fenicjan względem Greków opowiada *Odyseja*. Ojciec Eumeusza, Ktesios, był jednym z głównych panów na Syrosie, wysepce, która żywiła woły i owce. Posiadała zboże i winnice i liczyła dwa ogniska ludności. Dom króla był

wysoki, zawierał w sobie obszerne izby, gdzie przebywały kobiety, a od przodu przedsionek ze stołami, przy których Ktesios siadywał pić w towarzystwie najzamożniejszych obywateli grodu. Tam porozumiewali się przed udaniem się na wiece. Pewnego dnia na czarnych statkach przybyli do Syrosu Fenicjanie. Eumeusz darzy ich wyszukanemi wyrazami, oni zaś przynoszą małe przedmioty, ozdoby, drobiazgi. Ktesios posiadał niewolnicę ze Sydonu, którą mu Tazyjczycy sprzedali. Kobieta ta prała bieliznę na wybrzeżu. Spiknęła się tam z rodakami, przyrzekającymi jej, że odwiozą ją do domu jej ojca, bogatego Arybantesa. Ale nie łatwo było uskutecznić zamiar na razie; umówiono się, że Fenicjanie będą udawali, iż nie spostrzegli służącej, ale ją uprzedzą o dniu odjazdu. Spędzili rok na Syrosie, sprzedając bransoletki, naszyjniki, pierścionki, a w zamian otrzymując produkty, bliżej nie wyszczególnione przez Homera; prawdopodobnie były to artykuły spożywcze, zboże, wino, skóry, słowem to, co wyspa wytwarzała. Naładowali temi przedmiotami cały statek. Gdy zbliżyła się chwila odjazdu, wysłali kogoś zawiadomić o tem służącą.

Przebiegły wysłaniec udał się do Ktesiosa, ażeby mu pokazać naszyjnik ze złota i bursztynu. Kobiety domu z gospodynią na czele „biorą do rąk“ cenną rzecz, obracają ją na wszystkie strony, „pożerają oczami“. Zaczynają umawiać się o cenę. Kupiec znakami zawiadamia służącą, ażeby udała się na statek; ta wychodzi z małym Eumeuszem, unosząc trzy czary. W parę godzin potem statek odpłynął; w końcu tygodnia służąca umarła, a żeglarze przybyli do Itaki i tam sprzedali jeńca ¹⁾.

¹⁾ *Odyseja*, XIV i XV.

System kolonialny Kartagińczyków polegał na pospolitym wyzysku ludów. Dlatego to właśnie były one zawsze źle usposobione względem nich, gotowe zawsze jać się oręza, gdy sposobność się nadarzała. Podbite miasta okazywały mały opór, ilekroć wróg wkroczył na terytorjum punickie. „Twardzi i ciaśni — pisze Tissot — dążyli tylko do zysków bezpośrednich, pożerani żądzą bogactwa, nie zaś władzy, i dlatego Kartagińczycy nie zdołali ani ujarzmić Afryki, ani jej upodobnić do siebie. Gdy owładnięto głównemi szanćami władzy, nie spotkano nawet odruchu w tych organach bez tułowiu; jak głowonóg uderzony w głowę, państwo punickie zostało zmiażdżone od jednego ciosu“.

Kantory te są bezsilne: nie opierają się ani na warstwie kupieckiej, która bardzo mało wrosła w ziemię, ani na tubylcach, których jedynie wyzyskują. A nadto, rozproszone pomiędzy obcemi ludami, stanowią dla macierzy nieustające źródło wojen. Rzecz to zrozumiała: inne ludy kupieckie zakładają w pobliżu ich własne kantory, niegdyś w Indjach faktorje angielskie i francuskie ciągnęły się na przemian wzdłuż wybrzeża. A ponieważ ogniska te posiadają interesa współzawodniczące, pojawiają się wciąż nowe powody zatargów. Faktorje, należące do różnych ludów kupieckich Nadśródziemnomorza, rozsiadły się najliczniej w Sy-cylji. Tam też wszczął się ów wielki zatarg, który spowodował upadek Kartaginy.

Okolice obojętnem okiem spoglądały na to współzawodnictwo, bo nie znajdowały opieki ze strony kantorów. Mało je obchodziło, kto je wzbogacał lub wyzyskiwał, Grek lub Kartagińczyk. Faktorje żyły tylko dniem dzisiejszym. Były kramikiem, który w każdej chwili mógł być na inne miejsce przeniesionym. A tymczasem handel potrzebuje po-

koju i bezpieczeństwa, trzeba więc było walczyć nieustannie dla zapewnienia sobie tych nieodzownych warunków.

Wojny, prowadzone przez miasta handlowe, przedstawiają pewną osobliwość, którą warto uwzględnić.

Wojny te prowadzono jako sprawę handlową, i zresztą w gruncie rzeczy nie były niczem innym. Handlarze nie przedsiębiorą wyprawy wojennej w imię obrażonego honoru lub dla zaboru terytorjów. Wojna jest dla nich przedsiębiorstwem, środkiem rozszerzenia i utrwalenia handlu.

Taktyka, właściwa wojnom, przez kupców prowadzonym, daje się streścić w trzech następujących zasadach:

1) Pieniądze, potrzebne na wyprawę, są natychmiast i z góry zgromadzone. Skoro zatarg wybuchnął, liczna armja natychmiast występuje w pole; widać, że sprawa poruszyła ludzi bogatych i nie oszczędzających pieniędzy. Czyż z dnia na dzień nie prowadzą oni interesów, nie ryzykują wielkich kapitałów w nadziei zgarnięcia wielkich zysków? Według tych samych wzorów prowadzą wojnę, a dla przykładu dość wymienić wojny punickie.

2) Uskutecznienie planów odznacza się prędkością. W handlu trzeba umieć szybko powziąć postanowienie i wykonać go również prędko. Powodzenie często wynagradza śmiałków. W ten sam sposób kupcy prowadzą wojny. Druga wojna punicka rozpoczyna się nieoczekiwanie wzięciem Saguntu bez uprzedniego wypowiedzenia.

3) W razie niepowodzenia wstrzymują pieniądze przeznaczone na wojnę. Dobry kupiec nigdy nie upiera się przy złym interesie; gdy okaże się, iż niepodobna liczyć na powodzenie, porzuca sprawę i likwiduje interes. W razie nieszczęśliwej wojny, kupcy odstępują. Kiedy Hannibal, znalazłszy się w Italji, żądał posiłków, Kartagińczycy zdecydo-

wali, iż sprawa źle idzie, „nie opłaca się“, odmówiono więc pomocy wręcz i bez ogródki.

W razie powodzenia wojennego partje, dzielące miasto, roznamiętniają się i wstępują w przymierze przeciw grupie, która trzyma władzę w swych rękach. Obawiają się jej potęgi. Zagraża wojna domowa, a z jej winy otrzymane na wojnie rezultaty posiadają charakter połowiczny. Niestateczność jest nieodłączną od rozpatrywanego typu społecznego. Z rozkazu Kartagińczyków postanowiono utopić Ksantypusa, który pobił Regulusa i ocalił Kartaginę. Według Polibjusza, zrozumiał on, że byłoby nierozsądkiem przebywać dłużej w mieście, które mu zawdzięczało ocalenie, i dlatego zniknął.

Zarówno podczas pokoju jak i w potrzebie wojennej, w przypadku powodzenia jako i klęsk, miasta kupieckie są skazane na niestateczność. Wojna z Rzymianami wykazała tę wadę bardzo stanowczo.

Nie potrzebuję opowiadać tutaj przebiegu tej wojny. Jak wiadomo, wybuchła o faktorję założoną w Sycylji. Rzymianie, lud raczej rolniczy niż żeglarski, w ciągu dwóch miesięcy stworzyli flotę i załogę. Ale ta ostatnia nie była wyćwiczoną w manewrach morskich. Ażeby powetować tę stronę ujemną, Rzymianie wynaleźli rodzaj pomostu, który, zaczepiony o okręt nieprzyjacielski, pozwalał załodze wejść na jego pokład i tam walczyć ciało z ciałem, jak na lądzie. I stała się rzecz niesłychana — niesłychana dla tych, którzy nie badają źródeł siły i niemocy społeczeństw. Improwizowana marynarka, stworzona przez lud rdzennie rolniczy, zwyciężyła Kartaginę! Kartagina postanawia naówczas uderzyć na Rzym ze strony lądowej. Stwarza armję lądową z pomocą zwykłego swego środka — za pieniądze. Najmuje

zastępy, które z pomocą śmiałego targu zbiera w Hiszpanji i Galji.

Najemni żołdacy — oto żywioł konieczny i wyłączny armji rzeczypospolitych kupieckich. Miasta te bez rozległego obszaru terytorjalnego mogą korzystać jedynie z rąk cudzoziemców, wynajętych za odpowiednie wynagrodzenie. Armje fenickie „składały się całkowicie z cudzoziemców najemników“. Według słów proroka Ezechiela (roz. XXVII) tworzono je z pośród ludności poblizkiego wybrzeża afrykańskiego oraz Lydyjczyków Azji Mniejszej.

Dla kierowania takimi zastępami miasta te powoływały dwojakiego rodzaju wodzów: wodza wojskowego, cudzoziemca, któremu płacono za usługi, oraz rodaka, którego handel i żeglarstwo zaprawiły do awanturniczości. Kartagińska posiada oba te typy, Ksantypus i Hannibal są ich najwybitniejszymi przedstawicielami. Odnajdziemy je w handlowych rzeczypospolitych średniowiecznych w osobie kondotjerów.

Zaciężna armja, kierowana przez gienjusza awanturniczego, posiada dwie zalety. Po pierwsze, jest bardzo odpowiednią przeciw ludom pierwotnym, niższym, źle zorganizowanym, a wyprawy Korteza lub Albuquerque'a do Meksyku i Indji składają w tym względzie przewyborne świadectwo. Powtóre, w pierwszym uderzeniu może wywołać popłoch wśród ludu silnie zorganizowanego: jest jako potok gwałtowny i posiada wyższość swego rodzaju.

Ale, wzamian, w istocie jej samej tkwi niemoc. Zwycięstwa takiej armji, jak i barbarzyńców, są jałowe i chwilowe. Tacy wodzowie i takie zastępy są niezdatne do zorganizowania dokonanego podboju, a ta niezdolność zasadnicza wniwecz obraca wszystkie rezultaty; zwycięzcy nie zra-

stają się z podbitą ziemią na wzór Rzymian w starożytności i Anglo-Sasów w czasach nowożytnych. Awanturnicy nie poszukują nowej ojczyzny, jeno łupów.

W tem spoczywała niższość zastępów Hannibala. Zaciężnicy jego pojmowali tylko grabież zwyciężonych, a zamiast gruntów łaknęli jedynie pieniędzy. Powiedziano o Hannibalu, iż „umiał zwyciężać, ale nie korzystać ze zwycięstwa“. Nie jego to była wina, tylko systemu wojennego, właściwego miastom handlowym. Rozporządzając znajomością wiedzy społecznej, obarczalibyśmy mężów historycznych mniejszą ilością pochwał i nagan: odpowiedzialność, do której ich pociągamy, często pada na ustrój społeczny, a przecież nie w ich mocy spoczywa zmienić jego mechanizm.

Podczas pokoju ludy kupieckie nie są zdolne panować nad krajem z pomocą swoich faktorji, a podczas wojny — za sprawą zwycięstwa. Niestateczność — oto ich osobliwość; cała ich historia daje się wytłomaczyć tym złowrogim pierwiastkiem, spoczywającym w ich ustroju społecznym. Typ ten umożliwia nam, w całej pełni i czystości, zrozumienie skutków handlu i przewozu; morze, służące za najrozleglejszą i najłatwiejszą drogę, czyni te zajęcia wyłącznym źródłem zarobku.

Na skutek tych zajęć powstają prędkie, olbrzymie bogactwa, ale niestałe. Ukazuje się władza, wypływająca z tego nagromadzenia majątków, lecz tak samo niepewna, jak i same majątki. Tem należy tłumaczyć pospieszny, nagły a stanowczy upadek potężnych miast: Sydonu, Tyru, Kartaginy.

A jednak dodatnie skutki handlu i przewozu dają się utrwalić na stałe. Nie pociągają niezbędnie za sobą niesta-

tecznej równowagi, ale stwarzają ją dopiero na skutek wyłącznego rozwielmożnienia się tych źródeł zarobku. Rzeczy przybierają zgoła inny obrót u ludów, które, oddając się handlowi, przecież zapewniają przewagę zajęciu rolniczemu i z pośród warstw rolniczych obierają reprezentantów władzy publicznej.

Rolnictwo udziela społeczeństwu koniecznych pierwiastków stałości.

Niepodobna bowiem znaleźć innego wyjaśnienia wyższości Greków nad Fenicjanami, Rzymian nad Kartagińczykami, wreszcie Rzymian nad Grekami, którzy mniej zrosli się z posiadaniem ziemi.

Wreszcie obecność żywiołów rolniczych jest jeszcze niezbędną do utrwalenia rozkwitu umysłowego, niewątpliwie wytworu zajęć handlowych.

Fenicjanie i Kartagińczycy byli wielkimi krzewicielami kultury umysłowej w świecie starożytnym. Potrzeby wielkiego handlu przyczyniły się do wynalezienia i rozpowszechnienia umiejętności pisma, do udoskonalenia rękodzieł i umiejętności artystycznych (nauczyli Greków ceramiki malowanej), do zrobienia wreszcie z Fenicjan krzewieli wiadomości geograficznych i przyrodniczych. Odrodzenie umysłowe, któremu dali początek, odbywało się później bez nich, osiągnięte rezultaty kto inny zabrał. Nazwa ich nie wiąże się z żadną szkołą literacką, ani naukową. Nawet umiejętność pisania nie ocaliła od zagłady ich języka, — zginął, i my go wcale nie znamy. Pozostała tylko pewna liczba napisów ofiarniczych i nagrobkowych, ale zwroty te, powtarzające się prawie bez zmiany, dostarczają niewiele wskazówek. Czyż nie jest rzeczą dziwną, iż lud, który wynalazł pismo alfabetowe i tę tajemnicę przekazał ca-

łemu światu cywilizowanemu, nie pozostawił pomników swej literatury, wówczas gdy Egipcjanie i Asyryjczycy, posiadający środki mniej przejrzyste, mniej dogodne, przekazali nam tyle stronic roczników swoich na wypalanej glinie lub na granicie? ¹⁾).

Artyści, literaci, uczeni starożytności są z pochodzenia Grekami lub Rzymianami, ale nie Fenicjanami i Kartagińczykami. Rzecz to tem dziwniejsza na pozór, bo handel ćwiczy inteligencję i przyucza do zajęć umysłowych. Ale wszystko da się wyjaśnić, skoro zważymy, iż handlarze stosowują inteligencję swoją i wiedzę do własnych interesów. Chodzi im tylko o zyski.

Dla wyciągnięcia z zajęć umysłowych trwałej korzyści potrzebnymi są inni ludzie: osoby, zaprzątnięte chęcią upiększenia i ozdobienia warunków bytu. I tego jeszcze nie dosyć. Byt ów musi opierać się na statecznej podstawie, bo rozwój literacki i artystyczny wymaga długiego wyrobienia, co może być tylko dziełem wielu kolejnych pokoleń. Dorobkiewiczze mogą dobrze zapłacić za arcydzieła gienjalne, ale nie oceniają ich należycie. To poczucie subtelne i nie dające się udzielać, może dopiero ukazać się u ich synów i wnuków. Handel stwarza dorobkiewiczów, ale potomkom ich nie zabezpiecza posiadania zdobytej sytuacji. Stałość taka spotyka się dopiero wśród rodzin, przymocowanych do pewnego miejsca, rozporządzających wczasami i pewnością jutra, które rodzą żądze skosztowania rozkoszy umysłowych, a jednocześnie umożliwiają takie rozrywki. W takim położeniu znajdowali się Grecy i Rzymianie, jak

¹⁾ Lenormant i Babelon, l. c. VI, 561.

również kraje zachodnie ku schyłkowi feudalizmu średnio-wiecznego, a w chwili pojawienia się Odrodzenia.

Dochodzimy do wniosku, iż potęga, wypływająca z handlu, tylko wtedy odznacza się trwałością, gdy u ludu przeważają wpływy rolników. Poeta powiada, że:

Trójząb Neptuna oto berło święte.

Niewątpliwie, ma słuszność, ale pod warunkiem, iż Neptun poślubi Cererę, t. j. założy własne gospodarstwo rolne. A nadto trzeba jeszcze, ażeby Cerera tam rządziła.

Fenicjanie i Kartagińczycy dostarczyli nam najstarszego typu portów morskich w Nadśródziemnomorzu. Dzielnica ta, w epoce bliższej, wyłoniła typ pokrewny, którym winniśmy się zająć, bo rozbiór ów wykaże trwałość zasad społecznych, t. j. powtarzanie się tych samych zjawisk wśród pokrewnych warunków. Wenecja dostarczy nam najcharakterystyczniejszych wzorków tej późniejszej formacji.

ROZDZIAŁ III.

Nowożytna droga portów morskich.

T Y P W E N E C K I.

I.

Jak Fenicjanie i Kartagińczycy, tak samo Wenecjanie poświęcili się handlowi na morzu Śródziemnym w epoce, w której ludy, przebywające poza tą dzielnicą, nie powzięły jeszcze myśli o współzawodnictwie. Jedni i drudzy, pomimo dziesięciu wieków odstępu, znaleźli się w tych samych warunkach pracy. Logiką stosunków odnajdujemy u obu zasadnicze cechy, właściwe rozpatrywanemu typowi społecznemu. Takie zbliżenia przedstawiają tryumf wiedzy i zarazem jej nagrodę.

Aż do lat ostatnich tak zamożne archiwa weneckie były zupełnie niedostępne: ten gród zazdrosny jakby pragnął ocalić od oka obcych pomniki swej historji. Ale musiał wyrzec się oporu i odsłonił badaczom cenne zbiory, zajmu-

jące aż 93 sal, a pomiędzy niemi „niektóre są tak obszerne, iż oko nuży się, poszukując końca“. W liczbie uczonych, którzy pierwsi jęli się studjów nad temi dokumentami, należy wymienić Armanda Bascheta, z którego prac użytkowaliśmy, a prace te przydadzą się każdemu, kto zapragnie szczegółowiej zbadać typ, przez nas jedynie określony i uklaasyfikowany.

Wenecjanie przedstawiają czysty typ portów morskich Nadśródziemnomorza. Dla wykazania tego, winniśmy wskrzesić w pamięci początki i geograficzne położenie Wenecji.

W wieku V, gdy Attyla siał popłoch w całej Europie środkowej i zachodniej, grupa rozbitków szukała ocalenia na lagunach i wysepkach wybrzeża adriatyckiego. Tak samo niegdyś szukano schronienia na wyspie tyrskiej i półwyspie kartagińskim.

Morze było jedynem źródłem utrzymania dla zbiegów. Zajmowali się najprzód rybołówstwem, później przewozem towarów na rzecz sąsiadów, wreszcie sprzedają soli, wydobywanej z pobliskich salin.

Ludność pierwotnie składała się prawdopodobnie z Wenetów: ztąd pochodzi nazwa Wenecji. O ile można wnioskować ze szczupłej wiązanki faktów, Wenecjanie byli pochodzenia słowiańskiego, wyszli z pośród pierwszej fali wychodców na południe. Byli krewniakami Wendów, którzy żyli na północy.

Ale jakimibądź były jego rodowody, lud ów, wśród warunków zupełnie nowych i pod działaniem radykalnej zmiany otoczenia, miejsca, środków i sposobów bytu, wyłonił formację, zgoła odmienną od tej, wśród której żył ongi. Wskrzesił on typ portu śródziemnomorskiego, typ fenicko-

kartagiński, a losy jego popłynęły tem samem łożyskiem. Odcięcie Wenecjan od lądu i od ludów, mieszkających poza dzielnicą śródziemnomorską, sprawiły ten skutek.

Dla stwierdzenia tego odcięcia starczy spojrzeć na mapę okolic Wenecji i na plan miasta. Miasto, wznoszące się na kilku wysepkach, oddzielają wody, bagniska i laguny, zabezpieczające je od wszelkiego napadu ze strony morza, na którym panuje dzięki pasowi ziemi, biegnącemu wzdłuż morza i pozostawiającemu dla statków do wejścia tylko wąską cieśninę. Frankowie, pod wodzą Pypina zawładnąwszy Lombardją i całemi górnemi Włochami, nadaremnie oblegali Wenecję, również marynarka zwycięska Genuieńczyków nie zdołała przebyć cieśniny.

Typ ten, odcięty tak doskonale od lądu, tak cały oddany żywiołowi morskemu, znalazł się w warunkach, wyjątkowo sprzyjających rozwojowi handlu. Wenecja była przedewszystkiem portem handlowym.

Z okazji Fenicjan i Kartagińczyków wykazałem, iż żeglarstwo handlowe i handel morski zawsze powstają w pobliżu wielkich ognisk spożycia i produkcji przetwórczej. Za czasów starożytnych, handel począł się przedewszystkiem na wybrzeżu fenickim, w bezpośrednim sąsiedztwie dwóch wielkich mocarstw Wschodu, Asyrji i Egiptu. W okresie narodzin Wenecji stosunki w obrębie Śródziemnomorza ukształtowały się zgoła odmiennie. Najście Arabów i napady Seldżuków, ludu turkiestańskiego, hołdowniczego Arabji, przyćmiły energię wytwórczą i zdolności spożywcze obu tych mocarstw wschodnich, a w dalszym ciągu cesarstwa bizantyńskiego. Wtargnięcie Franków dało początek Francji feudalnej, która wtedy znajdowała się w rozkwicie sił swoich, i potężniejszej monarchji niemieckiej. Produkcja przetwór-

cza i handel wśród tych ludów wzrastały, oparte na rolnictwie, i szybko rozwijały się.

Niedaleki Wschód nadśródziemnomorski i punkta zetknięcia się Francji z Niemcami służyły jako oparcie dla Wenecji. Macierz morska musiała leżeć ku Zachodowi, kolonie zaś na Wschodzie, — stan rzeczy wręcz odwrotny temu, jaki istniał za czasów fenickich.

Droga do Wenecji prowadziła z Francji przez przesmyk Cenis, t. j. miejsce, gdzie Alpy są najniższe, a następnie przez dolinę rz. Po, płaską a jednolitą na całej swej długości. Z Niemiec można było dosięgnąć Wenecji przez przełęcz brennerską, spuszczałą się ku Adydze. Sama przyroda wskazała te drogi; dzisiaj główne tory międzynarodowej sieci kolei idą tamtędy.

Na zachodzie istnieje jeszcze inne wybrzeże, na którym handel Francji mógł zetknąć się z Niemcami z taką samą łatwością, jak w Wenecji. Leży ono w głębi wielkiego łęgu, utworzonego przez morze Liguryjskie, a symetrycznie odpowiadającego końcowemu łukowi Adrjatyku. Tam właśnie usadowiły się dwie współzawodniczki Wenecji: Genua i Piza. Ale położenie ich było mniej korzystnem, bo odosobnienie od lądu i morza posiadało mniejsze napięcie. Nadto mniej sprzyjało rozwojowi stosunków handlowych ze Wschodem, statki musiały opłynąć Włochy, co narażało na niebezpieczeństwa i opóźnienie. Pojmujemy, że Wenecja musiała dosięgnąć trwalszej potęgi i przewagi handlowej bez współzawodników, i dlatego wybieramy ją jako najczęstszy i najważniejszy wzór portów morskich Nadśródziemnomorza podczas badanej epoki.

Sławny obrzęd zaślubin morza przez dożę weneckiego w sposób symboliczny wygłaszał wielką prawdę.

Ale okoliczność, iż Wenecja znalazła bardzo korzystne warunki terytorjalne dla swoich narodzin, nie wystarcza jeszcze. Trzeba było, ażeby na drodze rozwoju swego nie musiała zwalczać nieprzemyślnych zawad na zewnątrz. Losy się uśmiechnęły i pod tym względem.

1) Wielkie ludy Północy nie tłumili rzutkości Wenecji. Temi ludami byli Francuzi i Niemcy. Mogli stać się dla Wenecji strasznymi współzawodnikami z powodu swej potęgi politycznej i zamożności. Ale ogniska tej potęgi i zamożności leżały na północy obu krajów, w dzielnicy, zajętej przez odłam Sasów, a mianowicie przez Franków, którzy potem rozpadli się na Franków i Niemców. Południe zaś znajdowało się w posiadaniu starych a słabych ras, które oddawna tam osiadły w pobliżu morza Śródziemnego. Rasa północna jedynie panowała nad niemi.

Ludy północne nie parły na południe. Uprawiały żeglugę, ale jedynie na wodach północnych. Ognisko żeglarstwa leżało w dzielnicy saskiej, a więc w Lubece, Bremie, Hamburgu. Rasa ta poprzestała na promieniowaniu od Lizbony do Gdańska. Wody Śródziemne pozostawiła Śródziemnomorcom.

A flota północna, jeśli wpływała na morze Śródziemne, bynajmniej nie miała na widoku handlu lub zamiarów założenia tam faktorji, tylko mieściła wśród swej załogi wojaków, pragnących osiedlić się w nowym kraju. Taką była wyprawa Normanów na Sycylię.

Ale pozostawiając Śródziemnomorcom wybrzeże, ludy Północy nie pozwalały potędze południowej zapuścić korzenie na samym lądzie. Okoliczność ta uniemożliwiła Wenecji, Genui i Pizie posiadanie terytorjów lądowych.

Ludy północy, panujące nad zachodnimi wybrzeżami Nadśródziemnomorza, nie tłumili potęgi Wenecji na morzu, ale jednocześnie utrzymywały ją w jej charakterze wyłącznie morskim.

2) Arabowie nie zawadzali Wenecji. W obrębie Śródziemnomorza istniała jeszcze inna rasa, również obca początkiem swoim tej dzielnicy. Zajmowała wybrzeża Syrii, Afryki i Hiszpanji. Byli to Arabowie, słynący w całej tej dzielnicy pod nazwą Saracenów.

Arabowie, będąc żeglarzami, mogliby ciężko zawadzić na rozwoju Wenecji, Genui i Pizy. Z dawien dawna prowadzili handel na wodach Arabskich i morza Czerwonego, a następnie Perskiego. Morze Śródziemne odpowiadało ich celom. Zajmowali się na jego przestrzeni korsarstwem i próbowali zaborów.

Ale, na szczęście dla miast włoskich, ludy wojownicze północy powzięły myśl zawładnięcia krajami arabskimi w Nadśródziemnomorzu, a raczej tylko wojacy, rycerze, bo warstwy wieśniacze nie szukały nowych ziem na dalekiej obczyźnie. Wyprawy te miały na celu ujarzmienie Arabów, ale nie zabiegały zamiarami swemi tak daleko, ażeby zastąpić rasę arabską przez północną, lub wprowadzić do Śródziemnomorza obce, wyższe żywioły. Krzyżowcy usiłowali najprzód przedostać się na Wschód drogą lądową; ale gdy napotkali tam niezmierne trudności, Wenecja pospieszyła im ofiarować swoje usługi przewoźnicze, a za jej przykładem poszły następnie Genua i Piza. Pomogła Krzyżowcom do owładnięcia portami syryjskimi, ale pod warunkiem, iż będzie ich panią w bardzo znacznej mierze. Tylko Wenecja, a poniekąd Genua i Piza, były w stanie korzystania z tych miejsc pod względem handlowym.

Ludy więc północne nietylko nie tłumili zwierzchnictwa Wenecji nad morzem, ale nadto usunęły dla niej z wód śródziemnych przeszkodę — Arabów. Potęga Arabów na morzu została zdławiona, bo z powodu zamknięcia portów wschodnich handel ich musiał upaść. Pozostali wprawdzie panami wybrzeża afrykańskiego i z tamąd trudnili się korsarstwem. Ale dobrze uzbrojone statki zdołały się bronić przeciw temu niebezpieczeństwu.

3) Bizantyńczycy również nie powstrzymywali wzrostu Wenecji. Przeciw tym strasznym współzawodnikom Wenecja zręcznie skierowała Krzyżowców. Od skutków tego ciosu marynarka cesarstwa Wschodniego nigdy nie podniosła się. Cesarstwo to zmartwychwstało z pomocą Genui i Pizy i w nagrodę oddało im handel na morzu Czarnem, opuszczony przez Wenecjan, lecz potęga morska Bizancjum nigdy nie wskrzesła.

I tutaj znowu oglądamy skutki działalności rycerzy północnych, niezdolnych zarówno do poprowadzenia za sobą tłumów rolniczych, jak i zajęcia się handlem.

4) Słowianie iliryjscy nie tamują potęgi weneckiej. Słowianie ci żyli na wschodnim wybrzeżu Adrjatyku naprzeciw Wenecji. Skorzystali z tego sąsiedztwa, ażeby jąć się korsarstwa i grabić ładunki weneckie, idące przez Adrjatyk. Ale Wenecja posiadała dość siły, ażeby okiełzać tego przeciwnika. Utworzyła na Adrjatyku straż policyjną, zajmując zwolna całe wybrzeże Dalmacji, jednak nie zdołała tam założyć ani jednego portu, któryby mógł współzawodniczyć z macierzą.

Wenecjanie stali się panami wód Śródziemnych. Współzawodniczyły z nimi Genua i Piza, które jednocześnie i za sprawą tych samych czynników spotężniały. Ale już

wspominaliśmy o wyższości Wenecji pod względem położenia geograficznego. A teraz przyjrzyjmy się, jak jej duch handlowy, silniej rozwinięty, nadał jej więź społeczną i polityczną, bardziej odtwarzającą tam typ czysty portów śródziemnomorskich.

Wenecjanie żyli w ustroju spółnictwa rodzinnego. Nie powinno nas to wprawiać w zdumienie. Wyszli ze szczepu południowo-słowiańskiego, którego ustrój rodzinny opiera się na spółnictwie. Już w okresie narodzin Wenecja mogła posiadać tego typu rodzinę ze względu na swe pochodzenie.

Rozwój społeczności weneckiej odbywał się w kierunku czystego typu, właściwego portom śródziemnomorskim. Ale typ ów, gdy spotka spółnictwo rodzinne u swej kołyski, przyswaja ją sobie samorzutnie. Wyprawy handlowe i przewoźnicze, odbywające się w wielkich łodziach i wymagające ludnej załogi, dostrajają się przewybornie do spółnoty rodzinnej i ją ochraniają. Rzeczą tę możemy sprawdzić u nowocześniejszych Greków, którzy, gdziekolwiek osiada, organizują małe spółki przewoźnicze i handlowe.

W dziejach Wenecji często można spotkać wzmiankę o synowcach, tak związanych ze stryjem, jak synowie z ojcem. Zwyczaj ten może zdjąć czytelnika podziwem, ale znajduje wyjaśnienie swoje w zwyczajach spółnoty rodzinnej, w której pod wspólnym zarządem przebywa pewna liczba stadeł małżeńskich tej samej krwi.

„Wille, ogrody, zamki naszych obywateli — pisze dawny kronikarz wenecki — leżą w Dalmacji, Albanji, Romanji, Grecji, Trebizondzie, Syrii, Armenji, Egipcie, na Cyprze, Kandji, Sycylji i w innych krajach. Mieszkają tam lat dziesiątki z synami swymi, synowcami i rodziną“. Fakt ów występuje w tym opisie jako rys oblicza narodowego.

Jacques de Lusignan potrzebował pieniędzy, ażeby zagospodarować się na Cyprze, który rodzina jego otrzymała wzamian za królestwo Jeruzalemskie. Marek Cornaro, kupiec wenecki, ofiarował mu 100 tysięcy cekinów, jako posag swej synowicy Katarzyny, której rękę mu oddał.

A oto inny przykład takiej publicznej łączności stryja z synowcami. Gdy wybrano Mikołaja Marcello, uchwalono, iż póki doża żyć będzie, synowie jego i synowcowie nie mogą piastować żadnego urzędu, ani godności i beneficjum, bądź dożywotniego, bądź czasowego.

Znajdujemy opis spółki rodzinnej w pracy Karola Yriarte'a: *Vie d'un patricien de Venise*¹⁾. Opis dotyczy Marka Antoniego Barbaro, który w wieku XV zajmował w Wenecji najwyższe dostojeństwa. Posiadał dwóch braci; wszyscy trzej wspólnie zbudowali willę Barbaro i zamieszkiwali ją ze swemi dziećmi. Żyli w wielkiej zgodzie, nie dzieląc majątku²⁾.

Mamy pod ręką testament tego możnego Wenecjanina; znajdujemy w nim wyraźne przeświadczenie, że majątek jego przedstawia raczej własność rodzinną niż osobistą. „Najgoręcej pragnę jedności i doskonałej zgody pomiędzy moimi ukochanymi synami (posiadał czterech synów). Niechaj porozumieją się wzajemnie o zachowaniu i zwiększeniu odziedziczonego majątku... na korzyść potomstwa, którego oby nieba im użyczyły“. Oświadcza uroczyście, iż mają „pozostawić te majątki swoim dzieciom płci obojga,

¹⁾ W Paryżu, 1874.

²⁾ tamże, 149, 417.

zrodzonym z małżeństwa z kobietą szlacheckiego położenia, a podległą prawom Najjaśniejszej Rzeczypospolitej“.

W wieku XIV rodzina włoska Salembinich liczyła 16 stadeł małżeńskich, które posiadały wspólnego skarbnika dla zarządu dochodami. W ciągu wielu lat każdy dom otrzymywał rocznie sto tysięcy florenów tytułem udziału we wspólnym majątku.

Ze zdumieniem niejednokrotnie wspominano o olbrzymich salach w Wenecji, Florencji i wielu innych miastach włoskich. Wyjaśnienia dostarcza zwyczaj spółniczy spania obok siebie znacznej liczby osób. Starodawne prawo lombardzkie zabrania spać w tym samym pokoju więcej niż czternastu osobom. We Florencji średniowiecznej ośmiu członków pewnej rodziny pańskiej posiadało tylko jedną izbę.

Jeszcze dzisiaj spółnoty rodzinne istnieją w znacznej części Włoch; w wielu pałacach Wenecji, Rzymu, Florencji, Neapolu mieszkają rodziny, złożone ze znacznej liczby stadeł małżeńskich, żyjących oszczędnie w niepodzielności majątkowej pod kierownictwem wspólnego przodka.

Ale nad spółnotą rodzinną piętrzy się w Wenecji gmina oligarchiczna, co jest zwiastunem ewolucji, zmierzającej ku typowi miasta. Zwierzchnictwo gminy publicznej było naturalnym wynikiem położenia, w jakim Wenecja się znajdowała. Chodziło tam nie tylko o handel, lecz także o nieustanną obronę przeciw wrogom zewnętrznym, a okoliczność ta popierała rozwój władz publicznych.

Wenecjanie, usadowiwszy się wśród lagun, musieli przybrać postawę obronną od chwili założenia miasta, a nawet schronili się na wysepki w celu znalezienia przytułku. W okresie początkowym, każda wysepka powszechnem gło-

sowaniem wyznaczała trybuna, który nazwą swoją wskrzesza w pamięci dostojników ludowych Rzymu. W każdej sprawie powszechnego interesu trybun porozumiewał się z trybunami sąsiednich wysepek pod prezydencją głównego trybuna, obranego przez zgromadzenie. To urządzenie polityczne charakteryzuje dobrze lud, który zgrupował się w komunę miejską.

Z rozkwitem handlu trzeba było go bronić na odległych punktach i ochraniać okręty Rzeczypospolitej, która przywłaszczała sobie dumne miano „pani ćwierci z połową cesarstwa Rzymskiego“ — *dominus quartae et dimidiae partis imperii romani*.

To było pobudką, a może pretekstem do wzmocnienia władzy i czynności gminy publicznej, na której ciąży obowiązek opieki nad obywatelami.

Ale ci handlarze, pochłonięci interesami, obawiali się zawsze, ażeby któryś ze zręczniejszych obywateli z pomocą motłochu nie zagarnął najwyższej władzy. Ta obawa przed monarchją jest zgoła naturalną wśród wolnych miast, w których bogaci, potężni a ambitni kupcy nie napotykają żadnej przeciwwagi, ani nie posiadają rękojmi, jakich dostarcza istnienie ludności osiadłej, wieśniaczej. Spotkaliśmy się z tym faktem w Kartaginie, obecnie odnajdujemy go wśród takich samych warunków w Wenecji.

II.

Warstwa bogatych kupców rozporządza jednym tylko środkiem obrony, a mianowicie nadmiarem ostrożności. Okoliczność ta dostarcza nam klucza do zrozumienia ustro-

ju politycznego Wenecji, tak podejrzliwego i zarazem despotycznego, oraz jego kolejnych przekształceń.

1) Dożowie, mianowani na całe życie, piastują władzę najwyższą. Najstarożytniejszy historyk Wenecji, Andrzej Dandolo, będący dożą w r. 1354, opisuje w sposób następujący bardzo rozległe prawa tego urzędu w jego okresie początkowym: „Doża rządzi sam jeden. Posiada władzę zwoływania zebrań ogólnych w potrzebie gwałtownej, a nawet dla rozstrzygnięcia w doniosłych sprawach. Mianuje trybunów, ustanawia sądy, wyrokuje w sprawach prywatnych zarówno pomiędzy duchowieństwem jak i osobami świeckimi, z wyjątkiem spraw duchownych. Do doży zwracają się z apelacją pokrzywdzeni. Zebrania kościelne odbywają się na mocy rozporządzeń doży. Prałatom udziela doża inwestytury i wprowadza ich na stanowisko“¹⁾. Nadto, aż do wieku XII, doża stał na czele wojsk i spełniał obowiązki głównodowodzącego. Posiadał więc władzę prawie nieograniczoną, jedynie bez prawa zmiany konstytucji oraz z obowiązkiem odwoływania się do wiecu, ilekroć chciał osłonić siebie wolą ludu.

Władzę taką ustanowiono z powodu dwóch wielkich niebezpieczeństw, wywołanych przez osiedlenie się w pobliżu dwóch zagonów barbarzyńskich. W r. 568 Longobardowie opanowali wybrzeże zachodnie Adrjatyku; w roku 626 Słowianie rzucili się na Dalmację, leżącą na wybrzeżu wschodnim tego samego morza.

Godność doży powstała nie odrazu. Poprzedziły ją różne próby; niektóre wysepki uważały za potrzebne zlać

¹⁾ Kroniki, wydanie Muratori'ego, XII.

się i wybrać wspólnego trybuna, bądź radę z 7, 10 i 12 trybunów. Niebezpieczeństwo jednak potężniało, a konieczność związku stawała się bardziej naglącą. Wreszcie postanowiły wybrać „Duka“, na wzór sąsiednich Longobardów i Greków. Pierwszym dożą był Paweł Łukasz Anafesto, 697—717. Udało mu się okiełzać korsarstwo Słowian dalmatyckich, oraz uzyskać zatwierdzenie niezależności Rzeczypospolitej przez Luitpranda, króla Lombardji.

Istnieje jeszcze inne źródło zorganizowania tak silnego a stałego rządu, a mianowicie przybycie nowych zbiegów, uciekających przed Longobardami i Słowianami.

Przybysze zaniepokoiili dawnych mieszkańców. Ci ostatni, tylko z pośród siebie obierając dożę, a nie przypuszczając zbiegów do korzystania z praw politycznych, a tylko cywilnych, spodziewali się tym wybiegiem utrzymać ich w korbach posłuszeństwa.

Gmina powstała ze zjednoczenia dawnych mniejszych grup, które zlały się w jedną pod kierownictwem niewątpliwie samowładnego, ale tylko dożywotniego naczelnika; znalazły w tem zlaniu się obronę na zewnątrz przeciw barbarzyńcom, na wewnątrz — przeciw przybyszom. Ustrój za jednym zamachem stworzył siłę zewnętrzną i spokój wewnętrzny. Wenecji udało się nawet odebrać Dalmację Słowianom i władzą swoją zastąpić tam dawne zwierzchnictwo cesarstwa Greckiego. Doża wenecki dodał do swego tytułu nazwę księcia Dalmacji.

Takim był pierwszy krok na drodze ujarzmienia Wschodu i pierwsza próba zmierzenia się z cesarstwem Wschodniem. Wenecja od postawy obronnej przechodzi do zaczepnej, nie zna obawy, ale sieje ją pomiędzy sąsiadami i szczyci się swoją potęgą. Naówczas warstwa najzamo-

źniejszych kupców zaczyna jako na rzecz zbyteczną patrzeć na władzę bezwzględną doży, oraz podejrzywa jego powagę tak wspaniałą. Stajemy w obliczu przekształcania się władz publicznych.

2) Dożę dożywotniego przestają obierać, władzę jego powściąga Wielka Rada i Senat. Dwunastu pierwszych dożów dopięło tego, iż za ich życia mianowano ich następców; w ten sposób udało się im jak gdyby uwiecznić swe istnienie. W r. 1040 uchwalono, iż wybory będą odbywały się dopiero po skonie dawnego dostojnika. Było to pierwsze wypowiedzenie walki wszechpotędze dożów, ale cios ten dosięgał ją ubocznie.

W roku 1273 ośmielona warstwa najzamożniejszych kupców wywołała rozruchy, w których zginął doża Michał II, i uchwaliła, iż dożowie, od r. 697 obierani na całe życie, przestają być dostojnikami dożywotnimi. Nadto postarano się stworzyć przeciwwagę wpływowi i potędze tego urzędu, mianując Wielką Radę, a powagę państwową rozdzielono pomiędzy oba te urządzenia. Rada składała się z 480 członków.

Senatowi, liczącemu 60 członków, powierzono władzę administracyjną, a senatorów wybierali z pośród siebie członkowie Wielkiej Rady. Kandydat na senatora musiał liczyć co najmniej 40 lat wieku. Wielka Rada była zarodkiem arystokracji weneckiej.

Na pierwszy rzut oka obie te nowe instytucje świadczą o zgoła naturalnej chęci ograniczenia władzy dożów. Ich działalność daje nam pojęcie o zręczności, jaką ci kupcy musieli rozwinać dla zachowania niestatecznego charakteru władzy, wciąż gotowej wymknąć się im z rąk. Jest to

rys charakterystyczny stanu społecznego, właściwego wielkim miastom handlowym.

Osiągnięto znaczny rezultat, ograniczając władzę doży. Trzeba jeszcze było zapobiedz wyłonieniu się z pośród Senatu lub Wielkiej Rady nowej władzy, również groźnej. Dla zapobieżenia temu uchwalono, iż członkowie obu tych ciał będą mianowani tylko na rok jeden. Poddając ich corocznym wyborom, żywiono nadzieję, iż w ten sposób nie uda się im pozyskać zbyt rozległej powagi.

W dalszym ciągu, same wybory najeżono tylu formalnościami i trudnościami, tak licznemi a zarazem szczegółowemi, iż niepodobieństwem stała się dla kandydatów wszelka intryga, dla głosujących zaś — porozumienie się i ustalenie wyniku głosów swoich.

A oto mechanizm, z którego pomocą Wielka Rada mianowała różnych dostojników Rzeczypospolitej. Zebranie, drogą wybalotowywania, wybierało z pośród siebie 36 wyborców; ci również tą samą drogą ulegali usunięciu, aż póki nie pozostało dziewięciu. Tych dziewięciu ciągnęło losy, rozstrzygające o ich hierarchji. Pierwszy obsadzał urzędy wakujące, potem drugi aż do dziewiątego. Ale te mianowania nie były ostateczne. Trybunał ów poddawał kandydatów balotowaniu, aż póki któryś nie otrzymał większości sześciu głosów. Zostawał on wybrany na pierwszy urząd. Powtarzało się to aż do obsadzenia wszystkich urzędów. Ale Rada była tego zdania, iż wybór tego rodzaju przedstawia jeszcze małą rękojmię. Dlatego ów kandydat główny uchodził tylko za poleconego kandydata. Na scenę występowało 27 wyborców wyrugowanych na początku akcji; podzieleni na trzy grupy, kolejno wymieniali na ten sam urząd nowego kandydata. W ostatecznym rezultacie istniało aż

czterech kandydatów na ten sam urząd. Wszyscy członkowie Wielkiej Rady głosowali naówczas na poleconych kandydatów, i obranym był ten, kto otrzymał najwięcej głosów. A należy o tem nie zapominać, iż wiele z tych czynności posiadało znaczenie podrzędne, a niektóre urzędy były jedynie honorowe.

Naturalnie, podczas wyboru doży, przedsiębrano jeszcze więcej ostrożności. Oto ich zarys:

Najmłodszy członek rady udawał się na modlitwę do bazyliki i powracając do pałacu dożów, zabierał ze sobą pierwsze spotkane dziecko. Stawało się ono t. zw. *bolletino*, t. j. wyciągało z urny gałki wyborcze. Cała Wielka Rada zbierała się i rozpoczynała od wyłączenia z pośród siebie wszystkich członków, nie posiadających trzydziestu lat skończonych. Rzucano do urny tyle gałek, ilu pozostało członków, lecz tylko trzydzieści gałek nosiło napis: *Elector*. Trzydziestu radców, którzy wyciągnęli te gałki, pozostawali w sali i ciągnęli na nowo losy, z których tylko 9 miało na sobie powyższy wyraz. Tych dziewięciu wyborców, wyznaczonych przez przypadek, mianowało od siebie 25 radców, z których każdy musiał otrzymać przynajmniej siedm głosów z pośród dziewięciu. Radcowie ci zostawali następnie uszczupleni do liczby dziewięciu sposobem, powyżej przedstawionym. Wybierali oni znowu 45 członków, z których, z pomocą wybalotowania reszty, pozostało 11. Jedenastu tych powołanych mianowało jeszcze nie dożę, ale 41 nowych wyborców, którzy dopiero zgromadzali się, ażeby większością przynajmniej 25 głosów obrać najwyższego dostojnika. W roku 1553 uznano, iż nawet te wszystkie formalności nie dają jeszcze dostatecznej rękojmi. Zażąda-

no, ażeby ostatecznych 41 wyborców zatwierdzała głosowaniem Wielka Rada w swym całkowitym składzie.

Czterdziestu jeden wyborców zamykano w konklawe; nie wolno było wyjść z tamtąd, póki doża nie został obrany, co niekiedy ciągnęło się tydzień i nawet dwa tygodnie. Według ustawy, każdy wyborca, cokolwiek zażądał, otrzymywał, ale jednocześnie dostarczano ten sam przedmiot wszystkim pozostałym. Razu pewnego, któryś, dla rozrywki, zażądał *Bajek Ezopa*, sekretarz musiał wyszukać w mieście 41 egzemplarzy tego dzieła. Inny zażądał różańca, inni również otrzymali ten przedmiot ¹⁾).

Podczas głosowań w Senacie i Wielkiej Radzie dzieci noszą urnę i ciągną gałki; zmieniano tych małych dostojników trzy razy do roku. Nieufność i podejrzliwość kazały przywołać dzieciaków do pomocy, a jednak im nawet nie dowierzano!

Tak złożony system wyborów pochłaniał dużo czasu. Wielka Rada poświęcała na odpowiednie czynności aż 50 posiedzeń.

Ale i te ostrożności jeszcze nie wystarczały. Osoby, wybrane na różne godności przez Senat i Wielką Radę, zmieniano co pół roku, co rok, lub co dwa lata, odpowiednio do urzędu. Usiłowano zapobiedz, ażeby szczodrością swoją nie stworzyli zwolenników. Podejrzliwość w zakresie zarządu sprawami ludzkimi chyba nigdy nie zaszła tak daleko!

¹⁾ Leopold Conti: *Mémoires historiques sur le gouvernement de Venise*. Yriarte, l. c., 241. Cantù, *Hist. univ.* XI, 11.

Rząd wenecki jest kopją straszego Senatu kartagińskiego. Hołduje tak samo zasadom inkwizycji, ciągle go podejrzewają i sam innych podejrzewa, znajduje się ciągle w trwodze i innych trwogą zdejmuje.

3. Zostaje ustanowiona Komisja wykonawcza, mająca rozciągnąć kontrolę nad dożą. Składała się z 6 patrycjuszów, wyznaczonych przez Senat na podstawie głosowania Wielkiej Rady za pośrednictwem opisanego już a złożonego procederu. „Mieli prawo strofować dożę, a będąc jego pomocnikami, byli zarazem dozorcami. Doża nie mógł nikomu udzielić posłuchania, roztrząsać jakiegokolwiek materji, pisać lub dyktować listu w sprawach publicznych bez obecności przynajmniej czterech tych kontrolerów. Rozciągali nad nim kontrolę niekiedy aż do jego mieszkania prywatnego“ ¹⁾. Nazywano ich *pregadi* („uproszeni“), bo ich poprzednikami było sześciu szlachejnych obywateli, których doża z własnej inicjatywy prosił o asystencję. Doża, *pregadi* i nadto jeszcze trzech dodanych urzędników, stanowili władzę wykonawczą, czyli t. zw. Signorję.

4. Doża zostaje pozbawiony władzy sądowej. Oddano ją specjalnemu trybunałowi, wybieranemu w sposób bardzo złożony i troskliwie strzeżonemu, a zwanemu *Czterdziestką*, ponieważ zawierał 40 członków. Pozbawiono dożę wszystkich władz jego: był on jedynie narzędziem w ręku najzamożniejszych obywateli.

Wreszcie pozostaje do zaznaczenia ostatnie a konieczne ogniwo całej ewolucji. Oligarchja bogatych kupców

¹⁾ Yriarte, l. c., 34.

jedynie swoim członkom otwiera dostęp do Wielkiej Rady i Senatu.

W początkach cały lud, za pośrednictwem dwóch szczebli wyborczych, obierał senatorów. Zrobiono wybory coraz bardziej zawikłanemi, aż wreszcie lud przestał pojmo- wać własne czyny i powoli przyzwyczajał się do tego, iż usunięto go od uczestnictwa w akcji obierania Wielkiej Ra- dy; już w początkach wieku XIV ciało to wyznaczało uzdol- nienia, zasługi, majątek, na których podstawie zapisywano kogoś na lat 25 do listy Wielkiej Rady. Było to ostateczne a stanowcze dzieło arystokracji weneckiej; lista jej była wniesiona do specjalnego rejestru sławnej Księgi Złotej. Odtąd faktycznie wszelkie wybory ustają. Arystokracja była zwierzchniczką rządów, miała w rękach swych Dożę, Wielką Radę i Senat, bo to ostatnie ciało było wybierane z pośród Wielkiej Rady przez nią samą. Niebawem, w r. 1315, zam- knięto Księgę Złotą, uchwalając, iż Wielka Rada będzie składała się jedynie z potomków tych, których nazwiska już wniesiono.

Trzeba było jednak utrwalić to stanowisko uprzywile- jowane, spoczywające na tak kruchem oparciu. Odwołano się do despotycznej formy rządów.

III.

Nie zapominajmy o tem, cośmy powiedzieli z powodu Kartaginy, a mianowicie, iż zasadniczym rysem miast han- dlowych jest niestateczność: człowiek tam nie wrósł ani w ziemię, ani nie przywiązał do siebie podwładnych, nawet same majątki, oparte na handlu, nie są trwałe. Każde dą-

żenie do stworzenia na trwałe uprzywilejowanego położenia dla którejkolwiek kategorii obywateli napotyka przeszkody w samem ukształtowaniu stosunków. Jest ono, t. j. takie położenie, dziełem sztucznem, gotowem rozpaść się każdej chwili, trzyma się zaś tylko z pomocą sztucznych środków, jak opisane systemy wyborcze. Ale i te środki nie na długo starczą. Pozostaje jedno — odwołać się do despotyzmu.

Despotyzm oto ostatnie a konieczne ogniwo rozwoju tego typu społeczności.

Ażeby podołać wzrastającym trudnościom, despotyzm wzrasta z roku na rok, gdyż czas, który utrwała rzeczy naturalne, osłabia utwory sztuczne.

Konieczność ta nie omieszkała się ujawnić. W r. 1310 doszło do spisku ludowego pod kierownictwem Bajamonte Tiepolo, brata poprzedniego doży, i kilku zamożnych kupców, dla których zamkniętą była Księga Złota arystokracji, a więc i uczestnictwo w Radzie Wielkiej i Senacie. Spiskowcy usiłowali owładnąć pałacem dożów, ale zostali pokonani. Arystokracja wygrała sprawę. Ścięto głowy spiskowcom. Wtedy to (r. 1315) ogłoszono, iż Księga Złota jest na zawsze zamkniętą.

Ażeby napędzić strachu i zapobiedz nadal podobnym spiskom, partja arystokratyczna urządziła specjalną radę, zaopatrzoną w nieograniczone pełnomocnictwa ¹⁾, „dla duszenia i karania zdrady stanu“, t. j. zamiarów, zwróconych przeciw arystokracji, która przywłaszczyła sobie te prawa.

¹⁾ A. Baschet: *Hist. de la Chancellerie secrète de Venise*, 520.

Była to sławna Rada Dziesięciu ¹⁾.

Pierwotnie mianowano tę sławną instytucję tylko na dwa miesiące, ale logika rzeczy, znaglająca rząd wenecki do podejrzewania każdego, do nieustającej postawy obronnej i do siania postrachu, zamieniła ją na urządzenie trwałe, niezbędne dla dobra Rzplitej, *concordiae et quietis publicae tenacissimum vinculum*. Dotrwała do upadku Weneccji w r. 1797.

Wielka Rada dokonywała wyborów Rady Dziesięciu z bardzo drobiazgowymi formalnościami. Wymagano aż czterech obrotów skrutynjum. Członkowie piastowali godność swoją tylko rok jeden, a na rok następny nie wolno było ich powoływać. Środki te świadczą o obecności ciągłej obawy, która stanowi treść i sprężynę tego rodzaju rządów.

O tem także świadczy działalność tego trybunału inkwizycyjnego. „Na każdym posiedzeniu wyjmowano denuncjacje i skargi, włożone do tajemniczej skarbonki *Ustallwa*, znajdującej się poza obrębem sali trybunału“ ²⁾. Nigdy nie robiono naocznej stawki pomiędzy oskarżonym a świadkami, badano go niekiedy wśród mroku. Od wyroku nie było apelacji. A kary były po większej części bardzo straszne: ciemne więzienie, powieszenie pomiędzy kolumnami św. Marka, odcięcie ręki lub głowy, uduszenie ³⁾. Najbar-

¹⁾ Bartolomeo Cecchetti (Sull'instituzione Dei Magistrati della Republica Veneta) mniema, iż Rada Dziesięciu istniała już wcześniej, a tylko otrzymała teraz rozleglejsze i dokładniejsze pełnomocnictwa.

²⁾ A. Baschet, l. c., 533.

³⁾ *ibid.*, 535.

dziej przerażającą była kara śmierci, tajemniczo dokonana. Rota jej brzmiała: „Skazany X. ma być tej nocy poprowadzonym do kanału Orfano, przedstawiciel sprawiedliwości ma związać mu ręce, zawiesić ciężar do ciała i wrzucić go do wody. Winien on tam umrzeć“.

Rada Dziesięciu posiadała własne więzienia, *camerotti*, nadto jeszcze miała t. zw. *pozzi* i *piombi*, t. j. studnie i ołowianki.

Trzech inkwizytorów, wchodzących do składu Rady Dziesięciu, służyło w charakterze inicjatorów i zarazem stróżów straszego trybunału. „Słusznie spoglądano na ten urząd ze strachem. Jak największa tajemniczość otaczała ich procedurę. Rozporządzali nieograniczonymi pełnomocnictwami, interes państwa doprowadzał ich do najstraszniejszych środków jako i najokrutniejszych konieczności. Zdaniem jednych, trybunał ów był tyranją, według innych—ocaleniem Rzplitej“¹⁾. Obie strony mają słuszność: rozpatrywany typ społeczny znajduje ocalenie jedynie w tyranji, która przedstawia niezbędne ukształtowanie władz publicznych. Dlatego to Rada Dziesięciu i jej inkwizytorowie zniknęli dopiero z upadkiem Wenecji. Na tym rządzie ciążyła fatalność — musiał stawać się coraz despotyczniejszym, a postęp ów uwydatnia się przewybornie we wzrastającej liczbie procesów politycznych, wytoczonych przez Radę Dziesięciu. Według dokumentów archiwalnych Wenecji wytoczono 73 procesów w latach 1573—1600, 554 w latach 1600—1700, wreszcie 646 w latach 1700—1773. Co

¹⁾ *ibid.*, 502.

za cyfry mielibyśmy przed sobą, gdyby ustrój ten przetrwał kilka wieków dłużej!

Z roku na rok władza Rady Dziesięciu wzrastała, a wszystkie urzędy chyliły się kornie przed dostojnikami, trzymającymi w swych rękach życie każdego obywatela. W nieobecności tej Rady doża nie mógł dawać posłuchania ambasadorom, ani odbierać listów ani w ogóle przedsiębrać jakiegokolwiek sprawy. Nawet „nie miał prawa odpowiedzieć tak lub nie, nie zasięgnąwszy zdania swoich doradców. Zabraniano mu używać jakiegokolwiek tytułu, prócz Pana Doży; poza obrębem państwa nie wolno było mu posiadać lennictwa, czynszu, dzierżawy lub nieruchomości, ani bez przyzwolenia wydawać córek swoich za cudzoziemców. Nikt, aż dopiero po upływie roku, z pośród osób, które od niego otrzymywały zarobek, nie mógł piastować urzędu. Zabroniono mu wydawać więcej nad tysiąc liwrów na przyjęcie ambasadorów; ani on, ani żona i dzieci nie mieli prawa brać jakichkolwiek upominków“ ¹⁾. Nawet nie wolno było doży i jego synom opuszczać obrębu miasta. Starczyło, ażeby poparł jakiś projekt, a już go odrzucano.

Czyż istniał kiedykolwiek ustrój polityczny, sztuczniejszy, dowolniejszy i despotyczniejszy? A, co ciekawsza, istniał tylko za taką cenę. Nie ludzi, lecz logikę rzeczy trzeba za to pociągać do odpowiedzialności.

Z chwilą stworzenia takiego ładu, arystokracja wenecka stara się porzucić handel i oddać się wyłącznie sprawom publicznym. Tego rodzaju ustrój państwowy nie zachęca do pracy osobistej, a natomiast wdraża obywatela do

¹⁾ César Cantù: *Hist. universelle*, XI, 244.

czepiania utrzymania z funduszu ogólnego; zwłaszcza w Wenecji, bogatej a zamożnej, posiadającej niezmiernie wpływy, panującej nad częścią Nadśródziemnomorza, wyzyskującej ją z pomocą danin. Czemuż, posiadając władzę, nie zachować sobie na wyłączny użytek dostojęństw rządu różnych czynności publicznych, skoro i w ten sposób można na wzór prokonsulów rzymskich robić fortunę, nadto jest się niezależnym od kaprysów handlu? Nikt nie zdoła się oprzeć takim uroczym widokom, zwłaszcza gdy otoczenie przygotowało go do upadku. Po tej pochyłości staczają się wszystkie rozpatrywanego typu społeczeństwa.

Arystokracja wenecka, zamknąwszy dostęp do Księgi Złotej i zorganizowawszy się jako kasta, przywłaszczyła sobie wyłączny przywilej piastowania funkcji publicznych. Handel pozostawiono warstwie, która, wyszedłszy z łona ludu, dosięgnęła zamożności, ale samo urodzenie skazywało ją na trzymanie się zdaleka od władzy.

Lecz arystokracja jedynie z najwyższą trudnością broniła swego położenia. Zawierała w sobie dwa źródła niemocy:

Po pierwsze, przedstawiała całość rozstrzeloną, dowolnie ułożoną z różnych części składowych. Nie opierała się na ziemi, jak arystokracja feudalna, nie posiadała żadnej siły osobistej i rzeczowej poza obrębem urzędów, które sobie przywłaszczyła i o które walczyła.

Powtóre, była instytucją zamkniętą. Raz na zawsze ograniczyła zawartość swoją, a odtąd nie wchłaniała nowych pierwiastków, nie wzmacniała siebie, nie szukała nowych a wyższych i zdrowszych soków z pośród mieszczaństwa i ludu. Nie korzystała, jak patrycjat rzymski, z wsia-

kania przybyszów świeższej krwi, podtrzymujących związek pomiędzy patrycjatem a warstwami pracowitemi. Usiłowała utrwalić istnienie swoje z pomocą sztuki, a mianowicie zręczności politycznej i siły zbrojnej. Środkami temi zawsze posługują się ci, którzy nie mają po swojej stronie naturalnej logiki rzeczy.

IV.

Powątpiewam, ażeby któryś z ludów posunął dalej zręczność polityczną i sztukę dyplomatyczną. Pomimo jej uroku, nie miałem właściwego pojęcia o jej doniosłości, zanim nie przeczytałem pracy A. Bascheta.

Rozpoczniemy od dostarczenia obrazu rzeczowego tej doniosłości. Poweźmiemy o niej pojęcie, gdy unaocznimy sobie, iż jedynie korespondencja ambasadorów w archiwum weneckiem przedstawia olbrzymią bibliotekę. Depesze ambasadorów z Konstantynopola zajmują 242 tomów, w tej liczbie 54 dotyczy wieku XVI; na ambasadę we Florencji przypada 68 tomów, francuską 276; niemiecką 292; korespondencja z Anglią, krajem tak odległym, wynosi 139 tomów; z Rzymem — 311 tomów i t. d. Zbiory te rozpoczynają się dopiero od wieku XVI. A przecież Wenecja posiadała już wcześniej ambasadorów. „Odkiedy Wenecja zajęła tak jedyne w świecie stanowisko, pchające ją na tory przygód morskich, odkiedy zdolności wykrętne jej obywateli poświęciły się tranzakcjom handlowym, odkiedy, słowem, wyłoniła się z pośród wód, natychmiast zaczęła uprawiać stosunki międzynarodowe z większem zamiłowaniem niż

którykolwiek inny lud. Kroniki mówią o *Delegati Veneziani* w Konstantynopolu od w. VI.“¹⁾

Możemy z całą słuszością twierdzić, iż „Wenecja stworzyła i swoim znamieniem namaściła umiejętność świeżą dyplomacji. Żaden lud nie posiadał prawidłowej zorganizowanej dyplomacji z zakresem działalności tak wytkniętym. Możemy rzec, iż przechodziła w spadku na mocy tradycji, uwieczniającej środki, fortele, barwy, sposoby, samą metodę“²⁾.

Wenecja była istotną szkołą ambasadorów. Instrukcje, udzielane posłom (najcharakterystyczniejsze okazy mam pod ręką), odznaczają się niezwykłą ścisłością, dokładnością i zręcznością, i to już od w. XII! Posłowie, bez względu na odległość, powinni byli co tygodnia wysyłać sprawozdania przez specjalnych kurjerów. Jedna z tych depesz, wysłana z Blois d. 7 lutego 1509, z miasta, w którym naówczas rezydował dwór francuski, przybyła do Wenecji rano 14 lutego, t. j. znajdowała się w drodze tylko dni siedem. Takie sztafety i przepręgi Wenecja urządziła wzdłuż wszystkich najważniejszych gościńców.

Ale depesze były narażone, zwłaszcza podczas wojny, na to, że ktoś mógłby je przejąć. Ambasadorowie więc posługiwali się kluczem, który wręczano im w chwili opuszczania Wenecji. Po otrzymaniu depeszy odsyłano ją do sekretarza urzędu szyfrowego, ci zaś przekładali ją natychmiast i tłumaczenie zamieszczali na arkuszu dodatkowym, następnie włączanym do oryginału.

¹⁾ A. Baschet, 270.

²⁾ A. Baschet, 319.

Za powrotem swoim, ambasador zapisywał swe nazwisko w rejestrach urzędowych pałacu książęcego. Winien był w ciągu dwóch tygodni ułożyć sprawozdanie, które odczytywał z mównicy przed obliczem Senatu. A nadto w Signorji składał rachunek wydatków ¹⁾.

W jednym ze starych rękopisów włoskich, znajdujących się w bibliotece w Siennie, czytamy ciekawy sąd autora, zdaje się nuncjusza Stolicy apostolskiej: ²⁾ „Na zgromadzeniu Senatu są odczytywane wszystkie listy, pisane do Rzeczypospolitej, zwłaszcza listy ambasadorów weneckich, którzy są rozproszeni po całym świecie i co tydzień zawiadamiają Rzeczpospolitą o wszystkich czynach, ruchach i zamiarach książąt. A ten uchodzi za najlepszego dostojnika i najbardziej oddanego poddanego, który najwięcej czyni zabiegów dla odkrycia tajemnic... Rozpisuje się o przymiotach, interesach, rodzinie i przyjaciółach książąt... Słowem, Senat wenecki wziął sobie za zadanie otrzymywania tygodniowych wiadomości za pośrednictwem listów swoich posłów, które zazwyczaj odczytuje co sobota, o stanie świata i władców“.

Oto dyplomacja roztropna i dobrze urządzona! Dla należytej jej oceny należy odczytać same depesze. Niewątpliwie są najważniejszym źródłem wiadomości o życiu społecznym wieków średnich, o ile można wnioskować z ogłoszonych dotychczas dokumentów. Iskrzą się żywym stylem,

¹⁾ A. Baschet, 306.

²⁾ *Relazione dello stato etc. di Venezia*, Bibl. Sienneńska, kodeks K. K., 18, str. 46.

polecano bowiem ambasadorom w formie bezpośredniej odtwarzać rozmowy, jakie z kimkolwiek toczyli ¹⁾.

Dla zasięgnięcia języka, ambasadorowie nie pogardzają najmniejszym szczegółem, źródłem informacji; nawet interwiewy reporterów nie zachodzą dzisiaj dalej. „Nie przestaję—pisze jeden z ambasadorów—na jednym lub dwóch pośrednikach, ale korzystam ze wszelkich dróg i używam osób, które otaczają króla i podają mu potrawy i napoje“ ²⁾.

Inny poseł, Andrzej Trevisano, tak rozpoczyna depeşe swoją z d. 19 kwietnia 1516: „Wasze Ekscelencje członkowie Signorji, ambasadorowie, znajdujący się przy boku książąt, powinni swemu rządowi nietylko przytaczać ich słowa, ale także wyraz ich twarzy, a to ażeby z większą rozwagą rząd mógł kierować sprawami swemi i lepiej rozumieć bieg własnych interesów. A więc muszę donieść, że“... ³⁾.

A. Baschet, jak większość historyków, podziwia taki rząd i taką dyplomację. Co za wielkość! mówią oni. Przeciwnie, co za niemoc! Wenecja tylko dlatego, iż rozumiała słabość swoją, potrzebowała ją powetować tym nadmiarem zręczności politycznej i dyplomacji. Jak słabem jest społeczeństwo, istniejące za taką cenę! Ustrój taki jest obcy silnym z natury, zdrowym społeczeństwom, w których oddzielne części sprawiają się dobrze a naturalnie. Jest to

¹⁾ Ob., jako wzór, depesze u A. Bascheta, 398—400.

²⁾ *Papiers du Conseil de Dix* (Dépêches des ambassadeurs France) u Bascheta, 560.

³⁾ Baschet, 560.

raczej stan chory, kiedy lekarze i nieustające sztuczne środki winny utrzymywać złożonego niemocą. Takie leczenie niewątpliwie wymaga wielkiej nauki. Podziwiajcie tę naukę, tylko nie twierdźcie, iż na tem polega higjena społeczna, a zwłaszcza nie narzucajcie zdrowemu narodowi tego ustroju nieufności. Istnieje coś wyższego nad politykę Macchiavell'ego, a mianowicie możność obejścia się bez niej. Włochy obecne zrozumiały tę prawdę za drogą cenę.

Drugim środkiem powstrzymania wrogów zewnętrznych była siła zbrojna. „Arsenał — pisze dawny historyk, sieur de Saint-Didier—składa najwymowniejsze świadectwo o potędze Wenecji i w zdumienie wprawia cudzoziemców. Jest to fundament siły państwa“. Urządzenie to było zawsze przedmiotem zawiści ze strony Turków. Ku schyłkowi w. XV, według jednego z współczesnych, arsenał zatrudniał 16,000 robotników i 36,000 majtków. „Przed paru laty—pisze w r. 1603 Alfons della Cueva—wyszło z arsenałów jednocześnie 116 galer. Posiada rynsztunek na uzbrojenie 150 statków i 200 tysięcy wojska“¹⁾.

Liczba ta żołnierzy byłaby nieprawdopodobną, gdyby, na wzór Kartaginy i z tego samego powodu, Wenecja nie zaciągała do wojsk swoich cudzoziemców, zwłaszcza Szwajcarów i Dalmatów. I tak samo jak Kartagina, roz-
taczała troskliwą kontrolę nad generałami, nieufność bowiem stanowi wielką sprężynę rządu kupców i polityków posepnego znaku... „Rząd Wenecji, ażeby rządzić, dzieli; jak obok doży stworzył radę, któraby go kontrolowała i udzie-

¹⁾ *Rélation d'État, des forces et du gouvernement de la République,—faite au roi catholique Philippe d'Autriche.*

łała mu wskazówek, tak samo nigdy nie powierza władzy bezpośredniej któremukolwiek jednemu z pośród swych obywateli. W armji i w marynarce jedność dowództwa jest nieodwołalnie potrzebną, jednak przy boku głównodowodzącego umieszcza głównego prowedytora, który reprezentuje główną powagę, miarkuje wodza i ma nań oko. Tak przestrzegają tej zasady postępowania, iż wcielili ją w całym ustroju rządów; wszędzie zrównoważenie wpływów istnieje i działa".¹⁾

W razie przegranej, Wenecja oddawała wodzów pod sąd i niekiedy wtrącała ich do więzienia, jak np. admirała Wiktora Pisaniego po potyczce pod Polą w wojnie przeciw Genui.

Najstraszniejszy ustrój państwowy zaciążył nad spółnictwem rodzinnem. A jednak za jego sprawą Wenecja uniknęła losów Genui i Pizy, które, obawiając się anarchji pomiędzy możnymi, wpadły w ręce jednego pana, a później dostały się mocarstwu ościennym. Ten ustrój dowolny a sztuczny jest nieodzownym warunkiem trwania społeczności rozpatrywanego typu.

Wenecja upadła pod ciosami z zewnątrz.

Wenecja przedsiębrała wszystkie środki, doradzane przez zręczność polityczną dla zapobieżenia skutkom niemocy społecznej. Ale nic nie mogła podolać przeciw rozprężeniu i sztuczności swego ustroju społecznego. Jej niemoc organiczna, tak samo jak i Kartaginy, ujawniła się w nieudolności stworzenia trwałego państwa kolonialnego. Jej osady, pokrywające Nadśródziemnomorze, przedstawia-

¹⁾ Yriarte, t. c., 316.

ły tylko kantory; z pomocą kolonizacji nie siadano w sposób trwały a stateczny na glebie; nie dbano o przynoszenie pożytku krajowi, nie przywiązywano do siebie krajowców, za pośrednictwem handlu wyzyskiwano ich niezwłocznie a bezwstydnie. A nadto narzucano im twarde i podejrzliwe rządy macierzy.

Jakie były tego skutki? Gdy Turcy owładnęli Konstantynopolem (1454), zakony zaś rycerskie przestały ochraniać handel wenecki, Wenecja niebawem musiała ustąpić swą władzę kolonialną państwu Otomańskiemu, które rozporządzało żeglarzami pochodzenia greckiego. Z tych olbrzymich obszarów, na których obozowała, usunięto jej obozy.

Odkrycie Indji Zachodnich, oraz drogi morskiej do Indji Wschodnich dokoła przyłądka Dobrej Nadziei zadało Wenecji cios ostateczny.

Turcy ludom nadśródziemnomorskim odebrali wody Śródziemne.

Odkrycie Nowego Świata i przyłądka Dobrej Nadziei pozbawiło Nadśródziemnomorze jego przywileju — handlu wszechświatowego.

Pomyślność rzeczypospolitych wyłącznie handlowych zależy od prostej zmiany drogi, po której ciągną ludzie i towary. W tem spoczywa źródło ich niemocy.

Dzisiaj Wenecją interesują się tylko turyści.

Zbadanie portów morskich w obrębie wód Śródziemnych pozwoliło nam wykazać, w pasmie wieków, ciągłość typów społecznych.

Ale zarówno typ doliny, jako i portów morskich, nie dostarczają nam jeszcze całkowitej znajomości ludów Nadśródziemnomorza. Winniśmy nadto poznać typ trzeci, górali, żyjących na płaskowzgórzach.



ROZDZIAŁ IV.

D r o g a p ł a s k o w z g ó r z y.

TYPY: ALBAŃSKI I HELEŃSKI.

I.

Dolina, port i płaskowzgórze — oto trzy odmienne a jednocześnie nierozłączne organizmy społeczne w Nadśródziemnomorzu, wywierające wpływ na siebie wzajem.

Dolina zrodziła typ rolniczy, port — żeglarsko-handlowy, wreszcie płaskowzgórza — typ wojaka, który zawsze, lecz zwłaszcza w starożytności, oddziaływał na dzieje.

Winniśmy wyznaczyć stosunek wzajemny tych trzech pierwiastków.

Rdzeń półwyspu bałkańskiego, będący ojczyzną Greków, a mianowicie Tesalja i Helada, czyli północna dzielnic Grecji, przedstawia powierzchnię, wznoszącą się stopniowo w kierunku od wschodu na zachód. Najsławniejsze porty

leżą wdłuż brzegu wschodniego; w głębi wybrzeża, przedstawiającego rąbek ze skały i pokładów napływowych, ciągną się doliny, błotniste w dolnych częściach swoich, zaludnione zwłaszcza w częściach środkowych; poziom ich tam leży pomiędzy poziomami morza a podnóża gór; bagniska ujść rzek raczej osłaniają je i odcinają od morza, niż otwierają. Poza dolinami, aż do wybrzeża zachodniego, idą góry. Jest to dzielnica płaskowzgórza.

W zasadzie więc porty leżą na wschodzie, doliny w środku, a płaskowzgórza na zachodzie.

Wzór ten, zawsze zgodny z rzeczywistością w wielu punktach, doznaje urozmaicenia w zastosowaniu do ogółu: niekiedy mamy do czynienia tylko z pewną odmianą, ale istnieją także zupełne zboczenia. Rozmieszczenie to zwłaszcza zarysowuje się w całej pełni w Tesalji. Dzielnica ta przedstawia interes jeszcze pod innym względem, a mianowicie była miejscem osiedlenia się Pelazgów na półwyspie greckim. Pelazgowie osiadali przede wszystkim w urodzajnych dolinach. Tesalja zaś należy do najwspanialszych dolin na Bałkanach. Ztąd, z tej doliny, promieniowała starożytna historia Grecji od Jupitera do Aleksandra W.

W Tesalji istnieją wszystkie trzy pierwiastki społeczne, właściwe Nadśródziemnomorzu, a więc dolina, port i płaskowzgórze.

Wybrzeże wschodnie oddzielają od doliny góry Olimpu, Ossy, Pelionu, bagna jeziora Karla i krańce góry Othrys. Nawet port, znajdujący się na tem wybrzeżu, leży poza obrębem doliny; port ten Volo jest dzisiaj dość uczęszczany, w starożytności zaś słynął pod nazwą Jolchosu i znany jest z dziejów wyprawy Argonautów; leży w głębi

zatoki Volo, noszącej ongi charakterystyczną nazwę zatoki Pelazgijskiej.

Wewnątrz łądu ciągnie się dolina rz. Salambu, dawnego Penejosu, szeroka, okrągła przestrzeń pomiędzy wzniesieniem wybrzeżnym a górami łądu. Łączy się z morzem przez wąski przesmyk, który wody gwałtownie wyżłobiły, szukając sobie wyjścia. Miejsce to daje się z tą samą łatwością obronić, jak przejście Termopilskie.

Wreszcie na zachodzie wznosi się płaskowzgórze, wielkie a rozgałęzione pasmo górskie Pindus ze swemi odnogami, które pogrążają się w wody Adrjatyku i od Pindus idą wachlarzowato na południe i na północ, od zatoki Korynckiej do grzbietu Czarnogórskiego.

W tej to rozległej dzielnicy górzystej odnajdujemy górala Albańczyka, przewybornie zakonserwowanego a pozwalającego nam odtworzyć oddawna wygasłe typy.

W chwili obecnej Albańczyk jest najczystszy okazem typu płaskowzgórzy nadśródziemnomorskich.

Góry Pindus przechowały dotychczas typ czysty Nadśródziemnomorza, ponieważ zaludnione zostały za pośrednictwem drogi nadśródziemnomorskiej, a nawet inaczej nie mogły być zaludnione. Szlak, idący z wnętrza łądu od północy, napotkał Bałkany i Alpy. Wielka ta zawada, ciągnąca się od morza Czarnego do Adrjatyku, w ciągu wieków osłaniała półwysep heleński od ludów, idących od północy. „Na południe od wielkiej zawady górskiej — pisze Reclus — wymiana pierwiastków etnicznych pomiędzy Europą a Azją mogła uskutecznić się tylko drogą morską. Ludy, o tyle posunięte, iż posiadały sztukę budowy okrętów, mogły jedynie korzystać z tej drogi. Fale wychodźcze nigdy nie mogły być dość znacznymi na skutek trudności podróży

morskich i zaopatrzenia statków w załogę. Alpy i ich przedmurza, od Pindu do Karpat, oddzielają sobą dwa odmienne światy, a dzieje ich z konieczności winny były być różne... Albańczycy są potomkami dawnych Pelazgów w najprostszej linii¹⁾.

Kiedy ku schyłkowi cesarstwa Rzymskiego powodzie ludów północnych zdołały przedostać się przez Bałkany i Alpy dynarskie, ludy półwyspu znalazły przytułek w górach. Okoliczność ta tłumaczy nam, jakim sposobem typów zdołał aż do dni naszych zachować czystość swoją. Typ albański rozciągał się wzdłuż i wszerz całej tej dzielnicy górskiej i nawet dosięgał, trzymając się Adrjatyku, aż Ilirji. Ale najazdy słowiańskie wyrugowały go z dzielnic północnych, od południa zaś nowocześni Grecy, siedzący w dolinach i w portach; nadto wsiąkały żywioły słowiańskie i włoskie, które, osaczając Pindus, pasły swe trzody w najurodzajniejszej i najdostępniejszej części gór, w Akarnanji czyli Etolji.

Albanja zawartą jest pomiędzy zatoką Arta i rzeką tego samego nazwiska (wody jej biorą początek w górach Pindu), grzbietem Pindu oraz jego odnogi północnej, niekiedy słynącej pod nazwą Alp heleńskich, Czarnogórzem i Adrjatykiem.

Takim jest kraj. Zkąd wziął się jego mieszkaniec?

¹⁾ Reclus: *Nouv. géogr. univ.* I, 192. Por. Malte-Brun. VII, 761 i nast., obszerną rozprawę o rodowodzie pelazgijskim i greckim Albańczyków. Ku temu pochodzeniu skłaniają się zdania większości podróżników i filologów.

Góral albański powstał z doboru, uskutecznianego przez wychodztwo z doliny.

Typ płaskowzgórza rozwinął się z typu doliny, wyszedł z pośród Pelazgów, tych wielkich wychodzców Nadśródziemnomorza. Wyjaśniliśmy, dlaczego Fenicjanie i Kartagińczycy nie zdołali zaludnić przez przedstawicieli swego typu wnętrza lądu, a tylko wzdłuż wybrzeży zrodzili gorączkę handlu.

Wyszędłszy z pośród Pelazgów, górale nadśródziemnomorscy znaleźli się w osobliwym położeniu, a mianowicie doświadczyli uprzednio skutków formacji rolnej i miejskiej, która nałożyła na nich wybitne piętno. Wychodztwo z miast i z pośród wieśniaków odbywa się drobnymi gromadkami, niekiedy wychodzą tylko pojedyncze osobistości, bo rolnictwo i życie miejskie uszczuplają spółnictwa rodzinne i je rozprzegają. Te gromadki i pojedyncze osobistości, o ile są nikczemnej, słabej miary, giną podczas wędrówki wskutek swojej nieliczebności i odosobnienia, a nadto dlatego, iż w złożonym życiu miejskiem i na roli utraciły nawyknięcia prostaczego bytu i nie rozporządzają potrzebną energją i samorzutnością. Jedynie pierwiastki wyższe z pośród tych wychodzców mogą wytrwać; dla utrzymania się na glebie niezdatnej na uprawę i poza obrębem ognisk gęstszych zaludnienia winny swoją osobowością i dzielnością przewyższać przeciętny typ rolników i mieszczan, z pośród których wyszły. Uskuteczniał się tam dobór, który odbywa się dzisiaj na Dalekim Zachodzie amerykańskim: wszyscy, niezdolni do twardego a przedsiębiorczego trybu życia, nie mogli wytrwać.

Góry osłabiają spółnictwo na korzyść samorzutności osobistej. Wyzwoliły ludy nadśródziemnomorskie z więzów

zwartej a nieruchliwej spólnoty pelazgijskiej, dokonały z pośród niej doboru niezależnych a samodzielnych jednostek.

Nie zawsze góry uskuteczniają taki wyższej działalności dobór. Niekiedy jednak działają w ten sposób nietylko w Grecji; ale najczęściej służą za przytułek spólnotwa. Pochodzi to z trzech przyczyn:

1-o. Góry w ogóle, a przynajmniej najczęściej są zaludniane przez półkoczownicze szczepy, opuszczające równiny, na których były niedoskonale przytwierdzone do gleby. Uciekają one przed nowymi przybyszami, zanim jeły się rolnictw i rozwinęły byt miejski. Góral zwykle wychodzi z formacji napół koczowniczej. W takim stanie znajdowali się Słowianie południowi, gdy zajęli północne stoki Bałkanów, z kąd później spuścili się na południe.

Przeciwnie, znani nam już Pelazgowie, ludy pochodzenia rolniczego i miejskiego, zajęli w posiadanie góry heleńskie i italskie. Społeczny punkt wyjścia tych górali jest więc zgoła odmienny. Góry heleńskie i italskie zostały zaludnione przez szczepy bardziej posuniętego ustroju społecznego, niż ten, jaki posiadali osiedleńcy w innych górach.

2-o. W ogóle góry zawdzięczają zwykle zaludnienie swe masowemu wychodztwu, całej powodzi etnicznej, przednim falom całego ludu wędrującego. Zdarza się to nietylko wtedy, gdy wychodzczy są napół koczownikami. Zaludnienie gór odbywa się tłumnie nawet i wówczas, gdy wychodzczy pochodzą z pośród wieśniaków i mieszczan (i w ogóle z bardziej osiadłego trybu życia, niż ten, jaki jest właściwy połowicznym koczownikom).

Wśród gór heleńskich i italskich działo się zgoła inaczej: drobne gromadki wychodzców wydobywały się z pośród Pelazgów i szły w góry. Oddzielne rodziny, a nawet osoby udawały się do dzielnicy górskiej przypadkowo, w odstępach czasu. Więź dawniejsza prysła: niezależność osobista była źródłem, a przynajmniej wytworem takiego wychodztwa na nowe, niezajęte ziemie. Wędrowali zbiegowie dobrowolni lub przymusowi, mniejsza z jakich powodów. Historia Grecji i Włoch obfituje w tego rodzaju zdarzenia.

Tego rodzaju wychodztwo rozwija wśród górali samorzutność i indywidualność, dokonywa doboru jednostek niezależnych, oswobodzonych od obecności typów sfornych. Organizują one nową więź społeczną poza obrębem dawnych spoidel.

3-o. Zkądkolwiek góry otrzymały swe zaludnienie, czy z pośród połowicznych koczowników lub ludów osiadłych, czy tłumnie lub osobnemi gromadkami, zawsze górali otacza u podnóża gór opaska krajów, posiadających gęste względnie zaludnienie.

Rzeczy inaczej wyglądały w Grecji i Italji. Dzielnice u stóp gór składają się z krótkich a wązkich dolin napływowych, kończących się u morza i u podnóża grzbietów. Nadto góry tamtejsze bynajmniej nie przedstawiają, jak Alpy i Bałkany, rozległego nagromadzenia łańcuchów górskich. Są to pasma wydłużone, prostej budowy.

To wywarło podwójny skutek: górale heleńscy i italscy pozostali w blizkich stosunkach z mieszkańcami doliny, dolina zaś posiadała rozmiary zbyt szczupłe; gromadka niezależna, wracając do niej, nie tonęła w jej zaludnieniu.

Zresztą pod tym ostatnim względem Albanja wydziela się z pośród obszarów górskich w stopniu mniejszym, niż

łańcuchy heleńskie i italskie. Ale ta okoliczność właśnie sprzyjała jej utrzymaniu się: większa szerokość gór zabezpieczyła ją od masowej powodzi, gdy przybyły ludy nieśródziemnomorskiego pochodzenia; ta sama przyczyna tamowała jej rozwój społeczny w czasach późniejszych ku ustrojom wyższym i bardziej złożonym, jakie w okresie historii starożytnej Nadśródziemnomorza znajdujemy jedynie u Greków i Rzymian, wychodzców z krajów górzystych, ale mniej rozległych i bezpośredniej a stalej związanych z doliną.

Typ śródziemnomorski górski odróżnia się więc od typu doliny tem mianowicie, iż przedstawia dobór pierwiastków niezależnych, rzutkich, pochodzących z pośród więzi spółnictwa. Coś podobnego badaliśmy już przy rozbiórce portów, ale w danym przypadku tężyzna fizyczna i moralna jest znaczniejsza. Pobyć w górach Nadśródziemnomorza jest trudniejszy niż utrzymywanie się z morza, klimat bywa surowszy, wymaga większej sprawności członków. Nie sprzyjają one handlowi, ale umożliwiają rolnictwo, wymagające resztą większego wysiłku, nie osłabiają siły charakteru miękością i bogactwem.

Poznaliśmy sposób, w jaki Albania otrzymała swe zaludnienie. Jakiej pracy jęli się jej mieszkańcy w następstwie osiedlenia się tutaj?

II.

Górale ci, jeśli wyszli z dolin i pochodzą od Pelazgów, powinni zajmować się rolnictwem. Podróżnicy zaznaczają tę umiejętność. „Wiet oświadcza, iż rolnictwo jest stosun-

kowo rozwinięte wśród Mirditów (najczystszy typ albański) ¹⁾; zmuszeni do starannej uprawy dolin, znajdujących się wśród gór jałowych, umieją oni otrzymywać piękniejsze zbiory niż na równinie, zaludnionej przez leniwsze grupy ²⁾.

Albańczycy wytwarzają wszystko, czego potrzebują do zaspokojenia swych skromnych potrzeb; praca przetwórcza domowa dostarcza im wyrobów, a nic nie kupują z zewnątrz. Jak dawni Palazgowie, obchodzą uroczyście wielkie chwile w rocznym obrocie przyrody.

Ale z powodu górzystego ukształtowania powierzchni uprawa jest bardzo ciężką i z wyjątkiem dzielnic najniższych dostarcza jedynie kukurydzy i sumaku. ³⁾, Na pozostałej przestrzeni rośnie tylko trawa, dająca paszę kozom i owcom. Każda rodzina posiada przeciętnie około 40 sztuk bydła.

Powierzchnia gór porasta trawą i daje się najlepiej wyzyskać jako paśnik dla owiec i kóz, gdy znajduje się w posiadaniu niepodzielnem. Znaczna odległość chat od paśników utrudnia przywłaszczenie tych ostatnich przez pojedyncze rodziny; korzystanie z nich nie pociąga za sobą wkładu pracy na ich utrzymanie, przeto spółnictwo nie przynosi najmniejszej szkody. Nadto dla gospodarstw jest dogodniejszym i korzystniejszym powierzenie trzód jednemu

¹⁾ Mirditowie czyli Mirdjoci zamieszkują okolice strumienia Matumadza, wpadającego do Adrjatyku tuż poniżej Drinu, w pobliżu południowej granicy Czarnogórze.

²⁾ Reclus: *Géogr. univ.* I, 192.

³⁾ Sumak jest krzakiem, z pomocą którego Albańczycy zapobiegają obsuwaniu się pól uprawnych.

pasterzowi, niż wysyłanie przez każde członka rodziny lub parobka i oparkanie paśników. Spólne władanie wygonami istnieje we wszystkich krajach wśród gór. Zdarzają się jednak wyjątki. Np. w niektórych miejscowościach Owernji paśniki przeszły na własność osobistą. Wynika to z niezmiernej żyzności paśników tamtejszych, leżących na głębokim pokładzie lawy. Pojedyncze gospodarstwo oparkania je i przywłaszcza na stałe; hektar gleby tamtejszej posiada taką samą wartość, jak hektar ziemi w dolinie.

Nic podobnego niema w Albanji. Konieczność posiadania swobodnego wygonu sprzyjała zachowaniu spółnictwa pomiędzy mieszkańcami tej samej dzielnicy górskiej. Ale opsiadaczką jest nie spółnota rodzinna, która rozprzegła się wskutek wychodztwa, tylko jednota obszerniejsza, wybiegająca poza obręb rodziny i przybierająca charakter organizacji publicznej. Wiąże ona w całość pewną liczbę rodzin sąsiadujących, zmuszonych do porozumienia się w celu wspólnego korzystania z określonej części gór.

W zakresie pracy nietylko istnieje spółnictwo rolne, t. j. gmina publiczna, ale nadto ujawnia się jaskrawe wyodrębnienie zajęć płci męskiej i żeńskiej, ta zaś okoliczność nadaje odmienny charakter gminie publicznej.

Na kobietach jedynie spoczywają obowiązki ciężkiej pracy w polu oraz rzemiosła domowe. Mężczyzna nie raczy poniżyć się do nich i pomagać kobietom. „Właściciel — pisze Pouqueville, który przeszło lat 20 żył w Albanji — zajmuje się polowaniem; gdy żona i dzieci pracują w polu, sieją lub żną, on przykucnie gdzieś na zagonie i siedzi bezczynnie. Mężczyzna żyje z pracy rodziny: wyniosły a milczący trzyma w swych rękach ster rządów, żąda usług i pomocy od

wszystkich, którzy odeń zależą, sam zaś o tyle zapuszcza się w szczegóły gospodarskie, ile chodzi o sprzedaż nadmiaru produktów. Żona niesie na rynek worek z wiktuałami; mąż jest wyłącznym posiadaczem pieniędzy i trzyma przy sobie klucze od miejsca, gdzie zamknięto rzeczy jakiegokolwiek wartości. Uwagą swą darzy on oręż, własne obuwie, wyrób nabojów, amunicję, przez resztę czasu pali i wegetuje"¹⁾.

Poezja albańska porównywa kobietę z członkiem tkackim zawsze czynnym, ojca zaś rodziny z majestatycznym kozłem, idącym na czele trzody i pobrękującym dzwonkami. Sposób zawarcia małżeństwa jest zgodny z tradycjami patriarchalnymi i dostraja się do położenia kobiety. Rodzice rozstrzygają o związku, t. j. spółka rodzinna; zainteresowane bezpośrednio osoby nie zabierają głosu. Niekiedy zaręczają niemowlęta²⁾. Obrzęd ślubny polega na umykaniu narzeczonej, a w niektórych okolicach pogoń przyszłej żony jest faktem realnym. „Niegdyś trzeba było ukraść żonę swoją u wrogów; w wielu wioskach równiny dziewczęta muzułmańskie bez strachu oczekują tej chwili, gdy wojacy mirdiccy porwą je podczas którejś wyprawy wojennej. Nawet rodzice wspierają pogoń, przeświadczeni, iż prędzej lub później otrzymają wynagrodzenie za porwane dziewczę”. Kobieta zwykle żyje zdala od mężczyzn, jak w ogóle we wszystkich społeczeństwach, hołdujących spółnictwu, jest raczej służebnicą, niż towarzyszką męża. Do

¹⁾ Pouqueville: *Voyage dans la Grèce* II, 588 (autor był konsulem generalnym francuskim, przy boku Alego, paszy w Janinie).

²⁾ Pouqueville, l. a. II, 575.

stołu z nim siada tylko podczas uroczystych obchodów. W podróży dźwiga na karku kołyskę z niemowlęciem i idzie piechotą, a nadto niesie fuzję na ramieniu, mąż zaś, rozsiadłszy się na mule, pali spokojnie.

Ujrzymy niebawem, skutkiem czego mężczyzna zajął stanowisko tak uprzywilejowane, oraz jakie przyczyny zrodziły gminę publiczną, konieczniejszą i żywotniejszą, niż spółnictwo paśników.

Gminą tą jest klan wojowniczy.

Rolnictwo i pasterstwo wygonowe nie stanowią jedy- nego zajęcia Albańczyków. Istnieje jeszcze inny rodzaj pra- cy, uprawiany specjalnie przez mężczyzn, a jest o tyle wpływowy, iż tak samo jak pasterstwo wynagradza ludziom uszczuplenie więzi rodzinnej. Z natury swojej wdraża on Albańczyków w karby gminy publicznej. Ewolucja ich społeczna zaczyna się osłabieniem spółnictwa rodzinnego i zmierza ku wszechwładztwu więzi społecznej. Chodzi tam o wojnę, obronę, rabunek, a te procedery są w górach źródłem zarobku i zarazem stanowią najgłówniejszą dźwi- gnię ustroju społeczno-gminnego.

Wychodzący ci, rozproszeni, odosobnieni, przybywają- cy niejednocześnie, musieli sobie nie ufać. Ich żywot do- tychczasowy nikogo nie przejmował względem nich ufno- ścią. Przybywają nietylko niezwiązani nawzajem, ale nawet nie są skłonni do jednoczenia się, lubią nieza- leżność. Tylko dlatego, iż ją cenią i pragną ją posiadać, iż nie mogli żyć niezależnie w grodach pelazgijskich, wśród regularnego biegu społecznego, tylko dlatego, powtarzamy, uciekli w góry. Muszą bronić swojej osoby, posiadanych przedmiotów, które w ustroniu z powodu rzadkości swojej nabierają innej ceny, trzód swoich, wreszcie niewielkich pól.

Uzbrajają się każdy z osobna i wszyscy pospołu, noszą przy sobie oręż nieustannie dla codziennej obrony swego istnienia, pracy, majątku.

W rozstrzeleniu, w jakim znaleźli się po opuszczeniu grodu pelazgijskiego, oręż, zawsze będący na pogotowiu, winien był zastąpić wysokie mury miejskie i bezpieczeństwo, dostarczane przez gminę starodawną.

I oto znajdują się na stopie wojennej, organizacja ta zaś wsiąka w ustrój życia codziennego. Gdy raz jeden uzbroili się dla obrony ubogiego swego istnienia, z konieczności walczyli o pozyskanie rozleglejszych warunków bytu. „Opryszkostwo uchodzi za gałąź przemysłu narodowego. Albańscy cenią rodaków według rozmiarów łupu, jaki przynoszą do domu. W Premiti widziałem Toksydę, który corocznie uczestniczył w wyprawach na Vardar, słynących tam pod nazwą wycieczek lub szarwarków; w charakterze sławnego zbrojcy był wyrocznią swej dzielnicy. Powszechne przekonanie głosi, że ktokolwiek nie krzywdzi sąsiadów ani władz miejscowych, a tylko naraża własne swoje życie, ten korzysta ze swoich praw przyrodzonych. Zawód opryszka uchodzi za pierwszą próbę służby wojskowej, w razie powodzenia służy za drogę, prowadzącą do najwyższych zaszczytów w państwie. W ostatnich czasach Passewend Oglu został w ten sposób paszą widdyńskim; Izmael, bej sereński, który nigdy nie chciał przyjąć tytułu publicznego—wielkorządcą Macedonji. W swych stosunkach osobistych miałem przed sobą żywy przykład w osobie Alego, paszy Janiny; opowiadał mi, iż z prostego wodza bandy został wezyrem. Był zachwycony odrodzeniem się tych skłonności u jednego z wnuków swoich; za największą pochwałę uważał powiedzenie, iż ta latorośl zbrojecka pójdzie w ślady

dziada i będzie sławnym opryszkiem, pożerającym braci i sąsiadów“¹⁾).

Z tych szczegółów widzimy, iż typ Albańczyka może się przydać do zrozumienia duszy górala greckiego z epoki starożytnej. Grotius oświadcza, iż właśnie takim okiem Grecy spoglądali na kradzież²⁾. Tucydides opowiada, iż obcych zapytywano bez zamiaru obrazy, czy trudnią się zbójectwem lub korsarstwem³⁾. Lacedemończycy poczytywali kradzież za szkołę zręczności i bacności dla młodzieży⁴⁾. Epikur utrzymywał, iż nie kradzież jest występkiem, lecz niezręczność, dzięki której złodzieja złapano⁵⁾.

Taki tryb życia, w którym każdy musiał być na pogotowiu, niebawem stałby się nie do zniesienia, gdyby mu nie położono kresu, wiążąc się w grupy miejscowe dla wspólnej obrony; sojusz ogarnął osoby najbliższe, tego samego pochodzenia, tej samej miejscowości i tych samych poglądów. Stworzył związki niemal pokojowe sąsiadów i przymierza odporne w potrzebie przeciw grupom dalej mieszkającym, względem których nie posiadano rękojmi. Powstał klan wojowniczy, wyraźna postać więzi publicznej.

Klan ten odróżnia się od wspólnoty domowej, bo łączy osoby, należące do odmiennych rodzin, a więc nawzajem niepokrewne.

1) Pouqueville, II, 572.

2) *Droit de la Guerre*, ks. II., roz. XV, № 5.

3) Champault: *Les Héros d'Homère* (Science sociale, XIII i nast.)

4) Aulu-Gelle, ks. II, roz. XVIII.

5) Arr.: *In Epict.*, ks. III, roz. VII.

Klan militarny i nieco nieustalony wyczerpuje sobą całą organizację społeczną Albańczyków. Niema tam „ani jedności zdań ani zwartości, chyba w takim razie, gdy wróg zewnętrzny zagraża ognisku domowemu i ołtarzowi. Ale w codziennym trybie życia niema takiej obawy. Każda swobodna dzielnica składa się z niezależnych wiosek, te zaś wioski rozpadają się na fary, które z dobrej woli słuchają rozkazów jednego lub paru obranych wodzów. Nienawiść trzyma w nieufności wzajemnej, a nawet w stanie głuchej nieprzyjaźni nie tylko fary, ale rodziny i członków rodziny. Na skutek tego usposobienia, czyniącego umysły niespokojnymi i niedowierzającymi, zdarza się, iż miasteczka i wsie albańskie posiadają osobliwą budowę, odmienną od planu innych wiosek. Każdy dom ma wyrżnięte ząbki na sobie lub jest podziurawiony strzelnicami, ukrytymi pod tynkiem zewnętrznym; zawsze stoi w odosobnieniu, na odległości wystrzału od najbliższych budynków. Rodziny tej samej grupy lub wspólnego pochodzenia, oddalając się jako boczne gałęzie od wodza, od którego pochodzą, tworzą, na wzór ogniw, całe dzielnice dokoła wzgórza lub na poszarpanem płaskowzgórzu, zawsze mogą przyjść sobie z pomocą, nie rozstając się z ostrożnością przeciw zamiarom ludzi własnego faru“¹⁾. Tak samo Sparta ongi przedstawiała serce wiosek, zamieszkałych przez osoby, które oszańcowały się w swoich domostwach. Obecny typ albański wskrzesza przed nami rysy zasadnicze typu starożytnego.

A jednak konieczność, która rozprzęgła wśród tego ludu dawne spółnictwo rodzinne, działa z taką mocą, iż to

¹⁾ Pouqueville, l. c., 562.

życie, najeżone niebezpieczeństwami, posiada dla Albańczyków urok niewymowny. Pouqueville poznał pewnego agę w Leksowiku, który szczycił się, iż od lat dziesięciu nie ośmielił się postawić nogi w dzielnicy, którą można było oglądać przez kraty jego okna, bo wrogowie zamordowaliby go; doprowadził ich do rozpaczności swoją i zamknięciem. Całe fary żywią względem siebie nieprzejednaną nienawiść; członkowie ich odwiedzają pewne ulice tylko w porze nocnej i ukradkiem. Każda grupa posiada swe studnie, cysterny, piece i targi, niektórzy nawet nie uczęszczają do kościoła lub meczetu, ażeby nie spotkać się ze swymi wrogami. Jednak doszło do milczącego porozumienia, sprawiającego to, iż ciągły stan wojenny nie staje na przeszkodzie robotom w polu. Pouqueville widział żniwiarzy spokojnie zbierających plony w dolinie Drynopolisu podczas dnia, a po wieczery, za powrotem do miasta, strzelających do siebie. „Wojna wybucha pomiędzy dwoma domami tej samej fary, lub pomiędzy dzielnicami miasta, a inni w niej nie uczestniczą. Ale rzeczy przybierają inny, poważniejszy charakter, gdy wojna dotknęła dwa miasta lub wioski. Te właśnie, tak samo jak za czasów Homera, zdarzają się na skutek porwania Adonisa, kradzieży paru kóz, a niekiedy z powodu sporu o granicę wygonów; a ponieważ niesnaski nie usuwa prawo, bo nie istnieje u tego ludu anarchistycznego, pozostaje rozstrzygnąć ją z pomocą oręża. Odbywają się zebrania, toczą się rozprawy, nienawiści osobiste przybierają pozory partyjne; a kiedy uchwalono wystąpić przeciw całemu plemieniu, obie strony posyłają sobie wyzwanie nie za pośrednictwem posłów z wicią w ręku, ale zobowiązują przechodnia lub mulnika zawiadomić przeciwników o terminie ataku. Trudno sobie wyobrazić,

ile intryg snują oni w podobnym wypadku; jakich zręcznych środków używają, ażeby powiększyć liczbę swych zwolenników i odstręczyć rzeczników strony przeciwnej. W pochodzie posuwają się bardzo ostrożnie, starają się owładnąć przesmykami i zapanować nad drogami, za tryumf przedniego orszaku poczytują spalenie młynów, co pozbawia wrogów mąki, a zwycięstwo jest doniosłe, jeżeli uda się zająć wyniosłości, tak blisko leżące wrogów, iż z nich można rzucać nieprzyjaciela i miotać nań obelgi“¹⁾).

Możnaby mniemać, iż słyszemy obelgi, jakimi obrzucali się nawzajem bohaterowie Homera. Pouqueville zestawia obie te epoki. Wioski, zbudowane na urwiskach, „wymagają często również tak długich i tak samo prowadzonych oblężeń, jak Troja. Trzeba być widzem tych dni odległej starożytności, trzeba zobaczyć bohaterów Grecji nowoczesnej, stojących na posterunku bez najmniejszej osłony, podniecających wroga, wymyślających sobie, czekających, ażeby ktoś zbliżył się na odległość strzału, uciekających, gdy znaleźli się w gorszej sytuacji, a naówczas pojmiemy potyczki, opisywane w *Iljadzie*. Trzeba zwłaszcza słyszeć, jak każdy chwali się po potyczce, uczestniczyć w ucztach, na których są zjadane ukradzione jagnięta, upieczone pod otwartym niebem, a będziemy świadkami scen, które poezja tak wspaniale przyozdobiła bogactwem barw swoich. Pod tym względem nic nie uległo zmianie na ziemi półbogów i bohaterów; a jeżeli Iljon uprawiał swe pola, gdy Grecy oblegali stolicę Prjama, jeśli Trojanie prowadzili handel u podnóża góry Idy pomimo blokady, to również

¹⁾ Pouqueville, I c., 560.

i Albańczykom zdarza się zaprzestać oblężenia w przededniu zwycięstwa, bo wzywa ich siejba, sianożęcie lub potrzeba zaopatrzenia się we własnym domu w artykuły żywności, których zbrakło“ ¹⁾).

Wobec ducha niezależności, stanowiącego ośnowę ich bytu, niezdolni są oni do zjednoczenia się narodowego, chyba że chodzi o cele wojenne. Plemiona posiadają zupełną samodzielność w swych stosunkach wewnętrznych i względem siebie. Ale w obliczu nieprzyjaciela tworzą jeden naród ²⁾. Tylko podczas najcięższych klęsk łączą się i jednoczą. Wojna z Turkami może służyć jako przykład tragiczny.

„Z pośród tysięcy górali ani jeden starzec, ani kobieta lub dziecko nie błagali łaski u oprawców Ali-paszy. Bohaterstwo tych kobiet, które podkładały ogień pod skrzynie z nabojami, rzucały się ze skał lub do potoków, trzymając się za ręce i śpiewając pieśni pogrzebowe, zawsze będzie zdumiewało historję“ ³⁾).

Uwielbienie pozostanie, ale podziw minie, gdy zbada-my przyczyny, które sprawiły pogardę względem śmierci, energję osobistą i przywiązanie do jednoty, opartej na klanie wojowniczym. Członkowie jego nie są zdolni przeżyć przegranej.

Ukształtowanie kraju i klan wojowniczy uchroniły lud od jarzma.

Góry te są niedostępne dla wypraw, przedsiębranych z zewnątrz. Albańczycy, a zwłaszcza Mirdici, przedstawia-

¹⁾ Tamże, 563.

²⁾ Por. Reclus: *Nouv. Géogr. univ.* I, 193—194.

³⁾ Reclus: l. c., I, 193—194.

jący w drugiej potędze Albańczyka, nigdy nie podlegali Turkom pomimo zaciętych wysiłków, jakie ci ostatni czynili w ciągu 450 lat, nawet w okresie największej potęgi tego szczepu. Mirdici pozostali katolikami. Oparli się także nieskończonej liczbie najazdów celtyckich, słowiańskich i germańskich w różnych epokach. Wyprawy Skander-Bega dostarczają sławnego wzoru tej odporności.

Oporność czerpie moc swoją w animuszu wojowniczym, a nadto w ukształtowaniu kraju. „Albanja ¹⁾ należy do krajów najbardziej górzystych, zawikłanych i niedostępnych Turcji europejskiej. Góry piętrzą się, krzyżują, płaczą, niepodobna wyznaczyć ich kierunku ani powiązać ich z sobą. Doliny są pokrzywione, porwane, płyną w nich potoki gwałtowne, a kończą się nieznacznych rozmiarów płaszczyznami. Gruntów zdolnych do uprawy jest niewiele; przyroda jest dziką a surową. Jeśli od tego obrazu zapragniemy przejść do szczegółów, winniśmy przyznać się, iż Albanja, jak w ogóle cała część zachodnia państwa Otymańskiego, jest dzisiaj mniej znana, niż za czasów Greków i Rzymian, geografowie zaś nowocześni zapożyczają większości szczegółów o tych okolicach u autorów starożytnych“.

Skutkiem tej odporności jeszcze dzisiaj mamy przed sobą doskonale zachowany typ górala, który wyszedł z pośród szczepu Pelazgów.

Ustrój społeczny, nabyty w górach, nie przekształca się tak samo jak i one, póki lud pozostaje w ich obrębie i nie dopuszcza innych ras. Okoliczność ta tłumaczy nam

¹⁾ Malte-Brun: *Géogr.*, IV, 680.

trwałość typu społecznego jako i fizycznego, zaznaczaną przez wszystkich podróżników. „Ludność Turcji europejskiej, pomiędzy Bošnją a Grecją, składa się z Greków i Kosków (Albańczycy północni i południowi). Ich stan społeczny nie doznał żadnej zmiany w ciągu trzech tysięcy lat. Ich postać jest kształtną, twarz mają pociągłą, nos wysmukły, oczy małe, cerę białą; oczy są siwej barwy lub błękitnej. Piersi są wydatne, kibić odznacza się zręcznością, członki — powabem i siłą. Według Virchowa Albańczycy pomiędzy Europejczykami należą do ludów, posiadających najszlachetniejsze kształty czaszki. Swojami obyczajami, sposobem czucia i myślenia Albańczycy nowocześni odtwarzają starożytnych Pelazgów. Liczne sceny, jakie ogląda podróżnik, przenoszą go do czasów *Odysei*. Jerzy Hahn, uczony, który zajmował się specjalnymi studjami nad Szkipetarami (tę nazwę, „ludzi skały“, nadają sobie sami Albańczycy), chciał widzieć w nich rzetelnych Doryjczyków, takich, jakich wiedli za sobą Herakli dzi, gdy z lasów Epiru udali się na podbój Peloponezu. Posiadają taką samą odwagę, tę samą miłość wojen i panowania, nawet ten sam patriotyzm klanu. Noszą taki sam ubiór: biała suknia, zręcznie ściśnięta w pasie, wskrzesza chlamidę starożytną“.

Rozumiemy, o ile ten typ jest doniosły, gdy chodzi o zbadanie typu społecznego Grecji pierwotnej.

III.

Zrobimy jeszcze krok jeden dalej, wykazując, iż rodowód, szczupłość źródeł utrzymania, ustrój klanu wojowniczego, wreszcie sąsiedztwo zamożnych dolin stworzyły z nich opryszków.

Rodowód górali, a byli rokoszani, ich usposobienie, wynikające z ducha niezależności, ich rozstrzelenie naturalne (nie przybyli bowiem tłumnie) sprawiły, że oręż przedstawiał zawsze największą rękojmię bytu. Użytek tego sprzętu pojmują oni przewybornie. Nietylko żądają od niego obrony życia swego, ale nadto środków utrzymania. Rzecz to zgoła zrozumiała, bo góry zmuszały ich do tego, bo w zamożnych dolinach mieszkali ich wrogowie, których opuścili dobrowolnie lub zmuszeni do tego.

Splot ten okoliczności wraz z nieodzownem następstwem swoim, rozbojem, powtórzył się w znacznej liczbie innych punktów Grecji w górach, zwłaszcza po pogromie otomańskim.

Rozbój górali, służący za źródło utrzymania, nie zniknął z oswobodzeniem Grecji. Wyzwolenie nie mogło natychmiast dać utrzymania tym góralom—utrzymania, któreby odpowiadało ich zwyczajom i gustom.

Zresztą rządy, ustanowione przez mocarstwa europejskie, które wsparły Greków, były źle obliczone i nie mogły rozwiązać tego poważnego niedomagania. Albańczycy, Majnoci, górale Tajgeteńscy powyżej Sparty, żeglarze i korsarze greccy, pochodzący w znacznej części z pośród Albań-

czyków i innych górali—oto niezwykli bohaterowie wyzwajającej się Grecji. Nowe rządy tymczasem postarały się ich usunąć. Koronę grecką ofiarowano w r. 1832 Ottonowi, drugiemu synowi króla Bawarii, młodzieńcowi jeszcze niepełnoletniemu. Rozdał on urzędy publiczne Bawarczykom, co musiało niebawem zrodzić żywe protesty wodzów i szeregowców wojny o oswobodzenie, a w dalszym ciągu rokosze. Otto musiał w r. 1843 oddalić swoich ziomków. Starczy zaznajomić się z biografami bohaterów albańskich, greckich, ażeby zrozumieć, iż tacy ludzie albo musieli posiadać władzę lub buntować się. Dość wymienić Marka Bocarisa, Capo d'Istrję, Teodora Colocotronisa, admirała Miaulisa, Aleksandra Mavrocordato. A kiedy ci ludzie dostaną się do władzy, zachowują się na urzędzie jak opryszkowie: „W Heladzie chciwa i niespokojna biurokracja przy każdej okazji stara się wyzyskać na swoją korzyść dochody gminy, podkupuje wyborców, ażeby pozostać na stanowisku, i w tysiącnych formach mniej lub więcej legalnego ucisku podtrzymuje tradycyjne rozboje i korsarstwo, zwyczaje w ciągu tylu wieków narodowe“ ¹⁾.

Edmund About w powieści *Le Roi des Montagnes* z wielką prawdą uchwycił rysy, które dostrzegł osobiście. Bohater jego, Hadzi Stawros, przedstawia rzeczywistego zbójcę i korsarza, ludność rabowana „znieważa go głośno a wielbi w głębi serca“. Widzi w nim bowiem syna własnej rasy, ideał, o którym każdy marzy i który każdy ojciec z dumą wskazuje synowi.

¹⁾ Reclus, l. c., I, 118.

Ale dlaczego Albańczycy nie przekształcili ducha swego za sprawą handlu, ani za pomocą tej dźwigni nie oddziaływali na zewnątrz?

Niewątpliwie, opór przeciw zamiarom podboju i rozbój, związany z wyprawami na pogranicze, są czynami, skierowanymi na zewnątrz, ale nie pociągają za sobą opuszczenia sadyb. Ani handel, ani przewóz towarów zagranicznych nie wciągnęły Albańczyków w wir życia zewnętrznego. Niebawem poznamy powody tego.

Przez okolice środkowe Albanji za czasów rzymskich prowadziła droga handlowa. Ruszano z Brindisi we Włoszech i dążono do Dyrrachium, t. j. Durazzo, w Albanji. Trzymając się tej drogi, unikano straszego przylądka gór Akrocerauńskich, tak obfitujących w burze i rozbicia. *Infames scopuli!*

Z Durazzo szła droga rzymska, słynąca jako *Via Egnatia*, ciągle na wschód przez Petrellą, Ochrydę, Monastyr, Wodynę i Janicę (starożytnie Edessa i Pella, stolice Macedonji za Filipa i Aleksandra), aż do Salonik. Taką była najprostsza droga z Rzymu na Wschód. Szczątki jej można oglądać jeszcze dzisiaj. Jej moc przetrwała 18 wieków służby i zniszczenia.

Ale poza obrębem tego prostego toru, wytkniętego przez wszechpotęgę rzymską na przekór warunkom topograficznym, kraj nie sprzyjał handlowi i nie uległ jego wpływom. Po upadku Rzymian, jedyne drogi przyrodzone, prowadzące przez zatokę Koryncką i wody Śródziemne, nie miały współzawodniczek.

Szaniec rozległy gór, ciągnący się pomiędzy Adrjatykiem a grzbietem Pindu, sprawił, że porty wybrzeża al-

bańskiego, zresztą nieliczne i w większości wypadków niedogodne, nie zrodziły handlu. Albańczycy nie zdołali wyrobić się na żeglarzy nawet na własnym wybrzeżu.

„Oczekując, aż powstanie ognisko handlu na wybrzeżu i zastąpi nędzne schronienia, zwane portami, ruch wymienny ześrodkował się w paru miastach wnętrza. Najznaczniejszym jest Prizrend, połączony nad Marycą, dopływem Drinu, przy wyjściu z wąwozu górskiego, ale na południowym krańcu żyznej płaszczyny metojskiej, którą bez trudu można dosięgnąć doliny wardarskiej i wielkiego gościńca, idącego z Austrii do Salonik. Prizrend przedstawia ognisko handlu górnej (północnej) Albanji; mieszkańcy jego, wzbogaceni przez handel, sławią się przepychem swoich ubiorów i pięknnością oręza“ ¹⁾. Rys ostatni wskazuje, iż na przekór handlowi, zresztą bardzo niskiemu, a wewnątrz kraju leżącemu, pozostali nieodrodnymi Albańczykami.

Rzemiosło wojenne, oto jedyna dźwignia, z której pomocą Albańczycy mogą oddziaływać na zewnątrz. Wojna—ale z kim i jaka? Albańczycy mogą oddawać się rzemiosłu wojennemu tylko w charakterze zaciężników. Piękne czasy zbójstwa minęły. Jedynie wśród gór mogą dzisiaj stawiać czoło Turkom. Nietylko nie wychodzą z granic ojczyzny, bo to państwo siłą swoją ich przewyższa, ale nadto mocarstwa, które poręczyły całość Turcji, trzymają ich na wodzy. Nie lepiej wiedzie się im ze strony Grecji, dzisiaj urządzonej jako państwo i zdolnej do obrony swoich praw.

(¹) Reclus, l c., I, 198.

Albańczyk nie może tłumnie i swobodnie opuścić gór rodzinnych, ani oddać się jednemu rzemiosłu, do którego czuje skłonność. Okoliczność ta pęta naturalny rozwój górali. Dla zaznajomienia się z nimi, trzeba cofnąć się do epoki, kiedy Nadśródziemnomorze nie było jeszcze osaczone, jak dzisiaj, przez wielkie ludy obcego, nieśródziemnomorskiego pochodzenia, a więc do czasów Grecji klasycznej i Rzymu. Tylko w tym okresie możemy pojąć, kim był ów typ oraz co mogły sprawić jego wyprawy na zewnątrz.

Nie mogąc opuścić swoich gór tłumnie, swobodnie a uroczyście, Albańczycy wynajmują siebie w charakterze zaciężników innym ludom, jak ongi Szwajcarzy. „Pobór ochotników odbywa się według far, a uskutecznia go naczelnik, który przywłaszczył sobie miano buluk-baszy, t. j. dowódcy roty. Im więcej taki awanturnik posiada sławy i szczęścia, tem rychlej udaje mu się zgromadzić oddział. Niekiedy uwzględniają oni dawne czyny, popełnione przez kogoś jako opryszka, a tytuł ten jest równoznaczący imieniu błędnego rycerza. Nowobrańców przyjmuje on bez względu na wiek i wzrost; każdy winien za własne środki uzbroić się i zaopatrzyć w konia“ ¹⁾.

Turcy, przyjmujący na służbę opryszków, zamienionych na wojsko regularne, okradają ich niejednokrotnie. Pouqueville opowiada o uciężnej przygodzie, której był świadkiem. „Wypłacają oni żołd wojsku w terminie od jednego bajramu do drugiego, t. j. ku schyłkowi dwunastego miesiąca księżycowego. Każdy żołnierz jest wywoły-

¹⁾ Pouqueville, 599.

wany z imienia. Na parę dni przed terminem usiłują oni podnieść kurs monety, w której uiszczają żółd, a nawet znieść taimy, t. j. odpoczynki, ażeby zmusić Albańczyków do dezercji z braku wiktów. Ali-pasza nigdy nie omieszkał stosować takiego fortelu ekonomicznego, przegląd zaś wojska odbywał się w którymś z jego ogrodów lub obszernych salonów. Żołnierze, przywoływani przez sekretarza, przeciskali się przez wąskie drzwi i gromadzili się dokoła paszy. Zapytywano się ich o nieopłacony czas służby i drwiono z ich usług. Wydawano im przekazy do kasy, z którymi udawali się do żyda, ten zaś płacił im oberzniętymi sztukami złota, wśród których znajdują się fałszywe cekiny. Żółd, należny zmarłym, dezertrom lub tym nawet, którzy nie zjawili się z powodu choroby, pozostaje w ręku satrapy, który nieraz wieszał buluk-baszów, gdy chodziło o ostateczne uregulowanie rachunków, a także o zabranie ich majątków. Służba u panów własnego kraju nie zawsze bywa korzystną dla Albańczyków“. Gdyby znali własną historję, z przykrością rozmyślaliby o sławnych czasach, kiedy, zszedłszy w doliny Grecji, uchwalali tam prawa, ludy zaś zwyciężone stawiały ich na piedestale bohaterów i nawet bogów. Wtedy istotnie ciągnęli zyski ze swego rzemiosła.

Dzisiaj, opuściwszy góry, muszą zlać się z innymi ludami i upodobnić się, osiadając w dozwolonych sobie ziemiach, w których zakładają wioski, słynące pod nazwą arnauckich. Wyraz ten jest zepsutym wyrazem, od nazwy Akrocerauńczyków, jaką Turcy nadają Albańczykom.

Jednak wpływ, wywierany ongi przez górali albańskich, uwydatnia się jeszcze w tych rzadkich wypadkach, kiedy małej grupie Albańczyków uda się swobodnie opu-

ścić góry. W osłabionym stopniu mamy przykład zmian, do jakich są zdolni naówczas, oraz wpływu społecznego, jaki mogą wywrzeć na otoczenie.

Za przykład możemy przytoczyć niewielką kolonję Hydrę. „W r. 1730 kilku osadników albańskich, znużonych zdzierstwem paszy Morei, schroniło się na wyspę Hydrę. Pozostawiono ich w spokoju, zadawalając się poborem nieznacznej daniny. Handel ich, w związku z korsarstwem, wzrastał. Hydra leży w szczęśliwym położeniu, panuje nad wejściem do dwóch zatok, argolidzkiej i atyckiej; ale nie posiada ani portu, ani nawet godnego tej nazwy schronienia. Hydrjoci, na przekór przyrodzie, zrobili ze swej skały ognisko handlu; okręty tłoczyły się w wydrążeniach wybrzeża, ściśnięte, umocowane nieruchomie za pomocą czterech lin. Korzystając z wojny pomiędzy Francją a Anglią, Hydrjoci owładnęli handlem ze Wschodem i na morzu Czarnem, stosunki ich zaś sięgały Anglii i Bałtyku. W chwili wybuchu powstania r. 1821, Hydra należała do najzamożniejszych wysp Archipelagu, zaludnienie jej wynosiło 40 tysięcy głów. Przedsiębiorcy morscy Hydry posiadali 400 okrętów zawartości 100—200 tonn, a przeciw Turkom wystawili przeszło 100 statków z 2,000 dział. Hydra dostarczyła flocie powstańców najdzielniejszych wodzów: Jakóba Tombazisa, Czamadosa, Andrzeja Miaulisa, który wraz z Ipsarjotą Canarisem podjechał na łodziach miotających ogień aż do przystani modońskiej i nawet portu aleksandryjskiego“. Ci górale, którzy umieli w tak krótkim czasie przetworzyć pospolitą skałę wśród wód, są urodzeni do wielkich rzeczy.

Ale takie okazje stworzenia niezależnego ogniska poza obrębem kraju ojczystego są bardzo rzadkie: na przesko-

dzie stają stosunki polityczne, zaprowadzone w dzielnicach nadśródziemnomorskich przez wielkie mocarstwa. Wojny zdarzają się coraz rzadziej, rzemiosło zaciężnicze przestało być korzystnym, warunki zmusiły do szukania innych źródeł utrzymania.

Rozpoczęło się wychodztwo osobiste lub gromadkami pokojowemi a uległemi. Ale prawa społeczne, właściwe formacji górskiej, działają: wychodzący jeżeli się rzemiosł miejskich, które tak różnią się od złożonej uprawy gleby. Albańscy zostają rzeźnikami, piekarzami, ogrodnikami, wozowodami, lekarzami lub raczej nastawiaczami wywichniętych członków i t. d. Zlewają się z otoczeniem, lub zgromadziwszy dostateczny majątek, wracają do ojczyzny, ażeby zamieszkać w ładnym domku.

I oto typ ten płaskowzgórza nadśródziemnomorskiego zszedł na to samo, czem stali się górale ładu, otoczeni ze wsząd przez wielkie ludy. Ale nie jest to ich otoczenie przyrodzone: w ciągu wieków, u podnóża gór swoich, mieli do czynienia z drobnymi ludami, odosobnionymi nawzajem i zamkniętymi każdy w swej niewielkiej dolinie.

Oddziaływając na „ten osobliwy materiał“ swojemi właściwościami góralskimi, stworzyli oni typ Grecji starożytnej.

Co za różnica pomiędzy teraźniejszością a przeszłością!

Jakaż osobliwa ewolucja!

Przyjrzymy się jej obecnie.

ROZDZIAŁ V.

P o ł ą c z e n i e d r ó g.

T Y P G R E C K I.

I.

Opisaliśmy trzy zasadnicze pierwiastki społeczności nadśródziemnomorskich: dolinę, port, płaskowzgórze. Winniśmy obecnie poddać rozbiorowi ich połączenie w widokach wspólnej działalności.

Starożytność przedstawia dwa sławne przykłady takiego połączenia: Rzym i Grecję.

Rozwój społeczny Grecji datuje się od czasów starożytniejszych. Dlatego zajmiemy się tym krajem najprzód.

Wybrzeża wód Śródziemnych były zaludnione przez ludy rolnicze typu pelazgijskiego, osiadłe w niewielkich dolinach, które wszystkie według tego samego wzoru otwierały się ku morzu. Ale ludy te nie mogły osiąść wzdłuż samego wybrzeża: to ostatnie było pokryte zwirem i skałami, przy-

niesionemi z gór przez wody, a gromadzącemi się tuż w pobliżu brzegu, tam, gdzie prąd wody słabnął z powodu mniejszej pochyłości gruntu. Dlatego, przy wejściu do dolin, powstawały bagna.

Wychodzcy pelazgijscy sadowili się w części środkowej dolin, gdzie ziemia była suchsza, gleba zaś nadawała się do uprawy. Starożytne grody pelazgijskie, Argos i Mycena, zajmują właśnie takie położenie. Możemy oglądać to samo zjawisko w Galji, w dolnej części doliny Rodanu: Avignon i Arles leżały powyżej bagien kamargańskich, uniemożliwiających pobyt w dolinie Rodanu.

„Pelazgowie lubili doliny napływowe, otwierające się ku morzu i corocznie użyźniane przez muł rzeczny, nadawali im ogólne miano *Argos*, później zastosowane do miast, tam się wznoszących“. Z tej nazwy wyprowadzano nawet ich własne narodowe miano Palazgów czyli Pelargów, t. j. uprawiaczy nizin. Inną nazwą, właściwą Pelazgom, jest Laryssa; tę nazwę noszą ich miasta, zbudowane po największej części w pośrodku obszernych a zraszanych płaszczyn. Argosy trzeba było ochraniać od wylewu wód, Laryssy zaś bronić przeciw wrogom; ztąd poczęły się w krajach pelazgijskich kanały podziemne, odprowadzające nadmiar wód do morza, tamy i budowle, przeznaczone do zachowania wilgoci w głębi dolin, wreszcie osobliwe mury, zwane przez Greków cyklopicznemi, a spotykane zwłaszcza w Argolidzie i Etrurji“¹⁾.

¹⁾ Ch. Périgot: *Pelasges* (w dykcjonarzu Dezobry).

Typ społeczny Pelazgów stworzył w mitologii bóstwa, noszące na sobie piętno rolnicze, jak należy oczekiwać od tych ludów doliny.

Na czele stoją dwa główne bóstwa: Niebo, czyli Uranus, i Ziemia, czyli Rea albo Cybela. Tę ostatnią boginię przedstawiał olbrzymi głaz, jeden z tych, które zapełniały dolinę, przeszkadzały uprawie i dostarczały materiału na mury cyklopiczne.

Poniżej tych bóstw istnieje jeszcze mnóstwo podrzędnych, posiadających również charakter nawskrós pelazgijski. Są to Kureci, wynalazcy astronomji i pszczelnictwa; Korybanci, którzy wynaleźli bronz, służący do robót polnych, i udoskonalili uprawę; Daktylowie, odkrywcy i udoskonalacze żelaza; imię ich pochodzi od wyrazu „Daktylos“, palec, a głosi o zręczności ich palców; Telchinowie, oddający się górnictwu i metalurgji, wynalazcy sztuki lekarskiej, zaklinacze urodzajów i trzód.

Są to niewątpliwie bóstwa rolników, bóstwa praktyczne.

Ale pewnego dnia zjawili się w dolinach przybysze, należący do tej samej rasy, ludzie, którzy przebywali w górach i na których pobyt ten oddziałał.

A oto rodowód tego zjawiska.

Przedstawmy sobie te dolinki, zaludnione przez rolników Pelazgów. Waśnie, nieustające wojny, banicje z konieczności są losem tych społeczności tak stłoczonych, tak w pobliżu siedzących. Mitologja grecka przekazała nam odgłosy tych walk; możnaby mniemać, iż słyszymy opowieści o wendecie korsykańskiej.

I, jak na Korsyce, zwyciężeni i postawieni poza prawem szukali schronienia w górach. Na te wypadki rzuca

światło cenna praca Henryka de Tourville ¹⁾. Podajemy z niej wyciągi, które może skłonią czytelnika do zaznajomienia się z całkowitą treścią tego przyczynku. Zaczynamy od mitu o Jupiterze.

„Saturn, ojciec sławnego Jupitera, objął rządy w Tesalji w pośrodku doliny, zamordowawszy ojca swego. Droga tej uzurpacji pokrzywdził brata swego starszego, Tytana, który jednak pogodził się z przywłaszczycielem, pod warunkiem, iż po Saturnie władza powróci do Tytanów.

„W dowód rękojmi Saturn zobowiązał się zgładzić śmiercią własne dzieci. Zresztą obawiał się, iż syn, nauczony jego własnym postępowaniem, zrobi z nim to, co on z swym ojcem.

„Matka Jupitera zdołała ocalić dziecko od złowrogich zamiarów ojca, i oto Jupiter jest tułaczem od dzieciństwa. Niema jedności poglądów co do okolicy, w której spędził swe lata dziecinne; najbardziej zasługuje na wiarę tradycja, umieszczająca go wśród górali Krety i każąca mu się karmić mlekiem kozy“.

Po wielu wędrówkach morskich „Jupiter wrócił do ojczyzny i zamieszkał na górze Olimpie, leżącej nad morzem przy wejściu do doliny Penejskiej. Olimp panował nad Tesalją. Jupiter nie omieszkał uczestniczyć w wojnie, która wszczęła się pomiędzy Saturnem a Tytanami, gdy rozszła się wieść o powrocie syna, którego poczytywano za zmarłego jeszcze w kołysce“.

¹⁾ *L'observation sociale appliquée à la mythologie grecque: Jupiter, Hercule et Hellen.* (Science sociale, XXIII).

„Jupiter, zwyciężywszy Tytanów, usunął ojca, zamordowawszy go, jak tego słusznie lękał się Saturn. Podbudzeni przez niezadowolonych, Tytani powstali i Jupiter powrócił w góry“.

Usadowiwszy się na Olimpie, którego potrójny wierzchołek, prawie niedostępny, wznosi się do 2,972 metrów, „Jupiter, z pomocą syna swego Herkulesa, odparł wszystkie ataki Tytanów. Ci, ażeby zrównać się z nim pod względem pozycji, obozowali na Ossie i Peljonie, odnogach Olimpu. Jupiter po stronie swej miał Centymanów, którzy, na wzór górali, rozporządzali tylko ramionami swemi, jako środkiem walki, przeciw sobie zaś Centaurów, jeźdźców doliny, a sprzymierzeńców Tytanów“.

„Górale zwyciężyli, Jupiter został władcą, bohaterem nowej formacji, która wyrugowała Pelazgów z ich własnej ziemi, a sława jego zaćmiła kult Cybeli i Saturna“. Jest to uosobienie boskie wojaka, tryumfującego górala.

Ten przewrót w sferze mitologii posiada swój równoważnik w zakresie historii.

Rozpoczynają się wielkie meljoracje, które legenda upostaciowała w sławnych dziełach Herkulesa. Jedne z nich dotyczą stosunków materialnych: otwiera on skały, które zamykały dolinę, zmienia łożysko rzek, ażeby spływały do morza po większej pochyłości, uzdrawia doliny, osuszając stojące wody w pobliżu morza, tępi potwory drapieżne ¹⁾.

¹⁾ „Starczytni bardzo dbali o utrzymanie w czystości stoków przyrodzonych, o ułatwienie odpływu wód i zapobieżenie tworzeniu się wód niezdrowych. Lekceważono te zadania podczas okresu barbarzyńskiego, jakiemu później uległa Grecja, i wody stojące utworzyły

Wieśniacy pelazgijscy nie zdołaliby uskutecznić tych prac, wymagają one bowiem obecności naczelników, osób przyzwyczajonych do rozkazywania. Ale dostarczyli zastępu pracującego, odnosząc korzyść z dokonania robót, bo doliny stały się urodzajniejszymi.

Inne czyny Herkulesa są natury moralnej: bronił słabych, karał krzywdzicieli, uciskujących mieszkańców dolin, odbierał rządy ciemężycielom i t. d.

Podobne dzieła świadczą, iż mamy przed sobą ludzi cywilizowanych i że dla nich góry były tylko czasowem schronieniem, jak dzisiaj dla opryszków Korsyki, Sycylii, Włoch lub Grecji nowożytnej.

się w wielu miejscach, zatruwając kraj. Tak np. Fonja, olbrzymi lejek pomiędzy wyniosłością Cyleńską a górami Aroańskimi, często zamieniała się na jezioro. W połowie w. XVIII woda zapełniła całą przestrzeń i pokryła pola warstwą wodną, grubości przeszło 100 metrów; w r. 1828 powierzchnia wody, już uszczuplona, miała jeszcze 7 kilometrów szerokości, a leżała na wysokości 50 powyżej dna. W parę lat później, ujścia podziemne otworzyły się, pozostały tylko dwa małe bagniska w najniższych miejscach płaszczyny. W r. 1860 jezioro znowu posiadało 60 metrów głębokości. Według legendy, Herkules wykopał kanał dla osuszenia równiny i odprowadzenia wód z doliny; dzisiaj poprzestają na wzniesieniu kraty u paszczęki otchłani, ażeby wstrzymać pnie i inne wielkie szczątki, unoszone przez wody.

„W południowej krawędzi płaszczyny Argolidzkiej, w pobliżu przesmyku Lerneńskiego, liczne źródła, które, jak Eresinos, należą do basenu Stymfali, ciągną się u podnóża skały i dają początek trzęsawiskom, w których znajduje się mnóstwo węzów; są to *Kephalaria* czyli „głowy“ starodawnej hydry lerneńskiej, którą bohater Herkules, pogromca potworów, poczytywał za tak trudną do złowienia“. E. Reclus: *Nouv. géogr. univ.*, I. 86, 88.

Typ ten przechodził w spadku z pokolenia na pokolenie, będąc zawsze przedmiotem uwielbienia. Taką jest odyseja Hadzi-Stawrosa, syna popa z wyspy Tino, który osiadł na górze Parneskiej i panował nad Atenami. „W chwili mego przyjazdu— pisze Edmund About—bohater Aten był biczem dla Atyki. W salonach i kawiarniach, u cyrulików, gdzie zbierał się gmin, i w aptekach, gromadzących mieszczanństwo, w ulicach błotnistych bazaru, w teatrze, na koncertach świątecznych i na drodze do Patissia, mówiono jedynie o wielkim Hadzi-Stawrosie, zaklinano się na Hadzi-Stawrosa, niezwycięzonego pogromcę żandarmów, Króla Gór. Można byłoby pisać litanję (niech Bóg mi przebaczy) do Hadzi-Stawrosa; lord Byron poświęcił mu odę, poeci i retorzy paryscy porównywali go z Epaminondasem, a nawet z biednym Arystydesem ¹⁾“. Gdyby odstęp czasu był większy, legenda uczyniłaby z niego nowego pół-boga i nowego Herkulesa.

Ci ludzie, cywilizowani na skutek pochodzenia swego z formacji społecznej, właściwej dolinom, otoczeni sławą zdobytą czynami swojemi w górach, byli przyjmowani nie jako obcy, tylko jako bogowie i bohaterowie.

II.

Po powodzi górali typu heraklidowego Grecja doświadczyła najścia górali typu heleńskiego. Zaleli oni Heraklidów. Pochodzili z góry Othrys, mniej wysokiej i mniej odo-

¹⁾ *Le Roi des Montagnes*, 23, 25.

sobnionej, niż Olimp. Byli bardziej ucywilizowani. Innym szlakiem przybył inny typ.

Helenowie są odłamem dawnej grupy Tytanów. Rodowód ich znamy: Tytan, Japet, Prometeusz, Deukaljon, Hellen następują po sobie.

Hellen dał początek Eolijczykom, Achejczykom, Jonijczykom i Doryjczykom. Zajmują Heladę czyli Ftjotyde (południową Tesalję) około r. 1500 przed Nar. Chr., a zamtąd rozpowszechniają się po całej Grecji. Taką była Grecja za czasów Argonautów i wojny Trojańskiej. Opiewa ją Homer. Bohaterzy ci, jak i poprzedni, stanowią twór gór, które są tam wielką wytwórczynią zwierzchników.

Typ ten zradza wyższego poziomu cywilizację, niż Heraklidowie, bo sadowi się na pokładzie pelazgijskim, już przekształconym i uszlachetnionym przez Heraklidów, a nadto, ponieważ począł się on w górach, mniej oddalonych od doliny i portu. Tem to tłumaczyć należy widoczny postęp tego okresu i wyższość jego oddziaływań na zewnątrz, ujawnioną w wyprawie Argonautów i wojnie trojańskiej ¹⁾.

Ale powodzenia te osłabiły Helenów. „Ulisses tuła się lat dziesięć na wodach, zanim ujrzy swą Itakę. Mene-lausem lat osiem miotają burze. Agamemnona morduje żona

¹⁾ Podczas wojny trojańskiej typ grecko-helański jaskrawo wyróżnia się od typu pelazgijsko-trojańskiego. Różnica rzuca się w oczy w sylwetce Eneasza u Wergiljusza. „Eneasze był przede wszystkim patriarchą - przywódcą ludu, drżącym zwłaszcza o swoje penaty, szukającym nie okazji rozbojów na wybrzeżu, tylko spokojnego i cichego miejsca, gdzieby mógł osiąść. Wszyscy krytycy podnieśli to, iż głęboko różni się on od bohatera greckiego i rzymskiego, i nawet robili mu

jego Klitemnestra z gachem Egistesem. Djomedes przed podobnym losem, w Argosie go czekającym, ucieka do Włoch; Minerwa ściga swoją nienawiścią Ajaksa i druzgocze okręt jego, a kiedy bohater ten schronił się na skały i tam zawołał: „Wbrew woli bogów jestem ocalony“, Neptun uderza ją swoim trójzębem i strąca bluźniercę w toń morską. Teukeres, ścigany przekleństwem ojca, iż nie pomścił śmierci brata Ajaksa, zakłada nową Salaminę. Tradycja prowadzi Filoktetesa, Idomenesa, Epeosa na wybrzeża italskie. Poeci opiewali tych bohaterów, a ich pieśni stworzyły obok *Iliady* cykl cały, z którego pozostała jedynie *Odyseja*“¹⁾.

Wojna trojańska, trzymając w ciągu lat dziesięciu wodzów zdala od Grecji, podważyła ich potęgę i ułatwiła najście trzeciej grupy górali, tesprocko-tesalijskiej.

Na widowni dziejowej ukazują się synowie rozległego kraju górskiego, leżącego pomiędzy Pindem a Atyką; jest to Albania tegoczesna, której mieszkańców już opisaliśmy. Górale ci spuścili się z swoich gór w lat 60 po wojnie trojańskiej.

Przybywali znaczną gromadą, bo wyszli z gór rozleglejszych; szli zorganizowani wojskowo, a przywodzili im

zarzuty, nie pojmując, iż takim był typ pelazgijski, frygijski. U Homera, bliższego wydarzeń, co za różnica pomiędzy bohaterem greckim, potomkiem górali, a trojańskim, pelazgijskim! W tym ostatnim czuć człowieka, który walczy odważnie, ale wolałby nie walczyć, bo posiada zwyczaje pokojowe i patryarchalne. Z obu stron występują starcy i młodzież, ale co za różnica namiętności, charakteru pomiędzy Achillem a Hektorem, Nestorem a Prjamem!“ (Uwaga H. de Trouville'a),

¹⁾ Duruy: *Histoire de la Grèce*.

Heraklidowie, którzy przed Helenami szukali ucieczki w górach. Usadowili się w Tesalji i ztąd pochodzi ich imię.

Najście to pociągnęło za sobą doniosłe skutki. Wyrugowało z ich siedzib typy, pochodzące z niewielkich gór, t. j. Helenów, z których wielu udało się do Azji Mniejszej w charakterze kolonistów. Rozpoczynają się częste stosunki morskie pomiędzy Helenami.

Helenowie, przeszedłszy przez typ doliny, dają początek typowi portowemu. A ponieważ z pochodzenia byli przedstawicielami typu górskiego, przeto następuje w ich osobach zlanie trzech zasadniczych pierwiastków, właściwych Nadśródziemnomorzu.

Z tego zlania powstał typ grecki. Jest on dziełem wszystkich trzech szlaków, które opisaliśmy kolejno: szlaku doliny, portu, gór.

W tym czasie zaczynają zarysowywać się dwaj naj-sławniejsi przedstawiciele rasy greckiej: typ spartański i typ ateński.

Nie będę opowiadał ich historii, poprzestanę tylko na charakterystyce.

Z pośród Helenów Doryjczycy, którzy dali początek Spartanom, byli najczystszyimi reprezentantami górali. Siedzieli długo w górach Pindu, następnie w Dorydzie, górzystym kraju, pomiędzy Etą a Parnasem. Ten długi pobyt w górach wycisnął na nich mocniej, niż na innych Helenach, piętno prostactwa i zwyczaje niewykwiłtne, właściwe góralom, a nadto w wysokim stopniu obdarzył ich animuszem wojowniczym, któremu tak sprzyjają góry greckie. W całym Nadśródziemnomorzu są oni najwyższym wyrazem surowej a wojowniczej formacji góralskiej.

Okoliczności te tłumaczą nam typ Spartańczyka.

A przebywając dłużej w górach, Spartanie utracili zdolność do przeinaczenia się. Wolni dłużej od wpływów cywilizacji miejskiej, napotkali większą trudność do ponownego wdrożenia się w jej karby. Nieelastyczność ta wystąpiła w Sparcie tem jaskrawiej, że Doryjczycy tamtejsi znaleźli się wśród ludnych a odmiennych szczepów, które ujarzmili. Musieli trzymać się zwarciej.

Według tradycji Spartanie pierwotnie liczyli tylko 9,000 głów rodzin, pomiędzy których Likurg rozdzielił ziemię. W. w. V było tylko 4—5,000, w. VI zaś jedynie 1,000.

Ci nieliczni wojacy musieli ujarzmić o wiele mniejszą ludność, rozpadającą się na dwie grupy:

1) Helotów, około 200,000. Byli to dawni Pelazgowie, którzy, zgodnie z tradycjami swojej rasy, trudnili się rolnictwem. Po zwycięstwie Spartańczyków musieli pracować na zwycięzców, którzy postępowali z nimi jako z niewolnikami i pobierali od nich uciążliwe daniny.

2) Perieków (t. j. ludności okolicznej), około 100,000 głów. Zamieszkiwali oni grody w Lakonji, zwłaszcza w pobliżu morza. Zajmowali się głównie produkcją przetwórczą, handlem, żeglarstwem, zdaje się, pochodzili z miast nadmorskich i tam nabyli uzdolnień do tego rodzaju zajęć.

Dla utrzymania w karbach Helotów i Perieków, stanowiących większość zaludnienia, Spartańczycy, jako zasadę rządów, zaprowadzili coś w rodzaju stanu obłężenia. Postrachem zmuszali do posłuszeństwa. A jako górale bardziej nieokrzesani od innych, stosowali ten system z okrucieństwem i miary nie znając. Zresztą nietylko dla innych, ale i dla samych siebie byli twardzi, jak rzetelni górale, posiadający mało potrzeb i niewiele subtelności.

Ustrój polityczny Sparty przedstawiał surową gminę wojskową, która zastąpiła spółnictwo rodzinne. Taki ustrój mógł trwać i trwał tylko na skutek rosnącego ciemństwa podbitej ludności.

Typ ateński odróżnia się zgoła innemi przymiotami.

Ateńczycy byli Jonijczykami, którzy pozostali albo szukali schronienia w Atyce. Ale Jonijczycy mieli w sobie najmniej ze wszystkich Helenów charakteru góralskiego. „Byli bardziej zmieszani—zaznacza Karol Perigot—z krwią pelazgijską niż Doryjczycy. Podanie to upostaciowało rodowody ich; Doros jest synem Helena, Jonos—wnukiem“.

Wpływy górskie doznawały wśród Ateńczyków jeszcze osłabienia z powodu geograficznego położenia Atyki.

Atyka przedstawia półwysep, zwrócony ku Azji Mniejszej. Było to naturalne ognisko tak ruchliwego handlu tej dzielnicą. Niebawem ześrodkowała w sobie cały handel Grecji. Ateny posiadały aż dwa porty.

Ateny to „mały Paryż“: udawano się do nich dla robienia polityki, błyszczczenia, nauki, zabawy, nabycia oglady. Były ogniskiem umysłowym świata handlowego.

Ztąd pochodzą dwa zasadnicze rysy Jonijczyka, tak go wyróżniające od Doryjczyka.

Najprzód jest on dowcipny, mniej za sprawą handlu, bardziej zaś na skutek lekkiego i próżniaczego życia, umożliwionego przez handel.

Powtóre, posiada zdolność działania na zewnątrz, a to w następstwie rozwoju morskiego, którego ogniskiem były Ateny. Potęga Sparty tkwiła w piechocie, Aten—w marynarce.

Ustrój polityczny Ateńczyków znajduje się w związku z rozkwitem umysłowym i lekkim zarobkiem. Ateny były wolną rzecząpospolitą, więź społeczna mniej, niż w Sparcie, pętała obywateli. Ale życie publiczne przeważało, ponieważ odznaczało się dowcipem i wabiło swoim urokiem... tak samo jak w Paryżu.

To wygórowanie życia publicznego, choć w obu wypadkach bardzo odmiennego, zgubiło Spartę i Ateny.

W Sparcie doszło do rokoszów przeciw nadmiarowi więzów i ciasnemu despotyzmowi.

W Atenach nierząd zrodził niesnaski i wraz ze zbytkiem podkopał istnienie.

Ale swoją drogą zbytek uczynił Ateńczyków mniej odpornymi, niż jaką była Sparta. Wpływ góry okazał się możniejszym, niż portu morskiego.

Upadek Sparty i Aten umożliwił swobodną widownię dla czwartej powodzi najeźdźców, również górali — typu macedońskiego.

Wyszli oni z gór, leżących na północy od Pindu, we wschodniej części Albanji północnej. Pochodzili więc z rozległej dzielnicy górskiej, ciągnącej się na północ od Grecji, byli przedstawicielami najobszerniejszych gór. Dlatego dłużej i bardziej, niż ich poprzednicy, pozostawali poza obrębem wpływu nizin i cywilizacji.

„Pozostali oni ludem prostaczym i niewykształconym. Wśród nich znajdowało się wielu pasterzy, dozorujących owce w górach. Szlachta, t. j. właściciele, zajmowali się myśliwstwem, lubili pić i byli skorzy do bijatyki. Do uczt nie przypuszczano dopóty młodzieńca, póki nie zabił odyńca; ktokolwiek nie położył trupem wroga, nosił sznurek dokoła szyi. Podczas uczt upijano się, a często kończyły się

one bijatyką“¹⁾). Oto typ prostaczego górala, bardzo wybitny.

Macedończycy uchodzili za Helenów i mówili narzęciem greckiem. Jeden z ich wodzów „wyprowadzał swój ród od Heraklidów Argolidy, którzy twierdzili o sobie, iż są potomkami Herkulesa. Jeden z królów wysłał konie swoje na igrzyska Olimpijskie, a sędziowie dopuszczają go do współubiegania się o nagrodę, t. j. poczytują go za Heleńczyka. Inny władca, Archelaus, otacza się sławnymi artystami, zaprasza malarza Zeuksysa, poetę Eurypidesa, i obiera za stolicę Pellę“.

Macedończycy znajdowali się zdala od cywilizacji miast greckich, byli jednak pod jej wpływem. Przedstawiali oni barbarzyńców z pewną oglądą cywilizacyjną.

Wreszcie nad nimi objął władzę sławny Filip. W młodości swojej, jako zakładnik, spędził lat dziesięć w Tebach. Zaznajomił się z cywilizacją, którą później ujarzmił. Dzieje te są powszechnie znane. Poprzestaniemy więc na wzmiance, iż najazd Macedończyków był jak gdyby najściem bardziej udoskonalonego typu albańskiego. Armja macedońska posiadała lepszą organizację. Sławna konnica odbywała zgodne manewry, tworząc „kąty“. Wyborna piechota, falanga, działała jako mąż jeden. W armji tej znajdowali się Gallowie, którzy wtedy jęli spuszczać się przez Bałkany, oraz Tesalijczycy, również pochodzący z dzielnic wielkich gór.

Podboju Grecji, rozpoczętego przez Filipa, dokonał syn jego Aleksander.

¹⁾ Seignobos: *Hist. de la Grèce ancienne*, 463.

Grecja z pod uległości typowi małej góry przeszła pod panowanie typu wielkiej góry.

Monarchję Aleksandra W. stworzyli górale typu albańskiego, ale na czele jej stali wodzowie formacji heleńskiej. Jej rozpadnięcie odbyło się prędko. Ażeby zrozumieć ten upadek, starczy w wyobraźni swej odtworzyć niesnaski pomiędzy klanami albańskimi. Ta sama sprężyna uzbroiła wodzów Aleksandra W. przeciw sobie. Rozpadnięcie się monarchji Aleksandra W. pociągnęło za sobą upadek Grecji, a na jej ruinach wyrosła potęga rzymska ¹⁾.



¹⁾ Autor poświęca parę dalszych stronic rozbiorowi kwestji czy Grecy tegocześni wzniosą się kiedykolwiek do poziomu dalekich swoich przodków. Odpowiada na to przecząco. Opuszczamy te stronicie, jako nie przynoszące zgoła nic nowego (L. K.).

ROZDZIAŁ VI.

P o ł ą c z e n i e d r ó g.

T Y P R Z Y M S K I.

I.

Na miejscu potęgi greckiej ukazało się państwo rzymskie, ów najwyższy objaw społeczny ludów Nadśródziemnomorza.

Wiedza społeczna, gdyby w krótkim wyrzeczeniu miała wygłosić źródło zasadnicze potęgi rzymskiej, powiedziałaby: Rzymianie w starożytności przedstawiają największy wysiłek, dokonany przez społeczeństwo pierwotnie spółnicze dla wyzwolenia się z więzów spółnictwa. W czasach nowożytnych, niektóre ludy zdołały uskutecznić całą tę ewolucję i zawdzięczają temu swoją przewagę. Rzymianie nie zdołali dokonać tego w całości i potęga ich była w stosunku prostym do stopnia, w jakim uskutecznili to zadanie.

Dwa szczepy nie pelazgijskiego pochodzenia, lądowe, próbowały tłumnie osiąść w Italji, dostępnejszej niż Grecja, a mianowicie Iberowie, często utożsamiani z Ligurami, i Gallowie, lud północny. Na południu kraj był najeżony warowniami pelazgijskiemi, a nadto wąskość półwyspu nie dawała im tego przestworu, co rozległa dolina rzeki Po. To powstrzymało ich wędrówkę ku południowi. Bardziej na południu leżały dwie równiny, jak gdyby stworzone dla Pelazgów, jedna po lewej, druga po prawej stronie Tybru, Lacjum i Etrurja. Są to dwa wielkie a naturalne ustroja rolnicze półwyspu; reszta jego powierzchni, górzysta, sprzyja raczej roślinności drzewnej i trawiastej, aniżeli uprawie.

Pelazgowie Lacjum należeli do typu drobnych wychodźców pelazgijskich. Ich współszczepowcy w Etrurji, Tyrenowie, przedstawiali rozleglejszy i systematyczniejszy związek. Wyszli oni z Lydji w okresie względnie późniejszym i ujarzmili Pelazgów pierwotnych Etrurji, ale nie tknęli Lacjum. Nadto Etrurja stanowiła przedmiot pożądliwości dla Rasenów wschodnich, żeglarzy, którzy, uzależniwszy od siebie tę dzielnicę, odgrywali tam rolę ludzi portu, rolę, jaką Fenicjanie spełnili w Grecji (np. Cekrops, Danaos).

Lacjum nie zaznało takich przekształceń. Jedynie rozbitkowie trojańscy wywarli tam wpływ, ale były to drobne grupy wychodźcze. Mieszkańcy jego byli szczepem dzielnych rolników, nie zgniecionych zbytnio przez ustrój społeczny, nie wykolejonych przez panowanie cudzoziemców i handel, czem Etruskowie nie mogli się byli poszczycić.

Pomiędzy obiema temi równinami, wielką, Etrurją, i małą, Lacjum, pomiędzy Tybrem, Narem a Anio, wrzynało się nieznacznych rozmiarów pasmo górskie, zaludnione przez

zbiegów z obu równin. Był to kraj Sabinów. Ztąd zbiegowie rozszerzyli się wzdłuż całego grzbietu Apenin środkowych, słynącego jako Samnium. Samnici przedstawiali typ górali rozległych gór.

Trzy te dzielnice, Lacjum, Etrurja i kraj Sabinów, dostarczyły pierwszych składników typu rzymskiego.

Rzym leżał na pograniczu tych trzech dzielnic. Aż do czasów zbudowania *Cloaca maxima* grzązł w nizinie bagnistej, z pośród której wznosiło się siedem pagórków: Kapitol, Kwirynal, Viminal, Eskwilin, Palatyn, Celijski i Awentyński. Do nich możnaby dodać jeszcze Janikul. Na wzgórzach tych tłoczyli się mieszkańcy. Tyber osłaniał ich od Etrurji, bagna zaś, owe sławne z powodu febry maremmy, od Lacjum i Sabinji.

Było to więc miejsce schronienia przewyborne dla zbiegów Etrurji, Lacjum i Sabinji, którzy cokolwiek zbroili, mieli rachunki z ręką sprawiedliwości, albo z zemstą krwawą, lub wreszcie potrzebowali wręcz większej niezależności, pchani żądzą przygód. Dzielnica ta, błotnista, dobrze broniona przez przyrodę samą, przedstawiała coś w rodzaju Dalekiego Zachodu amerykańskiego, otwartego dla wszystkich awanturników sąsiedztwa. I sami Rzymianie, pomimo swej dumy, przyznawali się do pochodzenia od zbiegów i opryszków, poszukujących przytułku. Przyznajemy się zaś do takich rzeczy tylko wtedy, gdy są one powszechnie znane i udowodnione. Wtedy nawet chętnie się takim pochodzeniem.

Podania, unoszące się nad początkami Rzymian, posiadają treść taką samą. Opowiadają, iż Romulus udzielił schronienia, dla zwiększenia ludności Rzymu, wszystkim

opryszkom sąsiedztwa. Porwanie Sabineek było koniecznością, bo te napływowe żywioły składały się przeważnie z mężczyzn. Dla ludzi takiego kalibru pogoń kobiet uchodzić musiała za czyn zgoła prawowity.

Ten napływ osób ze wszystkich dzielnic sąsiednich nietylko towarzyszył początkom Rzymu, ale również trwał później.

W rocznikach konsularnych, pomiędzy konsulami lat 510 — 460 znajdujemy Wolsków, Aurunków, Sabinów, Etrusków, Łacinów.

Pomiędzy rodzinami możnemi pochodzą z Alby: Juljusze, Serwiljusze, Tuljusze, Geganjusze, Kwinkcjusze, Kurcjusze, Kloeljusze; z kraju Sabinów — Apjusze, Postumjusze i prawdopodobnie Walerjusze, Fabjusze i Kalpurnjusze; z Lacjum — Furjusze, Hostyljusze, Meduljusze; z Etrurji — Pomponjusze, Papjusze, Kuponjusze i t. d. Wreszcie, a jest to szczególnie charakterystyczny, Romulus i Tuljusz są Łacinami, Numa i Ankus — Sabinami, Serwusz i obaj Tarkwinjusze — Etruskami.

Wśród takiej różnego pochodzenia ludności powstało z konieczności żywe poczucie dzielności osobistej i własnej indywidualności. Wszyscy ci wychodźcy byli siłą wypadków wyrzuceni z otoczenia rodzimego i dobrowolnie lub z przymusu porwali więzy, łączące ich z tem otoczeniem; przedstawiali oni ludzi, stojących poza obrębem prawa, istotnych *outlaws*. Wielu z nich, ocalając się, schroni się sami bez kobiet, bo w innym przypadku nie porywali Sabineek. Słowem, od samego początku Rzymu widzimy w nim ludzi, którzy opuścili swe otoczenie lub zostali zupełnie wyrzuceni poza obręb więzów prastarej a tradycyjnej wspólnoty rodzinnej.

Świat po raz pierwszy oglądał ludzi tak odosobnionych, tak zmuszonych do stworzenia nowego społeczeństwa, przyczem oparło się ono nie na grupach, tylko na jednostce, liczącej jedynie na siebie. Kładę nacisk na taki początek, gdyż tłumaczy on nam taką różnicę typu rzymskiego od wszystkich typów starożytności, a zarazem wyższość jego.

Zaiste, przewaga jednostki pierwotna nad więzią społeczną, oto rys charakterystyczny Rzymianina. Postaramy się w ogólnych zarysach przedstawić tę ciekawą ewolucję.

Rzymianin, od samego początku i pod działaniem konieczności, staje się pilnym rolnikiem, wyższym niż Pelazgowie.

Na to mamy świadectwa. „Ojcowie nasi, kiedy chcieli pochwalić dzielnego człowieka—powiada Kato—zwali go dobrym rolnikiem i dobrym pracownikiem; była to największa pochwała“¹⁾. Nie mieszkało w Rzymie, który przedstawiał zbiór prostych chat, przeznaczonych do przechowywania łupów, bydła i plonów i zabezpieczenia ich przeciw wrogom. „Mieszkało wśród pól w wioskach, pomiędzy wiejskimi plemionami, najzacniejszemi, a do Rzymu udawano się tylko na targi²⁾ lub komicja. Mieszkanie wiejskie składało się z lichej chaty, zrobionej z pali, gałęzi i ubitej ziemi; nie tracono tam ani jednego dnia, nawet ani jednej chwili. Jeśli powietrze nie pozwalało udać się na pola, pracowano w domu, czyszczono budynki i podwórze, naprawiano powrósła i starą odzież; nawet podczas dni

¹⁾ Cato: *De re rustica*. Plinusz XVIII, 3.

²⁾ Co dni dziewięć, ztąd nazwa *Nundinae*. Colum. *Praef.* i Macr. *Sat.* I, I, 16 (u Duruy'a).

świętecznych wyrąbywano głogi, gradzono, kąpano trzody, udawano się do miasta sprzedać oliwę i owoce“¹⁾.

Układano kalendarze dla wyznaczenia kolejności robót w polu. Oto, dla przykładu, wskazówki na maj:

Segetes runcantur	.	.	.	pielenie zbóż,
oves tonduntur	.	.	.	strzyżenie owiec,
lana lavatur.	.	.	.	mycie wełny,
iuvenci domuntur	.	.	.	przyuczanie wołów do jarzma,
segetes lustrantur.	.	.	.	oglądanie zasiewów,
sacrum Mercurio et Florae	ofiary Mercuremu i Florze.			

Prastary Rzymianin występuje przed nami jako pracowity i oszczędny wieśniak!

„W Rzymie—pisze Horacy—przez długie czasy nie znano większej uciechy i innego święta nad otwieranie ze świtem wrót, wyjaśnianie prawa klientom i lokację rozsądną oszczędności pod dobry zastaw. Uczono się od starców umiejętności zwiększania oszczędności i unikania rujnujących wybryków i udzielano jej początkującym“²⁾.

Zamiłowanie pracy jest tak znaczne, iż włościanin rzymski wyzwala się od wielu przesądów, które tyle czasu zabierały Grekom. „Kato pragnie zaoszczędzić rolnikom straty czasu na zapytywanie wyroczni, augurów i wróżb, nawet zabrania mu spełniania praktyk religijnych, które odciągałyby go od domu. Jego bóstwa znajdują się przy

¹⁾ Verg. *Georg.* I, 275; Colum. *De re rust.*, II, 21; Kato *De re rust.*, 39 (u Duruy'a).

²⁾ *Ep.*, II, 1.

ognisku i na najbliższem rozdrożu. Lary, Many i Sylwani starczą dla opieki nad chatą; inni bogowie są zbyt teczni“ ¹⁾).

Prastary Rzymianin przedstawia najudatniejszy typ oszczędnego włościanina. „Ojciec rodziny — powiada Kato — powinien ze wszystkiego robić grosz i nic nie tracić. Gdy daje nowe suknie niewolnikom, niechaj odbierze stare, przydadzą się jako kawałki; niech sprzedaje oliwę, jeśli jest warta cokolwiek, i resztę wina i zboża; niech prowadzi na targ stare woły, cielęta, jagnięta i wysyła wełnę, skóry, stare wozy, stare żelastwo, starych i chorych niewolników; niech zawsze sprzedaje: ojciec rodziny powinien być sprzedawcą, nie zaś nabywcą“ ²⁾).

Taki wygórowany charakter wieśniaczy zdumiewa nas na pierwszy rzut oka — w tem Nadśródziemnomorzu, w którym wszystkie dotychczas rozpatrzone ludy oddają się, zamiast właściwemu rolnictwu, zbiorowi owoców, nie wymagającemu żadnego wysiłku wśród piasów i śpiewów.

Jakim sposobem ci zbiegowie, wygnańcy i opryszkowie, którzy znaleźli schronienie wśród bagien Rzymu, stanowią wyjątek od ogólnej zasady; jakim sposobem z własnej woli i w takim stopniu poświęcili się napiętemu rolnictwu, tak rzadkiemu w tych okolicach? Oto zadanie do rozwiązania!

¹⁾ *De re rust.*; Rem divinam nisi compitalibus in compito aut in foco faciat. Patrz Duruy'a: I, 136.

²⁾ Caton. *De re rust.*, 2.

II.

Napięty charakter wieśniaczy Rzymian starożytnych dojrzał pod zbiorowem działaniem trzech przyczyn zasadniczych:

1-o Pierwsi Rzymianie wyszli z pośród rolników pelazgijskich Lacjumu.

O obecności Pelazgów w Lacjum świadczą wymownie szczątki murów cyklopicznych, „olbrzymich głazów, ułożonych bez cementu, które przetrwały ludzi i czasy“¹⁾.

Wiemy, iż Pelazgowie znajdowali się w okresie rolniczym i wydali z pośród siebie, w dolinach nadmorskich, rolników.

2-o Pierwsi Rzymianie szukali przytułku nie w górach, ale wśród bagien.

Wiemy, iż wielu rolników z dolin schroniło się, na skutek waśni domowych, w góry; iż tam roztrwonili swe zdolności rolnicze i przekształcili się na wojowników, a następnie na panów dolin.

Pierwsi Rzymianie uniknęli tej ewolucji, nie szukali schronienia w górach, tylko na 7 pagórkach, które

¹⁾ Odkryto ruiny pelazgijskie w Povianum, Volaterrach, Lista, Wejach, Signia, Arpinum i t. d. „W Signia mury, ułożone z olbrzymich głazów, tworzą potrójny mur. W Alatri można jeszcze oglądać warownię pelazgijską. Mury mają 40 stóp wysokości, a niektóre głazy—8-9 stóp długości. Oddrzwia pewnych wrót składają się z trzech głazów. Kamienie są starannie ciosane i umiejętnie dopasowane. Połączenie głazów jest wzorowe. Jest to dzieło olbrzymów, ale zręcznych olbrzymów“. Ampère: *l'Histoire romaine à Rome*, I, 135.

jak wyspy wznosiły się ponad błotami. W takich warunkach zostali nie wojowniczymi góralami, ale wytrwałymi rolnikami. Zresztą nie mieli tam innego wyjścia prócz osuszenia bagien i zajęcia ich pod uprawę. Ich rodzicielka, formacja pelazgijska, uzdolniła ich do tego, bo Pelazgowie byli przede wszystkim karczownikami doliny.

Ale wrodzone zdolności doznały szczególnego spotęgowania. Te ziemie napływowe, oswobodzone od stojących wód, wykazały niezmierną urodzajność, która sownie wynagradzała pracownika i podniecała gorliwość jego. Ze wszystkich upraw, najbardziej napiętą i najwydajniejszą jest uprawa nizin i nowin, tak zwana po francusku *la culture maraichère* (od starofrancuskiego *maresc*, błoto). Grunta takie wybierają ogrodnicy, uprawiający warzywa; otrzymują oni na nieznacznej przestrzeni ogromne plony. Taki ogrodnik może mieć 6 — 7 zbiorów rocznie z tego samego kawałka. Przysłowie włoskie powiada: W maremmie można wzbogacić się w ciągu roku, lub umrzeć po pół roku.

Te bagna osuszone podniecały szczerze rozwój zdolności rolniczych wieśniaków pelazgijskich ¹⁾.

Kapitol i Palatyn dawały bezpieczne schronienie, ale ażeby żyć i rozszerzać się, trzeba było zejść ze wzgórzy, a podjąć zapasy z bładzacemi i stojącemi wodami, z których unosiła się malarja. Febra oddawna posiadała na Palatynie ołtarz, przed którym usiłowano przebłagać ofiarami i modłami jej wpływ złowrogi. Ale ten lud przesądny po-

¹⁾ U Łacinów febra była upostaciowana w bogu Februusie, któremu poświęcono miesiąc luty. Wtedy odbywały się ofiary oczyszczenia. Ztąd wyraz *februare* oznacza oczyszczać.

siadał w sobie wielki zasób energii (dzięki swemu pochodzeniu, wychodztwu jednostkowemu, walce z wodą o ziemię). Czego domagał się od bogów, domagał się także od własnego wysiłku, a walka ta przeciw przyrodzie była szkołą walki z ludźmi. W dziele tem przekształcania gleby wspierali go Etruskowie, którzy posiadali umiejętność drenowania płaszczyzn bagnistych i wznoszenia trwałych pomników dla odprowadzania wód podskórnych. Zarówno wtargnięcie kunsztu etruskiego do Rzymu, jako i surowy i twardy żywot pierwszych Rzymian były koniecznością¹⁾.

Legendy i dzieje początków Rzymu opowiadają o tym charakterze nawskroś rolniczym pierwotnych Rzymian.

Tradycje głoszą, iż w czasach najodleglejszych sprawiał rządy cudzoziemiec, syn Apolina, „boski“ Janus, którego sadyba wznosiła się na wzgórzu Janikulskim. Saturn, strącony z nieba przez Jupitera, otrzymał odeń na własność wzgórze Kapitolu. „Wzamian za tę gościnność bóg udzielił Łacinom sztuki uprawy zbóż i krzewu winnego. Saturn, „dobry siewca“, był także dobrym pracownikiem, i przez długie czasy przedstawiano go z sierpem, dopiero wieki późniejsze z tego narzędzia zrobiły kosę czasu, wynaturzając pierwotne podanie²⁾.

Podanie zaznacza, iż Romulus dokonał świętej brózdki dokoła Rzymu, zaprzągłszy do pługa byka i jałoszkę bez zmazy.

Podczas tego pierwszego okresu Rzymianie całkowicie dali się pochłonać robotom w polu. Numa podzielił

¹⁾ Duruy, l. c., roz. XXXIV.

²⁾ Duruy, l. c., str. 4.

grunta, „ażeby każdy mógł siać spokojnie na swoim dziedzictwie“; na Kapitolu zbudował świątynię na cześć bogini Fides; sankcją otoczył miedze, wzniósł świątynię Janusowi, a wrota jej otwierano tylko podczas wojny. Za czasów Numy „miasta sąsiednie wchłaniały zdrowy powiew łagodnego i czystego wiatru, który przybywał z Rzymu“, świątynia Janusa zawsze była zamkniętą. Idąc za przykładem tego monarchy, Ankus Marcjusz wspierał rolnictwo, które robiło dalsze postępy.

3-o W Rzymie handel posiadał mniejsze znaczenie niż rolnictwo.

Rzym nie był, jak Grecja, zwrócony ku krajom, w których kwitnęła cywilizacja i mnożyły się bogactwa. Italja posiada zgoła odmienne ukształtowanie, kraje jej otwierają się ku zachodowi, nie zaś na wschód. Grzbiet górski, który ciągnie się wzdłuż Adrjatyku równolegle do gór Albanji, leży na wschodniej krawędzi półwyspu, wówczas gdy w Grecji pasma idą na krawędzi zachodniej. Grecja i Italja, rzecz możemy, obróciły się do siebie grzbietem. Italja zerwać musiała ze światem wschodnim i była w historii bardziej odosobnioną niż Grecja, uprawiała w stopniu mniejszym handel i artyzm, a wszystko z powodu tego odgrodzienia od Wschodu.

Nadto Italja bez porównania w mniejszym stopniu była wystawiona na działanie klimatu południowego. Była jakby rozpołowioną pomiędzy różne strefy klimatyczne. Jej kraniec południowy kąpie się w klimacie greckim, północny — wybiega poza północ Grecji.

Część południowa (Neapol i Sycylja) przedstawia wygórowane powtórzenie Grecji i słusznie otrzymała miano Wielkiej Grecji. Ale nie mogła współzawodniczyć z tą ostat-

nią z powodu swej odległości od Wschodu. Zachowawszy właściwą miarę, rzec moglibyśmy, iż była tem, czem jest Brazylja względem Portugalji, czem Kanada zdołałaby zostać w stosunku do Francji.

Dzielnica północna (Rzym, Toskanja) dostarcza zgoła innych produktów. niż Grecja i jeszcze bardziej oddala się od Wschodu niż Wielka Grecja. W tym klimacie mniej ciepłym właściwe rolnictwo z konieczności zagłusza uprawę drzew owocowych.

Trzy te czynniki działały, iż pierwsi Rzymianie byli największymi rolnikami.

Zbiegowie ci, zmuszeni jać się rolnictwa, zwłaszcza pochodzący z Lacjum, wnieśli specjalne nawyknięcia i pomysły — w liczbie dwóch. A te nawyknięcia przenikały ich więź społeczną i skierowały ją na tory odmienne, niż w dotychczas badanych społeczeństwach.

Po pierwsze, zapragnęli być panami własnych dzieci oraz oparli rządy w łonie rodziny na zasadzie zupełnej niezależności.

Pamiętajmy o tem, iż ci zbiegowie przybyli pojedynczo i najczęściej niczem nie związani nawzajem. Winni oni byli opuścić łono własnej rodziny, a niekiedy gwałtownie z nią zerwać. Czuli głęboko, iż nie mogą liczyć na gromadę, jeno na własne siły. Poczucie własnej indywidualności wybujało silnie w ich duszy. Nie potrzebowali ochraniać gospodarstwa ani z pomocą instytucji, ani ludzi, bo żadnego nie posiadali. Znalezli się sami jedni w swej dzikiej niezależności, zdobytej mocą wysiłków i dumy. Każdy z tych zbiegów mógł poczytywać siebie za króla tego niezajętego kawałka błot, na którym osiadł na mocy swej wszechwładnej woli.

Naturalnie, władza nad własną rodziną będzie pierwszym objawem zwierzchnictwa, jakiego zażąda: Oswobodził się od wielkiej gminy miejskiej, właściwej Pelazgowi, od spółnictwa rodzinnego krewniaków i nie przystanie na to jarzmo, skoro go nic do tego nie zmusza. Tekst prawa brzmi więc: „niema narodu, który posiadał taką władzę nad dziećmi, jak my“.

I słusznie! „Tylko ojciec posiada nazwisko, bo nad nim nikogo niema w domu. Żona, dzieci, służba, to tylko rzeczy ¹⁾, narzędzia pracy, osoby bez woli własnej i bez nazwiska, poddani wszechpotędze ojca. Będąc zarazem kapłanem i sędzią (ale bez ulegania wpływom starców gminy, którzy osłabiają zawsze powagę patriarchy), posiadał bezwzględną powagę i jedynie on jest w stosunku z bogami, bo sam tylko spełnia *sacra privata*; w charakterze pana użytkuje z siły roboczej i życia niewolników; w charakterze małżonka będzie wydawał wyrok śmierci na żonę, jeśli ta dorobi klucze fałszywe lub złamie ślubowaną wiarę, sam zaś nie jest względem niej obowiązany do czci żałobnej, do nabożeństwa ²⁾; w charakterze ojca może zamordować dziecko kalekę, inne będzie mógł sprzedawać trzy razy, zanim utraci do nich swe prawa.

1) *Mancipia*, ztąd *emancipatio*; nie są oni *sui*, tylko *alieni juris*, nie mogą stawać przed sądem. Ojciec odpowiada za nich i ich sędzi.

2) Pl. *Hist. nat.*, XIV, 15; Suet. *Tib*, 55; Tac. *Ann.* XIII, 32. Plut. *Rom.*, 22.

3) *Uxores viri lugere non compellentur. Sponsi nullus luctus est. Dig.* III, 2,9. *Vir non luget uxorem, nullam debet uxori religionem luctus.*

Ani wiek, ani piastowane dostojęństwo ich nie oswabdzają, nawet senatorów i konsulów może ściągnąć z kurji i z mównicy i skazać na śmierć, jak to zdarzyło się z owym senatorem, spółnikiem Katyliny, skazanym na śmierć przez ojca. Posiadając majątek, będzie pobierał od sumy wypożyczonej 12⁰/₀, 15⁰/₀ i 20⁰/₀, bo ojciec rodziny winien puszczać w obrót swoje pieniądze i ziemię, a prawo oddaje w jego ręce wolność a nawet życie niewypłacalnego dłużnika. Po śmierci, ani dzieci, ani żona nie mogą rościć pretensji do jego majątku, jeśli go zapisał obcemu, bo posiada prawo dowolnego rozporządzania tą rzeczą ¹⁾).

„Mąż—powiada Kato—jest sędzią żony; może z nią postąpić jak zechce. Karze ją za błędy, skazuje za spróbowanie win, śmiercią karze za niewierność“. Senator, którego syn uczestniczył w spisku Katyliny, osądził go na śmierć. Nigdy dotychczas osoba prywatna nie rozporządzała taką całkowitą i zwierzchniczą władzą.

Dawny Rzymianin, wyszedłszy z pośród wspólnoty, uszczupla rodzinę swoją do synów i wnuków, t. j. do niewielkiej liczby osób. Zamiast wskrzeszenia rodziny patriarchalnej, stwarza nowy typ, pokrewny niektórymi rysami z rodziną partykularystyczną.

Rodzina patriarchalna tępiła samorzutność jednostki, zdolność do pracy i ducha postępu, wówczas gdy partykularystyczna w najwyższym stopniu wzmacnia te przymioty.

Rzymianie posiadali poczucie wyższości, jaka wypływała z tej przewagi pojedynczej osoby, głowy rodziny, nad

¹⁾ Uti legassit super pecunia, tutelave sui rei, ita jus esto (XII tablic); patrz Duruy, l. c.

całą gromadą. Byli dumni z tego. Uważali siebie za wyższych w stosunku do jednoty pelazgijskiej, w której jednostka była pozbawiona czynu i inicjatywy. Byli oni panami ogniska domowego; nie więzy pokrewieństwa, tylko moc osoby, opartej na własnych siłach, trzymała ich pospołu.

Poczucie to tłumaczy nam to dobre mniemanie, jakie ci potomkowie zbiegów i opryszków mieli o sobie, i to w pierwszym nawet okresie Rzymu, kiedy ich rodowód niezbyt zaszczytny był powszechnie znany.

Powtóre, starożytni Rzymianie otoczyli własność prywatną i osobistą najwyższymi a bezwzględными prawami, jakich dotychczas nie znano.

Pojmujemy ten stan ducha u ludzi, którzy znienacka i po raz pierwszy znaleźli się w zupełnym a osobistem władaniu gruntami. A chodzi tam nie o pierwszą lepszą własność, jeno o ziemię, którą musieli tylu wysiłkami wydzierać wodom stojącym i febrze! Wszak narażając życie swoje, każdy zaczął uprawiać tę glebę!

Włościanin przywiązuje się do gleby, którą uprawia, zwłaszcza gdy stworzył ją bez niczyjej pomocy i po raz pierwszy, od początków świata, korzysta w zupełności z posiadania jej osobistego. Trzeba przenieść się myślą na miejsce tego nowego wieśniaka i odtworzyć stan jego duszy, ażeby zrozumieć nadzwyczajne prawa, jakimi osłonił prawo własności, sławnej własności kwiryckiej. Członkowie ustroju spółniczego nigdyby nie zdołali wyłonić takich pomysłów.

Włościanin ów, obawiając się, iż odbiorą mu jego majątek, starannie otacza własność ziemską powagą religijną, dochodzi nawet do ubóstwiania granic pola, stwarza

boga Terminusa i święta terminalne. Termy, raz jeden postawione, nie mogły być przeniesionemi. Legenda opowiada, że Jupiter, zapragnąwszy dla siebie świątyni na Kapitolu, nie mógł wywłaszczyć boga Terminusa. Ktokolwiek wywrócił kamień pograniczny albo przeniósł go, popełniał świętokradztwo; według starodawnego prawa rzymskiego, ktokolwiek ostrzem pługa dotknął kopca granicznego, b^ywał wraz z swemi wołami składany w ofierze bogom podziemnym.

Włóścianin rzymski umie tak samo ochraniać swą własność ruchomą, jak i ziemię. Niewypłacalny dłużnik nie mógł oczekiwać litości. „Gdy nie płaci—głosi prawo—ma być przed sąd pozwany; jeśli przeszkadzają mu choroba lub wiek się stawić, niechaj mu dostarczą konia, tylko nie lektyki. Gdy potwierdzi dług, a wyrok zostanie wydanym, przysługuje mu 30 dni zwłoki. W razie nieuiszczenia i wtedy długu, wierzyciel wtrąci go do *ergastulum*, zwiąże rzemieniami lub skuje łańcuchami, ważącemi 15 funtów. Ku schyłkowi dnia 60-go niechaj będzie w ciągu trzech dni wystawiony na rynku i sprzedany za Tyber; jeśli znajduje się kilku wierzycieli, mogą podzielić się jego ciałem, wszystko jedno, ile odetną“ ¹⁾. Tak głosi prawo Dwunastu Tablic, a było ono, według Cyncerona, „źródłem całego prawa rzymskiego“. Po upływie czterech wieków po jego ułożeniu, uczono się go jeszcze na pamięć w szkołach.

Widać, iż ludzie ci świeżo i z mazołem pozyskali własność indywidualną gruntów i plonów i że pragną zabezpie-

¹⁾ Secanto, si plusve minusve secuerunt se (= sine) fraude esto. (Dwanaście Tablic).

czyć ją, *per fas et nefas*. Nie wahają się strachu napędzić wszystkim śmiałkom, którzyby pragnęli podnieść rękę na tę bardziej napiętą i osobistą formę własności.

Również powagą religijną otaczali ognisko, tak samo indywidualne, jak majątek ziemski. Było ono świątynią ich niezależności, z takim mozolem pozyskanej.

Kult ich polega na czci ogniska i tych, którzy w przeszłości grupowali się dokoła niego. Przed niem gromadzą się na modlitwę. „To sanktuarjum, w którym przebywały lary¹⁾, było ukryte wewnątrz domu; żaden obcy nie zbliża się do niego! Rodzina rzymska przedstawia mały kościół, posiada religję swoją i kult, do którego jedynie jej członkowie są dopuszczeni“²⁾, t. j. dopuszczoną jest nieznaczna liczba osób, mieszkająca pod tą samą strzechą. Ci, którzy opuścili dom i założyli własne gospodarstwo, są wyłączeni.

Panowie bezwzględni rodziny swojej i majątku, Rzymianie odróżniają się od pozostałych Pelazgów. Okoliczność ta pociągnęła za sobą różne doniosłe skutki, a mianowicie zmieniła stosunek jednostki do miasta (państwa).

III.

1-o Miasto (*civitas*) przedstawiało tylko narzędzie ochrony praw jednostki.

¹⁾ Nazywano ich *penatami*, t. j. bogami wnętrza.

²⁾ Seignobos: *Civilisation ancienne*, 203.

U Greków, jak i u różnych ludów, które wyszły z pośród Pelazgów, miasto było powyżej jednostki, panowało nad nią i niekiedy dławilo ją (np. w Sparcie).

U Rzymian dzieje się na odwrót: jednostka króluje nad więzią społeczną.

To wyzwolenie jednostki od chwil najwcześniejszych uwydatnia się w dwóch faktach. Po pierwsze, autonomia rodzin i własności ujawnia się przed powstaniem organizacji państwowej: powtóre, w chwili, w której władza publiczna przybiera postawę zaczepną, zostaje obaloną. Nie jednostka, ale powaga publiczna przegrywa sprawę.

Ograniczę się na krótkim przytoczeniu faktów:

Wychodzcy latyńscy głównie przykładają rękę do założenia Rzymu, nadają mu charakter społeczny i wogóle kładą swe piętno na pierwszym okresie. Legendy wywodzą Romulusa z Alby, stolicy Lacjum.

Sabinowie, bardziej wojowniczy i w większym stopniu górale, biorą górę z Numą i Ankusem Marcjuszem.

Wreszcie Etruskowie, bardziej ucywilizowani, zawładnęli władzą i trzymają ją w swych rękach za Tarkwinjusza Starego, Serwjusza Tuljusza i Tarkwinjusza Pysznego. Możliwyby rzec, iż wieśniak latyński, zajęty karczunkiem i uprawą ziemi, pogardza władzą i pozwala owładnąć nią politykom z zawodu i urodzenia. Tak samo kiedyś postąpi włościanin saksoński wobec Duńczyków i Normanów.

Pod wpływem królów etruskich, bardziej ucywilizowanych miasto wypiękniało i powstały urzędy miejskie publiczne. Władze publiczne, ukazując się, wtargają w życie prywatne obywateli, zagrażają niezależności rodzinnej. O tych faktach opowie pierwsza lepsza historia.

Tarkwinjusz Stary upiększył Rzym i rozpoczął budowę murów, którą skończył Serwjusz. Forum, osuszone i otoczone portykami, służyło za miejsce zebrań i zabaw ludu. Wzięto się do Kapitolu, wyrównano cyrk, przeznaczony dla widowisk i gier, zapożyczonych u Etrusków. Najważniejszym jednak dziełem były kanały podziemne. Nadto Tarkwinjusz pragnął zmienić ustawę społeczną, ale nie udało mu się przekształcić ustroju plemiennego.

Serwjusz Tuljusz zaprowadził wielkie zmiany w mieście i prawach. Powiększył Rzym i rozdzielił go na cztery dzielnice, czyli plemiona. Rozdzielił cały kraj na 20 okręgów, zwanych także plemionami, naród zaś na podstawie majątku na pięć klas i 193 centurji, z których ostatnia ogarnęła najuboższych obywateli.

Tarkwinjusz Pyszny nie kierował się żadnemi względami na obywateli. Otoczony zaciężną drużyną, rządził nie dbając o zwyczaje, ochraniające samodzielność rodzin, pozabawiał majątku, wysyłał na wygnanie i śmiercią karał tych, którzy wzniecali w nim obawę.

Ci trzej królowie zwiastują nowy okres; ręką swoją targnęli się na starodawną ustawę. Pomimo opozycji patrycjuszów, Tarkwinjusz Stary mianował sto nowych rodzin patrycjuszowskich, których senjorowie weszli do Senatu prawdopodobnie dla wzmocnienia tam wpływów etruskich, Serwjusz Tuljusz odebrał głowom rodzin patrycjuszowskich część gruntów, które przywłaszczyli sobie z ziemi publicznej i każdemu z nich wyznaczył siedm jugerów na zupełną własność kwirycką, a nadto zmusił arystokrację, której reformy poprzednika jego cios zadały, do przyjmowania plebejuszów na członków miasta. Tarkwinjusz Pyszny nie grzeszył większem umiarkowaniem, a jego rządy

to ostatnia próba zaprowadzenia w Rzymie urzędzeń publicznych Etrurji, mniej poważających niezależność prywatną. „Trudno nie spoglądać na królowanie Tarkwinjuszów—słusznie zaznacza Wiktor Duruy—jako na okres panowania Etrusków, przyjętego lub narzuconego, Rzym zaś Tarkwinjusza Pysznego nie uważać za najświetniejszą stolicę lukomonji“¹⁾.

Przewrót zastąpił monarchję przez rzeczpospolitę. Włóścianin latyński wziął odwet na Sabińczykach i Etruskach, życie prywatne wystąpiło z przeciwdziałaniem groźnemu rozwielmożnieniu się życia publicznego.

Ojcowie rodzin zamienili monarchów przez dwóch konsulów, obieranych z pośród swoich. Nie będziemy zatrzymywali się nad tem zdarzeniem.

2-o Organizacja wojskowa była również tylko narzędziem zabezpieczenia praw jednostki.

Organizacja wojskowa Rzymu wytknęła sobie dwa cele zasadnicze.

Najprzód założyła sobie cel obrony przeciw sąsiadom. Była dziełem włóścianina, organizującego się dla energicznej ochrony majątku. Ojciec rodziny tem bardziej dbał o ten majątek, im więcej miał pracy w jego pozyskaniu i im bardziej to mienie nęci go urokiem własności osobistej.

Organizacja wojskowa następnie wzięła sobie za cel zabór nowych gruntów, ażeby je zagospodarować. I tutaj znowu mamy do czynienia z aspiracją, właściwą wieśniakowi, dla którego podbój nowych gruntów posiada interes gó-

¹⁾ Wyraz etruski lukomon oznacza wodza, księcia, króla. Etrurja rozpadała się na 12 lukomonji.

rujący. Rozpowszechnianie się rasy anglo-saskiej kieruje się tą samą pobudką, jej zaś organizacja wojskowa tylko to ma na widoku.

Osobliwe powodzenie tego zastępu rolników, którym ze szczebla na szczebel udało się podbić całą część globu, daje się wytłomaczyć przez skład jego i cele.

Skład armji rzymskiej nie potrzebuje komentarzy. Są to włościanie, przez samą formację społeczną sforniejsi, niż górale. Górale posiadają większy animusz wojenny, ale zbywa im na karności, jak to widzieliśmy przy rozbiorze typu albańskiego.

Ta formacja rdzennie wieśniacza natchnęła żołnierza rzymskiego myślą i nieustającym stosowaniem obozu skupionego. Obóz przedstawiał ogromny nakład pracy, obróconej na skopanie ziemi z pomocą rydla. Jedynie człowiek, przyzwyczajony do wtrząsania ziemi i kopania, mógł wpaść na podobną myśl i przedsiębrać takie dzieło, a Rzymianin nie cofał się przed tem zadaniem, nawet gdy wypadło mu na danem miejscu obozować tylko dzień jeden. Taki obóz oszańcowany i zajmujący nieznaczną przestrzeń stanowi główny fortel mechanizmu wojskowego Rzymian.

Armje te wytknęły sobie zabór gruntów, zdatnych do uprawy. Każdy żołnierz stawał się osadnikiem, zaciąg rzymski wydawał z siebie kolonje rzymskie. Rzymianin siał je, jak siał zboże. Nie prowadzi on wojny tylko dla miłości wojny, jak to robi wojownik pochodzenia górskiego, który udaje się przeciw Troi w imię ambicji, sławy, dla spędzenia czasu, dla miłości zadawania ciosów, które później będzie opiewał. Rzymianin był wojownikiem, pozbawionym namiętności, prowadzi wojnę raczej z pomocą polityki, niż

oraz. Wieśniak wogóle odznacza się przebiegłością, co jest dobrą szkołą polityki, używającej podejścia. Do spraw wnosi rozsądek człowieka interesu, bo rolnictwo jest również interesem i wyrabia odpowiednie instynkty.

Rzymianin postępował, jak dzisiaj robi Anglik w Indiach Przedgangesowych. Stwarza sobie sprzymierzeńców w obozie nieprzyjacielskim i zadaje mu ciosy z pomocą tamtych. Galję ujarzmiono dzięki stosowaniu tego środka. Weźcie do ręki *Komentarze*. „W Galji — pisze Cezar — każde miasto, każda osada, każda dzielnica kraju i prawie każda rodzina rozpadała się na facje“. Cezar umiał zużytkować te podziały.

Dla stworzenia sobie sprzymierzeńców w kraju nieprzyjacielskim Rzymianie posługiwali się wielkim środkiem, który rzadko chybia skutku: podniecali żądzę korzystania z dobrodziejstw wolności osobistej i własności, właściwych Rzymowi. Tak samo działają dzisiaj Anglicy. Rzymianie przypuszczali podbite miasto do prawa prywatnego kwiryckiego. Ale, jako zręczni politycy, nie obdarzali ich uczestnictwem w rządach, które były wyłącznym przywilejem Rzymian.

Oto zasadnicze źródło wyższości Rzymian jako zaborców.

Ale wyższość ta posiada parę stron ujemnych, nawet bardzo doniosłych.

Pierwszą słabą stroną tego quasi-partykularyzmu stanowi niezdolność Rzymian do wzięcia zupełnego rozbratu z ustrojem patryjarchalnym rodziny. Uszczuplili jego rozciągłości więcej, niż którykolwiek inny lud starożytności, ale nie przeszli do formy rodziny partykularystycznej, która

zapewniła przewagę pewnym ludom nowoczesnym Zachodu. Instytucja gentu, zbioru rodzin, wyprowadzających się od tego samego przodka, powściągała w pewnej mierze działalność i niezależność każdej rodziny.

Następnie, a jest to wada donioślejszą, nadmierny rozwój działalności ojcowskiej tamował pobudkę osobistą dzieci. Rzym wyzwolił ojca, jeno nie syna, a mam na myśli dorosłego syna, będącego ojcem rodziny. Ustrój rodziny częściowo grząsnął w przeszłości, spoglądał na Wschód, zamiast swobodnie i zupełnie iść ku Zachodowi. Stał wyżej, niż ustrój rodzinny innych ludów starożytności, ale niżej, niż zwycięskich narodów współczesnych.

Drugi słaby punkt to wyłączenie trzymanie się miasta. Tym rysem typ rzymski wyróżnia się ostro od formacji partykularystycznej. Gdy otoczono Rzym murem, wieśniak opuszcza prowincję, ażeby mieszkać w mieście lub w wielkich siołach, jak to robi dzisiaj włoszianin włoski. Rankiem udawał się na pole, a wieczorem wracał do ogniska miejskiego. Myśl pozostawania w osamotnieniu wśród gruntów była dlań ciężką. Na wzór Pelazgów pozostał mieszczaninem, dzieckiem spółnictwa. Nie owładnął on gruntami w całej pełni, ani nie odzyskał samego siebie. Nie był wspaniałym typem skończonego kolonisty, który osiada mocno i na stałe w pośrodku gruntów, może w nieokrzęsanej, lecz niezmiernie silnej samotności. Zdołał kolonizować kraj w gromadzie, tylko nie osobiście na podobieństwo osadnika partykularysty, obecnie zajmującego świat cały.

Wreszcie jedna rzecz trzymała Rzymian zdala od partykularyzmu, a mianowicie zogniskowanie władzy publicznej w Rzymie.

Do Rzymu ciągnęli obywatele starego znaku i nowego, całe ludy podbite dla wykonywania praw politycznych. Jest to skutek charakteru miejskiego i spółniczego idei państwowej. Przeciwnie zachowują się ludy partykularystyczne, stwarzając grupy niezależne, posiadające własny samorząd i własne życie.

W społeczeństwie rzymskiem, tak samo jak później w ustrojach, stworzonych przez Karola V, Filipa II hiszpańskiego, Ludwika XIV, Konwencję, Napoleona, całe życie społeczne i polityczne zogniskowało się w głowie; członki, bezkrwiste, posiadały byt sztuczny.

W miarę wzrostu odpowiednich społeczeństw zarówno pod względem potęgi jak i rozciągłości, prowincja podupadała, bo obrót soków życia aż do bardzo odległych krańców stawał się coraz bardziej utrudnionym. To zdarzyło się Rzymowi, gdy jego potęga rozszerzyła się na dalekie kraje. Ustrój jego, stworzony na użytek jednego miasta i jego okolicy bezpośredniej, nie zdołał ogarnąć tak rozległego obszaru. Rządzić światem w Rzymie i za pośrednictwem Rzymu było niepodobieństwem.

Zaczęto naówczas mianować prokonsulów, którzy w imieniu Rzymu rządzili prowincjami. Skutki są powszechnie wiadome. Prokonsulowie skorzystali z władzy swojej, ażeby zaciągać armje „barbarzyńskie“ i uderzać na Rzym. I oni również ciągnęli do Rzymu dla spełnienia swoich praw politycznych, a ponieważ mieli po swej stronie siłę, spełniali je tak wyśmienicie, iż przywłaszczyli sobie rządy.

Powstało cesarstwo.

Było ono odwetem na Rzymie ludów, obcych obszarowi Nadśródziemnomorza, t. j. barbarzyńców.

Rzym, który zawdzięczał swoją potęgę początkową quasi-partykularyzmowi, upadł dzięki szczytkom prastarego spółnictwa oraz jeszcze bardziej dzięki centralistycznemu ustrojowi państwa. Wszak państwo to powstało w imię interesów jednostki.

Pomiędzy barbarzyńcami, którzy zaleli i podzielili państwo rzymskie, niektórzy przynieśli z sobą zasadę partykularyzmu, której Rzym nie zdołał wcielić w całości. Szczęśliwsze niż Rzym, zastosowały ją te ludy i wyłoniły typ społeczny, wyższy i trwalszy. Historycy nie spostrzegli, że ukazanie się w dziejach tej nowej więzi społecznej stworzyło ów wielki rozdział pomiędzy starożytnością a czasami nowożytnymi.



SPIS RZECZY.

KSIĘGA PIERWSZA

	Typy, nie posiadające historii.	Str.
Rozdział I.	Droga, prowadząca przez stepy.— Typ tatarsko-mongolski	1
Rozdział II.	Przedłużenie szlaku stepów.—Najazdy pasterzy .	50
Rozdział III.	Szlak tundr i sawanów.—Typy: lapońsko-eskimoski i czerwonoskóry	87
Rozdział IV.	Szlak leśny—Typy: indyjski i murzyński	132

KSIĘGA DRUGA.

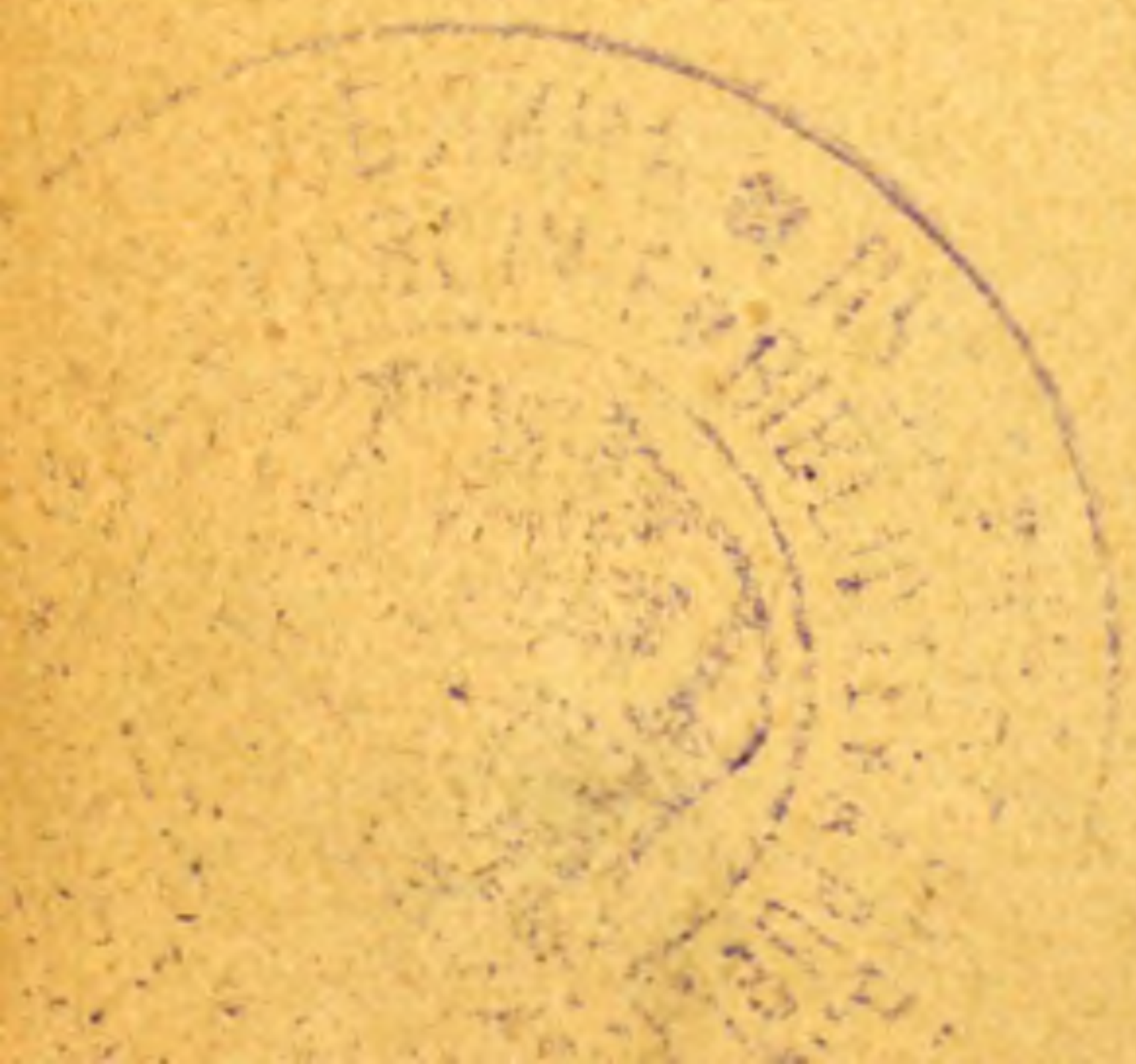
Prastare ludy Wschodu.

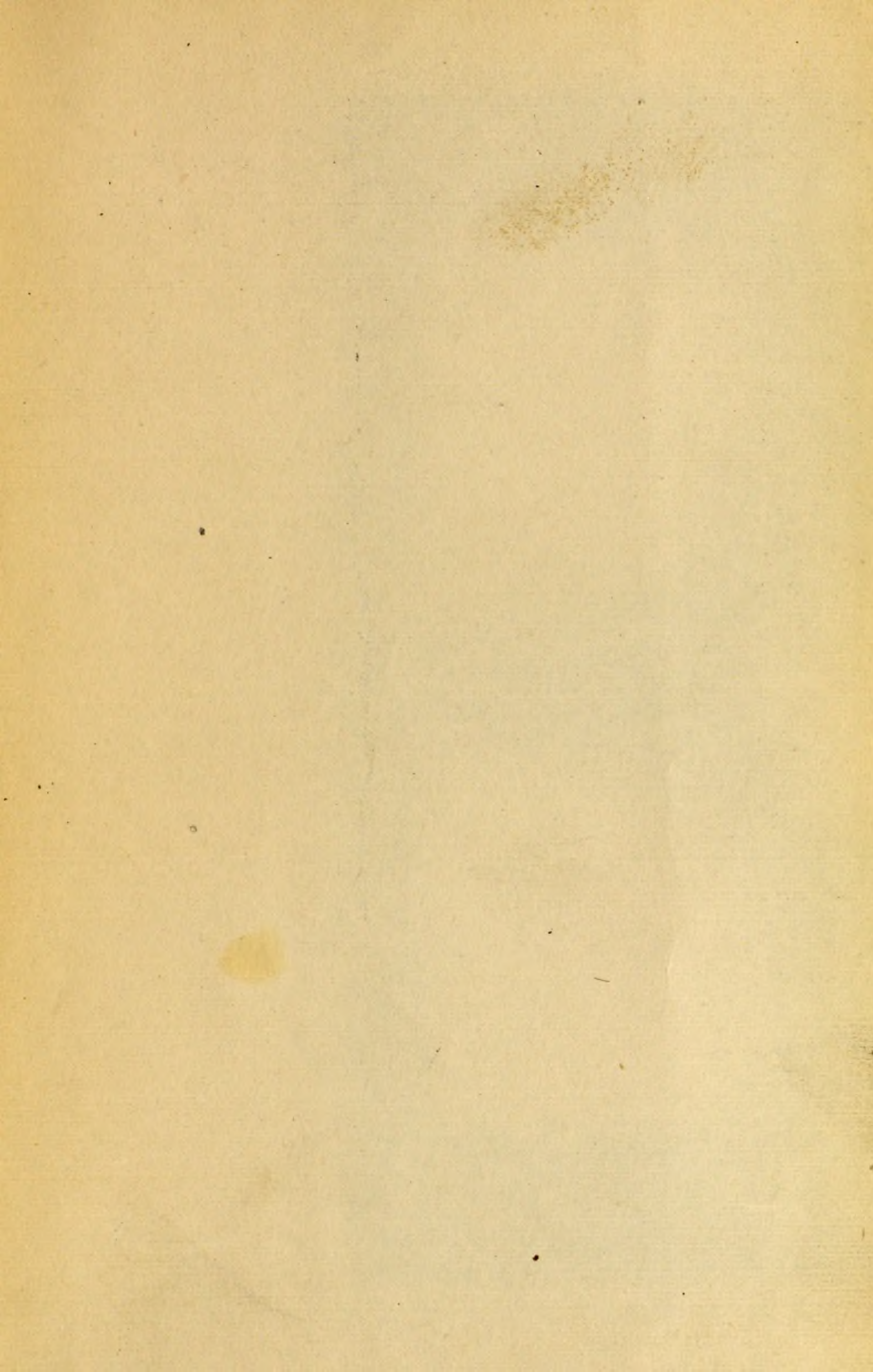
Rozdział I.	Droga wielkich mocarstw pustyni.—Typy: arabski, Sahary, asyryjski i egipski	163
Rozdział II.	Droga wielkich mocarstw Azji.— Typy: chiński, japoński i hinduski	204

KSIĘGA TRZECIA.

Typy starożytne Zachodu. Droga wielkich mocarstw nadśródziemnomorskich.

Rozdział I.	Droga dolin.—Typy: kolchidzki i pelazgijski	241
Rozdział II.	Starożytny szlak portów morskich. Typy: fenicki i kartagiński.	269
Rozdział III.	Nowożytna droga portów morskich. — Typ wenecki	296
Rozdział IV.	Droga płaskowzgórzy.— Typy: albański i heleński	328
Rozdział V.	Połączenie dróg. Typ grecki	356
Rozdział VI.	Połączenie dróg.—Typ rzymski	371





Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

323901

1000071796

